

# STAR WARS

## WOJNY KLONÓW

KAREN TRAVISS

Przekład:  
Anna Hikiert

**trident**

## **Wydanie oryginalne**

### **Tytuł oryginału:**

Star Wars: The Clone Wars

### **Data wydania:**

2008

## **Wydanie polskie**

### **Data wydania:**

2010

### **Przekład:**

Anna Hikiert

### **Wydawca:**

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63  
tel. 22620 40 13, 22620 81 62  
[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

ISBN 978-83-241-3730-5

Wydanie I

## **Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

[tridentebooks@gmail.com](mailto:tridentebooks@gmail.com)

*Drużynie A w PCC –  
teraz rozrzuconej na cztery strony świata*

# OD REDAKCJI

## DAWNO TEMU W ODLEGŁEJ GALAKTYCE...

### 1. Era Sithów

Nieznana rasa istot stworzyła koreliański system planetarny, a prawdopodobnie także usytuowaną w pobliżu planety Kessel ogromną gromadę czarnych dziur zwaną Otchłanią. Ładu i sprawiedliwości w galaktyce strzegli wówczas Rycerze Jedi wykazujący dużą wrażliwość na generowane przez wszystkie formy życia i przenikające całą galaktykę energetyczne pole zwane Mocą. Pradawni Jedi byli mędrkami, sędziami, rozjemcami, uzdrowicielami i filozofami, badającymi jasne i ciemne, jednoczące i życiodajne aspekty Mocy. Posługując się Mocą, a także od czasu do czasu świetlnymi mieczami, przeciwstawiali się złu i jego wpływowi. Rycerze Jedi doskonalili umiejętności pod okiem Mistrzów, a uczniowie – padawani i padawanki – kształcili się pod okiem doświadczonych Rycerzy Jedi. Niektórzy jednak, zwiedzeni przez Ciemną Moc, przechodzili na jej stronę i poświęcali życie krzewieniu zła. Byli to tak zwani Ciemni Jedi. Kiedy zostali wygnani, podporządkowali sobie mieszkańców pewnej zacofanej planety – Sithów, a później nawet sami nazwali się Sithami.

Mniej więcej pięć tysięcy lat przed wydarzeniami opisanymi w *Nowej nadziei* (przed tak zwanym Rokiem Zerowym) rozpoczął się okres zwany Złotą Erą Sithów. W galaktyce istniała wówczas Stara Republika, którą rządził Wielki Kanclerz. Każda planeta Republiki miała swoich przedstawicieli w galaktycznym Senacie. Stolicą Republiki była usytuowana w Jądrze galaktyki planeta Coruscant. Sithowie zgubili gwiazdne atlasy, a że ich planeta znajdowała się tysiące lat świetlnych od Jądra galaktyki, początkowo nawet nie wiedzieli o istnieniu Republiki.

Tymczasem Republika kwitła, rozwijała się i rozrastała. Kolonizowano i zasiedlano nowe planety, wytyczano nowe międzygwiazdne i nadprzestrzenne szlaki. Od czasu do czasu wybuchały wprawdzie tu i ówdzie konflikty oraz lokalne wojny, ale dzięki staraniom Jedi na ogół szybko wygasaly. Rosło w siłę także Imperium Sithów, którzy dowiedzieli się o istnieniu Republiki, kiedy na ich planecie wylądował uszkodzony statek zwiadowców Starej Republiki. Spór, czy należy ich zabić, czy pozwolić im uciec, podzielił Sithów i doprowadził do bratobójczej wojny między nimi. W końcu zwiadowcy Starej Republiki uciekli, ale przedtem

Sithowie zainstalowali na pokładzie ich statku nadajnik sygnału namiarowego i odkryli, gdzie znajduje się Coruscant.

Kiedy Sithowie zaatakowali stolicę Starej Republiki, rozpoczęła się Wielka Wojna w nadprzestrzeni, która zakończyła się porażką Sithów. Ówczesny Lord Sithów, Naga Sadow, uciekł na pokładzie ostatniego sprawnego okrętu i ukrył się na porośniętym gęstą dżunglą niewielkim czwartym księżycu Yavina. Dzięki technikom i czarom Sithów pogrzyżył się w śpiączce, w której pozostawał następne sześćset lat.

Obudził go z niej dopiero ambitny Rycerz Jedi Freedon Nadd, ale Naga Sadow skłonił go do przejścia na Ciemną Stronę Mocy. Kiedy Nadd zmarł, jego grób stał się źródłem energii Ciemnej Strony. Przez kilkaset następnych lat pojawiło się wielu słynnych Jedi, a wśród nich Nomi Sunrider, Vodo-Siosk Baas, Arca Jeth i Ulic Qel-Droma. Od czasu do czasu wybuchały ze spadkobiercami Sithów wojny, z których zwycięsko wychodziła Stara Republika. Jeden z wybitnych Jedi, Exar Kun, przeszedł na Ciemną Stronę Mocy i stał się potężnym Sithem. Wylądował na księżycu Yavina, ogłosił się Czarnym Lordem Sithów i rozpoczął studiowanie tajemnych nauk Sithów. Na Ciemną Stronę przeszedł także Ulic Qel-Droma, który walczył przeciwko siłom zbrojnym Republiki. To właśnie wówczas, trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć lat przed Rokiem Zerowym, doszło do spustoszenia planety Ossus, gdzie mieściły się Akademia Jedi i ogromna biblioteka Zakonu Jedi.

Po zakończeniu wojny z Sithami rozpoczęła się era rozkwitu Starej Republiki. W gromadzie gwiazdnej Hapes wykształcił się system matriarchatu. Kilkaset lat później monarchini Konsorcjum Hapes zamknęła granice swojego sektora. Jeden z Sithów, którzy przeżyli ten okres, Lord Darth Bane, ogłosił doktrynę, w myśl której odtąd w galaktyce mogli żyć równocześnie tylko dwaj Sithowie: Mistrz i jego uczeń.

## **2. Schyłek Starej Republiki**

Mniej więcej trzydzieści dwa lata przed Rokiem Zerowym doszło do konfliktu między Federacją Handlową pod przywództwem tchórzliwych Neimoidian a Republiką, która nałożyła podatek na transport towarów nadprzestrzennymi szlakami. Federacja zaatakowała i zablokowała planetę Naboo, której mieszkańcy zwrócili się do Republiki z prośbą o mediację. Republika wysłała dwóch Jedi: Mistrza Qui-Gona Jinnę i jego padawana, Rycerza Obi-Wana Kenobiego. Zaatakowani przez bojowe roboty Jedi uciekli i po awarii statku wylądowali na odległej pustynnej planecie Tatooine. Natrafili tam na dziewięcioletniego chłopca, Anakina Skywalkera, który wygrał wyścig ścigaczy i wykazywał niezwykły talent do władania Mocą. Qui-Gon chciał go szkolić na Rycerza Jedi, bo wierzył, że to sama Moc wybrała Anakina, żeby przywrócił w niej równowagę. Planom Qui-Gona sprzeciwiła się Rada Jedi, ale Mistrz i tak postawił na swoim. Anakin poznał piękną królową Naboo Padmę Amidalę, i chociaż był

właściwie jeszcze dzieckiem, nie potrafił o niej zapomnieć. Senator z Naboo, Palpatine, został wybrany na nowego Wielkiego Kanclerza Republiki. W rzeczywistości był to Lord Sithów Darth Sidious, który od razu rozpoczął realizację swoich planów zdobycia absolutnej władzy nad galaktyką. Jego uczeń Darth Maul stoczył pojedynek z Qui-Gonem i zabił go, ale sam zginął z ręki Obi-Wana Kenobiego, który podjął się nauczania Anakina Skywalkera. Walka na planecie Naboo zakończyła się zwycięstwem Republiki, do czego walenie przyczynił się mały Anakin.

Pokonana Federacja zamierzała zaatakować inteligentną planetę Zonamę Sekot, która także potrafiła władać Mocą. Rada Jedi wysłała tam Obi-Wana Kenobiego i jego ucznia, dwunastoletniego Anakina Skywalkera. Obaj Jedi mieli odszukać zaginioną wcześniej Rycerz Jedi, Vergere, która podobno została schwyta i porwana przez wywiadowców obcej, pozagalaktycznej rasy. Na Zonamie Sekot wytwarzano najszybsze myśliwce galaktyki i Anakin otrzymał taki inteligentny statek. Sama Zonama Sekot zmieniła jednak orbitę i odleciała. Na jakiś czas wszelki słuch o niej zaginął.

Po pokonaniu Federacji Republika zorganizowała wyprawę poza galaktykę. Naukowcy chcieli się przekonać, czy istnieje lub istniało tam życie. Wielki Kanclerz Palpatine (Lord Darth Sidious) wykorzystał tę okazję, aby zniszczyć okręty wyprawy i zabić lecących nimi Mistrzów Jedi. Możliwe, że pomógł mu w tym genialny taktik Chiss Thrawn.

Planety Federacji Handlowej, Unii Technokratycznej, Gildii Kupieckiej i Klanu Bankowego utworzyły Konfederację Separatystów, której poczynaniami manipulował potajemnie Darth Sidious. Na czele konfederacji stanął tajemniczy hrabia Dooku. Był on upadłym Mistrzem Jedi, dawnym uczniem Yody oraz nauczycielem Qui-Gona, ale odwrócił się od Republiki i Zakonu Jedi. Kilka lat później wyszło na jaw, że z polecenia Sidiousa na planecie Kamino wyhodowano miliony klonów, które podobno miały wejść w skład armii Starej Republiki. Wzornikiem dla klonów i dawcą materiału genetycznego był mandaloriański wojownik i słynny łowca nagród Jango Fett. W siłę rośli także Separatyści i ich armie bojowych robotów. Wyglądało na to, że konfrontacja, do której dążył Darth Sidious, jest nieunikniona.

Bezpośrednio przed wybuchem Wojen Klonów Separatyści opanowali ważną pod względem strategicznym planetę Ansion. Rada Jedi wysłała tam Obi-Wana Kenobiego i jego padawanę Anakina Skywalkera. Obaj dokonali tam rzeczy niemal niemożliwych, dzięki czemu Ansion nie odłączył się od Republiki.

Po zamachu na życie Padme Amidali Wielki Kanclerz powierzył opiekę nad ówczesną panią senator Obi-Wanowi Kenobiemu i młodemu Anakinowi Skywalkerowi, który się w niej zakochał. W końcu wybuchł konflikt między Separatystami a Starą Republiką. Konflikt ten, potajemnie i umiejętnie podsycany przez Sidiousa, dał początek Wojnom Klonów. Do pierwszej wielkiej bitwy tego okresu doszło na planecie Geonosis, na której Separatyści produkowali taśmowo bojowe roboty. Podczas walk zginęło bardzo wielu Jedi. Tylko

niektórzy uszli z życiem dzięki interwencji Wielkiego Mistrza Yody, ale w końcu bitwa zakończyła się zwycięstwem Republiki. Hrabia Dooku, przywódca Separatystów, ale także uczeń Sidiousa, zwany Darthem Tyranusem, zbiegł z planami śmiertelnej broni (późniejszej Gwiazdy Śmierci). Wcześniej jednak pokonał w pojedynku Obi-Wana Kenobiego i Anakina Skywalkera, któremu uciął dłoń. Anakin potajemnie wziął ślub z Padme, chociaż Rycerzom Jedi nie wolno było zakładać rodziny.

W Wojnach Klonów walczyli przeważnie sklonowani żołnierze przeciwko armiom bojowych robotów i wojennych machin Separatystów. W walkach na setkach frontów na ogół zwyciężały klony pod dowództwem Rycerzy i Mistrzów Jedi w stopniu generałów. Szczególną odwagą i męstwem wyróżniali się sklonowani komandosi. Na Qiilurze przyczynili się do zlikwidowania tajnego ośrodka badawczo-naukowego Separatystów, gdzie hodowano wirusy atakujące tylko organizmy klonów, a na Coruscant pomogli odnaleźć i wyeliminować terrorystów. Niektóre klony z próbnej serii, tak zwane Zera, którymi opiekował się mandaloriański sierżant Skirata, bardzo się interesowały nigdy niewidzianą ojczyzną ich wzornika, Mandalorą. Cudów dokonywali także chirurdzy polowi i padawani uzdrowiciele Jedi, którzy ratowali od śmierci nawet bardzo ciężko ranne klony.

Podczas Wojen Klonów do godności Rycerza Jedi został również wyniesiony Anakin Skywalker. Stało się to po wygranej przez niego bitwie na planecie Praesitlyn, gdzie musiał się zmierzyć także z Ciemną Jedi Asajj Ventress.

W okresie poprzedzającym Wojny Klonów urodzili się dwaj ważni bohaterowie *Gwiezdnych Wojen*: Lando Calrissian i Korelianin Han Solo. Pierwszy był początkowo słynnym hazardzistą i oszustem artystą, Mistrzem gry w karty zwanej sabakiem. Mimo to Han wygrał od niego w sabaka stary koreliański frachtowiec typu YT-1300, który nazwał „Sokołem Millenium”. Statek ten stał się później jego ukochanym towarzyszem niemal wszystkich wypraw i podróży po galaktyce. Lando i Han, latając tu i tam, przeżywali najbardziej niezwykle przygody. Lando odnalazł Myślóharfę Sharów i nie dopuścił, żeby wpadła w ręce czarownika Tundu Rokura Gepty. Wymknął się potem z jego rąk w systemie Oseona i uratował od zagłady Gwiazdogrotę ThonBoka, a wreszcie postanowił zostać przedsiębiorcą.

Han Solo dorastał na Korelii pod opieką oszusta i złoczyńcy Garrisa Shrike’a, który zrobił z niego złodziejaska. W wieku dziewiętnastu lat Han uciekł i został przemytnikiem. Na zlecenie huttańskich szefów światka przestępczego przemycił transporty narkotyku zwanego przyprawą albo błyszczostymem. Zasłynął z tego, że pokonał Trasę na Kessel, gdzie wydobywano przyprawę, w ciągu niespełna dwunastu jednostek standardowych. Wyprawił się także do Sektora Wspólnego, gdzie przeżył kilka niezwykłych przygód. Towarzyszem jego podróży był zawsze Wookie Chewbacca, któremu Han ocalił kiedyś życie. Od tamtej pory Chewie uznał, że ma wobec Hana dług wdzięczności, tak zwany dług życia.

Tymczasem za sprawą złowrogiego generała Grievousa Wielki Kanclerz Palpatine cały

czas umacniał swoją władzę w Republice. Równocześnie podsycił dumę i ambicję Anakina Skywalkera, bo widział w nim kandydata na swojego ucznia – Sitha. Zainicjował także wybranie Anakina do Rady Jedi. Kiedy Palpatine uznał, że jest już wystarczająco potężny, przekształcił Republikę w Imperium, ogłosił się Imperatorem i wydał swoim wojskom Rozkaz Sześćdziesiąty Szósty, na mocy którego klony miały zabić wszystkich dowodzących nimi Jedi. Osobiście zabił kilku wybitnych Mistrzów, członków Rady Jedi, rozgłaszając, że przygotowywali zamach stanu i zamierzali go zlikwidować.

Obi-Wan widział, że jego padawan ześlizguje się na Ciemną Stronę Mocy, ale nie był w stanie temu zapobiec. Kiedy sytuacja zaczęła wyglądać naprawdę źle, stoczył z nim pojedynek na wulkanicznej planecie Mustafar. Zwyciężył i zostawił Anakina właściwie dogorywającego. Młodego Skywalkera ocalił jednak od śmierci Darth Sidious, który przywrócił go do życia w swoim tajnym ośrodku chirurgicznym. Podsycając w Anakinie nienawiść do Jedi, zrobił z niego swojego ucznia i nazwał go Darthem Vaderem. Od tej pory Anakin-Vader pomagał mu ścigać i likwidować Jedi, którzy przeżyli tak zwaną Wielką Czystkę, a nawet znalazł sobie własnego ucznia, którego nazwał Starkillerem. Padme Amidala urodziła przed śmiercią, bliźnięta Leię i Luke'a, które Obi-Wan Kenobi postanowił ukryć przed swoim byłym uczniem. Leia wychowywała się w królewskiej rodzinie na Alderaanie pod opieką Baila Organy, a Luke trafił na farmę wilgoci na Tatooine, którą prowadzili Owen i Beru Larsowie.

Nie wszyscy Jedi zginęli na mocy Rozkazu Sześćdziesiątego Szóstego. Do najwybitniejszych, którzy przeżyli, należeli sędziwy Wielki Mistrz Yoda (schronił się na bagiennej planecie Dagobah) i Obi-Wan Kenobi (zamieszkał samotnie w pustelni na Tatooine). Tymczasem coraz więcej osób miało dosyć brutalnych rządów Palpatine'a.

### **3. Era Sojuszu Rebeliantów**

W końcu Palpatine rozwiązał Senat i aby wzbudzić jeszcze większą grozę, zaczął konstruować potężną stację bojową, zwaną Gwiazdą Śmierci. Do jej budowy zatrudniał głównie niewolników rasy Wookie. Przeciwnicy Imperatora, a wśród nich pani senator z Chandrili, Mon Mothma, i Bail Organa, powołali do życia Sojusz Rebeliantów. Podczas akcji na Toprawie wykradli plany konstrukcyjne Gwiazdy Śmierci i zaczęli się zastanawiać, jak ją zniszczyć. Lecąc statkiem konsularnym, Leia zapisała te plany w pamięci astromechanicznego robota R2-D2. Bojąc się schwymania przez Vadera, kazała robotowi lecieć na Tatooine i odszukać Obi-Wana Kenobiego. Uwięziona i torturowana przez Vadera, nie zdradziła mu jednak kryjówki bazy Rebeliantów. Mszcząc się za jej upór, dowódca Gwiazdy Śmierci, moff Tarkin, rozpylił na atomy rodzinną, jak przypuszczał, planetę Leii, Alderaan. R2-D2 i protokolarny android C-3PO wylądowali na Tatooine. Tam trafili



najpierw w ręce opiekunów Luke'a Skywalkera, a później Obi-Wana Kenobiego. Stary Jedi zabrał Luke'a do kantyny w Mos Eisley, gdzie spotkał się z Hanem Solo i z Chewiem i nakłonił ich do lotu na Alderaana. Podczas podróży Kenobi uczył młodego Luke'a sztuki posługiwania się świetlnym mieczem i władania Mocą. Kiedy okazało się, że planeta została zniszczona, wszyscy wylądowali w hangarze Gwiazdy Śmierci. Luke i Han uwolnili Leię i odlecieli z nią do bazy Rebeliantów na księżycu Yavina. Obi-Wan został i stoczył pojedynek na świetlny miecz z Darthem Vaderem. Przegrał walkę, zginął i zjednoczył się z Mocą. Siły zbrojne Imperium odnalazły bazę Rebeliantów i postanowiły ją zniszczyć, Rebeliantom jednak udało się uciec. Kiedy nad księżycem Yavina zawisła Gwiazda Śmierci, Rebelianci już znali jej słaby punkt dzięki zdobyтым planom. Luke Skywalker, posługując się Mocą, posłał torpedę prosto w otwór szybu wentylacyjnego i zniszczył Gwiazdę Śmierci.

Vader jednak uciekł. Palpatine wydał natychmiast rozkaz zbudowania drugiej, jeszcze potężniejszej Gwiazdy Śmierci, i na jakiś czas przestał się interesować zagrożeniem ze strony Rebeliantów. Zwrócił za to uwagę na Gildię Łowców Nagród i organizację przestępczą Czarne Słońce, której szefem był falleeński książę Xizor. Imperator postanowił zatrudnić łowcę nagród Bobę Fetta, który wywiązał się z powierzonego mu zadania i rozbił Gildię. Od tej pory łowcy nagród zaczęli działać każdy na własną rękę, ale Palpatine nadal dyskretnie korzystał z ich usług.

Po Bitwie o Yavina Rebelianci przenieśli bazę na lodową planetę Hoth, ale i tam odnaleźli ich siepacze Imperium. Po przegranej bitwie Rebelianci uciekli i się rozproszyli. Luke odleciał X-wingiem na Dagobah, bo duch Kenobiego polecił mu, żeby szkolił się tam pod okiem Wielkiego Mistrza Yody, a Han, Chewbacca i Leia uciekli „Sokołem Millenium” do gromady asteroid, gdzie uszkodzona została jednostka napędowa „Sokoła”. Han i księżniczka Leia zakochali się w sobie. Aby naprawić usterkę, Solo poleciał do Miasta w Chmurach na Bespinie. Baronem administratorem był tam jego przyjaciel Lando Calrissian, który zajmował się pozyskiwaniem cennego gazu tibanna. Zmuszony przez Vadera Lando przekazał mu jednak Hana i Luke'a. Vader oddał Hana w ręce łowcy nagród Boby Fetta, a z Lukiem stoczył pojedynek na świetlny miecz. Luke stracił prawą dłoń (później zastąpił ją protezą) i przegrał, a wtedy Vader wyjawiał mu, że w rzeczywistości jest jego ojcem. Luke wskoczył do szybu reaktora i zawisnął na antenie wiatromierza. Boba Fett zamroził Hana w bloku karbonitu i odleciał na Coruscant, żeby oddać Solo w ręce gangstera Hutta Jabby, któremu Han był winien sporą sumę pieniędzy za niedostarczoną przyprawę.

Lando i Leia ocalili Luke'a, zabierając go „Sokołem” z anteny wiatromierza, po czym polecili na spotkanie z resztą Sojuszu.

Niebawem przywódca Czarne Słońca, książę Xizor, został zabity przez Vadera. Czarnemu Lordowi nie spodobało się, że Falleen chciał porwać i zabić Luke'a Skywalkera.

Niecały rok później Luke, Leia i Lando oraz Chewie polecili na Tatooine ratować Hana. Leia udusiła Jabbę, a jej towarzysze rozprawili się z siepaczami Hutta na barce żaglowej.

Boba Fett wpadł do Wielkiej Jamy Carkoon i został połknięty przez sarlaccę.

Rebelianci dowiedzieli się, że nad księżycem sanktuarium zwanym Endorem jest konstruowana druga Gwiazda Śmierci. Luke wrócił na Dagobah, żeby nadal się szkolić pod okiem Yody, ale sędziwy Mistrz zmarł, a jego ciało zjednoczyło się z Mocą. Przedtem jednak poddał Luke'a próbie, której młody Skywalker nie przeszedł. Rebelianci przypuścili na Endorze szturm na stacjonarny generator ochronnego pola Gwiazdy Śmierci, żeby móc ją zaatakować z przestworzy. Ich starania zakończyły się sukcesem. Imperator kazał Luke'owi stoczyć pojedynek z Vaderem. Chciał, żeby po zabiciu własnego ojca Luke został jego uczniem, przeszedł na Ciemną Stronę i razem z nim władał galaktyką. Aby go do tego zmusić, zaczął go razić błyskawicami Sithów. W końcu Vader wrzucił Imperatora do szybu, gdzie ten zginął. Krótko przed śmiercią Vader nawrócił się na Jasną Stronę Mocy, a po śmierci jego ciało się z nią zespoliło. Luke spalił jego pancerz na Endorze, a Lando, któremu Han pozwolił pilotować „Sokoła”, zniszczył drugą bojową stację Imperatora.

Siły zbrojne Imperium nie zostały jednak całkowicie pokonane i wspólnie z jaszczuropolodnymi Ssi-ruukami zaatakowały Bakurę. Rebelianci pospieszyli na pomoc dręczonym i mordowanym Bakuranom. Zawarli pakt o nieagresji z dowódcą flot Imperium komandorem Thanasem, ale Ssi-ruuków pokonali Chissowie pod wodzą Wielkiego Admirała Thrawna. Przywódczyni Sojuszu Rebeliantów Mon Mothma proklamowała powstanie Nowej Republiki.

#### **4. Era Nowej Republiki**

Po Bitwie o Endor od Imperium odłączyło się wielu dostojników, którzy z resztek terytorium pod władaniem Palpatine'a usiłowali wykroić dla siebie własne miniimperia. Jednym z takich samozwańczych lordów był admirał Harrsk, prócz niego – admirałowie Teradoc i Drommel oraz Wielki Moff Kaine. Jednym z najgroźniejszych przeciwników Nowej Republiki okazał się jednak admirał Zsinj. Także była szefowa Imperialnego Wywiadu Ysanna Isard miała ochotę zasiąść na tronie Palpatine'a. Schwyciła pilota słynnej Eskadry Łotrów, Tycho Celchu, i uwięziła go na pokładzie gwiazdowego superniszczyciela „Lusankya”. Tycho uciekł i powrócił do Nowej Republiki, ale od tego czasu wielu długo uważało go za podwójnego agenta.

Luke Skywalker został awansowany do stopnia generała, ale sześć miesięcy później, po Bitwie o Mindora z czarnymi szturmowcami Lorda Shadowspawna, w której zginęło albo przelało krew wiele osób, zrezygnował i powrócił do cywila. Doszedł do wniosku, że przysłuży się lepiej Nowej Republice, zakładając nową Akademię i reaktywując Zakon Jedi. Z samozwańczymi lordami rozprawiły się po kolei siły zbrojne Nowej Republiki; odznaczyli się tu Eskadra Łotrów pod dowództwem komandora Wedge'a Antillesa, a także Luke

Skywalker, Han Solo i Leia, a nawet przemysłowcy, jak Booster Terrik.

W ósmym roku po Bitwie o Yavina księżniczce Leii oświadczył się urodziwy Hapanin, książę Isolder. Takie małżeństwo miałoby sens z politycznego punktu widzenia. Zazdrosny Han, pragnąc zyskać przychylność Leii, podarował jej wygraną w sabaka planetę Dathomirę, żeby mogli na niej zamieszkać uciekinierzy z unicestwionego Alderaana. Porwał Leię i poleciał z nią na Dathomirę, ale oboje zostali uprowadzeni przez władające Mocą wojowniczkę. Na ratunek Leii polecieł Luke i książę Isolder; przy tej okazji odkryli, że na planecie panoszy się zło, uosabiane przez władające Ciemną Mocą wiedźmy zwane Siostrami Nocy. Zsinj namówił je do ataku na twierdzę wojowniczek, ale bitwa zakończyła się porażką Sióstr Nocy. Wojowniczkę przyłączyły wtedy Dathomirę do Nowej Republiki, Han wziął ślub z Leią, a Isolder ożenił się z urodziwą wojowniczką Teneniel Djo. Po okresie zaciętych walk Nowa Republika i resztki Imperium doszły do wniosku, że muszą uzupełnić stan swoich mocno zdziesiątkowanych flot.

W tym samym roku Han i Leia polecieł na Tatooine, żeby wziąć udział w aukcji cennego alderańskiego mikroobrazu zatytułowanego *Killicki zmierzch*. Ukryty w nim mikroobwód zawierał tajne szyfry Rebeliantów, nie mógł więc dostać się w ręce agentów Imperium. Obraz został jednak skradziony, a w pogoni za sprawcą kradzieży oboje Solo zdobyli wideopamiętnik z zapiskami Shmi Skywalker, matki Anakina-Vadera; trafili także do samotni Obi-Wana Kenobiego. Odzyskali w końcu obraz, zniszczyli mikroobwód i pozwolili, żeby nowym właścicielem arcydzieła został Wielki Admirał Thrawn.

Rok później Thrawn zaatakował Nową Republikę. Z początku napadał na planety na obrzeżach jej terytorium, ale szybko zyskał poparcie resztek Imperium. Nakłonił do współpracy szalonego kłona Jedi Cbautha, utworzył potężną flotę i zaczął klonować szturmowców. Porwał także zdolne do przebijania pancerzy okrętów węgłbiarki Landa Calrissiana.

Leia urodziła bliźnięta Jainę i Jacena Solo. Luke spotkał Marę Jade, dawną Rękę Imperatora, która początkowo chciała go zabić. Thrawn zaatakował gwiazdne stocznie i uszkodził wiele okrętów Nowej Republiki. Sprzymierzeńcy Wielkiego Admirała, istoty rasy Noghri, przeszli na stronę Nowej Republiki. Thrawn zdobył większość grupy kilkuset pancerników zwanych Katańską Flotą. Cbauth wyhodował kłona Luke'a Skywalkera i kazał mu stoczyć walkę z prawdziwym młodym Jedi, ale kłona zabiła Mara Jade. W końcu Thrawn został zabity przez jednego z Noghri. Dowództwo nad imperialną flotą objął kapitan Pellaeon. Rok później na scenie pojawiła się znów Ysanna Isard, ale zginęła z ręki agentki Wywiadu Nowej Republiki, Ielli Wessiri.

Dziesięć lat po Bitwie o Yavina pojawił się znów Imperator Palpatine – a ściślej jego odrodzona wersja. Mon Mothma zarządziła ewakuację mieszkańców Coruscant. Imperator, posługując się tajemną magią Sithów, jeszcze raz zapragnął zwabić Luke'a na Ciemną Stronę Mocy. Znów mu się to nie udało, ale mimo to podporządkował Luke'a swojej woli. Chciał,

żeby na Ciemną Stronę Mocy przeszło trzecie, jeszcze nienarodzone dziecko Leii i Hana. W końcu odrodzony Imperator zginął, a Luke rozpoczął poszukiwania wrażliwych na Moc osób. Leia urodziła trzecie dziecko, Anakina Solo.

Luke odnalazł Gantorisa, Streena, Kama Solusara, Kalamariankę Cilghal, Tionnę, Kiranę Ti, klona Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego i pilota Eskadry Łotrów Corrana Horna. W ruinach prastarej świątyni na Yavinie Cztery założył nową Akademię Jedi, gdzie zaczął szkolić uczniów w sztuce władania Mocą i posługiwania się świetlnym mieczem. Tymczasem Han i Chewbacca zostali uwięzieni na Kessel w kopalni przyprawy, gdzie natknęli się na wrażliwego na Moc młodzieńca, Kypa Durrona. Wszyscy trzej uciekli, ale trafili do pełnego czarnych dziur rejonu zwanego Otchłanią. Dostali się tam w ręce władczyni tajnego imperialnego Laboratorium Otchłani, admirał Daali, która nic nie wiedziała o wojnie ani o śmierci Imperatora. Han, Chewie i Kyp porwali imperialną superbroń, zwaną Pogromcą Słońc, i uciekli. Kiedy Daala poznała prawdę o obecnej sytuacji politycznej, postanowiła rozpocząć wojnę z Nową Republiką. Mon Mothma została otruta na Coruscant, ale wyzdrowiała dzięki staraniom Cilghal. Daala zaatakowała Kalamara, a Nowa Republika zdobyła i zniszczyła Laboratorium Otchłani. Uzdrawiona Mon Mothma przekazała całą władzę nad Nową Republiką w ręce Leii Organy Solo.

Tymczasem na czwartym księżycu Yavina ożył uśpiony tam od bardzo dawna duch Lorda Sithów Exara Kuna. Zaczął zwodzić uczniów Luke'a i narzucać im swoją wolę, bo pragnął zabić młodego Mistrza Skywalkera. Pierwszą ofiarą ducha padł Gantoris; wpływom Exara Kuna uległ także ambitny Kyp Durron, który porwał Pogromcę Słońc z zamiarem niszczenia planet dochowujących wierności Imperium. Wywołał eksplozję wielu gwiazd i unicestwił Caridę z tamtejszą Imperialną Akademią, w której kształcili się kandydaci na szturmowców. Nie przeszedł jednak na Ciemną Stronę Mocy. Uciekł Pogromcą Słońc i zniszczył tę broń, posyłając ją w czeluść czarnej dziury. Później jednak pomógł duchowi Exara Kuna uspić Mistrza Skywalkera. Od pewnej śmierci ocalał Luke'a jego wówczas niespełna trzyletni siostrzeniec Jacen Solo. Duch Exara Kuna został pokonany, dzięki czemu duch Luke'a mógł powrócić do swojego ciała.

Zgromadzeni w rejonie Jądra galaktyki moffowie i inni dostojnicy Imperium, a wśród nich pani admirał Daala, nawiązali kontakt z byłą Ręką Imperatora Rogandą Ismaren. Poszukując ukrytych wiele lat wcześniej dzieci Jedi, Leia spotkała Rogandę i odkryła, że ta chce opanować superpancernik „Oko Palpatine'a” i wydać wojnę Nowej Republice. Roganda wszczepiła swojemu synowi implant, pozwalający mu zdalnie wydawać rozkazy automatom. Irek chciał wezwać „Oko Palpatine'a”, ale uwięziony na pokładzie superpancernika Luke uratował przetrzymywanych tam jeńców i odleciał, po czym zniszczył ogromny okręt.

W roku dwunastym po Bitwie o Yavina Daala porwała gwiazdny superniszczyciel i wyruszyła znów do walki przeciwko Nowej Republice. Korzystając z pomocy Czarnego Słońca, Huttowie skonstruowali superlaser podobny do tego z pierwszej Gwiazdy Śmierci,

którym Tarkin zniszczył Alderaana. Zdobyli plany i schwytali wielu niewolników, ale z powodu błędów konstrukcyjnych ich superlaser, nazwany Mieczem Ciemności, okazał się niewypałem. Dla uczczenia końca budowy Huttowie zamordowali jednak schwytanego generała Nowej Republiki – bohatera Rebelii, Crikxa Madine'a. Daala nawiązała kontakt z admirałem Pellaeonem i oboje zaatakowali Akademię Jedi. Okręty ich flot odepchnęli co prawda Mocą Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy i inni uczniowie Jedi, ale klon przypłacił ten wyczyn życiem. Załamana Daala przekazała całą władzę w ręce Pellaeona i udała się na dobrowolne wygnanie. Resztki Imperium opuściły Jądro galaktyki i zajęły rejon Dzikich Przestworzy. Leia wysłała generała Antillesa na Adumar, żeby otworzył tam drugi front walki przeciwko Szcątkom Imperium. Misja Antillesa zakończyła się sukcesem i Adumar przyłączył się do Nowej Republiki.

Rok później zabicia Luke'a Skywalkerera podjął się Seti Ashgad, były senator i polityczny przeciwnik Palpatine'a. Został on wygnany na planetę Nam Chorios, słynącą z inteligentnych, wrażliwych na Moc kryształów. Ashgad zamierzał zarazić obywateli Republiki wirusami zwanymi Posiewem Śmierci, ale przeszkodziła mu w tym Daala. Pospieszyła na pomoc, ale później znów odleciała, żeby knuć mroczne plany unicestwienia Nowej Republiki.

W roku szesnastym wybuchł konflikt zwany kryzysem Czarnej Floty. Rozpoczął się od napaści Yevethów, którzy porwali okręty zaginionej po Bitwie o Endor imperialnej Czarnej Floty – zaczynając od Gromady Koornacht – napadali na planety Nowej Republiki. Do ich niewoli trafił nawet wysłany z misją szpiegowską Han Solo. Księżniczka Leia musiała wypowiedzieć Yevethom wojnę, chociaż mogło to oznaczać śmierć jej męża i ojca jej dzieci. Z niewoli uwolnili Hana Chewbacca i jego syn, a Czarna Flota i szturmowcy na pokładach jej okrętów opuścili Yevethów. Luke spotkał władające Białym Nurtem Fallanasski, które pomogły mu bez wielkiego rozlewu krwi pokonać Yevethów i zakończyć kryzys Czarnej Floty.

Rok później doszło do eksplozji w gmachu Senatu Nowej Republiki. Zginęło wielu senatorów, a inni odnieśli ciężkie rany. Za zamach był odpowiedzialny uczeń Ciemnej Strony Brakiss, który zainstalował zdalnie sterowane ładunki wybuchowe w wielu kręcących się po sali automatach. Pragnąc odszukać Brakissa, Luke Skywalker poleciał na Almanię, lecz Ciemny Jedi spowodował eksplozję myśliwca Luke'a i wziął Mistrza Jedi do niewoli. Nowa Republika wysłała po niego flotę, ale Brakiss zniknął. Nowa Republika stłumiła wreszcie bunt na Almanni, ale musiała jeszcze stoczyć walkę z flotą Pellaeona i Daali, zanim nastąpił krótki okres spokoju.

W osiemnastym roku po Bitwie o Yavina Lando postanowił znaleźć odpowiednio zamożną kandydatkę na żonę. Sporządził nawet listę i z pomocą Luke'a Skywalkerera zaczął odwiedzać kolejne kandydatki. Do gustu przypadła mu dopiero urodziwa Tendra Risant, mieszkanka leżącej na obrzeżach systemu koreliańskiego Sakorii. Tendrze Lando też się spodobał, ale władająca Sakorią Triada wydalila Landa i Luke'a. Władcy planety chcieli

opanować Stację Centerpoint, służącą niegdyś rasie obcych istot do przyciągania planet systemu koreliańskiego w ten rejon przestworzy. Stacja mogła także pełnić funkcje gigantycznego nadprzestrzennego repulsora albo generatora promienia ściąającego, umożliwiającego niszczenie nawet całych planet.

W tym samym roku Leia wyprawiła się na rodzinną planetę Hana – Korelię – zaniepokojona, że Korelianie odizolowali planetę od reszty galaktyki. Wpadła jednak w pułapkę i została uwięziona. Jej mąż Han trafił do niewoli, schwytyany przez swojego prześladowcę z czasów dzieciństwa, dalekiego krewniaka, Thrackana Sal-Solo. Leia uciekła z więzienia z pomocą Mary Jade, a mały Anakin uruchomił gwiazdogrom Stacji Centerpoint. Thrackan porwał trójkę dzieci Solo, ale mały Anakin zapobiegł wykorzystaniu gwiazdogromu do zniszczenia planety. Nowa Republika odniosła zwycięstwo, a jej przywódczyni Leia Organa Solo poprosiła o bezterminowe zwolnienie z obowiązków. Po zakończeniu powstania na Korelii Lando poślubił Tendrę i oboje założyli firmę produkującą sprzęt na potrzeby sił zbrojnych, Tendrando Arms.

Rok później trzech dostojnicy Imperium: moff Disra, major Tierce i niejaki Flint ogłosili, że nieżyjący Wielki Admirał Thrawn zmartwychwstał. Udało im się oszukać nawet Landa Calrissiana, który od razu przekazał tę informację Nowej Republice. Leia odbyła rozmowę z przywódcą Szczątków Imperium, admirałem Pellaeonem, który zdemaskował fałszywego Thrawna, zabił Tierce'a i wtrącił do więzienia jego współników.

W tym samym roku Luke Skywalker wyruszył na wyprawę, żeby wyjaśnić zagadkę pojawiania się coraz większej liczby klonów. Wpadł w zasadzkę piratów, ale od śmierci uratowała go Mara Jade. Na Niruanie Luke odkrył skarbnicę imperialnej wiedzy, zwanej Ręką Thrawna. Znalazł nawet cylinder z klonem Wielkiego Admirała. Mara Jade została w końcu żoną Luke'a Skywalkera. W galaktyce na kilka lat zapanował pokój.

Na terytorium Nieznanych Rejonów Luke i Mara powrócili trzy lata później, tym razem w celu rozwiązania pięćdziesięcioletniej tajemnicy „Lotu Pozagalaktycznego”, w którego unicestwieniu maczał palce Thrawn. Chissowie postanowili po latach zwrócić wrak okrętu Nowej Republice. Luke i Mara odkryli jednak we wraku społeczność założoną przez rozbitków dawnego lotu, a na domiar złego musieli zmierzyć się z groźną rasą Vagaarich, którzy chcieli zaatakować Chissów.

Pierwsi absolwenci Akademii Jedi na Yavinie Cztery rozproszyli się po galaktyce, żeby wyszukiwać i szkolić nowych uczniów. Do Akademii trafiły wszystkie trzy pociechy Leii i Hana Solo: bliźnięta Jaina i Jacen oraz młodszy od nich Anakin. Szkolili się tam również: córka właściciela farmy wilgoci z Tatooine, Tahiri Veila, młody Wookie Lowbacca (Lowie) oraz córka Teneniel Djo i księcia Isoldera z Hapes, Tenel Ka. Pewnego razu bliźnięta Solo odkryły w dżungli wrak imperialnego myśliwca typu TIE, a także jego starego pilota Qorla. Kiedy młodzi Jedi naprawili myśliwiec, Qorl je porwał. Jaina i Jacen się uwolnili, ale Qorl odleciał.

Kilka miesięcy później bliźnięta Solo zostały uprowadzone do kierowanej przez Ciemnego Jedi Brakissa Akademii Ciemnej Strony. Brakiss kazał im stoczyć ze sobą pojedynek, bo zamierzał z nich zrobić Ciemnych Jedi. Bliźnięta uciekły z pomocą Luke'a Skywalker'a i pilota Qorla.

Podczas odwiedzin na Coruscant Jacen i Jaina natknęli się w podziemiach na kilkunastoletniego sierotę – łobuziaka Zekka, który także wykazywał wrażliwość na oddziaływanie Mocy. Zaprosili go na Yavinę Cztery, w nadziei że Zekk zechce się tam uczyć i zostanie Jedi. Chłopak został jednak porwany przez Brakissa do Akademii Ciemnej Strony i po przeszkoleniu został jednym z najpotężniejszych Ciemnych Jedi, tak zwanym Najciemniejszym Rycerzem.

Tymczasem Luke pozwolił swoim młodym uczniom na skonstruowanie własnych mieczy świetlnych. Tenel Ka zbudowała swoją broń niestarannie i podczas ćwiczebnego pojedynku z Jacenem straciła rękę. Nie zgodziła się jednak na zastąpienie jej protezą i powróciła na Hapes.

Kiedy Brakiss zaatakował rodzinną planetę Wookiech, Kashyyyk, na ratunek pospieszyli młodzi Jedi z Akademii Luke'a Skywalker'a. Pojedynek Jaiiny z Zekkiem nie przyniósł rozstrzygnięcia, bo Zekk nie potrafił się przemóc, żeby ją zabić. Brakiss i żołnierze tak zwanego Drugiego Imperium zdobyli jednak potrzebne do wyposażenia swoich okrętów podzespoły elektroniczne i odlecieli.

Młodzi Jedi wrócili na Yavinę Cztery, żeby ostrzec Luke'a przed spodziewanym atakiem Brakissa i jego Akademii Ciemnej Strony. Podczas potyczki wszyscy Jedi walczyli bardzo mężnie i chociaż do wojsk Brakissa przyłączyli się szturmowcy i Siostry Nocy z Dathomiry, dopiero przybycie floty Nowej Republiki pozwoliło odnieść zwycięstwo. Brakiss stoczył z Lukiem pojedynek na świetlne miecze, ale uciekł, kiedy zanosilo się na jego porażkę. Akademia Ciemnej Strony została zniszczona, co oznaczało koniec Drugiego Imperium.

Zekk w końcu zrozumiał swój błąd i w roku dwudziestym czwartym powrócił do Akademii Jedi na Yavinie Cztery. Został świetnym pilotem i pomagał w nauce wielu innym uczniom Jedi. Dawni uczniowie Luke'a, a wśród nich bliźnięta Solo oraz ich brat Anakin, Tenel Ka, Lowbacca i Zekk odnosili w różnych walkach wiele zwycięstw, dlatego Luke pasował wszystkich na pełnoprawnych Rycerzy Jedi.

## **5. Nowa Era Jedi**

W roku dwudziestym piątym Nową Republikę zaatakowała rasa przerażających obcych istot spoza galaktyki, Yuuzhan Vongów. Obcy napadli najpierw na samotną placówkę nasłuchową na Zewnętrznych Rubieżach. Wyglądali jak dwunożne potwory, walczyli organiczną bronią, latali organicznymi okrętami i nie bali się śmierci. Najciekawsze jednak, że nie można było wykryć ich obecności w Mocy. Yuuzhanie potrafili także udawać ludzi i

większość istot innych inteligentnych ras, więc pokonanie ich było prawie niemożliwe. Ich najgroźniejszą bronią były dovin basale – stworzenia wytwarzające mniejsze i większe czarne dziury. Niektóre dziury były tak ogromne, że mogły pochłaniać całe księżyce, a nawet planety.

Kiedy Nowa Republika zrozumiała grożące jej niebezpieczeństwo, rzuciła do walki z Yuuzhanami wszystkie siły. Tymczasem Yuuzhan Vongowie podbijali kolejne nowe planety i brali do niewoli mieszkańców, żeby ich torturować i składać w ofierze swoim bogom. Podczas walk na księżycu Serpidał zginął wierny druh Hana, Wookie Chewbacca, którego Anakin nie zdążył w porę ewakuować. Han miał za to żal do syna i odleciał sam „Sokołem” w poszukiwaniu zemsty oraz przygód, choć w rzeczywistości chciał mieć czas na pogodzenie się z tą stratą. Przy okazji wpadł na trop wymierzonego przeciwko Rycerzom Jedi przewrotnego spisku Yuuzhan Vongów. Obce istoty już wcześniej odkryły, że największe niebezpieczeństwo zagraża im ze strony znienawidzonych *Jeedai* – Rycerzy Jedi. Problem w tym, że tylko Jedi mogli uchronić Nową Republikę od zagłady. Nowym przywódcą Nowej Republiki został Bothanin Borsk Fey'lya.

Yuuzhan Vongowie stopniowo opanowywali coraz więcej planet galaktyki. Nowa Republika była bezradna wobec potęgi bezlitosnych najeźdźców, a Luke Skywalker starał się utrzymać jedność wśród Rycerzy Jedi. Yuuzhan Vongowie rozpoczęli polowanie na „Sokoła Millenium” i pilotującego go Hana Solo. Do obcych wyprawił się Rycerz Jedi Wurth Skidder, ale zginął w męczarniach, kiedy barbarzyńcy odkryli jego tożsamość. Huttowie opowiedzieli się początkowo po stronie najeźdźców, wężąc w tym dobry interes, by następnie podjąć próbę ich oszukania. Anakin Solo posłużył się repulsorem Stacji Centerpoint, ale oprócz zniszczenia floty Yuuzhan Vongów niechcący unicestwił także sporą część zaprzyjaźnionej floty Hapan. Obcy – udając, że zamierzają zaatakować Korelię – w rzeczywistości przypuścili szturm na Fondora i jego gwiazdne stocznie.

Z każdą chwilą byli coraz bliżej stolicy Nowej Republiki, Coruscant. Niejako po drodze opanowali planetę Duro. Przed Rycerzami Jedi stanęło kolejne wyzwanie: musieli uratować Leię z rąk bezlitosnych najeźdźców. W końcu Yuuzhanie zasygnalizowali, że są gotowi do zawarcia pokoju z Nową Republiką. W zamian zażądali tylko wydania im wszystkich Jedi, na co Republika nie mogła się zgodzić. W galaktyce zaczęła narastać wrogość wobec Zakonu, obwinianego o podsycanie konfliktu. Yuuzhan Vongowie wylądowali na Yavinie Cztery i zajęli Akademię Luke'a Skywalkera. Uwolnienia schwytanych Jedi podjął się młody Anakin Solo. Mimo to Yuuzhan Vongowie nie przestali polować na Jedi. Przeszukiwali całą galaktykę, aż w końcu Nowa Republika odmówiła pomocy Zakonowi Jedi. Zbliżała się chwila ostatecznego starcia z niezwyciężonym przeciwnikiem. Mara urodziła syna, któremu Skywalkerowie dali na imię Ben. Pojawiła się nadzieja na zwycięstwo.

Yuuzhan Vongowie nie zrezygnowali jednak z prób zdobycia reszty galaktyki. Dzięki inżynierii biologicznej wyhodowali potwory zwane voxynami, które potrafiły z daleka



wyczuwać Jedi. Nowa Republika odkryła, że voxyny są hodowane na krążącym w przestworzach planety Myrkr światostatku Yuuzhan Vongów. Zadania zabicia królowej voxynów i zniszczenia laboratorium Yuuzhan podjął się siedemnastoletni wówczas Anakin Solo. Dołączyli do niego Jacen i Jaina, a także zakochana w Anakinie Tahiri, Tenel Ka, Barabel Tesar Sebatyne, Twi'lekanka Alema Rar, Zekk, Chadra-Fanka Tekli i inni Rycerze Jedi. Wielu członków wyprawy, a wśród nich Anakin, straciło życie, ale zadanie zostało wykonane. Jacen dostał się do niewoli, ale pozostali porwali statek Yuuzhan Vongów i uciekli.

W końcu Yuuzhanie zdobyli straszliwie zniszczoną stolicę Nowej Republiki. Przywódca Borsk Fey'lya popełnił samobójstwo, a Han, Leia, Luke i Mara w ostatniej chwili odlecieli. Oboje Solo rozpaczali po śmierci młodszego syna. Firma Tendrando Arms rozpoczęła produkcję wojennych androidów ZYV – Zabójców Yuuzhan Vongów – które potrafiły wykrywać i zabijać nawet tych Yuuzhan, którzy przyjęli wygląd ludzi czy istot innych ras.

Rozwścieczeni stratą królowej voxynów Yuuzhanie ścigali Jainę, żeby złożyć ją w ofierze swoim bogom. Młodzi Jedi polecili na Hapes, ale zrozpaczona po śmierci brata Jaina zamknęła przed nimi swój umysł i chcąc się zemścić, uległa wpływowi Ciemnej Strony Mocy. Wprowadziła w błąd Yuuzhan Vongów i nakazała dowódcom ich żywych okrętów toczyć walkę z innymi okrętami, dzięki czemu dała czas Hapanom na odbudowę zniszczonej przez Anakina floty. W końcu jednak zawróciła z Ciemnej Strony i została uczennicą Kypa Durrona, który postanowił powołać na nowo do życia Radę Jedi.

Po inwazji Yuuzhan Vongów na Coruscant Rada Jedi zgłosiła gotowość do ustępstw, chociaż mogły one oznaczać tylko dalszą ekspansję najeźdźców. Tenel Ka została nową monarchinią Konsorcjum Hapes, a Jag Fel naczelnym dowódcą jej floty. Atak obcych na Hapes zakończył się niepowodzeniem. Yuuzhan Vongowie rozpoczęli polowanie na bliźnięta Solo, bo uznali, że tylko ich śmierć mogła zapewnić Yuuzhanom całkowite zwycięstwo.

Przebywający w niewoli Yuuzhan Vongów Jacen dostał się w ręce ptakopodobnej Foshanki, Vergere, która zaginęła wiele lat wcześniej, bo przyłączyła się do zwiadowców Yuuzhan Vongów, żeby lepiej poznać obce istoty. Naturalnie zataiła przed nimi, że jest Jedi. Vergere zaczęła w najwymyślniejszy sposób torturować Jacena, żeby go zmusić do oswojenia się z cierpieniem i bólem. Wykorzystywała w tym celu nawet yuuzhańskiego potwora zwanego Objęciami Cierpienia. Jacen zaprzyjaźnił się z innym yuuzhańskim zwierzęciem, dhuryamem, który został później Mózgiem Świata Coruscant i zaczął poddawać planetę vongizacji, czyli przekształcać ją w taki sposób, żeby mogła zostać nową stolicą Yuuzhan Vongów. Yuuzhanie uważali Jacena za wcielenie jednego ze swoich bliźniaczych bogów. Młody Solo i Vergere uciekli z opanowanej przez obcych Coruscant i wylądowali na Kalamarze.

Po upadku Coruscant i po Bitwie o Borleias senatorowie Nowej Republiki wybrali na Kalamarze nowego przywódcę. Został nim caamasjański senator Cal Omas. Luke Skywalker

reaktywował Radę Jedi w nietypowym składzie: oprócz Jedi mieli w niej odtąd zasiadać wybrani przedstawiciele władz Nowej Republiki. Wojska Republiki zaczęły odnosić pierwsze, z początku skromne, zwycięstwa nad siłami zbrojnymi Yuuzhan Vongów, do czego przyczyniła się znacznie Jaina Solo. Vergere trafiła do więzienia, ale Luke odkrył, że Foshanka może mu pomóc wyjaśnić, dlaczego Yuuzhan Vongowie pozostają niewidoczni w Mocy. Han i Leia wyprawili się do Nieznanych Rejonów na planetę Bastion, stolicę Szczałków Imperium, gdzie dostali od Wielkiego Admirała Pellaeona dokładną mapę szlaków Głębokiego Jądra galaktyki. Zwabili tam Yuuzhan Vongów, a Jaina zabiła wojennego Mistrza obcych. Jacena i innych Jedi uratowała od śmierci Vergere, ale przypłaciła ten wyczyn życiem. Cal Omas proklamował powstanie Galaktycznego Sojuszu, a Luke wyruszył na poszukiwanie planety Zonama Sekot, w nadziei że tylko ona może pomóc pokonać Yuuzhan Vongów.

Tymczasem Yuuzhanie otrząsnęli się po porażce w Głębokim Jądrze i kontynuowali podbój następnych planet. Agenci obcych wykorzystywali w tym celu lokalne waśnie i konflikty. Luke odnalazł Zonamę Sekot, ale planeta obiecała pomoc dopiero po zbadaniu umysłów Luke'a i Jacena. Wojskowi Galaktycznego Sojuszu postanowili wyzwolić z rąk Yuuzhan Vongów Fondora i jego gwiazdne stocznie. W tym celu siły zbrojne Sojuszu upozorowały atak na Duro. Podstęp się udał, ale zginęło wielu niewtajemniczonych Durosjan. Przedstawiciele Sojuszu polecili potajemnie na Coruscant, żeby się spotkać z arcykapłanem Yuuzhan Vongów, Harrarem. Razem z nim wyruszyli na poszukiwania Zonamy Sekot i wylądowali na jej powierzchni. Yuuzhanie stwierdzili, że fauna i flora planety są niezwykle podobne do form życia na ich dawno zaginionej ojczyźnie. Harrar został zabity przez podstępного egzekutora Yuuzhan Vongów, który poinformował Najwyższego Władcę Yuuzhan, Shimmrę, o odnalezieniu planety. Zonama Sekot wskoczyła na oślep do nadprzestrzeni, ale doznała przy tym wielu obrażeń. Yuuzhan Vongowie sparaliżowali sieć łączności zwaną HoloNetem.

Shimmra nie zlekceważył niebezpieczeństwa grożącego Yuuzhanom ze strony niezwyklej planety. Pragnął uprosić bogów, żeby pomogli mu ją odnaleźć, i w tym celu zamierzał złożyć w ofierze miliony jeńców. Na Coruscant wylądowały pierwsze oddziały szturmowe Galaktycznego Sojuszu. Luke zdobył fortecę Shimmry, ale został ciężko ranny. Okazało się, że w rzeczywistości Najwyższym Władcą Yuuzhan Vongów nie był Shimmra, ale jego pokraczny sługa, który zginął po stoczeniu walki z bliźniętami Solo.

Wojna z Yuuzhan Vongami trwała pięć lat i zakończyła się ich klęską, ale Cal Omas i Jedi pozwolili pokonanym i rozbrojonym Yuuzhanom osiąść na planecie Zonama Sekot, która odleciała do Nieznanych Rejonów galaktyki. Ostatecznie wyjaśniło się, dlaczego obcy byli niewidoczni w Mocy. Rycerze Jedi wyznaczili sobie nowe cele w życiu.

Dziesięć lat po wybuchu wojny z Yuuzhan Vongami czworo Jedi, a wśród nich bliźnięta Solo, wyruszyło na nieautoryzowaną wyprawę. Zostali wezwani przez dziwne wołanie o

pomoc, które słyszeli tylko oni. Chissowie oskarżyli Jedi o mieszanie się w ich wewnętrzne sprawy. W ślad za Jedi polecieł Luke, Han i Leia. Natrafili na rasę wojowniczych, insektoidalnych Killików, którzy prawdopodobnie odpowiadali za stworzenie koreliańskiego systemu planetarnego. Killikowie żyli w rojach i kontaktowali się ze sobą za pomocą zbiorowej świadomości. Oskarżyli Jedi o to, że atakują ich gniazda. Zanosilo się na wybuch nowego konfliktu, w którym po obu stronach będą walczyli Jedi. Po stronie Killików stanęło dwoje Ciemnych Jedi z Mrocznego Gniazda. W końcu wybuchła tak zwana Wojna Rójów, do której przyłączyli się neutralni na ogół Chissowie. Leia stoczyła pojedynek z Twi'lekanką Alemą Rar. Oszepiała ją, ale jej nie zabiła. Alema stała się odtąd nieprzejednanym wrogiem księżniczki Leii.

Następne pięć lat Jacen spędził w samotności, latając po galaktyce i ucząc się nieznanym technik władania Mocą. Tenel Ka urodziła dziecko Jacena, dziewczynkę, której dali na imię Allana.

## 6. Era Dziedzictwa Mocy

Po upływie tych pięciu lat, czyli czterdzieści lat po Bitwie o Yavina, Galaktyczny Sojusz odkrył, że nie wszystkie planety przestrzegają warunków, na których do niego przystąpiły. Podobno władcy systemu Korelii rozpoczęli potajemnie budowę silnej floty szturmowej i zamierzali uruchomić gwiazdogrom Stacji Centerpoint. Władze Sojuszu wysłały tam własną flotę i młody Ben Skywalker uszkodził repulsor Stacji. Doszło do wybuchu kolejnego konfliktu, w którym przeciwko Sojuszowi i wspierającym go Jedi pod przywództwem Wielkiego Mistrza Luke'a Skywalkera opowiedzieli się tacy sławni Korelianie, jak Wedge Antilles i Han Solo.

Jacen znalazł tajemniczą plecionkę o zawitych splotach i odkrył, że to przepowiednia jego przyszłości. Zaczął się sprzeniewierzać ideałom Jedi i nie zawahał się nawet zabijać, jeżeli – zgodnie z jego wizjami – miałyby to doprowadzić do optymalnego rozwiązania jakiegoś konfliktu. Poznał Briszę Syo, w rzeczywistości Czarną Lady Sithów Lumiyę. Kobieta była bardziej cyborgiem niż żywą osobą, bo kiedyś została ciężko raniona przez Luke'a Skywalkera. Jacen zabił młodą Jedi Nelani Dinn, ale darował życie Lumiyi, od której zaczął się uczyć technik władania Ciemną Stroną Mocy. Przywódca Korelii Thrackan Sal-Solo wyznaczył nagrodę za zabicie Hana i Leii. Osławiony łowca nagród Boba Fett, któremu udało się uciec z paszczy sarlaccy, dowiedział się, że ma przed sobą tylko rok życia, więc zaczął szukać sposobów jego przedłużenia.

Jacen Solo dokonał zamachu stanu i został wspólnie z kalamariańską panią admirał Niathal nowym przywódcą Sojuszu. Równocześnie jako dowódca tajnej policji Galaktycznego Sojuszu wydał rozkaz internowania wszystkich mieszkających na Coruscant

Korelian i ich sympatyków, a później nawet wymordowania Bothan. Przyjął na swojego ucznia trzynastoletniego Bena Skywalkera i zaczął mu powierzać coraz bardziej przerażające zadania. Podczas przesłuchania Jacen zabił wnuczkę Boby Fetta, który został nowym przywódcą planety Mandalora. Fett postanowił się zemścić, darowując Jacenowi życie, żeby młody Solo mógł wyrządzić jak najwięcej szkód Galaktycznemu Sojuszowi i Zakonowi Jedi. Lumiya wmówiła Jacenowi, że jeżeli chce zostać Sithem i przywrócić pokój w galaktyce, musi najpierw zabić tych, których kocha. Solo i Skywalkerowie patrzyli bezradni, jak Jacen ześlizguje się na Ciemną Stronę. Han Solo oznajmił nawet, że wyrzeka się jedynego syna.

W końcu Galaktyczny Sojusz zaatakował zbuntowaną Korelię. Jacen podjął świadomą, chociaż nieudaną próbę zabicia swoich rodziców, ostrzeliwując z ciężkich dział ich „Sokoła Millenium”. Za wszelką cenę starał się chronić Tenel Ka i Allanę, w obawie że to właśnie są osoby, które musi zabić. Brutalnie stłumił powstanie na Korelii i coraz pewniej kroczył ścieżką wiodącą na Ciemną Stronę. Wciągnął na nią nawet młodego Bena Skywalkera, któremu kazał zabić premiera Korelii i odzyskać rzekomo cenny amulet. Z tej ostatniej wyprawy Ben wrócił dziwnym obiektem w kształcie sfery – inteligentnym statkiem szkoleniowym Sithów.

Boba Fett zdobył w końcu lek, który miał przedłużyć jego życie. Wezwał do powrotu na Mandalorę rozproszonych po galaktyce ziomek i rozpoczął taśmową produkcję superwytrzymałych myśliwców.

Ben, Leia i Mara dowiedzieli się o kontaktach Jacena z Lumiya. Leia stoczyła nawet pojedynek z Czarną Lady Sithów, ale przegrała. W obawie przed odkryciem jego planów Jacen zabił potajemnie Marę i skierował podejrzania na Lumiya. Pewny, że to jej sprawka, Luke stoczył z Lumiya pojedynek i ją zabił. Tylko Ben podejrzewał, kto jest prawdziwym zabójcą jego matki, ale jego próba zabicia Jacena zakończyła się niepowodzeniem. W końcu Jacen został Czarnym Lordem Sithów, przybrał imię Dartha Caedusa i zaczął śmiało kroczyć śladami swojego dziadka Dartha Vadera.

Oskarżony o zabicie Mary Cal Omas popełnił samobójstwo, rzucając się na klingę świetlnego miecza Bena. Ciało zabitej Mary połączyło się z Mocą jednak dopiero wtedy, kiedy na ceremonii pogrzebowej pojawił się Jacen Caedus. Samozwańczy Sith wziął do niewoli uczniów i nauczycieli Akademii Jedi na Ossusie. Luke wypowiedział posłuszeństwo Jacenowi w imieniu Zakonu Jedi i odmówił mu pomocy Jedi podczas walk w przestworzach Kashyyyka. W odwecie Jacen wydał okrutny rozkaz spopielenia powierzchni Kashyyyka i wymordowania wszystkich w Akademii Jedi. Życie stracili tam oboje Solusarowie, Kam i Tionna, ale z siepaczami Jacena rozprawili się Jaina i najmłodszy uczniowie Jedi. Leia i Han polecili na Hapes, żeby uświadomić królowej matce Tenel Ka, kim naprawdę stał się Jacen. Monarchini wysłała do przestworzy Kashyyyka flotę, która walczyła przeciwko siłom zbrojnym ojca jej dziecka. Po nieudanym zamachu Jacen uwięził Bena i poddał go straszliwym torturom z pomocą yuuzhańskiego potwora zwanego Objęciami Cierpienia.

Chciał, żeby chłopak stał się godnym uczniem Lorda Sithów. Syna uwolnił dopiero Luke, który stoczył z Jacenem pojedynek na świetlne miecze; nie zabił go jednak i nie pozwolił zrobić tego Benowi. Młody Solo uciekł, ale przedtem ranił Bena i Luke'a. Od tej pory mógł już tylko liczyć na pomoc pomyłonej Twi'lekanki Alemy Rar, która cały czas pałała nienawiścią do księżniczki Leii. Leia i Han obiecali Bothanom, że nie będą im przeszkadzali w podejmowaniu prób zabicia Jacena.

Opracował A.S.

# PROLOG

## Pałac Hutta Jabby, Tatooine

Teoretycznie to ludzie ustalali zasady w galaktyce, więc Hutt Jabba czuł się moralnie zobligowany do ich ignorowania. Zamierzał nauczyć swojego potomka, Rottę, tego samego.

– Wiesz – powiedział, omiatając ruchem krótkiego ramienia olśniewającą salę tronową – pewnego dnia to wszystko będzie twoje. Nie... – dodał po namyśle. – Chcę, żebyś miał więcej. O wiele, wiele więcej. – Sięgnął po sznur migoczących zielonym blaskiem szmaragdowych paciorków i zakołysał nim przed oczami małego. Zgromadzeni wokół poddani (Jabba lubił otaczać się wyjątkowymi pod różnym względem istotami, posłusznymi jego woli i hojnie opłacanymi) obserwowali scenę w ciszy, przerywanej tylko melodyjnym brzdąkaniem nadwornego muzyka na strunach gelenu. – Spójrz tylko. Czy to nie cudowne? A jakie cenne!

Rotta zbulgotał, śliniąc się radośnie, i sięgnął po naszyjnik, jakby chciał dokładniej mu się przyjrzeć, żeby ocenić jego wagę w karatach; jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Potrząsnął szmaragdami entuzjastycznie, jakby to była grzechotka.

– Im więcej posiadasz, tym jesteś potężniejszy – pouczył go Jabba. Zaczekał, aż Rotta znudzi się nową zabawką, i zabrał mu klejnoty. U jego boku natychmiast zjawił się strażnik rasy Nikto i przejął szmaragdy z jego rąk. – Nasze ciała są niezgrabne i powolne, *pedunkee*, więc nasze umysły muszą być szybkie. Musisz przyswoić sobie tę lekcję, zanim odziedziczysz moją fortunę.

Rotta wpatrywał się w niego ze zdziwieniem. Nie rozumiał jeszcze, że w przyszłości wszystkie bogactwa Jabby staną się jego własnością. Tak czy inaczej, na razie nie miało to znaczenia. Jabba zamierzał powtarzać to Rotcie dzień po dniu, dopóki jego potomek nie będzie dość duży, żeby zrozumieć, że jedynym sposobem na przetrwanie w galaktyce opanowanej przez te krewkie, natrętne i wybuchowe dwunożne istoty jest lotny umysł. Należało odpowiednio nimi sterować, przywłaszczać sobie bogactwa, zanim one zdążą to zrobić, i wynajmować szybsze, bardziej niebezpieczne istoty, żeby pomagały im ich strzec. Rasa Huttów nie została stworzona do poruszania się. Byli przystosowani do życia na Varlu, ich nieodżałowanej ojczyźnie, gdzie ich rozmiary i kształty nie były kalectwem – dopóki nie zaczęli zadawać się z ludźmi.

A jednak, pomyślał refleksyjnie Jabba, nauczyliśmy się wygrywać. Znaleźliśmy sobie niszę. Naukowcy określiliby to mianem przestępczego podziemia. Nareszcie zmusiliśmy te dwunożne kreatury do płaszczenia się przed naszą rasą.

A skoro już o tym mowa, co tak naprawdę można było określić mianem przestępstwa? Czymże jest ta ich cała Republika, żeby mówić mi, co jest dobre, a co złe?

– Zbliża się pora codziennego spaceru Rotty, mój panie – przerwał jego rozmyślenia Nikto. – Czy mam wezwać barkę żaglową?

Jabba zamrugął powoli i przeniósł spojrzenie na zabytkowy ścienny chronometr z chammiańskiej kości, który przyjął jako spłatę hazardowych długów. Może zresztą odebrał go temu przemytnikowi, który nie zdołał wywiązać się na czas z umowy i zarobił tylko porządne lanie, zamiast strzału z blastera w łeb? Nie miało to znaczenia. Nadszedł najwyższy czas na – jak mawiała opiekunka, chociaż Huttowie właściwie nie chodzili, tylko pełzali – przechadzkę Rotty.

Jabba nachylił się ostrożnie, połaskotał syna pod szyją i podniósł go do góry. Mały sporo ważył jak na swój wiek, co było oznaką zdrowia.

– Czeka mnie ważne spotkanie w interesach, *meekie lorda* – mruknął czule. – Idź teraz z nianią i bądź grzeczny. Obiecuję, że jutro polecimy razem.

Jabba często widywał odrazę w oczach istot człekokształtnych. Te chude, niechlujne, krótko żyjące kreatury mierzyły wszystko i wszystkich własną barbarzyńską miarą. Uważali Huttów za odpychających i nie wstydziło się głośno o tym mówić. Dla Jabby nie było jednak nic cenniejszego ponad jego syna – wyłącznie jego syna, bo Huttowie nie musieli łączyć się w pary, żeby płodzić potomstwo. W jego oczach Rotta był pełzającą doskonałością, idealnym dziedzicem jego rodu, krwią z krwi ojca Jabby – Zorby, z rodziny sięgającej wiele pokoleń Huttów wstecz. To on zostanie pewnego dnia spadkobiercą jego troskliwie budowanego imperium, a dokonania Rotty przyćmią wspaniałością wszystko, co osiągnął Jabba. Nie liczyło się nic prócz tego, a już na pewno nie opinia nędznych dwunogów.

Dzisiaj Hutciątkiem miał się opiekować android. Czasem obowiązki niańki pełnił Twi'lek albo któryś z licznych służących – Jabba nie chciał, żeby mały Rotta przywiązał się do kogoś z personelu bardziej niż do niego samego. Poza tym nikomu, ale to nikomu nie ufał. Wyznawał zasadę, że im mniej przewidywalny plan, tym mniejsze ryzyko.

U drzwi posłusznie czekała niewielka armia dobrze uzbrojonych Gamorrean, która miała towarzyszyć małemu Huttowi podczas przechadzki. Tatooine było niewątpliwie podwórkiem Jabby, ale to jeszcze nie powód, żeby tracić czujność.

Ojciec pogłaskał Rottę czule po głowie i zaraz przekazał go pod opiekę swojego małego orszaku.

– Pamiętajcie, że odpowiadacie za niego własnymi głowami – ostrzegł.

Wiedzieli, że nie żartował. Rotta i jego zbrojna asysta opuścili salę, a Jabba skierował swoją repulsorową platformę w stronę kunsztownie zdobionego podium, na którym spocznie

podczas wizyty następnego gościa – wicekróla Bheriz. Ów tytuł wydawał się zbyt pompatyczny jak na mieszkańca zapyziałej górniczej planetki, ale Jabba wiedział, że dzięki takim jak on może tylko zyskać. Jego petent był gotów – w zamian za udostępnienie szlaków nadprzestrzennych kontrolowanych przez Huttów – dostarczyć mu spreparowaną tenilinę – substancję o kluczowym znaczeniu dla produkcji jednostek hipernapędu. A to, szczególnie podczas wojny, dawało dużą przewagę tym, którzy mieli do teniliny nieograniczony dostęp.

Tak czy inaczej, Jabba zamierzał położyć łapę na minerale, nawet jeśli cena nie będzie mu odpowiadać. Miał na to swoje sposoby. Na razie jednak negocjacje były łatwiejszą, a – co ważniejsze – tańszą metodą.

Jabba rozejrzał się po komnacie, ciesząc oczy widokiem gotowych na każde jego skinienie dworzan, ochroniarzy i faworytów, otaczających tron gustownym wianuszkami. Przepych jego świty na pewno zrobi na gościu odpowiednie wrażenie i da mu wiele do myślenia.

– Wprowadzić wicekróla – polecił służbie. Ułożył potężne cielsko w pozie, która mówiła: „No, dalej! Pokaż mi coś, czego jeszcze nie widziałem”. – Tylko już, bo nie mam czasu!

Cóż, tak naprawdę miał go całe mnóstwo.

Huttowie żyli nawet po tysiąc lat, więc nie musieli się spieszyć, mając w perspektywie długowieczność. Na przestrzeni wieków Jabba zgromadził bezcenne doświadczenie – przyswajał wiedzę i nawiązywał kontakty, co dyskwalifikowało inne, krótko żyjące istoty już na samym starcie.

Do komnaty wszedł wicekról, chyląc z szacunkiem głowę – co było w tych okolicznościach dobrym posunięciem – i skłonił mu się nisko.

– Czcigodny Jabbo... – zaczął łamanym huttańskim. – To dla mnie wielki zaszczyt, że zechciałeś się ze mną spotkać.

– Otóż to – wszedł mu w słowo Jabba. – Ile towaru jesteś mi w stanie dostarczyć? – Zaciągnął się z przeciągłym, dudniącym bulgotem dymem ze swojej fajki. – Nie interesują mnie drobne oferty.

Jak oni w ogóle mogli przystępować do długiej rozgrywki? – zastanowił się.

Wicekról Bheriz był bystry jak na dwunoga, ale Jabba robił interesy od wielu pokoleń.

– Mój panie – podjął gość, strzelając na boki oczami; wyraźnie próbował nie gapić się na twi'lekańskie tancerki otaczające tron. – Mogę zaproponować jedną czwartą rocznego wydobycia teniliny w zamian za...

– Połowę – uciął Jabba. Zerknął spod wpolprzymkniętych powiek na kościany chronometr na ścianie. – Zażądałbym całości, ale ostatnio jestem jakiś... sentymentalny. To pewnie przez to, że zostałem ojcem. – Zdaniem jego analityków rynku ceny teniliny w ciągu następnych pięciu lat znacznie spadną, a to z powodu prac nad nowymi częściami produkowanymi na bazie heksofileniny. Nie było sensu magazynować dużej ilości towaru, który potem stanie się bezużyteczny. – Ty też masz synów? – zagadnął wicekróla.



– Nn... nie. Tylko córki – zająknął się gość. – Trzy.

Różnice między płciami były dla Huttów zupełnie nieistotne, ale te cherlawe, dwupłciowe rasy budowały na takim podziale swoje cywilizacje. Jabba nie potrafił zgadnąć, czy wicekról żałował faktu posiadania samych żeńskich potomków, czy po prostu stwierdzał stan rzeczy.

– Znakomicie – sapnął. – Ciągłość linii krwi jest czymś wspaniałym. A teraz dobijmy targu, to będziecie mogli swobodnie poruszać się po szlakach Huttów.

Cóż, tak naprawdę termin „swobodnie” był w tych okolicznościach określeniem bardzo naciągany. Cena korzystania z tras Huttów była zaledwie odrobinę mniejsza, niż gdyby Bheriz próbował się stawiać.

– Oczywiście, czcigodny Jabbo – powiedział z szacunkiem wicekról.

Jabba dał mu gestem znak, że może się oddalić, i pociągnął znowu z fajki. Czasem pewne rzeczy przychodziły mu zbyt łatwo, uznał. Każdy dzień wydawał się taki sam – rok po roku, dekada po dekadzie, wiek za wiekiem. Omiótł wzrokiem salę tronową w poszukiwaniu czegoś nowego, co na chwilę by go zajęło – nie chodziło o rozrywkę, o nie. Na to nie liczył. Widział w swoim życiu wystarczająco wiele, żeby byle co robiło na nim wrażenie. Chciał po prostu skupić się na czymkolwiek, żeby zabić monotonię. Przez chwilę przysłuchiwał się muzyce, pozwalając, by kojące tony odrywały jego umysł od codzienności i rutyny.

– Lordzie Jabbo! Lordzie Jabbo! – Z błęgiego rozmarzenia wyrwał go okrzyk jednego ze strażników rasy Nikto, który wpadł jak burza do komnaty. Padł przed nim na kolana, ostatnie kilka metrów dosłownie szorując po posadzce. Niktowie byli znani z opanowania, więc ten tutaj musiał być posłańcem bardzo złych wieści, które musiały wytrącić jego pana z równowagi.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego, *shagu* – burknął Jabba.

Zanim Nikto przemówił, zaczerpnął głęboko tchu.

– Chodzi o twego syna, panie – wysapał. – Wpadliśmy w zasadzkę. Rotta został porwany.

To zdecydowanie nie był rodzaj stymulatora, którego szukał Jabba. Każda komórka jego ciała zmartwiała z przerażenia, ale po chwili samokontrola wróciła. Hutt Jabba wyprostował się na podium, siejąc popłoch wśród tancerzy i muzyków.

– Znajdźcie go! – ryknął gromko. – Znajdźcie mojego syna! A jeżeli stanie mu się jakakolwiek krzywda... zapłacicie za to życiem!

Co tu dużo gadać, dokładnie to miał na myśli.

# ROZDZIAŁ 1

*Musimy zdobyć dostęp do tych szlaków nadprzestrzennych, które nie zostały do tej pory zajęte przez roboty Separatystów. Bez nich nigdy nie zdołamy pozyskać światów na Zewnętrznych Rubieżach. Problem w tym, że to oznacza nawiązanie współpracy z Huttami.*

Kanclerz Palpatine, podczas rozpatrywania problemów  
logistycznych Wielkiej Armii Republiki

## **Pałac Hutta Ziro, Dystrykt Uscru, Coruscant**

– Potrafiłbyś zabić dziecko?

Hrabia Dooku pomyślał, że to dziwne pytanie jak na Hutta Ziro. Istota najwyraźniej nie miała absolutnie żadnego problemu z faktem, że porwała małe dziecko swojego bratanka. Jeśli jednak rzeczywiście rozważał możliwość przejęcia sfery wpływów Jabby, pozbycie się wszystkich rywali, z potomkami włącznie, musiało plasować się wysoko na liście jego priorytetów.

A może się mylił? Jeśli tak, konsekwencje mogły być poważne.

– A ty? – odpowiedział pozornie obojętnie. – Czy Jabba nie jest przypadkiem twoją najbliższą rodziną?

Ziro zamrugnął, przesłaniając oczy mrużną membraną. Był to huttański odpowiednik sarkastycznego uniesienia brwi. Prywatna komnata Hutta opustoszała; nie było w niej nawet robota służącego – nikogo, kto mógłby podsłuchać ich rozmowę.

– Nie zrozumiesz nas, nawet jeśli władasz naszym językiem lepiej niż większość istot – burknął po dłuższej chwili Hurt. – On jest potomkiem rodu Jabby, nie mojego. Dlatego zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby dopiąć swego. Moim priorytetem jest moje własne dziecko.

Ziro albo zgrywał twardziela, albo traktował to całkiem serio. Jeżeli mówił poważnie, Dooku miał szczerą nadzieję, że jest gotów zgładzić również samego Jabbę. Jeżeli ten dowie się, że za wszystkim stoi jego wuj, bez wahania pośle za nim najlepszego zabójcę, jakiego znajdzie w przestrzeni Huttów.

– Nie możesz działać pochopnie – zauważył ostrożnie. Lepiej, żebyś nie zepsuł wszystkiego, zanim nie osiągnę własnych celów, dodał w myśli. Musieli być ostrożni. – Chcemy wyciągnąć z tego jak najwięcej korzyści...

– Nie musisz tłumaczyć Huttowi, jak układać długoterminową strategię – prychnął Ziro.

Dooku uznał, że nie ma sensu wdawać się z nim w dyskusję na temat pobudek. Gdyby niechcący wyjawiał coś, co dałoby Zirowi powody do podejrzeń, że porwanie bachora miało na celu osiągnięcie korzyści przez kogoś innego, mogłoby to naruszyć delikatną strukturę jego własnego planu. Właściwie Dooku wątpił, żeby porwanie Rotty zdołało zachwiać władzą Jabby czy w jakikolwiek inny sposób ją osłabić, ale Ziro wierzył, że dzięki temu z łatwością urobi swojego bratanka i skłoni go do posłuszeństwa – o co zresztą chodziło także Dooku.

Hrabia nie miał złudzeń co do jednego: jeżeli małemu Huttowi stanie się choćby najmniejsza krzywda, ściągną na swoje głowy niewyobrażalną furję, a Jabba z pewnością zatroszczy się o to, żeby każdego, kto w jakiś sposób był w sprawę zamieszany, dosięgła ręka postrzeganej w jego własny, okrutny i wymyślny sposób sprawiedliwości.

Hrabia nie miał co do tego wątpliwości – i w głębi duszy właśnie na to liczył. Zamierzał zwerbować Hutta do obozu Separatystów, a postanowił tego dokonać, obarczając Jedi winą za zniknięcie Rotty.

Jeśli jednak spisek Ziry zostanie zdemaskowany... cóż, wtedy trzeba będzie go uciszyć, stwierdził refleksyjnie Dooku. Nie możemy dopuścić, żeby Jabba się zorientował, że jego wuj jest naszą marionetką.

Jeśli Ziro źle na tym wszystkim wyjdzie, trudno. W momencie kiedy do gry włączy się Jabba, los Ziry zostanie przesądzony. Trzeba go będzie usunąć, zanim wskaże trop prowadzący do Dooku.

Nieważne, który z Huttów będzie w końcu górą, uznał. Nie miało znaczenia, czy to Jabba, czy Ziro odmówi siłom Republiki dostępu do szlaków nadprzestrzennych. Dooku nie handlował ideologią i był pewien, że Huttowie również nie cenią tego towaru.

– Oczywiście, masz absolutną rację – powiedział, uśmiechając się słodko do istoty, którą zabiłby bez chwili wahania, gdyby tylko zagroziła jego planom. Nie miał żadnych wątpliwości, że Ziro postąpiłby tak samo wobec niego. – Jednak powinieneś chyba się zastanowić, co zrobisz później z małym Rottą...

Ziro usadowił wygodnie swoje potężne cielsko na platformie wyściełanej błyszczcojedwabnymi poduszkami, strącając część na ziemię. Żeby poruszać się swobodnie, Huttowie potrzebowali gładkich powierzchni. Dywany i tapicerka niezbyt dobrze się sprawdzały w połączeniu z warstwą śliskiego śluzu wytwarzanego przez ciała tych potężnych istot. Ale Ziro uwielbiał pławić się w zbytku i gustował w luksusowych meblach. Otaczał się przepychem, zupełnie jakby chciał zademonstrować reszcie galaktyki swoją potęgę w sposób czytelny dla innych ras. Dooku w pewnym sensie go rozumiał, chociaż w głębi duszy było mu Hutta żal. Takie podejście wyjaśniało jednak potrzebę przedstawicieli jego rasy do

afiszowania się twi'lekańskimi tancerkami i innymi istotami, robiącymi wrażenie na osobnikach ras człekokształtnych – tak radykalnie różniących się aparycją od Huttów, że ci nie uznawali ich za fizycznie pociągających. Gromadzili je wokół siebie, by inni mogli im zazdrościć imponującej świty. Niosło to jasny przekaz: „Mam wszystko, czego pożądasz, a więc mam nad tobą przewagę. Jestem potężniejszy, mam większą władzę”.

Tak naprawdę wszystko sprowadzało się do strachu. Huttowie cały czas czuli się podświadomie zagrożeni. Kiedy Dooku się zorientował, pod jaką presją żyją, bez trudu znalazł sposób, aby manipulować ich paranoją.

– Wkrótce Rotta dotrze na Teth – powiedział, zerkając ostrożnie na drzwi. Z przedsionka dobiegał gwar podniesionych głosów zaaferowanej służby. Hrabia wyczuwał napływający stamtąd niepokój, który zresztą nie był niczym niezwykłym pośród poddanych służących pod rozkazami kapryśnego pana. Pewnie nie mogli dostarczyć na czas swemu pracodawcy któregoś z wymyślnych smakołyków, których wiecznie żądał... – Nie ma się co spieszyć.

– Spodziewamy się potwierdzenia lada chwila – mruknął Ziro. – A teraz może byś mi łaskawie zdradził, za co tak bardzo nienawidzisz swoich pobratymców Jedi?

– Nie nazwałbym ich moimi pobratymcami – sprostował obojętnie Dooku. – W każdym razie nie są nimi od bardzo, bardzo dawna. A poza tym czy to ma w ogóle jakieś znaczenie?

– Motywacja jest podstawą interesów – odparł trzeźwo Ziro.

– Lordzie Ziro, sądzę, że akurat ty nie musisz zadawać takich pytań. Czy powierzyłbyś Jedi swoją przyszłość?

– Nigdy nie zaufałym Republice – burknął Hutt – No, chyba że chciałbym wytępić całą naszą rasę.

Ziro postrzegał więc Jedi i Republikę jako jeden twór. Dooku doszedł do tego samego wniosku już dawno.

– Każdy, kto nie chce się zapisać do ich sekty, od razu jest szufladkowany jako wróg i wicherzyciel – stwierdził. – A jeżeli jakiś świat chce się od nich odłączyć, natychmiast zostaje oskarżony o niechęć do demokracji, bo wola jego mieszkańców koliduje z interesami Coruscant. Cóż za ironia.

– Nie musisz mi wciskać tych waszych separatystycznych bredni, Dooku – zakpił Hutt. – Nie obchodzą mnie polityczne gierki. Sam wiem najlepiej, z czym mam jeść mojego goroga.

Ziro zachowywał się jak pierwszy samochwała w licznych klanie Jabby, ale czasem Dooku dostrzegał w jego wypowiedziach ukryte wyrachowanie. Musiał być ostrożny.

– Jeśli pomożesz mi dostać to, na czym mi zależy, ja pomogę tobie – sapnął Hutt.

– Witamy w świecie polityki – mruknął z rozbawieniem Dooku. – I nie łudź się, że polityka musi koniecznie oznaczać zapisanie się do partii.

Pozwolił sobie na lekkie odprężenie. Nagle drzwi do komnaty otworzyły się na oścież i do środka weszły żwawym krokiem dwa roboty. Dooku wycofał się niepostrzeżenie do cienistej wnęki.

– O czcigodny lordzie Ziro – przemówił jeden z robotów bezdusznym, monotonnym głosem. – Przynosimy złe wieści. Syn twojego bratanka został porwany przez bandytów.

Ziro aż się wyprostował, udając zaskoczenie. Po chwili ochłonął i opadł na podest z mokrym młasińciem.

– To skandal! – zakwiczał. – Czy zażądali okupu? To zniewaga dla wszystkich Huttów! Natychmiast zebrać zespół poszukiwawczy! Znajdziemy tę kanalię, która śmiała zrobić to biednemu Jabbie!

Był całkiem niezłym aktorem, Dooku musiał to przyznać. Jednak nawet jeśli starannie przećwiczył wcześniej całą scenę, dobór słów wiele mówił o naturze jego rasy. Hrabia zauważył, że bardziej niż bezpieczeństwo dziecka martwiła Hutta hańba, jaką było porwanie dla jego rodu. Te istoty o wielkich cielskach rozumowały zupełnie inaczej niż ludzie, a zasady panujące w organizacji przestępczej różniły się diametralnie od modelu przyjętego w coruskańskiej klasie średniej. Cóż, chyba raczej nie powinien oceniać pochopnie ich postępów, skoro ostatnimi czasy jego rasa raczej nie miała się czym chwalić.

Słuchał uważnie i czekał, aż roboty opuszczą komnatę. Musiał przygotować następny etap planu: upewnić się, że Jedi złapią przynętę i polecą na Teth...

– Do tej pory porywacze nie zażądali okupu, o panie – poinformował robot. – Co w tych okolicznościach wydaje się co najmniej dziwne.

– Osobiście dopilnuję, żeby te kanalie skończyły w jamie rankora. – Ziro wyciągnął władczy gestem krótką rączkę w stronę drugiego robota. Dooku niezbyt dobrze widział go ze swojej kryjówki. – Komunikator! – zażądał Hutt. – Mój bratanek potrzebuje wsparcia w tak ciężkich chwilach. Jestem pewien, że wszyscy Huttowie zrobią co w ich mocy, żeby mu pomóc.

Naprawdę się wczuł... – przeszło Dooku przez myśl.

– Lord Jabba jest niepokieszony – powiedział robot. – Zwrócił się do władz Republiki z prośbą o wysłanie Jedi na poszukiwania swojego potomka.

Niewiele było rzeczy, które były w stanie zaskoczyć Dooku, ale sama myśl o Jabbie – Hutcie Jabbie! – proszącym Jedi o łaskę, była dla niego niczym cios w szczękę.

Dlaczego, u licha, szef jednej z najpotężniejszych organizacji kryminalnych w galaktyce, mogący bez trudu wynająć dowolną liczbę łowców nagród, dysponujący siecią wywiadu, której pozazdrościłby każdy rząd, prosił o pomoc Jedi?

Było to naprawdę zaskakujące posunięcie jak na bezwzględnego gangstera i przedstawiciela rasy, która ponad wszystko obawiała się utraty szacunku, ujawnienia swoich słabych stron i wystawienia się na łatwy cel.

Jabba był ostatnią osobą, po której Dooku spodziewałby się czegoś takiego. Cóż, wyjaśnienie na pewno się znajdzie, kiedy przemyśli wszystko do końca.

Hutt na pewno miał w tym jakiś własny, ukryty interes. A Dooku nie miał na razie pojęcia, co to mogło być, więc tym bardziej musiał być czujny. Tak czy inaczej, świetnie się

składało. Taki obrót spraw był Dooku wyjątkowo na rękę: oto Jabba sam zaprowadzi Jedi prosto w pułapkę, a tym samym uwikła ich w porwanie własnego syna.

Prawdziwe zrządzanie losu.

I chociaż hrabia Dooku nie wierzył w szczęśliwe zbiegi okoliczności, w każdym razie mniej niż w nieprzypadkowe spiski, intrygi i podstępny, tym razem zamierzał to wykorzystać.

Miał nadzieję, że Rada Jedi postąpi uczciwie, rzetelnie i odpowiedzialnie – i powie „tak”.

Był prawie pewien, że tak właśnie się stanie.

## ROZDZIAŁ 2

*Łączności z generałem Kenobim nawiązać nie możemy, dlatego posłańca z rozkazami ważnymi do niego posłać musimy.*

Mistrz Yoda do admirała Yularena, z poleceniem, aby wysłać do generała Kenobiego padawanek Ahsokę Tano

### **Biuro Kanclerza Palpatine'a, Coruscant**

– Nigdy nie spodziewałbym się po lordzie Jabbie takich słów – mruknął pod nosem Palpatine, wpatrzony w migotliwy, błękitny hologram. TC-70, android Jabby, przedstawiał prośbę, a jego pan tylko patrzył, mrugając raz po raz, roztrzęsiony i wyraźnie wzburzony. – Musi być naprawdę zdesperowany, skoro prosi nas o pomoc.

Kanclerz rozejrzał się po twarzach zgromadzonych w jego biurze Jedi, starając się wybadać ich reakcje. Tak naprawdę wyczuwał emocje gości bez większego trudu, ale zawsze lubił obserwować, jak mimika ujawnia ich niepokój: nieznaczne zmarszczenie czoła, nerwowe tiki czy sztywnienie ramion.

Mace Windu, dostojny i poważny jak zawsze, potarł z namysłem podbródek. Palpatine pomyślał, że ciemnoskóry Mistrz zawsze sprawia wrażenie ponurego. Wydawało się, że reszta: Plo Koon, Luminara Unduli i Bolla Ropal tylko czekają, aż wypowie się w imieniu ich wszystkich. Na razie nikt się nie palił, żeby pospieszyć Jabbie na ratunek.

– To robota w sam raz dla Jedi – zachęcił ich delikatnie. – Na dłuższą metę nikt nie zdoła nic przed wami ukryć. – Oprócz mnie, oczywiście, zadrwił w duchu. Nawet po tych wszystkich latach ostrożnie prowadzonej gry czasem zdarzało mu się z niedowierzaniem kręcić głową, widząc, jak łatwo i niepostrzeżenie manipulował nimi jako Lord Sithów. Kiepscy z was strażnicy galaktyki, pomyślał, głośno zaś powiedział: – Tak, Mistrzu Windu? W czym problem?

Windu opadł na oparcie fotela.

– Mało to będzie dla Republiki chlubny dzień, w którym przegrupujemy nasze siły, żeby

pomóc przestępczemu marginesowi.

– Ostre słowa, przyjacielu – podsumował Palpatine. – Ale jestem pewien, że ten margines wyraża się o tobie z należnym szacunkiem.

– Kanclerzu, Jabba prawdopodobnie doskonale wie, kto za tym stoi... Dam głowę, że jakiś inny gangster, któremu Hutt pomieszał szyki. – W ton głosu Windu wkradły się niespokojne nuty. – On sam nie miałby najmniejszych skrupułów przed porwaniem kogoś, gdyby to miało mu pomóc w realizacji planów. Dlaczego poprosił o pomoc akurat nas? I dlaczego niby mielibyśmy angażować Jedi w sprawy, którymi może się zająć policja? My powinniśmy walczyć na froncie.

– Ponieważ tak trzeba, Mistrzu Windu – powiedział łagodnie Palpatine. – To... kwestia moralności. – Tak naprawdę nie musiał uciekać się do podobnych argumentów, ale bawiło go to, a poza tym w oczach innych świadczyło o jego umiłowaniu zasad etyki. Co z was za ślepcy, Jedi! – parsknął w myśli. Takimi właśnie was zapamiętam, kiedy nie zostanie już po was żaden ślad: niezdolni dostrzec tego, co macie tuż pod nosem, począwszy ode mnie, aż po wasze własne obowiązki. – Porwano dziecko – powiedział z naciskiem. – Czy w ogóle mielibyśmy wątpliwości, gdyby to było ludzkie dziecko? Czy styl życia rodziców musi odciskać się piętnem na losie potomka? A może huttańscy rodzice nie cierpią po stracie dziecka tak jak my?

– A czy mielibyśmy wątpliwości – Windu nie dał się zbić z tropu – gdyby ojcem dziecka był szef Czarnego Słońca?

– Oczywiście, gdyby był skłonny zaoferować nam to. – Palpatine usiadł za biurkiem i włączył holomapę. W powietrzu nad białym zamigotała siatka linii, nakrapianych gęsto świetlnymi punktami, symbolizującymi kluczowe lokalizacje w znanej części galaktyki. Kanclerz wcisnął kilka klawiszy, wygaszając warstwę zawierającą szczegółowe informacje, i całe gwiazdne systemy i planety zniknęły w mgnieniu oka – tak szybko, tak prosto! Na mapie zostały jedynie podświetlone kolorowe linie, prowadzące na Zewnętrzne Rubieże. – Mówi się, że hologram wystarcza czasem za tysiąc słów – powiedział cicho.

Linie były odzwierciedleniem szlaków nadprzestrzennych. Wszystkie te szlaki kontrolowali Huttowie.

Windu wyglądał jak granitowy posąg, istne uosobienie dezaprobaty. Po długiej chwili milczenia przechylił lekko głowę.

– Nadal mi się to nie podoba – mruknął. – Tu chodzi o coś więcej, nie tylko o zwykły okup czy wyrównanie rachunków. Czuję to.

Palpatine pozwolił sobie na smutny uśmiech, który mówił: „Rozumiem twój niepokój, ale wiesz, że mam rację”.

– Mistrzu Windu, z pewnością nie uszczęśliwia cię perspektywa układania się z Huttami, ale mamy ciężkie czasy i nie możemy być zbyt wymagający w ustalaniu kryteriów oceny potencjalnych sojuszników. Tak długo, jak raczej nam pomagają, niż szkodzą, nie



powinniśmy kręcić nosem. Ten Hutt kontroluje szlaki nadprzestrzenne, które są nam potrzebne do transportu żołnierzy i sprzętu na Zewnętrzne Rubieże, a my mamy talenty, które pozwolą nam odnaleźć to, z czego odnalezieniem inni mogą mieć problemy. Ten układ to czysty zysk dla obu stron.

– Jestem pewien, że tu chodzi o coś więcej niż zwykłe porwanie – upierał się Windu. – Znając Jabbę, weszę tu jakiś podstęp.

– Nie wiedziałem, że jesteś tak biegły w ich rozpoznawaniu.

– Sądząc po tym nagraniu...

– Sądząc po tym nagraniu, powinniśmy przydzielić do tej sprawy tylu Jedi, ile się uda.

– Kanclerzu, to niemożliwe – zaprotestował twardo Windu. – Nasze siły i tak już są za bardzo rozproszone. Nie mamy Jedi bez przydziału...

– A nasze wojsko rozproszy się jeszcze bardziej, jeśli nie zdołamy dotrzeć na Zewnętrzne Rubieże i zapewnić ciągłości zaopatrzenia.

– Popieram Kanclerza – powiedziała Unduli. Do tej pory nie odezwała się ani słowem. – Niezależnie od przyczyn porwania, powinniśmy negocjować z Jabbą. Ta sytuacja stawia nas w bardzo korzystnej pozycji.

– Obopólna korzyść, powiedziałbym – stwierdził Palpatine cicho, prawie szeptem. – Ocalmy dziecko, a ocalimy całą naszą armię.

Windu nie odzywał się przez chwilę, aż w końcu rozłożył ręce w geście niechętniej kapitulacji.

– Kenobi i Skywalker właśnie zajęli Christophsis – powiedział z ociąganiem. – Planetę można uznać za bezpieczną, więc gdybyśmy mieli kogoś dobrać, to właśnie ich.

– Świetnie, w takim razie wyślemy ich na poszukiwania Hutta – stwierdził beztrząsco Palpatine. – Skontaktuję się z lordem Jabbą i poinformuję go o naszej decyzji.

Wszyscy Jedi wstali i jak na komendę skłonili głowy, niemal jednocześnie. Kanclerz odwzajemnił gest, zaczekał, aż opuśczą jego biuro, a potem wywołał na komunikatorze kod Jabby, żeby pchnąć sprawę na właściwe tory.

Lordzie Jabbo, zechciej przyjąć najszczerze wyrazy współczucia, układał w myśli wiadomość. Z pewnością jest ci ciężko w tak trudnych chwilach...

Windu miał rację, nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy. Dlaczego Jabba miałby tak lekkomyślnie ujawniać swoją słabość? Dooku będzie musiał podwoić czujność.

Wyślemy na poszukiwania naszych najlepszych fachowców, ciągnął w duchu, planując rozmowę.

Prośba Jabby oszczędzi im czasu, który musieliby zmarnować na staraniach, żeby przeciągnąć na swoją stronę kolejnego potencjalnego sojusznika Jedi. Oczywiście, jeżeli tylko uda się ich obciążyć odpowiednimi dowodami. Na dłuższą metę mogło to być również jedno z decydujących posunięć, które utrzymają tę wojnę w jako takiej równowadze, dopóki sprawy nie przybiorą obrotu pozwalającego na zadanie Jedi ostatecznego ciosu. Wtedy Palpatine

będzie mógł zakończyć tę wojnę i zrobić z nimi porządek – raz na zawsze.

Niesamowite, jak łatwo dali się wplątać w intrygę, jak tylko usłyszeli, że chodzi o bezpieczeństwo dziecka. Zresztą w tym przypadku naprawdę tak było. Dooku już się o to zatroszczy. Jabba mógł być zepsuty do szpiku kości, ale jego potomek... wciąż był tylko Mocy ducha winnym dzieckiem. Nieprawdopodobne, jak bardzo stosunek do rodzica wpływa na chęć pomocy niewinnej istocie.

Cały Zakon był taki wybiórczy i nieobiektywny! To by było na tyle, jeśli chodzi o ich sławetną empatię.

Palpatine miał nadzieję, że wszystko pójdzie po jego myśli i że Hutciątko zostanie zwrócone rodzicowi całe i zdrowe. Poza wszystkim, Rotta był ważną częścią jego długoterminowego planu.

Jeśli jednak coś mu się stanie... cóż, sam wpadnie we własne sidła. Polityka to nieustanne ryzyko. Zbyt często powtarzane kłamstwa sprawiały, że w końcu nawet ich autor zaczynał w nie wierzyć – tak samo jak w to, że działa w dobrej wierze.

Podczas wojny zawsze trzeba się było liczyć z tak zwanymi skutkami ubocznymi. Nie można było wiecznie oglądać się na siebie. A jeżeli synowi Jabby stanie się choćby najmniejsza krzywda... cóż, wtedy niechęć Hutta do Republiki zdecydowanie wzrośnie.

To jest... fascynujące, uznał. Zabawne, jak często bywał zmuszony do działania na dwa fronty, zupełnie jakby chciał, żeby każda ze stron zwyciężyła.

Kanclerz Palpatine aktywował komunikator.

– Chcę mówić z lordem Jabbą – przemówił. – Z tej strony Kanclerz Republiki.

## **Wysunięta placówka pomocy medycznej, Crystal City, Christophsis**

– Może już wystarczy tego dobrego, sir? – zażartował sierżant drużyny, sprawdzając poziom płynu w hemostatycznym iniektorze. – Jeżeli zaczniesz pan błyszczeć chociaż odrobinę mocniej, będziemy musieli sprawić panu sieć maskującą.

Kapitan Rex zatrzymał się w pół ruchu, trzymając ostrze brzytwy między kciukiem a palcem wskazującym. Skończył golenie i teraz przejechał dłonią po czaszce w poszukiwaniu resztek szczeciny. Włosy pod hełmem były... denerwujące. Kłujące odrosty drażniły i tylko rozpraszały uwagę. Golenie głowy na łyso było nie tylko koniecznością – stanowiło jego rytuał, który uspokajał i koił nerwy.

Wrócił do ceremonii przywracania głowie stanu idealnego: przeciągał ostrzem po nagiej czaszce długimi, precyzyjnymi ruchami, opierając jedną stopę na spoczywającym na ziemi hełmie.

– Możecie mnie wykorzystać do nadawania sygnałów – rzucił beztrąsko. – Na pewno będzie mnie widać z orbity.

– Przeoczył pan jedną kępkę, sir. To celowo?

– Hoduję sobie irokeza – zasztartował Rex i schował brzytwę. – A może zapuszcze warkoczyk, na modłę weequayskich piratów?

Pierwszy raz od bardzo dawna miał okazję odsapnąć; w głowie szumiało mu ze zmęczenia. Atakująca ich armia separańskich robotów została prawie całkiem rozbita – w mieście zostało zaledwie kilka komórek ruchu oporu. Można było ostrożnie założyć, że Christophsis w końcu skapitulowało. Znajdowali się teraz w podcieniach arkady, która służyła jako prowizoryczne centrum pierwszej pomocy. Rex wyjął swój komputerowy notes i zaczął przeglądać rutynowe raporty, cały czas świadom obecności rannego żołnierza, siedzącego na odwróconym do góry dnem kontenerze. Sierżant Coric opatrywał mu właśnie rany. Plastoidowa zbroja była najlepszym sprzętem, jaki mogły zapewnić kredyty Republiki. Rex powierzał jej wytrzymałości własne życie, nie miał zresztą innego wyjścia. Nieważne, jak solidnie była wykonana, części pancerza miały miejsca łączenia, szczeliny i spojenia zabezpieczone uszczelkami – czyli słabe punkty. Opatrywany żołnierz dostał się pechowo pod deszcz odłamków, ostrych i śmiertelnie niebezpiecznych jak szrapnele. Część z nich dostała się między płytę pancerza na plecach a ramię.

– Jak tam, Ged? – zagadnął Rex.

– Całe szczęście, że to tylko ramię, sir – odparł żołnierz, nie podnosząc wzroku. – Przynajmniej mogę siedzieć...

Racja, zbroja sprawdzała się całkiem nieźle. Mogło być co prawda lepiej – okazała się mniej wytrzymała, niż wymyślne pancerze jednostek do zadań specjalnych, ARC, ale i tak zdawała egzamin. Świadczyła o tym stosunkowo krótka lista imion i numerów identyfikacyjnych w jego komputerowym notesie.

Ponieśli niewielkie straty, jak na taką bitwę. A jednak wciąż trudno było się z nimi pogodzić...

– Kończy nam się bacta, sir – zameldował Coric. Za każdym razem, kiedy wrzucał zakrwawione odłamki do plastoidowego pojemnika, rozlegał się metaliczny szczęk. – Środków przeciwbólowych mamy na razie pod dostatkiem.

Rex obliczył w pamięci, ile mniej więcej zajmie krążownikowi „Łowca” dotarcie do centrum zaopatrzenia, załadunek i powrót.

– Wysłali statek po uzupełnienie zapasów – wyjaśnił. – Powinien wrócić jakoś...

Zanim poczuł falę wybuchu, usłyszał ciche pikanie czujników w hełmie. Zdołał złapać kubek i włożyć na głowę na ułamki sekundy, zanim coś grzmotnęło w ulicę tuż obok.

Łuuuuuup!

Okolicą wstrząsnęła potężna eksplozja, a po niej następna.

– Kryć się! – przedarł się przez szczęk opadających szczątków czyjś głos.

Tak, w samą porę, brawo za czujność, pomyślał Rex z przekąsem.

Chwycił karabin i popędził przed siebie, nie oglądając się na Corica ani rannego

żołnierza. W wyrwie między budynkami uwijali się już dwaj generałowie: Kenobi i Skywalker, zwinnie klucząc między smugami blasterowego ognia. Kiedy Rex do nich dotarł, dostrzegł maszerujące w ich stronę zwarte szeregi robotów; kroczyły noga za nogą, synchronicznie, z mechaniczną precyzją. Było ich niemało, nie mogły się jednak równać z wyszkoloną armią żywych istot. Ich celność była chłodna, bezmyślna, wykalkulowana, jakby blaszaki miały zamiar natrzeć na nich, stratować i pójść dalej przed siebie, niszcząc wszystko, co im stanie na drodze. Dopiero teraz dotarło do niego, że maszyny były superrobotami bojowymi, zwanymi w skrócie SRB.

Uniósł karabin i wycelował.

W ten sam sposób mierzyły i strzelały do nich roboty – wyciągniętymi przed siebie, wyprostowanymi ramionami. Na dobrą sprawę trudno było określić dokładnie, gdzie zaczynała się u nich głowa i gdzie kończyła. Normalny blaszak też mógł cię zabić, ale tamte przynajmniej w jakiś sposób przypominały ludzi...

Czy one myślą? – przemknęło Reksowi przez myśl. Czy czują? A gdyby nawet tak było, to czy obchodziłoby mnie to choć trochę?

Nie, odpowiedział sam sobie.

Albo my, albo oni.

Poczęstował ich kilkoma seriami, unieszkodliwiając część maszyn w pierwszym szeregu. Wiedział, że to je najwyżej trochę spowolni. Mało co było w stanie je powstrzymać. W tej grze największe znaczenie miała liczebność, a pod tym względem roboty miały nad nimi zdecydowaną przewagę. Żołnierze, przebudzeni z krótkiej drzemki i oderwani od pospiesznego pochłaniania suchych racji żywnościowych, zajmowali pozycje.

U boku Kenobiego pojawił się komandor Cody.

– Skąd, u *stang*, one się wzięły?! – spytał ze zdumieniem.

Generał Kenobi nie miał zbyt szczęśliwej miny.

– Mówiłem ci, że wycofały się stanowczo za szybko! – zawołał, nie przestając tkać swoim mieczem świetlistej tarczy, odbijającej laserowe strzały. Ledwie było go słyszeć przez kanonadę. – Też mi zwycięstwo, Anakinie... – dodał z naganą w głosie.

– To nie ja wysłałem statek po zaopatrzenie – zaprotestował Skywalker, pewnie trzymając rękojeść miecza w obu dłoniach. – ...Mistrzu – dodał zjadliwie.

– Żaden z nas nie jest doskonały i dobrze by było, żebyśmy wyciągnęli z tego wnioski. Nadchodzi druga fala – poinformował Kenobi. – Na stanowiska bojowe!

Anakin odwrócił się na pięcie.

– Rex? – rzucił twardo. – Ty i twoi ludzie za mną! – nakazał, klepieniem w czubek głowy, dając żołnierzom sygnał do uformowania szyku.

Zachowuje się i wyraża jak prawdziwy żołnierz, przeszło Reksowi przez myśl. Potrafi dowodzić klonami, słuchają go.

– Rex, widzisz ten budynek? – zagadnął Anakin. – To generator. Sądzę, że to będzie

najlepsze miejsce.

Kapitan zmienił ustawienia makrolornetki w hełmie, żeby powiększyć obraz.

– Chcesz się dostać na drugą stronę? – domyślił się.

– To ryzykowne, ale sądzę, że damy radę.

– W porządku. W takim razie nie ma na co czekać, sir.

Z oddali dobiegał monotony, metaliczny szcęk. Roboty bojowe maszerowały równym krokiem jak jedna monstrualna maszyna. Rex nienawidził tego dźwięku. A tak trudno było go uciszyć...

Siła robotów leżała w liczebności: zalewały ich nieskończoną, wydawałoby się, falą, a za nimi szły następne i jeszcze następne. Ale nie potrafiły szybko reagować – i to był ich słaby punkt. Poza tym zdecydowanie lepiej sprawdzały się na otwartym, stosunkowo płaskim terenie. Rex dał plutonowi znak, nakazując rozproszyć się po wyludnionych uliczkach i zaułkach Crystal City, a potem za pośrednictwem komunikatora w hełmie przekazał im współrzędne celu. Na wyświetlaczach przeziernych wszystkich żołnierzy pojawiła się siatka ulic prowadzących do kulistego budynku generatora. Tak naprawdę system łączności w ich hełmach był na tyle rozbudowany, że Rex nie musiał używać gestów do wydawania rozkazów, ale podobne odruchy były niemal instynktowne, a poza tym w razie awarii systemu mógł w ten sposób zachować płynność dowodzenia.

Coric złapał swój połowy pakiet medyczny. Wysunięta placówka medyczna zmieniała położenie wraz z linią frontu.

Generał Skywalker zanurkował w stronę wejścia do opuszczonego biurowca, a za nim Rex. Przedzierali się przez gruzy i wąskie przejścia, kierując się ukośnie za linię wroga. Trasa prowadziła równoległe do głównej ulicy. Kenobi, Cody i grupka żołnierzy odpierała ostrzał nadchodzących robotów. Rex nie widział maszyn, ale słyszał odgłosy strzelaniny i czuł, jak ziemia drży mu pod stopami od ich nieubłaganego marszu. Tu i ówdzie unosiły się pióropusze gęstego dymu.

Zatrzymaj ich jeszcze przez chwilę, Cody, poprosił w myślach towarzysza.

Rex minął strzaskaną fontannę, wciąż tryskającą wodą z podziurawionego rzygacza. Dawniej musiało tu być całkiem przyjemnie, uznał. Spróbował wrócić pamięcią o te kilka dni wstecz, kiedy Crystal City stanowiło imponujący widok. Pomyślał wtedy, że wygląda jak wyrzeźbione z drogiego kamienia. Zanim żołnierze zdążyli zająć miasto, mieszkańcy opuścili okolicę.

Teraz wydawało mu się, że to wszystko działo się tak dawno... i nadal nigdzie nie napotkał żywej duszy. Było za to pełno zabitych. Mnóstwo. Kiedy pokonywał pogrążone w półmroku zaułki, wizjer w hełmie przestawiał się automatycznie na tryb noktowizyjny i pole widzenia wypełniał chaos podświetlonych na zielono szczątków: odłamków transpastali, permabetonowych gruzów i plątaniny kabli.

W pewnej chwili kątem oka zauważył światełko, mrugające niemrawo na wyrwanej ze

ściany konsoli. Widocznie w kompleksie jakimś cudem nadal działało zasilanie. To nie ładunek, stwierdził z ulgą. W przeciwnym razie na jego HUD-zie pojawiłoby się ostrzeżenie. Zwykle światło. Rex przyspieszył kroku. Poły szaty Skywalkera łopotały na wietrze, przesłaniając słaby blask z przodu niczym ciemna chmura.

Rex popatrywał co chwila na ikony wyświetlane z boku jego HUD-a w poszukiwaniu maruderów. Liczył sygnały transponderów i sprawdzał numery identyfikacyjne członków plutonu. Tuż obok niego maszerował sierżant Coric i kuśtykał ranny żołnierz. Biedak na pewno był naszpikowany środkami przeciwbólowymi. Jego kombinezon też pewnie trochę ucierpiał podczas wypadku. Rex miał nadzieję, że nie dojdzie do sytuacji, w której będzie zmuszony go uszczelnić...

– Mogłeś zostać, Ged – powiedział do niego.

– Nie lubię zostawać sam, sir... – mruknął klon.

– Cóż, w takim razie dotrzymamy ci towarzystwa.

Okrążenie kolumny robotów zajęło im jakieś dziesięć minut. Trzymali się blisko wysokich ścian budynków, nadających ulicy wygląd kanionu, maksymalnie rozproszeni po zaułkach, żeby uniknąć namierzenia z powietrza.

W pewnej chwili Skywalker poszybował wysoko we wspomaganym Mocą skoku i Rex pomyślał, że taki sposób omijania przeszkód był całkiem wygodny. Zanim kapitan dotarł do drzwi budynku, Jedi był już na jego szczycie.

Część żołnierzy pospiesznie wdrapała się za nim na wąską półkę i już po chwili stali u jego boku. Ocenili szybko sytuację i zmienili moduły karabinów na działka przeciwpancerne. Na dole czekała w ukryciu reszta żołnierzy, gotowa na komendę zaatakować roboty bojowe z zaskoczenia.

Wyglądało na to, że Skywalker szykuje się do skoku. Dwa piętra niżej sztywnym krokiem maszerowały trzy trójnogie roboty typu octuptarra – plujące ogniem z licznych działek kule poruszające się na cienkich, pajęcznych odnóżach.

– Jaki plan ataku, sir? – spytał Ged, jakby nie wiedział. Istniał tylko jeden sposób na skuteczne zaatakowanie zabójczych maszyn z tej pozycji, ale stosunkowo niewielkie korpusy czyniły z nich trudne cele.

Generał skupił uwagę na jednym z automatów.

– Za mną! – rozkazał.

– Tak jest, sir!

Rex zaczepił starannie swoją linkę z kotwiczką o krawędź dachu i nakazał to samo gestem reszcie swoich ludzi. Skywalker nie potrzebował podobnych zabawek. Po prostu skoczył.

## Poziom ulicy, Crystal City

Anakin wylądował na grzbiecie octuptarry wystarczająco pewnie, żeby utrzymać równowagę samemu i nie zakłócić stabilności maszyny.

W tej pozycji robot nie był w stanie nic mu zrobić.

Pokręcił tylko bezradnie głową i zadygotał, kiedy Anakin wbił ostrze miecza świetlnego głęboko w panel na czubku kulistego korpusu. Jeden z kompanów maszyny obrócił działka w ich stronę i wystrzelił, ale Jedi bez trudu odbił strzały mieczem. Rex i reszta klonów otworzyła ogień do następnych octuptarr. Kiedy maszyny zostały unieszkodliwione, pospieszyli na spotkanie z ostatnimi szeregami robotów, które natychmiast zdały sobie sprawę, że wróg przypuścił atak na tyły.

Anakin przestawił się na tryb automatyczny; nie musiał myśleć. W chwili kiedy jego umysł zaczynał dryfować swobodnie, budził się w nim jakiś głęboko usypiony instynkt, zupełnie jakby świadomość opuszczała ciało i obserwowała z boku jego poczynania. Było to w równej mierze fascynujące, co przerażające. Na polu bitwy jego ciało przejmowało władzę nad funkcjami mózgu i działało samoistnie. Znał pozycję każdego robota i żołnierza w okolicy, ale nie rejestrował jej w sposób świadomy. Podobnie dostrzegał w oddali błękitną poświatę miecza Kenobiego, błyskającą nieregularnie między metalowymi korpusami robotów. Wokół panował ogłuszający hałas: krzyki, metaliczny szczęk i odgłosy wybuchów były tak głośne, że miał wrażenie, jakby bombardowały jego pierś niewidzialnymi pociskami – chociaż mógłby przysiąc, że ich nie słyszy, a na pewno celowo nie nasłuchuje. To było jak rodzaj ślepoty, podczas której jednak w jakiś sposób widział.

Obrazy pojawiały się i znikły przed jego oczami niczym migawki. Podnosił miecz i opuszczał go na grupę Ludzi Piasku. Zabiliście moją matkę! – krzyczał do nich w myśli. Teraz mi za to zapłacicie! Zdawał sobie sprawę, że to wspomnienie, bo kiedyś dokładnie tak postąpił. Przez chwilę nie był pewien, czy patrzy na roboty bojowe, czy na Tuskenów. Tanecznie wirował wśród robotów, siejąc spustoszenie i zostawiając za sobą dymiące szczątki. Metalowe części przecinały powietrze niczym pociski. Niektóre szybowały w górę, posyłane wysoko – nie przez ostrze jego miecza, ale przez nieświadome pchnięcia Mocą. W jednej chwili podrywał się z niskiego przysiadu, żeby przeszyć mieczem szeroką pierś superrobotu bojowego, a chwilę później lądował na plecach zwykłego blaszaka i samą tylko czystą energią Mocy oddzielał mu głowę od korpusu.

Cały czas na skraju pola widzenia dostrzegał przemykających chyłkiem Tuskenów, próbujących się ukryć wśród szczątków robotów, systematycznie unieruchamianych przez strzały z broni żołnierzy, a nawet ich wibroostrza. Rzucił się za jednym z nich w pościg, ale drogę zagroził mu Rex, opuszczając kolbę ciężkiego DC-15 na kruchą szyję robota bojowego, który właśnie próbował się pozbierać i stanąć na nogi. Wydawało się, że kapitan klonów zrobił to zupełnie bez wysiłku, jakby od niechcenia. Prawą ręką rozprawiał się z maszyną, w tym samym czasie sięgając lewą do sakwy u pasa po ogniwo na wymianę. W ułamku sekundy zmienił magazynek i płynnie podjął ostrzał. Na jego drodze wyrósł kolejny

robot – może chciał pomóc swojemu towarzyszowi – i Rex niezwłocznie poczęstował go serią z blastera.

Anakin zmusił się, żeby usunąć z pamięci wspomnienia o Tuskenach. Zniknęły. Ale wśród bitewnej zawieruchy pojawiła się natychmiast inna postać – smukła, złotoskóra, o długich, czarnych szponach: Krwawy Rzeźbiarz, Ke Daiv. A przecież zabił go całe lata temu, tak dawno!

To nie mrok, powtórzył sobie z mocą.

To nie mrok mnie mami.

To nie gniew...

Tak trzeba – zawsze mu to powtarzali. Walczył, żeby ocalić swoich żołnierzy, a skoro postępował w imię braterstwa, kierowany troską o czyjeś życie, nie mogła nim kierować Ciemna Strona. Walczył jako Jedi.

Za moją matkę... dla moich ludzi... dla Padme... – powtarzał nieprzytomnie.

Jego ciało poruszało się bez woli mózgu. Prowadził lśniące ostrze przez masę metalowych ciał tak płynnie, jakby kosił trawę. Rex i jego żołnierze również nie próżnowali, tak samo jak on gnani falą adrenaliny, zbyt zdesperowani, żeby odczuwać strach, a jednak poprzez Moc wyczuwał, że coś go od nich różni... Tego uczucia nie dało się pomylić z niczym innym: w przeciwieństwie do klonów, Anakina zaślepiła obezwładniająca, dławiąca gardło wściekłość.

Nie służę Ciemnej Stronie, powtórzył sobie znowu.

Po prostu... tak trzeba.

Nie przestawaj myśleć o tym, że mogą cię zabić.

Odsunął targające nim wątpliwości na dalszy plan, ale w głębi duszy przeżywane rozterki przerażały go bardziej niż perspektywa śmierci. Wyminął Rekxa i zaatakował następny szereg robotów, zanosząc się kaszlem od dymu i wypełniającego mu płuca pyłu. Ta sama zimna furia, która z bezduszną precyzją sterowała teraz jego ręką, kierowała nim, kiedy zaszlachtował całą wioskę Tuskenów w odwet za zabicie jego matki. To była nagła, paląca potrzeba, niemal jak zwierzęcy instynkt.

Nie przerywał dzieła zniszczenia, parł z determinacją naprzód. W jakiś dziwny sposób przestało się dla niego liczyć, że w tej chwili jego miecz rozprawia się z robotami. Było mu wszystko jedno. Skakał z octuptarry na octuptarrę, chłoszcząc ostrzem ich kuliste korpusy. Czuł, że mógłby tak niszczyć przez całą wieczność, a to uczucie nigdy by nie zgasło...

To nie gniew.

To nie wściekłość mną kieruje, powtarzał sobie.

Cokolwiek to było, musiał dać temu upust.

Roboty przewracały się jedne na drugie i zderzały ze sobą, pociągając na ziemię kolejne i tarasując im drogę. Klony napierały na nie bezlitośnie, celując i strzelając w ich słabe punkty. Powietrze wokół wrzało od odłamków, bębniących metalicznym deszczem o zbroje żołnierzy.



– Anakinie! – Z odrętwienia wyrwał go okrzyk Obi-Wana. Zakręcił młynka mieczem, za jednym zamachem przecinając płynnie na pół dwa roboty. – Tutaj!

Dziwne. Nagle zauważył, że skończyły mu się roboty do niszczenia. Ogłuszająca bitewna wrzawa ucichła niespodziewanie, a on stał twarzą w twarz z Kenobim, pośród morza poszatkowanych maszyn bojowych. Na polu walki zapadła cisza tak głęboka, że Anakinowi prawie dzwoniło w uszach.

– Wszystko w porządku, Anakinie? – spytał z troską Obi-Wan, przyglądając mu się uważnie, jakby coś w wyrazie jego twarzy go zaniepokoiło.

Skywalker odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. W mgnieniu oka wszystko zniknęło: Tuskeni, Krwawy Rzeźbiarz i roboty.

– Tak, Mistrzu – mruknął niepewnie. Odwrócił się i rozejrzał, żeby sprawdzić, ilu z jego ludzi zostało rannych. – Rex? Ewakuujcie tyłu, ilu dacie radę, a my...

Chwilowy spokój był tylko ciszą przed burzą. Z ulic miasta dochodził znów coraz głośniejszy szcęk metalowych stóp, zwiastujący następną falę robotów.

– Potrzebujemy posiłków, i to szybko – stwierdził, marszcząc brwi.

Kenobi spojrział w górę, jakby się spodziewał, że nad ich głowami lada chwila cudownie objawi się statek.

– Nadal nie mamy łączności z admirałem – westchnął. – To pewnie przez marne warunki atmosferyczne.

– Tak czy inaczej, musimy zabrać stąd naszych – powiedział Rex ze znużeniem. Ktoś wzywał medyka i dwóch żołnierzy pospieszyło mu na pomoc, wymijając stosy szczątków. Z tego miejsca Anakin widział tylko płataninę kończyn zakutych w biały plastoid. Na oko oberwało kilkunastu żołnierzy. – Chodźmy – powtórzył kapitan. – Zabierzmy ich stąd. Ruchy!

Roboty miały nad klonami przewagę liczebną, ale żołnierze byli ludźmi – zwinnymi, pełnymi woli walki i sprytnymi. A roboty... cóż, to tylko maszyny. Blaszaków było więcej i były dość... trwałe, w każdym tego słowa znaczeniu – oto, dlaczego żołnierze padali ich ofiarami. Kiedy jednak masa żelastwa utknęła w martwym punkcie, blaszakom trudno było uniknąć padających zewsząd strzałów czy w ogóle się ruszyć. Nie miały miejsca, żeby prowadzić taki rodzaj walki, do jakiej zostały zaprogramowane. Nie mogły użyć kolby karabinu do ogłuszenia przeciwnika, jak Rex, ani cisnąć granatu i zniknąć, zanim wybuchnie, jak sierżant Coric. Nie zależało im na towarzyszach broni aż tak, żeby bronić ich do ostatniej kropli smaru, nie potrafiły nawet myśleć. Były maszynami, tępymi automatami.

Niszczyłem maszyny, usprawiedliwiał się sam przed sobą Anakin. Nie zabijałem.

Czuł się jak na ostrym rauszu, chociaż nigdy nie zdarzyło mu się upić. W tej chwili był zdezorientowany i zakłopotany, chociaż nie do końca rozumiał dlaczego. Otrząsnął się z otępienia. Nadchodziły następne roboty, a poza tym musieli przenieść rannych w bezpieczne miejsce. Pospieszył za Kenobim i Reksem w stronę rannych, udzielając pomocy tym, którym

się dało, i przenosząc ciała tych, dla których nie mogli już zrobić nic innego.

Łup! Łup! Łup! – znowu ten szcęk...

– Cierpliwości, blaszaki – mruknął pod nosem Rex, ciągnąc rannego żołnierza pod ramiona w stronę bezpiecznego schronienia, jakie dawało osłonięte wejście do budynku. Anakin chwycił klona za nogi i pomógł Reksowi zataszczyć go na miejsce.

– Zaraz do was wrócę. – Ledwie zdążył to powiedzieć, metaliczny chrzęst ustał. Nadstawił ucha. Czyżby głośne eksplozje nadwyrężyły mu słuch? A jednak nie, nie miał omamów. Widział przed sobą roboty – szereg metalowych posągów, jakby zastygłych w oczekiwaniu na rozkazy.

Dlaczego się zatrzymały?

– Miejmy nadzieję, że nie czekają, aż dołączą działka na pociski dalekiego zasięgu – mruknął Kenobi. Otarł usta wierzchem rękawicy, rozmazując na brodzie pył i smar ze szczątków robotów. Kiedy się je trafiało, parszywe blaszaki rozsiewały części i krople oleju na całkiem spore odległości. – Nic tu więcej nie wskóramy.

Zanim Anakin to poczuł, jego uszu dobiegł dźwięk brzmiący niemal jak muzyka; nie można było go pomylić z niczym innym. Spojrzał do góry w tej samej chwili co Rex i ich oczom ukazał się obraz równie cudowny, jak towarzyszący mu odgłos. Na ten widok poczuli taką radość, że prawie umknął ich uwagi nagły odwrót armii robotów.

Ponad miastem wisiał opancerzony republikański prom, kierując się z wolna w stronę pobliskiego placu.

– To rozumiem! – odetchnął Rex i opuścił ramiona. Gest był w równej mierze manifestacją ulgi, co zmęczenia. – Teraz chyba nie spodoba im się rozkład sił.

Anakin poszukał wzrokiem Kenobiego, próbując za wszelką cenę zachować kamienną twarz, chociaż miał ochotę podskakiwać z radości. Takie zachowanie nie przystoi Jedi.

– Wycofują się, Mistrzu – powiedział ostrożnie. – Wygląda na to, że na widok przybywających posiłków przemyśleli sprawę. Chodź, Rex, urządzimy im godziwe powitanie.

– A gdzie krążownik? – spytał kapitan, stukając palcem w bok hełmu, jakby miał problemy z łącznością. – Nie mam żadnych sygnałów z obszaru lądowania...

– Zaraz na pewno tu będą – uspokoił go Kenobi, który najwyraźniej odzyskał dobry humor. Walka jak zwykle dodała mu energii. Anakin zastanawiał się czasem, czy jego Mistrz także miewa te upiorne ataki szału zabijania. Obi-Wan zaczepił miecz świetlny u pasa i ruszył truchtem w stronę placu, na którym zaaranżowali prowizoryczne lądowisko.

– Świeże siły, zaopatrzenie... no i może przywieźli mojego nowego padawana – rzucił beztrasko.

Anakina ścisnęło lekko w żołądku. Był zaniepokojony, ale to odsunęło jego myśli od dylematów związanych z Ciemnością... nie, to nie Ciemność, powtarzał sobie z uporem. Problemy zeszły na dalszy plan. Cóż, taka zmiana była czasem równie potrzebna, jak odpoczynek.

– To nie czas ani miejsce na szkolenie padawana, Mistrzu – powiedział z lekką przyganą w głosie. – To duża odpowiedzialność...

– No, nie wiem. – Kenobi przyspieszył kroku. Narzucił większe tempo i go wyprzedził. – Ty nie byłeś kłopotliwy. Cóż, przynajmniej przez większość czasu...

– Większość?! – obruszył się Anakin.

– Tak czy inaczej, najlepszym sposobem nauki jest praktyka – stwierdził lekko Kenobi. – Powinieneś poprosić Mistrza Yodę o własnego padawana, Anakinie. Masz dużą wiedzę i umiejętności do jej przekazania. Przemyśl to, mówię serio.

– Dzięki, ale nie skorzystam – odparł butnie Anakin. Zerknął na Rekxa i uniół wymownie brwi, wskazując ruchem głowy Kenobiego. Kapitan wzruszył ramionami. – Będę gotowy uczyć, kiedy uznam, że potrafię coś wartościowego komuś przekazać. A poza tym uczeń byłby mi tylko kulą u nogi. Nie możemy sobie teraz pozwolić na marnowanie czasu.

Mógłby przysiąc, że jego wymówki rozbawiły kapitana. Nie widział co prawda jego twarzy, skrytej za hełmem o charakterystycznym kształcie litery T, ale zauważył ledwie dostrzegalne drgnięcie podbródka, a poza tym wyczuwał jego aurę poprzez Moc. Kiedy mężczyzna pokazał mu uniesione kciuki, Anakin zamrugął, zaskoczony. Dzięki, Rex, powiedział do niego w myśli.

Prom wylądował między dwoma stanowiskami dział i rampa opadła, jednak ze środka nie wysypał się oddział żołnierzy ani grupa robotów; nikt nie wyprowadził załadowanych sprzętem i zaopatrzeniem repulsorowych palet...

Zamiast tego po trapie zeszła młoda Togrutanka, właściwie jeszcze dziecko.

Kenobi przyjrzał się jej z namysłem.

– Co ta mała tu robi? – parsknął. – Gdzie krążownik? Co z „Łowcą”?

Togrutanka wyprostowała się, uniosła dumnie podbródek i spojrzała na Kenobiego.

– Mistrz Yoda niepokoił się brakiem wieści od was i nie mógł się z wami skontaktować, więc przysłał mnie z wiadomością.

– Przysłał ciebie?! – prychnął Obi-Wan. – A gdzie krążownik? Gdzie jest nasze wsparcie? Pomoc?

– Jestem tylko ja – wyjaśniła rezolutnie Togrutanka. – Mistrz Yoda mnie przysłał. Mam wam przekazać, że musicie niezwłocznie wracać do Świątyni Jedi. Nagła sytuacja.

– Bardzo zabawne – burknął Anakin. – Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nagłą sytuację mamy też tutaj. – Wskazał unoszące się w powietrze słupy dymu. Nie śmiał spojrzeć na Rekxa, na wypadek gdyby dławiące go w gardle coraz większe przerażenie okazało się zaraźliwe. Po uldze, jaka zalała ich na widok wycofujących się robotów, świadomość, że wciąż są obłączeni, była tym bardziej bolesna. Nie mógł liczyć na wsparcie, na uzupełnienie zapasów ani na przekazanie Padme wiadomości, że jest cały i zdrowy. – Chcesz powiedzieć, że nie dostali naszej prośby o pomoc? – upewnił się.

– Wątpię – stwierdziła Togrutanka. – Ale może uda się nadać sygnał ze statku, którym

przyleciałam...

– A w ogóle to kim ty jesteś?

– Jestem padawanka Ahsoka Tano.

– Ach, moja nowa uczennica! – domyślił się Kenobi. Skinął jej uprzejmie głową, jakby chciał wybrnąć z twarzą z tej beznadziejnej sytuacji. – Cóż, witamy w opałach...

Dziewczynie zrzędała mina, ale po chwili jej twarz rozjaśnił niepewny uśmiech, jakby nie zamierzała się poddać.

– Nie, Mistrzu – wyjaśniła. – To nie tobie zostałam przydzielona. – Odwróciła się do Anakina i skłoniła głowę z szacunkiem. – To ty masz mnie uczyć, Mistrzu Skywalkerze.

## ROZDZIAŁ 3

*Musimy opuścić orbitę, sir. Przybyły kolejne okręty wroga. Przykro mi, generale Kenobi, ale jesteśmy pod ostrzałem. Musicie radzić sobie sami.*

Admirał Yularen podczas odwrotu krążownika Jedi „Zdecydowany” z orbity Christophsis

### **Sala tronowa w pałacu Jabby, Tatooine**

Okazywanie słabości w obecności służących nigdy nie popłacało.

Jak tylko się orientowali, że ich przełożeni odczuwają cierpienie tak samo jak oni, przychodziły im do głowy głupie pomysły, a to w obecnej sytuacji była ostatnia rzecz, jakiej Jabba potrzebował. Nie mógł stracić kontroli nad swoim małym imperium. Był potężny, nieustraszony i stanowił niepisane prawo na całej Tatooine. Nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę słabości.

Musiał trzymać na wodzy rozpacz i strach o małego Rottę. Chociaż nie miał apetytu, zmusił się do leżenia w lekceważącej pozie na podium i pogryzania od niechcienia gorogów z wypełnionego solanką słoja.

– Hakerzy, lordzie Jabbo. – Gamorreński strażnik wezwał gestem przed jego oblicze wynajętego do pozyskiwania danych człowieka i towarzyszącego mu robota. – Pan Gaib i Tee-Kay-Oh.

Zanim poświęcił im uwagę, Jabba odczekał odpowiednią liczbę uderzeń serca, a potem wsunął sobie do paszczy głowę naprzód dorodnego goroga. Pozwolił, żeby zwierzę wierzgnęło rozpaczliwie tylnymi odnóżami, zanim połknął je w całości – taki pokaz zawsze robił wrażenie na petentach. Wszystko wskazywało na to, że zadziałało również na tego o imieniu Gaib. Człowiek na ułamek sekundy wytrzeszczył oczy, chociaż Jabba musiał przyznać z pewnym podziwem, że nie odwrócił wzroku. To dobrze o nim świadczyło.

– Mów – rzucił od niechcienia i nadstawił chciwie uszu, spragniony każdego strzępka informacji. Starał się nie zastanawiać, gdzie w tej chwili mógł przebywać jego mały Rotta, nie

myśleć o tym, czy synek jest głodny, przestraszony i czy w ogóle jeszcze żyje. Czy ludzie byli zdolni do takich uczuć? Czy zdawali sobie sprawę, że kiedy ktoś żyje tysiąc lat, a jego dziecko jest nim samym, repliką jego własnych genów, a nie czymś, co można beztrudno odtwarzać raz po raz, jak u szybko rozmnażających się ras, potomek oznacza całą jego przyszłość? Miał co do tego poważne wątpliwości. Ludzka rasa była tak potwornie ograniczona, krótkowzroczna i... krótkotrwała. Docierało do nich tylko to, co działo się dziś, teraz. – A więc trafiliście na jakiś ślad – powiedział. To nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

Gaib szturchnął swojego mechanicznego towarzysza.

– Tee-Kay, pokaż lordowi Jabbie...

– Zapisy z bazy kontroli ruchu – uzupełnił posłusznie TK-0. Jego wypolerowana kopułka przypominała powłokę jednostek typu R2. Z panelu na jej krawędzi wysunął się niewielki cylinder, wyświetlając na inkrustowanych płytkach holomapę. Robot dał zbliżenie na jeden z systemów gwiazdnych, powiększając słońce i obracającą się wokół niego planetę oznaczoną pulsującą na czerwono otoczką. – Nagrania z systemu łączności – wyjaśnił. – Dane dotyczące zapytań o informacje z bazy medycznej. Zestawiliśmy wszystko, co oczywiście wymagało trochę pracy. Można powiedzieć, że wszystkie ślady prowadzą na planetę Teth.

Jabba spodziewał się nieco bardziej szczegółowych wyjaśnień. W końcu za to im płacił.

– A na jakiej podstawie to stwierdziliście? – spytał podejrzliwie.

– Odnotowując statki opuszczające Tatooine w danym czasie – wtrącił Gaib. – Właściwie to uzyskaliśmy dostęp do zapisów połączeń wychodzących ze wszystkich głównych węzłów sieci HoloNetu tego dnia. Zawężiliśmy zakres poszukiwań, sprawdzając żądania dostępu do Galaktycznej Wszechrasowej Bazy Danych. – Zawiesił głos; ostrożnie dobierał słowa. – Włamaliśmy się do niej. To główne źródło informacji Republiki na temat zagadnień zdrowotnych. Tee-Kay przeszukał wszystkie zapytania dotyczące zdrowia i chorób Huttów.

– Rzadko chorujemy – powiedział z namysłem Jabba.

– Cóż, wcale nie twierdzą, że plików z informacjami o Huttach jest dużo...

Jabba nie mógł zaprzeczyć, że kierunek prowadzonego przez nich śledztwa go zaniepokoił.

– A czego w ogóle tam szukaliście? Dlaczego mielibyście grzebać w zdrowotnej bazie danych?

– A ile istot wie, jak się troszczyć o małych Huttów? – odpowiedział pytaniem Gaib. – Poza oczywiście samymi Huttami, ale przecież żaden z nich nie śmiałyby wejść ci w drogę... – dodał przymilnie. – Wyszliśmy z założenia, że pierwszym krokiem po porwaniu dziecka jest zatroszczyć się o to, żeby przeżyło i miało się dobrze. Trzeba się rozeznac w tym, co jest normalne, żeby wiedzieć, kiedy mały Hutt zacznie zachowywać się jak... hm, nie tak jak normalne huttańskie dzieci. Mam na myśli płacz, wymioty, tego typu sprawy...

Jabba nie potrafił opędzić się od myśli o najgorszym. Huttowie byli z zasady odporni na większość bakterii i wirusów; mało która toksyna na nich działała. Coś tu jest zdecydowanie

nie w porządku, uznał. Nie musiał się nawet specjalnie starać, żeby okazać swoje niezadowolenie.

– Czy macie powód, żeby podejrzewać, że mój syn jest chory? – spytał krótko.

– Ktoś na statku odlatującym z Tatooine – podjął niezrażony TK-0 – szukał w GWBD informacji na temat chorób wieku dziecięcego u Huttów... i ten statek leciał na Teth.

Jabba wezwał do siebie TC-70, swojego androida tłumacza.

– Natychmiast wyślijcie na Teth łowców nagród – polecił nieznoszącym sprzeciwu tonem. – I zapłaćcie tej tu dwójce. – Nachylił się groźnie ku swoim gościom i zmierzył wzrokiem najpierw Gaiba, a potem TK-0, mrugając powoli. – Postanowiłem was zatrudnić – oznajmił. – Jeśli będziecie dyspozycyjni, godziwie was wynagrodzę.

– A co, jeśli będziemy akurat zajęci? – spytał TK-0.

– Wtedy zamiast zapłaty czeka was godziwy pochówek... albo złomowisko.

– Z pewnością będziesz mile zaskoczony naszą gotowością do przyjmowania zleceń – wykrztusił Gaib, energicznie przynaglając swojego towarzysza do opuszczenia komnaty. – Interesy z tobą, o wielki Jabbo, to czysta przyjemność.

Hutt nie raczył nawet odprowadzić ich wzrokiem. Przymknął powieki, w myśli analizując najgorsze scenariusze. Te kanalie, które odważyły się porwać Rottę, mogły doprowadzić do tragedii! Jeżeli skrzywdzą jego maleństwo – przypadkiem lub, co gorsza, celowo – Jabba odplaci im pięknym za nadobne i zadba, żeby zakończyli swoje marne żywoty w męczarniach przechodzących ich najśmielsze wyobrażenia. Po dłuższej chwili otworzył ślepią. Otaczający go służący, strażnicy i reszta świty gapili się na niego w niemej trwodze. Przez ostatnie dwa dni w pałacu panowała grobowa atmosfera. Jabba stłumił w sobie chęć udania się na Teth osobiście. W końcu płacił za to innym. Musiał być na miejscu, żeby kontrolować przebieg poszukiwań.

Nigdy nie wiadomo, co się może stać, kiedy spuści z oka swoje interesy i opuści Tatooine. W razie czego zamierzał osobiście dopilnować egzekucji. O cokolwiek chodziło porywaczom, wszystko z pewnością było dokładnie ukartowane. Wątpił, żeby chodziło im o kredyty albo sztabki aurodium, a więc istniało duże prawdopodobieństwo, że gra toczy się o wpływy terytorialne. Całkiem możliwe, że chodzi też o zwykłą zemstę – odwet konkurencyjnej mafii czy nawet któregoś z *kajidiców*... W ciągu długich stuleci Jabba dorobił się pokaźnej listy wrogów, którzy tylko czyhali na okazję zagarnięcia jego dóbr i wpływów, chociaż jak do tej pory żaden z nich nie poważył się podnieść na niego ręki. Jednak cała ta sytuacja spowodowała niezłe zamieszanie, a któryś z tych głupców mógł to uznać za dobrą sposobność, żeby położyć łapę na jego imperium.

Czarne Słońce? – zastanawiał się. Nie, uznał po namyśle. Nie ośmieliliby się. Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby rozpętać wojnę gangów w takiej chwili, kiedy sytuacja sprzyjała czerpaniu zysków z prawdziwego konfliktu. A może... Republika?

Mało prawdopodobne, stwierdził. To nie jest w ich świętoszkowatym stylu. Jednak

kompletnie nie ufał Palpatine'owi. Poczekaj teraz cierpliwie i zobacz, co wyniknie z poproszenia Jedi o pomoc. Jeżeli naprawdę się tym wszystkim przejmą, Kanclerz dołoży wszelkich starań, żeby odnaleźć Rottę. W przeciwnym razie... będzie to oznaczało, że Republice albo nie zależy na dobijaniu z nim targu, albo sami maczali we wszystkim palce.

Tak czy inaczej, na pewno Jabba na tym nie straci. Cóż, w pewnym sensie.

W tej chwili każdy był dla niego potencjalnym podejrzanym. Sprawdzi ich, jednego po drugim. A potem srogo ukarze tego, kto okaże się winny.

– Kapitanie? – burknął. Szef ochrony, Nikto, czekający u stóp tronu na każdy jego znak, stawiał się natychmiast na wezwanie. – Czy załoga barki żaglowej zauważyła podczas porwania coś niepokojącego? Jakies szczegóły, które mogłyby nas naprowadzić na trop porwaczy?

– Niestety nie, lordzie Jabbo – odparł ze skrucą strażnik.

– A czy twoim zdaniem naprawdę się starali przypomnieć sobie detale?

– Tak jest, mój panie.

– Stracić ich.

Wszyscy obecni w sali tronowej wstrzymali oddech i zamarli. Poruszała się jedynie smużka dymu, unosząca się leniwie z oświetlającej komnatę nikłym blaskiem antycznej oliwnej lampki *halamo*. Nikt nie drgnął ani nie śmiał głośniej odetchnąć. Jabba był zadowolony, że zrobił na swojej świecie odpowiednie wrażenie. Nie zamierzał miotać się w bezsilnym gniewie, co to, to nie. Nie zniży się do demonstracji wściekłości. Pokaże im, że żadne porażki nie będą na jego dworze tolerowane, wręcz przeciwnie – za podobne uchybienia winnych spotka surowa kara.

Nie straci nad sobą kontroli, nie da się wyprowadzić z równowagi – będzie stanowczy. Zamierzał rządzić swoim imperium twardą ręką. Liczyły się tylko interesy, nic poza tym.

Wyjął ze słoja kolejnego goroga i wrzucił go sobie beztrąsko do paszczy.

## **Prywatny prom hrabiego Dooku, gdzieś w przestrzeni nad Kem Stor Ai**

– Imponujące, słowo daję – mruknął Dooku. Nadchodził sztorm; do uszu hrabiego docierało potężniejsze wycie wiatru, świszczącego w nieuszczelnionych włazach statku. – Naprawdę jestem pod wrażeniem.

Nad blatem biurka hrabiego, niczym wątpliwej urody posążek, sprezentowany przez kogoś, kogo raczej nie wypadało lekceważyć, migotał błękitną poświatą hologram Hutta Ziry.

– Gdybyśmy nie zadbali o pozory wiarygodności, Jabba podejrzewałby spisek – oznajmił Hurt. – Pozostawienie pola na domysły działa zdecydowanie lepiej, niż gdybyśmy dali mu oczywiste wskazówki. Dlatego właśnie zadbałem o to, żeby w sieci pojawiło się kilka śladów, na które zdolaliby wpaść tylko wytrawni specjaliści.



Sam to wymyśliłeś? – zdziwił się w duchu Dooku. Widocznie jesteś bardziej cwany, niż sądziłem. Cóż, różnica między naprawdę sprytnymi sojusznikami a takimi, którym się zdawało, że są chytry, była niebezpiecznie mała.

– Cóż, gdyby je przeoczono, lordzie Ziro, dalibyśmy kilka dodatkowych wskazówek... – dodał.

– Nie przeoczono.

Wiem, westchnął w duchu Dooku. Jak mógłbym pozostawić wszystko w twoich rękach?

– A więc jego łowcy nagród są teraz w drodze na Teth? – upewnił się. – W takim razie pozwól, że od tej chwili resztą zajmę się sam.

Ziro wzdrygnął się zauważalnie.

– Droga wolna – powiedział.

– Musimy dopilnować, żeby informacje o łowcach Jabby dotarły do właściwych uszu w Wielkiej Armii. Tak samo jak wieści, że akcja ratownicza się nie powiodła. Zajmę się tym osobiście. To wszystko.

– A co potem? – zaciekał się Hutt.

– Jak już wspomniałem, zostaw resztę mnie. Mam zaufanych współpracowników, którzy zajmą się kolejnym etapem operacji. – Dooku skłonił nieznacznie głowę w geście pożegnania. – Będziemy w kontakcie.

Hologram zgasł. Hrabia pokręcił głową, żeby rozluźnić napięte mięśnie szyi i pochylił się nad biurkiem (nawet na statku dbał o to, żeby zachować pozory porządku i zorganizowania), zamierzając ponownie przestudiować plany budynku klasztoru na Teth. Nigdy nie było gwarancji, że nawet najdoskonalszy plan powiedzie się zgodnie z oczekiwaniami. Wszystko sprowadzało się do systematycznego ustawiania figur do gry w dejarika na odpowiednich polach. Jednak w tym przypadku... cóż, musiał przyznać, że jak do tej pory wszystko szło nadspodziewanie dobrze.

Otworzył komputerowy notes. W jego głowie rodziło się nieustannie tyle pomysłów, tyle projektów, kolejnych posunięć, które miały skierować wydarzenia na taki czy inny tor albo uruchomić właściwy plan awaryjny, jeśli szczęście przestanie im sprzyjać... Planowanie było niczym dziedzina nauki i Dooku gardził każdym, kto nie darzył jej odpowiednim szacunkiem.

Co prawda porwanie mogło się nie udać, a porywacze mogli zostać zatrzymani, ale nawet wtedy nie istniał żaden trop, który w przypadku śledztwa doprowadziłby do Dooku. Gdyby coś nie wyszło, miał inne plany, które wprowadziłby w życie bez pomocy Ziry. Wiele kwestii mogło się stać kością niezgody między Jabbą a Republiką. Gdyby pewne szczegóły dotyczące podróży na Teth przeszły bez echa, Dooku był przygotowany na uruchomienie nowych ścieżek, które z pewnością skierują uwagę Jabby we właściwym kierunku. Nawet gdyby Hutt nie zwrócił się o pomoc do Zakonu, hrabia miał w zanadru serię intryg, dzięki którym jakiś Jedi zostałby w końcu zamieszany w sprawę porwania małego Rotty.

Całe lata przygotowywał się do zadania Republice ostatecznego ciosu. Lata. Sporo

jeszcze zostało do zrobienia, ale w końcu nadejdzie ta upragniona chwila, wiedział o tym. Galaktyka była już na to gotowa. Światy pragnęły same kierować własnymi losami. Wkrótce tego dokonam, Lordzie Sidiousie, zaśmiał się w duchu. Republika prezentuje sobą najgorszy rodzaj dyktatury – pseudodemokrację przyozdobioną lukrem fałszywych uśmiechów i tolerancji, dopóki tańczysz, jak ci zagrają.

A ja nie zamierzam działać pod niczyje dyktando. Umiem myśleć za siebie.

Zapatrzył się w labirynt świetlnych linii, tworzących plany przypominającego twierdzą budynku: pełnego zakamarków i wnęk, o grubych, potężnych murach.

„Nie myśl, padawanie Dooku”, napłynęły z obrzeży umysłu słowa jego Mistrza.

– Myliłeś się, Jedi – powiedział na głos. – Myliłeś się wtedy i tak samo mylisz się teraz.

To nie uczucia decydowały o przeznaczeniu. Budowała je myśl, twarda logika. Dla Dooku ślepe ufanie emocjom nie było cnotą. Było ułomnością.

Gdyby miał wychowywać dziecko, karałby za takie zachowanie, ponieważ prowadziło do działania impulsywnego, oznaczało niezdolność do podejmowania dojrzałych decyzji i brak samokontroli.

Kiedy sam był uczniem, zakazywano mu myśleć. Od małego był wdrażany do bycia Jedi.

„Nie podawaj wszystkiego w wątpliwość, padawanie Dooku” – mawiali. – „Czuj. Nie wążp. Wierz”.

Cóż, teraz podawał w wątpliwość wiele rzeczy. I nie wierzył ślepo w nic, czego nie mógł sam sprawdzić. Republika była zepsuta do szpiku kości, a Jedi okazali się pieskami na jej smyczy, świętoszkowatymi popychadłami. Ale już niedługo będą grzać swoje ciepłe stołki, bardzo niedługo... Darth Sidious położy tej farsie kres, a Dooku wiedział, że jego moralnym obowiązkiem jest dopilnowanie, żeby to doszło do skutku.

Chwilę później zamiast wypolerowanego blatu apocjowego biurka zobaczył znowu śnieg: pokryte dziewiczą bielą pole bitwy, nad którym w końcu zapadła cisza. Cienkie czerwone linie na planie klasztoru zmieniły się w strużki krwi. Dooku bał się, że już nigdy nie zdoła zmyć jej z rąk.

Stał po kostki w białym, puszystym śniegu zimy Galidraanu. Wokół pełno było ciał Jedi i Mandalorian, a w uszach wciąż mu dźwięczał jego przerażający głos, świadectwo hańby.

Co on uczynił?

Ta bitwa była masakrą – i to Jedi za nią odpowiadali, pionki skorumpowanego galidrańskiego gubernatora, który próbował wykorzystać mandaloriańską armię do własnych celów. Kiedy Dooku spoglądał teraz wstecz na swoje życie, dotarło do niego, która chwila tak naprawdę zmieniła jego bieg. To był moment, w którym zaczął myśleć.

Wierzyłem moim Mistrzom, przypomniał sobie z goryczą. Nie próbowałem analizować. A oni również nie podawali niczego w wątpliwość. Wzięli słowa gubernatora za dobrą monetę. Po prostu mu uwierzyli. To dlatego zabijaliśmy ludzi, pomyślał gorzko. Zabijaliśmy ich z powodu kaprysu zwykłego kryminalisty.

Jeżeli chcieliście zabijać, powinniście byli iść na wojnę. Tam nie byłoby czasu na rozważanie, kto jest winny, a kto nie, nie musielibyście dotrzymywać słowa, pomyślał gniewnie Dooku. On sam polegał jedynie na twardych dowodach.

Co uczyniłem? – te słowa powracały jak echo.

Przejrzałem na oczy, uznał.

A zapłacą za to Jedi, chociaż to czyni ze mnie takiego samego degenerata, jak oni.

Muszę po prostu wykorzystywać ich tępy, ślepy błogostan przeciwko nim, nakazał sobie. Zwalczać ich ich własną bronią. Zwyciężać zło dobrem. To warte każdej ceny. Jedi przecież nie powiedzą „przepraszam” i nie wycofają się grzecznie, jeśli nawet wytknie się im błąd w polityce Republiki.

Ostatnio bardzo często zdarzało mu się toczyć podobne dyskusje z samym sobą.

Śnieg stopniał, a ciała pogrzebano, ale Dooku nie potrafił wymazać z pamięci widoku twarzy Janga Fetta, twarzy człowieka powracającego z krainy umarłych na statku niewolników, na który go sam wysłał – człowieka, który zacisnął zęby i przeżył gehennę tylko dla tej jednej chwili wyrównania rachunków.

Ten obraz opuszczał hrabiego Dooku zawsze jako ostatni. I nie chodziło tylko o miliony żołnierzy sklonowanych z materiału genetycznego Janga, których widział wszędzie wokół. Rzecz w tym, że Fett nie dożył chwili, kiedy Jedi upadną. Wiedział, że łowcą nagród w dążeniu do realizacji takich samych ambicji, jak jego, nie kierowała chciwość, ale podobne przeświadczenie: że Zakon Jedi to banda ślepych głupców.

Fett zginął z ręki Jedi, jednak jakaś jego część umarła dużo wcześniej, na Galidraanie; potem napędzała go już tylko nienasycona potrzeba, głód zadośćuczynienia sprawiedliwości.

Nasz dzień jeszcze nadejdzie, Fett, zapewnił go w myśli.

Sięgnął znów po komunikator – żeby nawiązać połączenie z Teth. Czas na kolejny etap operacji, uznał.

– Ventress? – rzucił do mikrofonu. – Ventress, czy mały Hutt ma się dobrze? Chcę być na bieżąco.

## ROZDZIAŁ 4

*Żeby ocenić wartość informacji, musicie znać tego, któremu macie je dostarczyć. Innymi słowy: kto chce, żebyście je dla niego znaleźli, a kto nie? I dlaczego? Jeżeli wejdziecie w posiadanie ważnej informacji zbyt łatwo, może się okazać, że to pułapka. Tak więc jeżeli chodzi o Teth, musicie być szczególnie ostrożni.*

Oficer wywiadu, porucznik Kom'rk, N-6, z brygady do zadań specjalnych Wielkiej Armii Republiki

### **Punkt obserwacyjny, Crystal City, Christophsis**

Anakin wiedział, że musi zacisnąć zęby i pogodzić się z niezbędnymi formalnościami ze strony Rady Jedi, ale... przecież trwała wojna! Istniało duże prawdopodobieństwo, że zginą. Nie miał czasu na szkolenie padawana!

Ale nie zamierzał też narzekać w obecności kapitana Reksa. Dla żołnierzy nie było nic bardziej demotywującego niż służenie pod rozkazami dowódcy, który nad sobą nie panuje. Jeśli jego ludzie znosili ciężkie warunki bez słowa skargi, on tym bardziej powinien wziąć się w garść.

Tak właśnie postępowali żołnierze – i oczekiwali od niego tego samego.

Opuszczony apartamentowiec świetnie się sprawdzał jako punkt obserwacyjny. Przy dobrej widoczności widzieliby stąd jak na dłoni wszystko dookoła, w promieniu jakichś trzydziestu klików. Dym wiszący nad miastem opadł dosyć nisko, jednak widok wciąż był całkiem niezły, a położenie punktu w pewien sposób rekompensowało brak wsparcia z powietrza i wysuniętego stanowiska kontroli lotów. Można było stąd kierować ostrzałem z dział pocisków dalekiego zasięgu.

Potrzebne nam posiłki, przeszło mu przez myśl. Wojska lądowe, eskadra myśliwców, może także chociaż jeden batalion pancerny...

Ahsoka wspięła się na barierkę i rozejrzała ze szczytu opuszczonego drapacza chmur, jakby była na wycieczce i podziwiała widoki. Anakin natychmiast złapał ją za pasek i

ściągnął z powrotem. Była za smarkata, żeby tak się wychylać.

– To nie popis akrobacji, młoda – burknął. – Separancy strzelają z ostrej, nie ma co kusić losu.

– Wiem, co robię – stwierdziła lekko Ahsoka, poprawiając pas. – Dlaczego nie wyślecie kilku drużyn, żeby przedarły się do...

– Wystaw jeszcze raz głowę w taki głupi sposób, a ci ją odstrzelą – wszedł jej w słowo Anakin. – Jesteś Jedi czy nie, to niebezpieczne.

Rex stał odwrócony twarzą w stronę kolumny robotów. Może się im przyglądał, a może patrzył gdzie indziej – trudno było stwierdzić. W takich chwilach jak ta Anakin zazdrościł mu komfortu, jaki dawał hełm. Kapitan nie musiał się starać, żeby zachować kamienną twarz. Kiedy pragnął odrobiny prywatności, po prostu odcinał łączność. W hełmie mógł się zżymać i wyładowywać złość, jak tylko mu się podobało, a jeśli tego nie chciał, nikt nie był w stanie się zorientować, w jakim jest nastroju.

Klony często korzystały z tego błogosławieństwa. Anakin wiedział coś o tym.

– A mówił pan, że nie chce mieć padawana, sir – odezwał się w końcu Rex.

– To nieporozumienie – zapewnił go Anakin. Jak tylko batalion zostanie odwołany, odeśle Ahsokę z powrotem do Świątyni, postanowił. – To dziecko nie zostanie ze mną. Nie mogę uczyć padawana. Takie rzeczy powinno się wcześniej przedyskutować z zainteresowanym...

Ahsoka stanęła przed nim z rękami na biodrach i uniosła hardo podbródek.

– Nie mów tak do mnie! Nie spławisz mnie, Rycerzyku – krzyknęła.

– Rycerzyku? – Rex zdjął hełm i parsknął śmiechem. – Rycerzyku! A to dobre!

Anakin nie był w nastroju do żartów. Posłał Ahsocie mordercze spojrzenie.

– Jak mnie nazwałaś? Nie bądź taka cwana, dziewczynko! Wiesz, według mnie jesteś za smarkata, żeby być padawanką!

– Nie jestem smarkata! – zaprotestowała Togrutanka. – Mam czternaście lat!

– Ja mam dopiero dziesięć – rzucił z kamienną twarzą Rex. – Tylko jestem trochę wyrośnięty jak na swój wiek.

– Tak czy siak, Mistrz Yoda uważa, że jestem wystarczająco dorosła na padawana.

– Cóż, Mistrza Yody tu nie ma – odgryzł się Anakin. – A więc to mnie musisz to udowodnić. A ponieważ wygląda na to, że chwilowo nie mam jak odesłać cię na Coruscant, może zamiast gadać byle co, przydasz się na coś? Rex, oprowadź ją trochę i pokaż, co i jak. I nie pozwól jej za bardzo pyskować – dodał.

Kapitan sprawdził poziom zasilania w ogniwach swojego karabinu i pistoletu blasterowego, a potem wskazał Togrutance schody.

– Tak jest, sir – powiedział. – Chodź, dzieciaku.

Naburmuszona Ahsoka ruszyła za nim bez słowa protestu, ale Anakin zauważył, jak się krzywi i poprawia kapitana bezgłośnie: „Padawanko!” Widać było, że naprawdę przejmuje

się przydzieloną jej rolę.

– A jeśli kapitan Rex wyda ci rozkaz – zawołał na odchodnym – masz go wykonać, jasne?

Ahsoka zmrużyła oczy.

– Tak jest... Rycerzyku.

*Stang!* Nie ma czasu, żeby zajmować się jakimś głupim bachorem! Patrzył w napięciu, jak obydwójce znikają na zasnutej dymem klatce schodowej i dopiero po dłuższej chwili pozwolił sobie na swobodniejszy oddech.

Kenobi siedział przy przenośnej stacji łączności z lekko przechyloną głową, jakby nasłuchiwał zakłóceń na łączu, powodowanych burzą słoneczną szalejącą w górnych warstwach atmosfery Christophsis.

– Nie sądzisz, że jesteś dla niej zbyt surowy? – zagadnął Skywalker.

– Nie – burknął Anakin. – Nie mam czasu się cackać z jakimś gówniarzem.

– Cóż, muszę przyznać, że spodziewałem się po niej nieco większej samodyscypliny – westchnął Obi-Wan i zawiesił głos, nasłuchując, czy biały szum przechodzi już w zrozumiały sygnał, ale na linię widocznie znów wdarły się trzaski. Wciąż nie mogli nawiązać łączności z Coruscant. – Ale ty też nie jesteś uosobieniem spokoju.

– Ale ja mam przynajmniej dobry powód! – wybuchnął Anakin. – Nie zamierzam bawić się w niańkę na polu bitwy!

– Nie jesteś znowu tak dużo starszy od niej.

– Obawiam się, że wręcz przeciwnie, Mistrzu – powiedział Anakin zaskakująco spokojnym tonem. – Jestem starszy o całe wieki...

Kenobi spojrzał na niego i uniósł pytająco brew. Przez moment wydawało się, że po ustach błąka mu się cień drwiącego uśmiechu, ale znikł natychmiast, gdy Obi zrozumiał, co Anakin ma na myśli.

– Wiem, jak ciężko znosisz tę wojnę – powiedział cicho. Nie drążył tematu, chociaż z pewnością od czasu do czasu musiał wyczuwać poprzez Moc jego ból. Wiedział, że nie chodzi tylko o wojnę. Nigdy nie pytał swojego ucznia o szczegóły wydarzeń, jakie rozegrały się na Tatooine; Anakin nie potrafił zgadnąć, czy wynika to z braku zainteresowania, czy jest spowodowane czym innym. – Cóż, w każdym razie na pewno jesteś wystarczająco dorosły, żeby traktować ją łagodniej.

Nie wiesz, co to miłość, Mistrzu. Ani strata. Nie znałeś nawet własnej matki, pomyślał.

Anakin wciąż jeszcze nie potrafił oswoić się z myślą, że zakończył szkolenie i Kenobi już nie jest jego Mistrzem. Od czasu do czasu zdarzało mu się jeszcze zwracać do niego tym tytułem i teraz na widok przelotnego uśmiechu na twarzy Obiego zaczął się zastanawiać, czy nie dostanie bury. Czasami postrzegał Obi-Wana jako ostoję spokoju i bezpieczeństwa; kiedy indziej miał wrażenie, że jego były Mistrz jest jak pyszałkowaty starszy brat, który korzysta z każdej okazji, żeby udowodnić mu, że jest od niego we wszystkim lepszy.

Kiedy powiedział o tym Padme, wydawała się zaskoczona.

Przecież Kenobi też nie chciał mnie wziąć na padawana, przypomniał sobie. Podjął się tego tylko z poczucia obowiązku.

Anakinowi często zdarzało się myśleć o rzeczach, nad którymi tak naprawdę wcale nie miał ochoty się zastanawiać. Bywało to nawet gorsze niż uporczywe wspomnienia o rzezi w wiosce Tuskenów. W takich chwilach musiał mierzyć się tylko z duchami przeszłości. Stawienie czoła własnym żalom i rozterkom związanym z osobą Mistrza, którego powinien przecież szanować i troszczyć się o niego, było naprawdę trudne.

– Muszę pomajstrować przy paru rzeczach – wymamrotał, zabierając z prowizorycznej konsoli wysłużony komunikator. – Nie zajmie mi to dużo czasu.

To był jego sposób na zasygnalizowanie, że chce pobyć przez jakiś czas sam. Kenobi nigdy nie zadawał niewygodnych pytań. Anakin szukał czasem prywatności, żeby zadzwonić do Padme albo napisać wiadomość, którą jej wyśle przy najbliższej okazji. Trudno znosił okresy rozstania, a jeszcze więcej trudu kosztowało go utrzymanie ich związku w tajemnicy.

Żadnych związków, przypomniał sobie zasadę panującą w Zakonie. Wiem o tym, ale nie potrafię tak żyć, Mistrzu, westchnął w duchu.

Znalazł cichy kąt, dwa piętra pod punktem obserwacyjnym, i zaszył się w rogu pomieszczenia. Pokój musiał służyć dawniej jako część kompleksu rozrywkowego albo sala pokazowa: jedną ścianę zajmował ogromny holoprojektor. Kable sterczały na wszystkie strony, a wokół pełno było śladów trafień z blastera i gruzów pozostawionych przez serię z działka, która przeleciała przez salę i trafiła w przeciwległą ścianę. Obite soczyście zielonym, faruzjańskim błyszczojedwabiem siedzenia leżały poprzewracane pod ścianami – ich nogi z plekodrzewia były dosłownie potrzaskane. Z niektórych foteli wysypało się na podłogę szare wypełnienie, w niepokojący sposób przywodząc na myśl rozpryskany mózg.

Anakin rozmontował komunikator niemal bezwiednie. Manipulowanie próbnikami i mikrokluczami przychodziło mu tak naturalnie, jakby narzędzia były przedłużeniem jego palców. Składanie mechanizmów i ich naprawianie było kojącym zajęciem; dawało mu poczucie kontroli nad wydarzeniami i czas wystarczający do zebrania myśli.

„Rycerzyk”, przypomniał sobie przydomek, który nadała mu Togrutanka. Założę się, że jej zdaniem to zabawne, parsknął w myśli. Uważał to za bardzo szczeniackie zachowanie. Ahsoka naprawdę działała mu na nerwy.

Właściwie nie wiedział dlaczego; może chodziło o to, że nie bardzo pociągała go perspektywa brania odpowiedzialności za innych. Nie mówiąc już o tym, że smarkula stanowczo za dużo gadała. A w dodatku zachowywała się w ten denerwujący, przemądrzały sposób, zupełnie jakby każdym swoim gestem chciała udowodnić, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Chociaż Skywalker walczył w niejednej bitwie i wojenna zawierucha stała się dla niego chlebem powszednim, każdego dnia uczył się od swoich żołnierzy czegoś nowego. Cóż, skoro on mógł, tej smarkuli na pewno też wyjdzie na dobre odrobina wojskowego drylu.

Ale przecież mnie też Rada Jedi nie chciała przyjąć na ucznia, upomniał się w myśli. Zignorowali przepowiednię, według której miałem być Wybrańcem... Mistrz Yoda mnie skreślił, tak samo jak Windu.

Wszyscy członkowie Rady mieli coś pilniejszego do roboty, niż pomagać temu zagubionemu dzieciakowi, jakim był, w zrozumieniu tej dziwnej, przerażającej siły, którą dysponował i która go przerastała.

Wciąż jeszcze jej do końca nie pojmował.

Przypomniał sobie, jak stał w przestronnej, lśniącej sali przed Radą Jedi. Od Mistrzów promieniowała mieszanina strachu, lekceważenia i dezorientacji... Jak ci ważni, dostojni mądrale mogli czuć coś podobnego, skoro to on został nagle pozbawiony wszystkiego, co kochał i znał i rzucony w nieznaną? Pamiętał, że jedyną przyjazną osobą, która się o niego wtedy troszczyła, był Mistrz Qui-Gon Jinn. Ale jemu też zabronili szkolić Wybrańca...

Qui-Gona nie obchodziło jednak zdanie Rady. I tak wziął go na swojego ucznia, chociaż Anakin nie był oficjalnie jego padawanem.

Dlaczego w ogóle myślę o tym wszystkim akurat teraz? – zastanowił się. Przecież to już zamknięty rozdział... Czy od tamtej pory nie przybyło mi aż nadto złych wspomnień, które mógłbym rozpamiętywać?

Mistrz Qui-Gon Jinn od dawna nie żył.

Jeżeli już coś powinno dręczyć Anakina, to raczej śmierć jego matki. Wtedy nie myślał nawet o Padme...

Anakin dopiero teraz zauważył, że złożył z powrotem komunikator, całkiem bezwiednie. Sprawdził działanie kontrolki zasilania: zaskoczyło go pierwszym razem. Cóż, czasem małe zwycięstwo naprawdę może zmienić świat na lepszy.

Może ta dziewczyna jest taka jak ja? – przyszło mu do głowy. Może jej też nikt nie chce wziąć na ucznia?

Nie cieszyła go zbytnio perspektywa szkolenia padawana, ale wiedział aż za dobrze, jak to jest czuć się odrzuconym. Najwyższy czas przekonać się, czy zdoła naprawić niezbyt szczęśliwy początek więzi ze swoją padawaną równie łatwo, jak komunikator.

## **Central Plaza, Crystal City**

Rex przedzierał się w towarzystwie nowej padawanki Skywalkera przez resztki czegoś, co musiało być kiedyś pięknym miejskim skwerem.

Miał nadzieję, że mała docenia szansę na chwilowe zaniechanie dyskusji o jej losach. Zastanawiał się, czy smarkula zdaje sobie sprawę, że Skywalker nie jest najcierpliwszym z Jedi i jeżeli będzie dalej przeciągać strunę, to może się o tym przekonać na własnej skórze w dosyć bolesny sposób. Jego ludzie lubili Skywalkera; facet potrafił dowodzić żołnierzami i



rozumiał ich, jakby był jednym z nich, ale... żadne ale, poprawił się w myśli – poza tym miał nad nim pewną... przewagę. Dobry oficer nie powinien kwestionować rozkazów. Musi znać swoje miejsce.

Ahsoka przystanęła w pół kroku i spojrzała na niego z namysłem.

– Nie powinienes mieć przypadkiem na głowie hełmu? – spytała podejrzliwie.

Buty Reksa zachrzęściły na szczątkach pokruszonej marmurowej płaskorzeźby, która była chyba kiedyś częścią fontanny.

– Mam w uchu słuchawkę komunikatora – wyjaśnił i wskazał niewielkie urządzenie. Pomyślał, że może przydałoby się poduczyć dziewczuskę standardowych procedur operacyjnych... – Szukamy teraz snajperów – dodał.

– A myślałeś o przesunięciu linii do tyłu? – Ahsoka wskazała na stanowiska artyleryjskie. – Wojsko miałoby wtedy lepszą osłonę.

Cóż, może przeceniał jej zdolność pojmowania... Nie miał przecież do czynienia z młodym klonem. Ta mała zachowywała się, jakby pozjadała wszystkie rozумы i pewnie bała się przyznać, że w gruncie rzeczy mało wie. Musiał coś z tym zrobić, inaczej Skywalker będzie miał pełne ręce roboty.

– Dziękuję za sugestię, ale... generał Skywalker uważa, że to dobra pozycja – stwierdził dyplomatycznie.

– Moim zdaniem działo powinno być lepiej osłonięte – nie ustępowała Ahsoka.

– Pamiętaj, że musimy też mieć dobry zasięg.

– A co by było, gdybym wydała ci rozkaz przesunięcia stanowisk artyleryjskich? – stwierdziła chytrze Togrutanka – Jeśli ty jesteś kapitanem, a ja jestem Jedi, to... teoretycznie przewyższam cię rangą, tak?

– Teoretycznie jesteś jeszcze dzieckiem – uciął Rex.

– Padawanką! – poprawiła go z naciskiem Ahsoka.

Chyba chciała dodać coś jeszcze, ale zrezygnowała. Rex nie zamierzał ciągnąć jej za język. To była równie dobra pora, jak każda inna, żeby nieco ją utemperować.

– Słuchaj, młoda – zaczęła. – Chyba najwyższy czas, żebyśmy wyjaśnili sobie kilka rzeczy.

Ahsoka dostrzegalnie się zjeżyła. Rex nigdy wcześniej nie miał do czynienia z przedstawicielami rasy Togruta, więc nie miał pojęcia, co jest u nastoletnich Togrutanek normalne, a co nie. Wiedział jednak, jak powinien się zachowywać przeciętny Jedi, a ona z pewnością nie pasowała do tego modelu.

– Wydaje mi się, że...

– Boisz się? – Rex nie dał jej dokończyć.

– Ja? Skąd! – prychnęła z oburzeniem.

– Cóż, to niedobrze, bo powinnaś – skwitował. – Jeśli nie boisz się na wojnie, to chyba nie do końca dociera do ciebie powaga sytuacji. – Usiadł na odłamku muru, żeby móc jej

spojrzeć w oczy. Wolałby co prawda uczyć dziewczynę na praktycznych przykładach, ale to się mogło źle skończyć, a poza tym nie chciał traktować jej zbyt surowo. Była w końcu tylko dzieckiem; na pewno przepełniała ją mieszanka dziecięcej niepewności i entuzjastycznej wiary w siebie – jakby mogła samą tylko siłą woli powstrzymać ostrzał, jeśli będzie tego chciała wystarczająco mocno. – Wykonuję rozkazy wydane bezpośrednio przez generała Skywalkera. To się nazywa łańcuch dowodzenia i ma ogromne znaczenie, bo każdy z nas musi znać swoje obowiązki, inaczej ganiałibyśmy w kółko jak spanikowane nuny. A ty też musisz wykonywać jego rozkazy, bo jesteś jego padawaną. Zrozumiano?

– Tak jest, kapitanie – mruknęła i opuściła troszkę hardo uniesiony podbródek.

– Chcesz wiedzieć, jaka jest najważniejsza rzecz w byciu żołnierzem? – spytał ją już łagodniejszym tonem. – To znaczy, chodzi mi o rzeczy, których na pewno nie uczą was w Świątyni.

– A skąd niby wiesz, czego uczą nas w Świątyni? – wypaliła butnie.

– Bo cię obserwuję – odgryzł się.

– Dobra. – Podbródek opadł jeszcze trochę. – Liczy się doświadczenie.

Rex westchnął w duchu. Nie było sensu wytykać jej wszystkich błędów. Musiał spróbować zejść na jej poziom.

– Po pierwsze – podjął – rozkazy. Trzeba ich słuchać. Dzięki nim zdołasz przetrwać. Po drugie, jesteś częścią drużyny, a w zespole troszczymy się o siebie nawzajem: ja osłaniam ciebie, a ty osłaniasz mnie. A po trzecie, ranga oficerska nie zapewnia ci automatycznie szacunku. Na szacunek trzeba sobie zasłużyć. To nie dzięki tytułowi Skywalker jest darzony przez wszystkich respektem, tylko dlatego, że sam nas szanuje i traktuje jak równych.

Zawiesił głos tak, żeby jego słowa w pełni do niej dotarły. Podejrzewał, że mała rozpaczliwie pragnęła być brana na poważnie i traktowana jak dorosła. Cóż, wojna na pewno sprawi, że dorośnie za szybko – i to pewnie już niedługo, stwierdził w myśli.

Togrutanie mieli głowoogony, ale inne niż Twi'lekwie – trzy, nie dwa, no i dużo krótsze niż bliźniacze twi'lekańskie lekku. Głowoogony Ahsoki były zabarwione w jaskrawe, białe i niebieskie pasy; zwisały teraz z jej ramion w sposób, który sugerował przygnębienie.

– Cóż, to brzmi rozsądnie – powiedziała w końcu.

– A więc... Czy teraz już się boisz?

– Tak – odparła. – A ty?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Ale przecież powinniście być nieustraszeni! – zaprotestowała.

– Wszyscy z tej samej sztancy? – zaśmiał się gorzko Rex.

– Wy... – zająknęła się. – Przecież jesteście klonami, prawda?

Kapitan oparł hełm na kolanie. Nie mógł jej zademonstrować działania wyświetlacza przeziernego wewnątrz kubła, bo hełm nie zmieściłby się jej na głowę z powodu głowoogonów, ale za to prześle informacje z bazy danych do jej datapada. Jeszcze chwila i

lekcję można będzie uznać za zakończoną pomyślnie. Będą kwita.

– To zupełnie jak z Togrutanami – powiedział. – Wszyscy przedstawiciele waszej rasy są tacy sami.

– Co takiego? – spytała, zaskoczona.

– Zjrzyj tylko do bazy danych o rasach, z której korzystamy. Poczytaj sobie. – Rex wsunął rękę do hełmu i aktywował połączenie. – Sprawdź notatnik.

Ahsoka odpięła urządzenie od pasa i spojrzała na ekran. Najpierw zmarszczyła czoło z namysłem, ale po chwili koncentracja zmieniła się w zaskoczenie. Zmrużyła gniewnie oczy.

– Jejku, to przecież kompletne bzdury! – parsknęła i zaczęła czytać na głos: – „Większość przedstawicieli rasy Togruta to osobniki niesamodzielne. Wiele ras jest zdania, że Togrutanie są jadowici... Togrutanie lubią posilać się thiamarami, niewielkimi gryzoniami...” To nie w porządku! Ja wcale taka nie jestem!

Rex uśmiechnął się pod nosem. O to właśnie chodziło! Ahsoka podniosła na niego wzrok i w końcu pokiwała z rezygnacją głową.

– Czy teraz się rozumiemy, padawanko? – spytał.

– Tak jest, kapitanie. – Odwzajemniła uśmiech, najpierw nieśmiało, a wreszcie z całego serca, demonstrując imponujące uzębienie. Fakt, Togrutanie odziedziczyli ostre zęby swoich drapieżnych przodków. Biedny dzieciak, musi się tutaj czuć przeraźliwie samotny... – Nie ma to jak doświadczenie.

– Brawo – podsumował Rex. – Chodźmy w takim razie na mały rekonesans. – Wstał i dał jej znak, żeby szła za nim. Z głośnika w hełmie dobiegały odgłosy prowadzonych na różnych kanałach rozmów, ale nie było śladu aktywności robotów i ten fakt bardziej martwił kapitana, niż cieszył. Blaszaki wkrótce wrócą, tego był pewien. Powtórzył w głowie plan awaryjny, ostatnią deskę ratunku, którą wypadnie im wykorzystać, jeśli szybko nie nadejdą posiłki. – Przynajmniej nie musimy się martwić o cywili – westchnął. – To najgorszy koszmar, kiedy walczy się na terenie zamieszkanym, narażając obywateli na niebezpieczeństwo. Masz wtedy bardzo ograniczone pole manewru. Blaszaki nie mają skrupułów przed zabijaniem osób niebiorących bezpośredniego udziału w walce i po prostu prują do wszystkiego, co im stanie na drodze, a my jesteśmy w pewnym sensie ograniczeni regułami interwencji zbrojnej.

Zza stosu śmieci wyprysnęło nagle jakieś małe zwierzątko – Rex nie zdążył się zorientować, co to było. Ahsoka natychmiast uniosła głowę i podążyła za stworzeniem wzrokiem, nie zwalniając kroku ani na chwilę. Była to instynktowna, odruchowa reakcja na gwałtowny ruch. Powiedziało to Reksowi wiele o tej małej Togrutance: w jej żyłach faktycznie płynęła krew drapieżników. Była szybkim i wprawnym łowcą – czujnym, gotowym w każdej chwili do skoku zwierzęciem stadnym, zupełnie jak jej praprzodkowie. A podczas wojny takiej jak ta drapieżnik może być cennym sprzymierzeńcem.

Ma predyspozycje na dobrego żołnierza, pomyślał kapitan. Mam tylko nadzieję, że zdołamy ją uchronić przed głupią śmiercią, jeśli będzie chciała to wszystkim wokół

udowodnić...

Mała, puchata kulka ciemnego futra wynurzyła się ponownie kilka metrów dalej.

– Proszę – zażartował Rex – nie rób sobie teraz przerwy na przekąskę... A przynajmniej nie na moich oczach.

– Nie, dzięki, po gryzoniach mam wzdęcia – zaśmiała się Ahsoka i przestała śledzić stworzonko. Przeniosła wzrok na linię horyzontu i obrzuciła ją uważnym spojrzeniem dużych, lekko zmrużonych oczu. Z pewnością była obdarzona równie doskonałym wzrokiem, jak jej przodkowie. Po chwili zmarszczyła czoło i wskazała niepewnie ręką jakiś punkt. – Co to?

Rex nie zauważył nic niepokojącego, ale sądząc po nagłym jazgocie w słuchawce jego komunikatora, załoga w punkcie obserwacyjnym musiała dostrzec to zjawisko w tej samej chwili co Ahsoka. W ich stronę wolno pełzła ogromna, różowopomarańczowa kula, przezroczysta i lekko połyskująca, pochłaniając stopniowo budynki na odległym krańcu ulicy. W dodatku cały czas się rozrastała. Rex poczuł, że żołądek skręca mu się w ciasny węzeł.

– To oznacza kłopoty... – mruknął.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, Rex – nie ustępowała Ahsoka. – Co to takiego?

– Pole siłowe – wyjaśnił, odwracając się na pięcie i ruszając truchtem do tymczasowego sztabu operacyjnego. – Robi się nieciekawie. Nasze działa tego nie przebiją. A my nie mamy wystarczającej liczby żołnierzy, żeby unieruchomić roboty... Chodź, wracamy do bazy – przynaglił ją.

– Ale macie jakiś plan, prawda?

– Zawsze mamy plan – uspokoił ją Rex. – Awaryjny... i jeszcze bardziej awaryjny. Musimy tylko wcielić je w życie jeden za drugim, dopóki któryś nie zadziała, i mieć nadzieję, że wcześniej nie zginie.

Togrutanka potruchtała za nim, a wreszcie puściła się biegiem.

– Może Mistrz Yoda przyśle posiłki?

Rex zatrzymał się na kilka sekund i przyjrzał świetlistej kuli pochłaniającej coraz większy teren, szacując prędkość rozprzestrzeniania się plazmy. Pole dotrze do nich na długo, zanim ktokolwiek zdoła im przylecieć na ratunek.

– Wracając do zdobywania doświadczenia – westchnął – to wierz mi, okazji będziesz miała aż nadto.

– Nie martw się – pocieszyła go Ahsoka. – Będę cię osłaniać.

Rex nie miał co do tego wątpliwości.

– A ja ciebie – zapewnił ją.

## **Stanowisko łączności**

Holomapa Crystal City potwierdzała obraną przez Separatystów strategię. Anakin

przyglądał się w skupieniu ruchomym punktom świetlnym, oznaczającym pozycje robotów. Blaszkaki zbliżały się nieuchronnie, bezpiecznie chronione osłoną pola siłowego. Jedna z kolumn kierowała się prosto na stanowiska artyleryjskie na placu. Czuł się bezsilny i było mu z tym bardzo źle. Kenobi przechylił głowę na ramię.

– Trudno precyzyjnie określić położenie generatora pola, ale musi być gdzieś w tym rejonie – wskazał punkt na mapie. – Pole ma kształt z grubsza kulisty, co oznacza, że prawdopodobnie znajduje się w tym promieniu. – Zanurzył palec wskazujący w siatce świetlnych linii i zatoczył nim niewielkie koło. – Działa sobie z tym nie poradzą, więc proponuję, żebyśmy oszczędzili amunicję na później. Przez ten czas możemy spróbować związać ich walką w ograniczonych przestrzeniach.

– Wciągnąć ich między budynki – zgodził się Rex. – Jeśli chcą zaatakować, będą musieli nas najpierw znaleźć. Nie mogą użyć własnych działek, dopóki są wewnątrz pola, więc obrócimy ich tarczę ochronną przeciwko nim.

Ahsoka przyglądała się mapie w milczeniu. Anakin zastanawiał się, co takiego powiedział jej Rex, że ostudził tak skutecznie jej zapał. Wydawała się coś obliczać – wodziła oczami od jednego miejsca na holomapie do drugiego, głęboko zamyślona.

– Skoro ta osłona to taki problem – odezwała się w końcu – to dlaczego jej nie zniszczymy? – Spojrzała pytającym wzrokiem na Reksa. – A może to wcale nie takie proste?

– Wierz mi – wtrącił Anakin z przekąsem. – Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– To by była samobójcza misja – przytaknął Rex. – Nie żeby zabrakło ochotników, ale pewnie stracilibyśmy mnóstwo ludzi, a w walce z blaszakami mamy pewną przewagę. Nie są dobre w starciach na terenie zabudowanym.

– Ja mogłabym to zrobić – stwierdziła lekko Ahsoka. – Mogę, Rycerzyku?

Rex rzucił Anakinowi zagadkowe spojrzenie, ale nie było w nim śladu irytacji. Jedi czuł promieniujące od kapitana poczucie winy, pomieszane z żalem.

– Nie musisz nic nikomu udowadniać, młoda – powiedział kapitan.

– Ale ja naprawdę dałabym radę! – zaprotestowała Togrutanka. – Wiem, że tak! Jestem mała, a poza tym szybko się poruszam. – Spuściła głowę. – A poza tym, gdzie lepiej mogłabym wykorzystać zdolności Jedi?

– To dobry pomysł, Anakinie – wtrącił Kenobi. – Weź Ahsokę i we dwójkę spróbujcie przedrzeć się za linię wroga. – Dźgnął ponownie palcem holomapę. – Rex i ja zajmiemy ich tutaj, będziecie więc mieli szansę przedrzeć się niepostrzeżenie... o, tam.

– Musimy bronić stanowisk artyleryjskich, sir – zauważył trzeźwo Rex. – Jeśli nie zdołamy ich związać walką między budynkami, dotrą do naszych dział, a wtedy nie uda się już nic zrobić. Nie będzie dla nas ratunku.

– Zajmę się tym – powtórzyła z determinacją Ahsoka i zaraz się poprawiła: – Znaczy, ee... zajmiemy się.

Kenobi powstrzymał się od komentarza. Odłączył się od grupy i skierował do stanowiska

łącności, żeby porozmawiać z komandorem Codym. Ahsoka była teraz bez reszty pochłonięta studiowaniem mapy; powiększyła obraz poszczególnych ulic, jakby już planowała trasę. Anakin odszedł kilka kroków, zatrzymał się w przejściu i skinął dyskretnie Reksowi głową na znak, że chce z nim zamienić słowo.

– Tylko mi nie mów, że nagle nauczyłeś się sztuczek z wpływaniem na umysł – powiedział, kiedy kapitan znalazł się przy nim. – Tak czy inaczej, imponujący wyczyn.

– Hm, może faktycznie przesadziłem trochę z tym zagrzewaniem do walki, sir...

– Zadziało.

– Ona naprawdę chce wszystkim udowodnić, że może się do czegoś przydać – westchnął Rex. – Wyraźnie ubzdurzyła sobie, że musi zrobić coś ryzykownego, żeby zasłużyć na mój szacunek.

– Nie znalazła się tu przypadkiem, Rex – przypomniał mu Skywalker. – Jeśli będzie mogła jakoś pomóc, powinniśmy jej na to pozwolić. Wcale nie przysługuje jej większa ochrona niż mnie czy tobie.

Rex pewnie miał opanowaną do perfekcji sztukę maskowania uczuć, ale nie potrafił kontrolować odruchu źrenic. Przez chwilę sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Rozumiem, sir.

Anakin odwrócił się na pięcie, podszedł do Ahsoki i położył jej dłoń na ramieniu.

– Jeśli to przeżyjemy, Smarku, to sobie utniemy pogawędkę – powiedział ostro.

– Smarku?! – prychnęła z oburzeniem.

– To od tego, że jesteś taka smarkata – wyjaśnił bez mrugnięcia okiem. – Zrozumiano?

– Tak jest, Mistrzu. Chodźmy.

Ruszyła przed siebie różnym krokiem, prawie podskakując. Anakin mógł tylko mieć nadzieję, że nie traktuje walki jak okazji do świetnej zabawy. Postanowił delikatnie wysondować ją poprzez Moc.

Bała się.

Spróbował sobie przypomnieć, jak się czuł, kiedy w jej wieku zdarzało mu się stawiać czoło niebezpieczeństwu. Wspomnienia były bardzo mgliste. Jego przeszłość pełna była wstrząsających zdarzeń, które pamiętał aż za dobrze. Wciąż nosił w sobie niezagojone rany, które zostawiły blizny na jego duszy – pamięć o nich była wiecznie żywa, bo nigdy nie dawały mu spokoju.

Mam dwadzieścia lat, westchnął w duchu, a czuję się, jakbym przeżył... wieczność.

Kroczyli przez opustoszałe miasto ku tarczy, zagarniającej nieuchronnie coraz większy teren. Anakin skierował się w stronę najbliższego wieżowca i zarządził wspinaczkę na dwudzieste piętro. Zasilanie było odcięte. Turbowindy nie działały i za każdym razem, kiedy musieli się wdrapywać wysoko, żeby zorientować się w sytuacji, tracili cenny czas i energię. Czuł, jak napięte mięśnie dają o sobie znać. Tak bardzo przydałoby im się w takiej chwili wsparcie z powietrza. Oddałby teraz wszystko nawet za pojedynczy statek zwiadowczy.

– Więc... jaki jest plan? – spytała rezolutnie Ahsoka.

Anakin przyjrzał się panoramie miasta przez makrolornetkę. Armia robotów bojowych była już niepokojąco blisko.

– Myślałem, że to ty masz jakiś plan.

– E, nie... ja mam entuzjazm! – stwierdziła beztrąsko Togrutanka. – A ty masz doświadczenie, które, mam nadzieję, czegoś mnie nauczy.

Anakin nie był w stanie stwierdzić, czy mała jest po prostu naiwna, czy też w jej głosie słyhać sarkazm. Cóż, Rex wybił jej chyba z głowy skłonność do negocjowania wszystkiego i wszystkich...

– No, najpierw musimy się dostać pod tarczę, a potem za linię czołgów. Podwójna zapora...

– Może pójdziemy naokoło? Obejdziemy ich – zaproponowała.

– Nie mamy czasu.

– No dobra, to może na skróty: pójdziemy środkiem?

Anakin z całych sił starał się zachować spokój, irytacja wzięła jednak górę.

– Tak? – parsknął. – Jasne, nic prostszego, pod warunkiem że zmienisz się w robota. Po prostu zapukasz w tarczę, oznajmisz „rozkaz, rozkaz” i będziesz miała nadzieję, że nie zauważą różnicy.

– No dobra – poddała się Ahsoka. – Pierwszą moją lekcją będzie trzymanie buzi na kłódkę i czekanie, aż ty znajdziesz rozwiązanie.

Wtedy do Anakina dotarło: mała miała rację. Nie było nic bardziej demotywującego od oficera, który każe podwładnemu się zamknąć, a sam nie ma nic mądrego do powiedzenia. Zastanowił się, dlaczego tyle czasu zabrało mu dojście do takiego prostego wniosku.

– Trzeba po prostu spojrzeć na wszystko z innej perspektywy – mruknął na wpół do siebie. – Jeżeli my nie możemy przekroczyć ich linii, niech ich linia przekroczy nas!

## ROZDZIAŁ 5

*Granica między nastawieniem neutralnym a amoralnością jest bardzo cienka. Tak naprawdę, często nie ma jej wcale.*

Hrabia Dooku

### **Sektor zajęty przez Republikę, Crystal City**

Strumień energii z działa uderzył w pole siłowe i rozprysnął się na nim jak gorąca ciecz. Plazma rozproszyła się i zniknęła niemal natychmiast, jakby nigdy nie dosięgła celu.

Rex opuścił makrolornetkę. Wiedział, że nie mają szans w starciu z polem, ale mierzyła go beczynność.

Cóż, zawsze mogli wprowadzić w życie plan B.

– Warto było spróbować. – Kenobi wzruszył ramionami. – Daj im rozkaz do odwrotu. Przynajmniej będziemy sprawiać przekonujące wrażenie: wycofujemy się, bo wpadliśmy w tarapaty...

– Sir, jeśli wolno mi zauważyć – wtrącił kapitan – sprawiamy przekonujące wrażenie, bo jesteśmy w tarapatach.

Kenobi spojrzał na niego w ten swój charakterystyczny sposób. Pewnego dnia, pomyślał Rex, parsknie w końcu śmiechem.

– Hej, tylko próbuję nam dodać animuszu – mruknął generał. – Czy udało nam się już złamać kod ich częstotliwości?

Kilkoma gwałtownymi mrugnięciami Rex przeszedł na otwarty kanał łączności. Separanci będą ich teraz słyszeć tak samo wyraźnie jak Wielka Armia.

– Wycofać się! – warknął. – Powtarzam: wszystkie jednostki, wycofać się i przegrupować! – Tak, z pewnością brzmiało to dość przekonująco. Przeszedł z powrotem na bezpieczne łącze. – Tak jest, sir. Udało się – potwierdził.

Przez chwilę przysłuchiwał się rozmowom prowadzonym na kanale Separatystów przez dowódców czołgów i oficerów kontrolujących roboty bojowe. Generał Whorm Loathsom



został właśnie poinformowany o odwrocie klonów i wyglądało na to, że rozpiera go duma z powodu odniesionego sukcesu. Poleciał swojej zbrojnej kolumnie przez naprzód.

– Generał Loathsom właśnie rozkazał im zająć nasze działa – wyjaśnił Kenobiemu Rex. – Tarcza dotrze tu za jakieś piętnaście standardowych minut.

Kenobi zacisnął dłoń na rękojeści miecza, jakby ćwiczył mięśnie. Facet uwielbiał walczyć, było to widać na pierwszy rzut oka.

– Wierysz w determinizm, Rex? – spytał go z namysłem.

– Gdybym nazywał się Whorm Loathsom, wołałbym nie wierzyć, sir – odparł grzecznie kapitan.

– Jego matka na pewno jest z niego dumna – mruknął Kenobi. – A teraz... nie wychylać się, dopóki nie znajdziemy się wewnątrz pola. Zobaczmy, ile zniszczeń możemy dokonać, zanim czołgi dotrą do punktu krytycznego.

Istniał pewien prosty, ale niezawodny sposób na zatrzymanie postępu zbrojnej kolumny: unieruchomić maszyny na czele i na tyłach – wtedy reszta, uwięziona między bezużytecznymi pojazdami, będzie niezdolna się ruszyć ani uciec. Rex powiększył na wyświetlaczu wyloty głównej ulicy i zaczął planować rozmieszczenie działek przeciwpancernych w taki sposób, żeby dokonać jak najwięcej zniszczeń. Gdyby tylko mieli wsparcie z powietrza... Mogliby zapędzić siły separanców w wąski, ograniczony wysokimi ścianami drapaczy chmur zaułek i wykończyć ich z bezpiecznej wysokości. Tymczasem w tej sytuacji niewdzięczny obowiązek unieszkodliwiania czołgów i robotów spadnie na piechotę, która będzie je musiała załatwiać mozolnie jedno po drugim.

Było to co prawda wykonalne, ale musi kosztować ich sporo wysiłku i ludzi. Coraz trudniej ostatnio określić cenę do przyjęcia, westchnął w duchu Rex.

Zastanawiał się, jak idzie generałowi Skywalkerowi i Ahsocie. Wiedział, że w takiej sytuacji głupotą z ich strony byłoby ryzykowanie połączenia. Ale Jedi mieli ten swój szósty zmysł; może Kenobiemu uda się namierzyć, gdzie teraz są? Na pewno wyczułby, gdyby dali się zabić. Rex widywał takie rzeczy na własne oczy.

Dał swoim ludziom znak, żeby zajęły pozycje i ruszył za Kenobim do pobliskiego budynku, gdzie mieli czekać na rozwój wydarzeń.

– A co, jeśli się dadzą złapać, generale? – zafrasował się Rex, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w chaos obrazów i danych na jego wyświetlaczu HUD. – To znaczy, Ahsoka i generał Skywalker...

Kenobi ani na chwilę nie spuszczał wzroku z opustoszałej, zaścielonej hałdami gruzu i śmieci ulicy. Powietrze wypełniał nieubłagany metaliczny odgłos marszu nadchodzących robotów i rżenie silników czołgów.

– Skoro nie mamy sposobu na zniszczenie pola, to tym bardziej nie będziemy mieli jak pospieszyć im na odsiecz – skwitował.

Rex oczekiwał oznak niepokoju, zakłopotania czy w ogóle śladu jakichkolwiek emocji,

ale Kenobi nie dał nic po sobie poznać. Wydawał się tylko nienaturalnie skupiony na obserwacji otoczenia.

– Jeśli będzie taka potrzeba, zgłaszam się na ochotnika, sir – zaproponował kapitan.

– Dziękuję ci, Rex – odparł Jedi. – Wiem, że on zrobiłby to samo dla ciebie.

Z jego głosu również nie dało się nic wyczytać. Rex przestał drążyć i zaczął się zastanawiać, co musiałyby się stać, żeby opuścił swojego generała w potrzebie.

Nigdy nikogo nie zastawiamy, powtórzył sobie w myśli z mocą.

Do tej pory im się to udawało.

## **Biuro Kanclerza Palpatine'a, Coruscant**

Zanim Palpatine odebrał połączenie od Jabby, wziął kilka głębokich oddechów. Wyrzwał przez transpastalową ścianę swojego biura na szlaki powietrzne i rozciągającą się jak okiem sięgnąć panoramę planety-miasta, oparł głowę na miękkim obiciu fotela i odwrócił się powoli do nadajnika na biurku: dobroduszne wcielenie rzetelności i współczucia.

– Lordzie Jabbo – zaczął łagodnie. – Jak zdrowie?

U boku Jabby stał w gotowości TC-70, android tłumacz, i chociaż Palpatine rozumiał huttański, nie zamierzał się z tym zdradzać. Jak się okazało, automat wypełniał swoje obowiązki bardzo sumiennie.

– Lord Jabba mówi, że wciąż nic nie wiadomo na temat losów jego syna, a to oznacza, że jest głęboko nieszczęśliwy. A kiedy jest głęboko nieszczęśliwy, daje temu wyraz z poszanowaniem reguł dyplomacji.

Cóż za mistrzowsko zawoalowane ostrzeżenie, zadrwił w myślach Kanclerz. Punkt dla tej oślizgłej szumowiny.

– Możliwe, że wpadliśmy na właściwy trop, czcigodny Jabbo – odezwał się służalczym tonem. – Sprawą zajmują się moi najlepsi ludzie. Bądź spokojny, odnalezienie twojego syna stanowi dla nas priorytet.

Jabba zmrużył ślepią w wąskie szparki, a jego cielskiem wstrząsnął lekki dreszcz. TC-70 słuchał przez chwilę z namaszczaniem dudniącego głosu.

– Lord Jabba mówi, że nie uszły jego uwagi wasze ostatnie problemy z transportem żołnierzy i sprzętu na Zewnętrzne Rubieże. Martwi się, czy aby nie ograniczy to waszego zapału do poszukiwań jego syna.

Robienie interesów z kreaturami podobnymi Jabbie to prawdziwa przyjemność, pomyślał Palpatine. Rozkoszował się szansą na rozegranie eleganckiej i subtelnej politycznej partyjki z istotą, która nie tylko cieszyła się swoją władzą, ale i wiedziała, jak ją wykorzystywać. Politycy na Coruscant byli ograniczonymi pętkami o małych możliwościach. Jeśli nawet Jabba nie plasował się w lidze Palpatine'a – bo czy ktokolwiek w ogóle dorastał mu do pięt? –

i tak był godniejszym przeciwnikiem niż reszta, a ponadto bardziej wyrafinowanym graczem, niż ktokolwiek mógłby sądzić.

Obydwoj wiedzieli, o co toczy się gra i jaka jest stawka: w zamian za bezpieczny powrót syna Jabby Republika miała otrzymać swobodny dostęp do Zewnętrznych Rubieży. A może Hutt po prostu wie, co chcę mu zasugerować...? – pomyślał Palpatine.

Zastanawiał się, czy Jabba zakłada, że to Republika zorganizowała porwanie, żeby wyrzucić na nim nacisk w związku ze szlakami i nieco go zmiękczyć. Cóż, gdyby to on był na miejscu Hutta, byłoby to pierwszą rzeczą, o jakiej by pomyślał – poza oczywiście podejrzeniem, że intryg jest więcej, ułożonych jedna na drugiej i zazębiających się ze sobą niczym warstwy korzenia nimitru.

– Muszę przyznać, że zdolność do przemieszczania się przez pewne sektory znacznie ułatwiłaby nam sprawę, lordzie Jabbo – powiedział, przywdziewając maskę umiarkowanego zatroskania. – Ale szukamy, badamy tropy... i znajdziemy twojego syna.

– Lord Jabba jest hojny i okaże wam wdzięczność, jeśli będziecie mieli wyniki – oznajmił android.

Palpatine uśmiechnął się smutno.

– I bez tego podjęlibyśmy się tej misji – skłamał, chociaż doskonale wiedział, że Jabba przejrzy jego blef. – Żadna cywilizowana istota nie mogłaby odrzucić prośby o udzielenie pomocy niewinnemu dziecku. Wiem, jak Huttowie cenią sobie rodzinne więzy.

A także jak odrażające jest knucie krewnego przeciwko innemu członkowi klanu, dodał w myśli ze złośliwą satysfakcją. A niech mnie, Ziro ma szczęście, że jest chwilowo poza podejrzeniami.

TC-70 zamarł w bezruchu, słuchając uważnie słów swojego pana.

– Pan Jabba cieszy się, że go rozumiesz, Kanclerzu.

Jedno było pewne: Hutt był święcie przekonany, że gra idzie o wysoką stawkę. Był do tego przyzwyczajony. Cóż, nikt nie zostawał przywódcą najpotężniejszego z *kajidiców* wierząc, że wszyscy wokół mają dobre intencje. Palpatine obdarzył go promiennym uśmiechem. Wiedział, że Hutt podejrzewa wszystkich o wszystko, niezależnie od dnia i godziny, ale i tak dotrzyma swojej części umowy.

Tak, dla Jabby podobne gierki to nie pierwszorzędne.

Jednak na pewno nie był przyzwyczajony do tego, że jest jednym z pionków. A w tej skrzętnie zaplanowanej przez Palpatine'a wojnie, w której szczerzył na siebie obydwie strony, jego rola ograniczała się właśnie do figury na szachownicy. Ale Jabba nigdy nie miał się o tym dowiedzieć.

## **Szeregi Separatystów, Crystal City, Christophsis**

- Zauważą nas! – szepnęła Ahsoka.
- Są zbyt zajęci.
- Mistrzu, czy naprawdę nadal tego potrzebujemy?

Anakin zatrzymał się w pół kroku; w ciasnej przestrzeni głośno rozlegały się ich przyspieszone oddechy. Pod znaną wśród szczątków pokrywą, osłaniającą ich niczym muszla mięczaka kasaq, trudno było się poruszać i orientować. Czołgali się kawałek po kawałku i zatrzymywali co chwila. Co jakiś czas musieli unosić pokrywę, żeby wystawić głowy na zewnątrz i się rozejrzeć.

Wszędzie wały się sterty gruzu i śmieci, krajobraz był monotony. Pod fragmentem roztrzaskanej pokrywy instalacji dwójka Jedi była niewidoczna dla robotów bojowych: mieli ten sam kolor i temperaturę co otoczenie. Jediną rzeczą, jaka mogła ich zdradzić, był ruch – dlatego przemieszczali się stosunkowo powoli, robili zwody i kluczyli.

- W porządku... – stwierdził w końcu Anakin. – Gotowa? Na trzy... dwa... jeden... Teraz! Przechodzili się następne kilka metrów i znów zatrzymali.

Anakin odetchnął głęboko. Szyja bolała go od nienaturalnej pozycji i ciężaru pokrywy. Słyszał szum zbliżającego się pola energii. Powietrze aż drgało od wyładowań; czuł, jak stają mu dęba włoski na ramionach i karku. Linia wroga grzecznie przechodziła właśnie ponad nimi.

- Auu! – pisnęła Ahsoka, wstrząśnięta nagłym dreszczem.
- Już-już, prawie...
- To straszne, zupełnie jakby ktoś łąził po twoim grobie.
- Hej, a gdzie entuzjazm i doskonały humor? – zakpił Anakin.

Ahsoka nie odpowiedziała. Może częstotliwość drgań tarczy drażniła w jakiś sposób system nerwowy Togrutan? Po chwili mrowienie ustało i Anakin znów mógł głęboko oddychać.

– Udało się – sapnął. – Jesteśmy w środku. A teraz czas namierzyć generator. – Był pewny, że uda mu się bez problemu go odnaleźć dzięki zmysłowi Mocy i dziwnym infradźwiękowym impulsom, które odbierał coraz intensywniej, w miarę jak zbliżali się do ich źródła. – Ostrożnie.

- Nie wytrzymam dłużej – stęknęła Ahsoka. – Muszę wreszcie wstać!
- Mówiłem, że masz być ostrożna...

Łup!

Uderzyli w coś.

W pierwszej chwili Anakin pomyślał, że wpadli na kawał gruzu, ale kiedy pokrywa odskoczyła i upadli, jego pole widzenia wypełniła metalowa sfera o dziwnie znajomych kształtach...

Po chwili kula zaczęła zmieniać formę; otworzyły się boczne panele i zawarczały serwomotory.

– To droideka! – wykrzyknął, zrywając się na równe nogi. Odczepił miecz świetlny od pasa i błyskawicznie aktywował błękitne ostrze. – Uciekaj!

Metalowa osłona zabójczego robota rozłożyła się, odsłaniając zamontowane pośrodku działko laserowe. Przez chwilę maszyna wydawała się zdezorientowana... może znajdowali się za blisko, żeby strzał był skuteczny? Ahsoka stała jak sparaliżowana. Anakin pomyślał, że jest po prostu zbyt przerażona, żeby zareagować, dopóki nie zobaczył miecza świetlnego w jej dłoni i zaciętego wyrazu twarzy.

– Jedi nie uciekają! – prychnęła z pogardą. – Jedi stają do walki!

Droideka najwyraźniej już ich namierzyła i przymierzała się do ataku. Cofnęła się jakiś metr albo dwa na parze kończyn przypominających odnóża yocraba, a jej działka szczęknęły i zajęły pozycje. Jeżeli wkrótce czegoś nie wymyślę, zaraz skończymy jako trupy, pomyślał smętnie Anakin.

– Powiedziałem „uciekaj”! – warknął i złapał Togrutanę za ramię. Ahsoka zdołała przebiec kilka chwiejnych kroków, zanim droideka otworzyła ogień. – Rób uniki! – krzyknął do niej Anakin. – Nie daj się namierzyć! Uciekaj!

Biegli zakosami i kluczyli, wyskakując w powietrze i wirując, odbijając klingami mieczy śmiertcionośne promienie. Robot nie był w stanie wziąć żadnego z nich na cel. Kiedy znaleźli się poza jego optymalnym zasięgiem, zwinął się z powrotem w kulę i potoczył za nimi. To była ich szansa: maszyna nie mogła walczyć i poruszać się jednocześnie. Anakin machnął rozpaczliwie ręką na padawanę.

– Ahsoka, na mój znak, stój! – wrzasnął. – Trzymaj miecz w pogotowiu!

– Ale mówiłeś, że...

– Po prostu słuchaj *stang*ing rozkazów, zrozumiano?! – Anakin biegł co sił w nogach, ale droideka deptała im po piętach. Gdyby utwierdził ją w przekonaniu, że nie zamierzają zwolnić, nie miałyby czasu, żeby się rozwinąć do pełnego kształtu, zanim chlasnąłby ją mieczem. – Na trzy... dwa... jeden... Stop!

Ahsoka wytraciła pęd i robot znalazł się między nią a Anakinem – na ułamek sekundy za długo. Zaatakowali jak na komendę: zanim robot zdążył wyhamować i zmienić kształt, posiekali go świetlnymi ostrzami na kawałki.

Gładka, wypolerowana część pancerza potoczyła się ze szczękiem po płytach chodnika i znieruchomiała kilka metrów od ich stóp. Przez chwilę oboje stali bez ruchu, ciężko dysząc.

Nawet gdyby Anakin to wszystko zaplanował, nie mógłby udzielić jej lepszej lekcji.

– Teraz rozumiesz chyba, dlaczego należy słuchać rozkazów? – powiedział ostro. – Jeśli się będziesz nad nimi zastanawiać, zginiesz.

– Dzięki rozkazom można przetrwać – powiedziała Ahsoka, jakby powtarzała wyuczoną lekcję. Słowa podejrzenie trąciły moralizowaniem Reksa... – A poza tym musimy się nawzajem osłaniać – dodała reżolutnie.

Tak, to była szkoła Reksa, bez dwóch zdań. Cóż, przekonała się o prawdziwości jego

nauk na własnej skórze. Anakin poklepał ją po plecach.

– I to było właśnie dwa w jednym, Smarku – powiedział. – A teraz znajźmy generator.

## ROZDZIAŁ 6

*Jedi ani przez chwilę nie zainteresowali się moim światem i jego cierpieniem. Jedyńm Jedi, którego to obeszło, był mój świetlanej pamięci Mistrz Ky Narec. Republika i jej oślizgle pasożyty Jedi zostawili go na pastwę losu, pozwalając, żeby walczył i zginął samotnie. A teraz prześwieatna, cnotliwa, nieprzyzwoicie wręcz moralna Republika zachodzi w głowę, dlaczego nagle ma tylu wrogów!*

Asajj Ventress z Rattataka, użytkownik Mocy i zaprzysięgły wróg Jedi

### Linia frontu, Crystal City

Przednia ściana tarczy Separatystów prześliznęła się nad Reksem i Kenobim, przyczajonymi za wyszczerbionym fragmentem muru. Kapitan klonów poczuł mrowienie na skórze głowy.

– A teraz czas na porządną demolkę – mruknął Kenobi.

Dobyl miecza i rzucił się na pierwszy szereg robotów pajaków, chłuszcząc świetlistą klingą ich wysunięte działka i odbijając jednocześnie strzały. Zniknął Reksom z oczu. Kiedy kapitan otworzył do maszyn ogień ze swoich obydwu blasterowych pistoletów, jedynym, co widział, był przesywający powietrze deszcz szczątków, zupełnie jakby oglądał obraz w zwolnionym tempie. Odłamki bębniły wściekle o jego hełm i płytę pancerza na piersi. Wizjer Rekxa natychmiast splamił olej i smar z poprzecinanych obwodów; kapitan zwalczył w sobie odruchową chęć przetarcia szybki, bo tylko pogorszyłyby sprawę i w ogóle przestał cokolwiek widzieć.

Roboty bojowe maszerujące za pajakami zwolniły tempo, próbując obejść przeszkodę, a Rex wykorzystał okazję, żeby skryć się za rogiem stanowiska łączności. Jeszcze zanim zobaczył ostrzeżenie na swoim HUD-zie, usłyszał świst wystrzeliwanego pocisku. Rzucił się odruchowo w poszukiwaniu schronienia. Zdażył jeszcze odwrócić głowę i zobaczyć rozmazaną smugę, a po chwili spadła na niego fontanna odłamków. Jeden z nich, całkiem spory, uderzył go mocno w plecy, niemal podrywając z ziemi. Kiedy wstał, zauważył, że

pocisk trafił w stanowisko łączności: po dwóch ścianach i dachu budynku nie zostało śladu. Co najdziwniejsze, wśród szczątków wciąż stało kilku żołnierzy, nieprzerwanie ostrzeliwujących się z samopowtarzalnych blasterów. Rex nie miał pojęcia, jakim cudem udało im się przeżyć wybuch.

Wszędzie wokół wały się części plastoidowych pancerzy. Nie miał czasu dokładnie sprawdzać, ale wliczył leżące tu i ówdzie hełmy w poczet PWA. Wściekłość i gniew z powodu śmierci towarzyszy walczyły w nim o lepsze z ulgą: wciąż żył, był cały i zdrowy. Prawie natychmiast odezwały się w nim odruchy wpajane przez lata, niemal nieświadome, instynktowne reakcje.

– Wynocha stąd! – wrzasnął, z rozdrażnieniem dając strzelcom znak, żeby opuścili teren.  
– Odbiło wam? Odwrót! Natychmiast!

Posłuchali, dołączając do reszty wycofujących się żołnierzy. Superroboty bojowe bez chwili zwłoki ruszyły za nimi. Jedna z maszyn chwyciła pierwszego z brzegu klona za gardło i uniosła w powietrze. Rex odwrócił się błyskawicznie, gotów pospieszyć towarzyszowi na pomoc, ale zanim zdążył wycelować, jak spod ziemi wyrósł przy nim Kenobi i chlasnął superrobotą mieczem, o włos mijając głowę żołnierza. Rex potrafił rozpoznać manifestację Mocy, kiedy był jej świadkiem. Robot zachwiał się i upadł, jakby uderzony niewidzialną pięścią, ale nie zrezygnował i zaraz wycelował swoje uzbrojone w działko ramię w generała. Do tego czasu kapitan zdążył jednak już go namierzyć i poczęstować serią z blastera. Powietrze wokół zawrzało od metalowych szczątków.

Kenobi zawirował lekko w piruce.

– Dzięki, Rex – rzucił i sprawdził stan rannego żołnierza. Uścisk metalowej dłoni potrafi wyrządzić poważne szkody. – Zabieraj stąd swoich ludzi – nakazał mu. – Wracajcie do działek.

– Sytuacja jest kiepska, sir. Nie możemy nic zrobić, póki tarcza nie dotrze do dział.

– Chcesz strzelać wewnątrz pola?

– Wiem, że tarcza odbije strzał i przeciążenie nas pozabija, ale i tak jesteśmy martwi, o ile Skywalkerowi nie uda się wyłączyć generatora. Równie dobrze możemy zginąć, niszcząc przy okazji tyle blaszaków, ile się da.

Kenobi wskazał stanowiska działek.

– Na razie to wcale nie jest misja samobójcza, Rex – powiedział ostro. – A przynajmniej nie kiedy ja tu dowodzę. Zabieraj stąd swoich ludzi i brońcie dział. Postaram się spowolnić nieco marsz blaszaków.

– Sir, z całym szacunkiem, ale... pan jest szalony.

– Nie. Jestem twoim generałem, a to jest rozkaz – uciął dyskusję Kenobi. – Już was tu nie ma.

Nigdy nikogo nie zostawiamy, zadźwięczało Reksowi w głowie.

Ale posłuchał, bo rozkaz był rozkazem, a niemal automatycznie reagująca na polecenia



część jego mózgu, od małego szkolona i kształtowana do posłuszeństwa, przypomniła mu, że rozkazy są po to, by ich słuchać. Zanim zdążył stłumić w sobie chęć protestu, nogi niosły go już we wskazaną przez generała stronę. Zbierał po drodze żołnierzy, ale nie potrafił się oprzeć pokusie obejrzenia przez ramię. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył przed dotarciem do dział, był Kenobi przecinający robota bojowego na pół, a potem czołg Separatystów burzący resztki ściany.

## **Sektor zajęty przez Separatystów, Crystal City**

Anakin ustalił kierunek, z którego napływały coraz mocniejsze fale energii z generatora tarczy. Im jaśniejszym blaskiem pulsowała lśniąca powłoka, tym silniej odczuwał infradźwiękowe brzęczenie, które powodowało irytujące świerzbiecie w gardle i w uszach. Kierował się tylko zmysłami.

– To tutaj. – Ahsoka pokazała przed siebie. – Chodź!

Po drugiej stronie przestronnego, pustego placu stała platforma konstrukcyjna z rodzaju tych, jakie można było napotkać wszędzie w galaktyce. Musiała zostać wzniesiona niedawno, bo elementy były nowe i niezniszczone. W miarę jak się zbliżali, pole energetyczne dawało o sobie znać coraz mocniej.

– Chyba masz rację – mruknął Anakin. – Myślałem, że ją ukryją, ale widocznie im się spieszyło albo... hej! A ty dokąd? Stój!

Ahsoka puściła się pędem, jakby tropiła zwierzynę, z nisko opuszczoną głową, ale w pewnej chwili potknęła się o coś. Anakin natychmiast zorientował się, co się stało. Wszędzie wokół z ziemi wyrastały ledwie widoczne antenki. O *stang!* – zaklął w myśli. Jego padawanka właśnie wbiegła na pole minowe. No ładnie, jeszcze tego im brakowało... Oczyma duszy widział już w świątynnych rejestrach informację, jak to jego pierwsza uczennica dała się zabić w rekordowo szybkim tempie, nie przeżywszy nawet jednego dnia jako jego padawanka.

– Powiedziałem „stój”! – krzyknął. Teraz nie było czasu się martwić, że ktoś może ich zauważyć. – Ani kroku dalej! Nie ruszaj się! Idę do ciebie... ani drgnij, młoda.

Ahsoka jednak straciła równowagę i upadła na plecy, przygniatając ciałem jedną z antenek. Anakin odruchowo przygotował się na eksplozję, ale nic takiego nie nastąpiło.

Następne dwie sekundy trwały całą wieczność. Anakin wstrzymał oddech, ale jego ulga była krótkotrwała; zaczynało do niego docierać, dlaczego nie doszło do wybuchu.

Ziemia pod jego stopami zadrżała.

Nie wydarzyło się nic spektakularnego ani mroźnego krew w żyłach – tylko podłoże pękało powoli, niechętnie, jakby gdzieś w głębi zaczynały kiełkować gigantyczne nasiona. Po chwili na powierzchnię wynurzyły się potężne, toporne kształty. Wszystko stało się nagle

jasne, kiedy kurz i ziemia opadły z metalowych pancerzy i ich oczom ukazały się...

– Roboty! – zawołał. – Ahsoka, to roboty wartownicze! Włączyłaś alarm! Zapomnij o nich! Podłóż ładunki, szybko!

– Wybacz, Mistrzu – jęknęła z nietęgą miną. Sięgnęła po miecz i obciąła pierwszej z maszyn głowę, a potem odepchnęła Mocą kolejnego robota, zupełnie jak wielką piłkę podczas meczu shock-balla. Korpus robota przygniótł pobliskie anteny i spod ziemi zaczęły wygrzebywać się kolejne kolosy. – O nie...!

Anakin rzucił się na nie z mieczem, Ahsoka zaś wykorzystała okazję: dopadła do generatora i zaczęła przyczepiać do jego powierzchni ładunki magnetyczne. Zanim zajęła się dachem konstrukcji, Anakin stał już otoczony gromadą piaskowych pancerzy. Musiał zapewnić jej więcej czasu... Nie mogli sobie pozwolić na niepowodzenie misji; generator powinien zostać unieszkodliwiony, dlatego należało podłożyć jak najwięcej ładunków. Klony często żartowały, że podczas obliczania wzoru na wybuch należało użyć zmiennej M jak „mnóstwo”, żeby uzyskać pewny wynik; lepiej nawet przesadzić, niż ryzykować niepowodzenie zniszczenia obiektu za pierwszym razem.

Jeżeli Ahsocę się nie uda, Kenobi, Rex i reszta żołnierzy nie dostaną drugiej szansy.

Na szczęście Moc sprzyjała Anakinowi: roboty nie były specjalnie bystre i zamiast zidentyfikować Ahsokę jako główne zagrożenie, reagowały ochoczo na jego prowokację. Ziemia cały czas pękała, wypluwając ich coraz więcej i więcej. Otaczały go i zmuszały do wycofywania w stronę samotnej permabetonowej ściany, jedynej pozostałości po zbombardowanym budynku. Skywalker co chwila popatrywał w stronę swojej padawanki. Uda się jej? Jeżeli nie, to trudno – ale wtedy będzie musiał znaleźć inny sposób na zniszczenie generatora. Misja była najważniejsza. Jakie to dziwne, pomyślał, że z taką łatwością przychodzi mi pogodzenie się z tym, że mogę umrzeć...

Jeszcze dziwniejsze było, że postrzegał to wszystko, jakby miało się przytrafić komuś innemu, jakimś drugiemu Anakinowi. Był jakby odłączony od własnego ciała, działał jak w transie.

Czyje życie jest warte więcej, a czyje mniej? Czy wszystkie są tak samo ważne? A może jedne są cenniejsze od innych? – tłukło mu się po głowie.

Zabrał się do najbliższego robota, potem ściał z nóg kolejnego i przeciął go mieczem na pół. Nie zauważył, kiedy znalazł się pod samym murem. Jeżeli ludzie uważali, że Jedi nie da się zapędzić w nerfi róg... cóż, mimo swoich wyjątkowych zdolności Anakin był tylko człowiekiem.

I mógł zginąć, jak każdy inny człowiek.

– Gotowe! – zameldowała Ahsoka. – Wszystkie podłożone!

Na ułamek sekundy Skywalker oderwał wzrok od robotów. Rzucił okiem na generator: ładunki, które przydźwigali tu z Ahsoką z takim trudem, tworzyły na powierzchni urządzenia migoczącą synchronicznie siatkę. W powietrzu rozlegało się ich ciche pikanie.

Wiedział, że cokolwiek się teraz zdarzy, tarcza zostanie – musi zostać – zniszczona. Tę chwilę triumfu przytłumiło inne uczucie: determinacja. Musieli jakoś wyjść z tego z życiem. Niezgrabne maszyny nie były tak niebezpieczne jak superroboty bojowe, ale przy tej liczebności w końcu zdołają pokonać nawet Jedi.

Ahsoka torowała sobie do niego drogę, tnąc metalowe korpusy. Chciał jej powiedzieć, żeby uciekała, znalazła Kenobiego i Reksa... Podejrzał, że dziewczyna, chociaż krnąbrna, tym razem posłuchałaby go. I to nie dlatego, żeby wypełnić rozkaz. Anakin miał po prostu ponure przeczucie, że chociaż sam tak rozpaczliwie pragnął chronić innych, jego nikt nie zdoła ocalić.

Jednak tym razem jego przypuszczenia się nie sprawdziły. Ahsoka zatrzymała się bez ruchu pośród robotów i przyjrzała z namysłem ścianie za plecami Anakina.

Nie wiedział, co zamierza, dopóki nie wyciągnęła przed siebie ręki i nie zmarszczyła w skupieniu czoła – a wtedy jego żołądek fiknął nieprzyjemnego koziółka.

Zamierzała przewrócić na niego fragment muru!

– Rycerzyku! – zawołała. – Nie ruszaj się!

– Nie... – zaprotestował.

– Zaufaj mi! Ani drgnij!

– Nie... nie, nie, nie! Nieee!

Czuł, jak przy akompaniamencie złowrogiego rumoru opada na niego gęsty cień. Ścisnął w dłoni rękojeść miecza, a instynkt nakazywał mu, żeby zanurkował w bok i chronił głowę. Zmusił się, żeby go zignorować.

Ziemią wstrząsnął potężny huk.

Anakin nie mógł oddychać – z każdym haustem powietrza łykał tumany kurzu. Coś uderzyło go w nogę, a twarz zasypała fontanna żwiru. Splunął pyłem i zakasłał, rozpaczliwie próbując zaczerpnąć powietrza, ale nie mógł. Słońce zniknęło, zasłonięte przez gęstą, dławiącą mgłę.

Jestem martwy, nie żyję, zginąłem, co za głupi sposób na śmierć... tłukło mu się po głowie.

Minęło dobrych kilka chwil, zanim dotarło do niego, że ściana wcale go nie przygniotła. Ze zdziwieniem stwierdził, że tkwi w wąskiej studni, niewiele szerszej niż jego ramiona, otoczony gruzem i metalowymi szczątkami. W powietrzu, ze zgrzytliwym odgłosem nadwyreżonych serwowatorów, smętnie kiwało się ramię jednego z robotów. Anakin splunął znowu i zachłysnął się pyłem. Czuł się, jakby wchłonął do płuc cały sproszkowany permabeton planety.

– Wszystko w porządku, Mistrzu? – zaniepokoiła się Ahsoka. – Ruszajmy, nie ma czasu!

Skywalker rozejrzał się w poszukiwaniu drobnej figurki. Powieki zalepiały mu warstwy kurzu, a do jednego oka dostał się jakiś okruch. Potarł je odruchowo, ale tylko pogorszył sprawę.

Najważniejsze, że nie był martwy. Zwalenie się na niego ściany miało podobny efekt, co wybuch tuż pod nosem małej bomby, ale był cały i zdrowy. W przeciwieństwie do robotów.

– Jak udało ci...

– Okno – wyjaśniła Ahsoka, zanim dokończył pytanie. – Widziałam, że w miejscu, gdzie kiedyś było okno, jest dziura. Chodź!

– Mogłaś mnie zabić! – krzyknął.

– Wiedziałam, co robię! – W jej głosie słychać było urazę. – Jestem Togrutanką! Mamy dużo lepszą koordynację wzrokowo przestrzenną niż ludzie! Wiedziałam, że otwór trafi akurat na ciebie! Chyba żebyś się zaczął wiercić...

Pył trochę opadł i Skywalker widział już nieco lepiej, chociaż oczy łzawiły mu od drobinek kurzu.

– Musimy się stąd wydostać i zdetonować ładunki.

Był wściekły, ale powoli ogarniał go wstyd, że nie okazał wdzięczności. Przecież ta mała dopiero co ocaliła mu życie. Ile razy zdarzyło mu się wymierzyć cios mieczem tak precyzyjnie, że aby zgładzić wroga, o mało nie skrócił o głowę przyjaciela?

Czy naprawdę musiała ratować mu tyłek nieopierzona padawanka, która dopiero co przyleciała im na pomoc?

Ahsoka wskoczyła na płytę i wyciągnęła do niego rękę.

– Chodź, Rycerzyku – powiedziała. – Nie możemy zawieść Reksa.

## **Stanowisko dział Wielkiej Armii, Crystal City**

Kapitan Rex nie rozkazał jeszcze strzelać, ale nie mógł dłużej zwlekać.

Wokół niego ginęło coraz więcej żołnierzy; medycy mieli pełne ręce roboty. Ostatnie drużyny klonów ściągnęły powykrzywiane bariery, żeby wzniesić prowizoryczne barykady, które miały opóźnić marsz robotów. Wzmacniali ścianę częściami zniszczonych SRB i wszystkim, co wpadło im w ręce. Przed szańcem wysadzili granatami pas ziemi, tworząc okop wystarczająco szeroki i głęboki, żeby zatrzymać na jakiś czas nieuchronny atak blaszaków. Potem wypełnili go paliwem i podpalili.

Nie mogli zrobić nic więcej. Rex patrzył przez zasłonę z płomieni i rozgrzanego powietrza na nadchodzącą kolumnę robotów i czołgów. Parły naprzód, nieubłagane i bezwzględne.

– Kończą mi się pomysły, sir – mruknął sierżant Coric. Wskazał jedno z dział za ich plecami. – Poza jednym: pozwolić, żeby tu dotarli i zajęli działa.

Rex szukał punktu, w który mogliby trafić, wyrządzając kolumnie czołgów i robotom jak najwięcej szkód. Jeśli wystrzela kilka serii w to miejsce, wszystko wokół eksploduje, a odłamki zniszczonych robotów zabijają każdą żywą istotę w promieniu wybuchu.

– No to do dzieła, sierżancie – powiedział. – Nie zamierzam się poddawać.

Spojrzał jeszcze raz na różowopomarańczową powłokę nad ich głowami i przeładował broń. Gdzie, u *stang*, podziewa się Kenobi? Nie mieli już wyboru, a kapitan nie wierzył nigdy w cuda, jakie zdarzały się na holofilmach. Teraz był zdany wyłącznie na swojego dece – karabin DC-15 – i swoich kumpli.

To było tak naprawdę wszystko, czym dysponował każdy żołnierz.

– Sir! – dobiegło nagle jego uszu. – Sir, połączenie! Na kanale separańców! – Jeden z żołnierzy klepnął gwałtownie bok swojego hełmu, dając Reksowi znak, żeby zmienił kanał. – To Kenobi!

Kapitan zastygł w bezruchu, na chwilę zapominając o plazmowych salwach przesywających powietrze nad jego głową. Dostroił częstotliwość i nadstawił uszu.

– Kapitulacja... – mówił ktoś. – Kenobi chce negocjować warunki kapitulacji...

Nie! – pomyślał gorączkowo. To niemożliwe! Generał?

– ...herbatę z Loathsomem...

Nie, to jakaś kompletna bzdura! Kenobi nigdy by się nie poddał, a już na pewno nie bez uprzedzenia Reksa o takim kroku. Jeśli jednak został wzięty do niewoli... Nie, to wykluczone. Kenobi z pewnością nabijał Loathsoma w butelkę, grając na zwłokę.

Jedno było pewne: Mistrz żył. A to oznaczało, że wciąż był śmiertelnie niebezpieczny.

– Uważa pan, że to wszystko na serio, sir, czy może jakaś separańska sztuczka, która ma nas pozbawić morale?

Rex wskazał kciukiem za siebie, na panujący wokół chaos i zniszczenie.

– Nie – rzucił. – To nas ma pozbawić morale. – Odwrócił się do grupki żołnierzy. – A czy się sprawdza?

– Nie, sir! – odparli chórem.

– A więc chodźcie, blaszane kukły, czyńcie waszą powinność – zawołał i przeładował broń. W głębi duszy trudno było mu się pogodzić z myślą, że wkrótce umrze. – I dawajcie tu tych waszych Kerków!

Uniósł karabin do ramienia. Właściwie przestało się już liczyć, gdzie wypali, ale wziął na cel kerkoidańskiego dowódcę czołgów, którego głowa sterczała z wieżyczki. Siatka linii celownika skupiła się na jego twarzy, a Rex zaczął powoli naciskać spust. Wstrzymał na moment oddech...

...I wtedy jego uszu dobiegło echo eksplozji. Coś łupnęło gdzieś w głębi miasta, i to porządnie. Dźwięk brzmiał dziwnie, raczej jak implozja, a po chwili niebo zmieniło kolor: było znów niebieskie i zasnute dymem, nie pomarańczowe.

– Pole wyłączone! – zawołał Coric. – Stracili osłonę!

Dzięki, dzięki, dzięki...! – kołatało się Reksowi po głowie. Nacisnął odruchowo spust, z czystej ulgi. Dowódca w czołgu patrzył ze zgrozą do góry, zauważając brak tarczy. Cóż, teraz był już byłym dowódcą.

– Strzelec? Pal! Raz, raz, szybko!

Żołnierzy z Pięćset Pierwszego było dużo mniej niż separańców, ale dysponowali działem – nagle role się odwróciły. Strzały z blasterów dziesiątkowały szeregi robotów i wrywały włazy czołgów. Każdą szczelinę, spaw i łączenie rozsadały języki ognia. Rex przez chwilę pozwolił sobie na przyływ złośliwej satysfakcji – za wszystkich jego zabitych ludzi, za przyszłość odebraną żołnierzom – i rzucił się przez płomienie buchające z okopu, opróżniając jeden magazynek za drugim.

Zastanawiał się, dlaczego wojsko, które wciąż miało nad nimi przewagę liczebną jak jeden do stu, przerwało atak, ale po chwili nadeszła odpowiedź. Usłyszał ją w głośnikach hełmu. Na odsiecz przybywały im statki Republiki. Słyszał, jak admirał Yularen próbuje wywołać przez radio Kenobiego. Nadlatywały kanonierki LAAT/i! Słyszał słodki odgłos ich silników – i separańcy też. Charakterystyczny dźwięk, którego nie można było pomylić z niczym innym, oznaczał ratunek i nadzieję.

Na ich wewnętrznym kanale rozległ się głos pilota:

– Pięćset Pierwszy? Głowy w dół, spróbujemy trochę tu posprzątać...

– Loathsom zarządził kapitulację – zameldował żołnierz, monitorujący łączność na kanale separańców. – Blokada została przełamana, sir! Generał Yoda jest tutaj.

– A już myślałem, że to dzięki perswazyjnym zdolnościom naszych dział i męstwu moich ludzi... – zażartował kapitan i dał żołnierzom znak, żeby oczyścili lartom pole. Nad ich głowami prześliznęły się dwie kanonierki, plując ogniem i siejąc spustoszenie w szeregach robotów. Ich ślad znaczyły linie płomieni i kłęby dymu. – Hej, mamy tu jeszcze co najmniej dwóch żywych! Sprawdźcie swoje HUD-y.

Pomimo ostrzeżenia pilota Rex i Coric bez chwili zwłoki zaczęli się przedzierać przez stosy szczątków, kierując się przekazywanymi automatycznie przez zamontowane w zbrojach systemy monitorowania sygnałami funkcji życiowych. Trochę im to zajęło. Kiedy jednak przekopywali się przez stertę gruzu, żeby dostać się do przygniecionego kłona, sygnał zamarł.

Gdyby tylko przybył pan nam na ratunek godzinę albo dwie wcześniej, admirale... – pomyślał z goryczą Rex, ale natychmiast odsunął od siebie żal i pretensje. Cóż, taka była cena zwycięstwa.

## ROZDZIAŁ 7

*Zgadza się, siedziałem z Loathsomem przy stole i omawiałem szczegóły kapitulacji przy filiżance tarynowej herbaty. Zapomniał o dobrych manierach natychmiast, kiedy dotarło do niego, że rozmawiamy o poddaniu jego wojska. Czy te istoty nie znają zasad etykiety? Nawet mi nie zaproponował słodkiego piaskowego ciasteczka!*

Generał Kenobi wyjaśniający okoliczności swojej „kapitulacji”

### Poziom hangarów, krążownik Jedi

Ahsoka stała przed grupą żołnierzy i gestykulowała zawzięcie, akcentując zdania machnięciami głowyogonów. Klony siedziały na odwróconych skrzyniach po amunicji, z hełmami na ziemi, i słuchały jej słów w skupieniu.

Kiedy Anakin wszedł na pokład, zrozumiał tylko słowa „ściana” i „roboty”. Żołnierze wybuchali raz po raz gromkim śmiechem.

– To nieprawdopodobne, proszę pani! – zawołał jeden z nich. – Generał musiał mieć niezłego stracha!

Anakin westchnął ostentacyjnie.

– Rex, wiesz co? Chyba jeszcze tego pożałuję!

– Proszę dać jej się tym wszystkim trochę nacieszyć, sir – stwierdził kapitan. – To dobry sposób na rozładowanie napięcia po ogromnym stresie, kiedy przeżyło się coś wartego wspomnień. I chłopcy o tym wiedzą. A poza tym musi pan przyznać, że naprawdę całkiem nieźle sobie poradziła.

Ahsoka chyba nie zdawała sobie sprawy z ich obecności, jednak żołnierze zauważyli generała i na jego widok stanęli na baczność. Togrutanka przerwała w pół zdania i odwróciła się w ich stronę.

– Jedi powinni być skromni – przypomniał jej cicho Anakin i Ahsocę natychmiast zrzędał mina.

– Ja tylko... – zaczęła.

– Pan raczy wybaczyć, sir – wszedł jej w słowo jeden z klonów – ale to my ciągnęliśmy tę małą za język. Padawanka Tano tylko zdawała nam relację, to nie były przechwałki.

Ahsoka spojrzała na swoich słuchaczy z wdzięcznością. Prawie podskoczyła, kiedy Rex klasnął głośno w ręce.

– No, koniec tego dobrego – rzucił w stronę żołnierzy. – Nie ma czasu grzać tyłków na skrzynkach. Wsiadujecie jaja czy co? Do roboty, ale już!

Żołnierze rozproszyli się posłusznie, a honor generała został ocalony. Rex był dobry w te klocki. Anakin skorzystał z chwili i wziął Ahsokę na stronę. Kapitan, jak zawsze taktowny, trzymał się kilka kroków za nimi.

– Chciałam im tylko podnieść morale – stwierdziła z niewinną miną Ahsoka. – Muszą wiedzieć, że narażamy się na takie samo ryzyko jak oni. Czasem dobrze jest usiąść i z nimi pogadać, i pokazać im, że pamiętamy ich imiona, a nie tylko strzelać na nich palcami i zwracać się per „klonie”. Nikt nie lubi być traktowany jak powietrze.

Przy całej naiwności zdarzały się dziewczynie zaskakujące przebliski dojrzałej wnikliwości. Anakin wiedział aż za dobrze, jak to jest być traktowanym jak nikt, jak śmieć...

– Cóż... – bąknął. – Chyba cię lubią. To dobrze.

– Stracili w tej wojnie tylu przyjaciół... – westchnęła padawanka. – Czujesz ich cierpienie, prawda?

– Są żołnierzami – przypomniał jej Anakin. – To ich praca.

– Twoja też, a jednak cały czas się wszystkim przejmujesz.

Anakin nawet nie spojrzał na Reksa, a mimo to kapitan zwolnił kroku i został jeszcze bardziej w tyle. Sprawiał wrażenie bez reszty pogrążonego w rozmowie na łączu wewnętrznego komunikatora. Widać było gołym okiem, że chce dać tym dwojgu nieco swobody, żeby nie być niewygodnym świadkiem zbyt osobistej rozmowy.

– Masz rację – westchnął Anakin z rezygnacją. Nie mógł się z nią nie zgodzić, ale nie miał ochoty o tym rozmawiać. – Każdy z nas radzi sobie ze stratą najbliższych na swój własny sposób. To miłe, że troszczysz się o żołnierzy. Dziękuję.

Ahsoka popatrzyła mu w oczy, ale niemal natychmiast przeniosła wzrok dalej, jakby zobaczyła coś za jego plecami. Była bardzo czujna i miała wyostrzony zmysł widzenia peryferyjnego. Anakin podążył za jej spojrzeniem i zobaczył zbliżającego się do nich Kenobiego, pogrążonego bez reszty w rozmowie z Mistrzem Yodą. Wyszli im z Ahsoką na spotkanie.

– Mistrzu Obi-Wanie – pozdrowił Kenobiego skinieniem głowy. – Mistrzu Yodo.

Yoda rzucił mu przenikliwe spojrzenie.

– Kłopot ze swoim padawanem masz, słyszę, hm?

– Właśnie wyjaśniałem wszystko Mistrzowi Yodzie – wtrącił Kenobi.

– Jeśli gotowy na padawana nie jesteś, to może Obi-Wan mógłby...

Anakin nie przepadał za tego typu zagraniami, a szczególnie w wykonaniu Mistrza Yody.



Pamiętasz mnie, Mistrzu? – spytał go gorzko w myśli. Wybrańca? Tego, którego nie chciałeś szkolić?

– Nie ma żadnych problemów, Mistrzu – powiedział spokojnie. – Zresztą jak można w tak krótkim czasie ocenić predyspozycje tak młodej osoby? To byłoby nierozważne, a nawet niesprawiedliwe. Rozwijanie i wspieranie umiejętności to nasz obowiązek.

Nawet jeżeli Yoda wyczuł w wypowiedzi Anakina aluzję, nie dał nic po sobie poznać.

– Dojrzałej oceny dokonać potrafisz, hm – odparł. – Może uczyć się od niej tak samo mógłś będziesz, jak od ciebie ona.

Anakin ugryzł się w język, zanim rzucił jakąś zjadliwą uwagę. Nie da się tak łatwo sprowokować, postanowił.

– Zrobię, co w mojej mocy – powiedział tylko i skłonił z szacunkiem głowę.

– Zatem z tobą do Teth systemu polecisz – oznajmił radośnie zielony Mistrz.

Skywalker miał wrażenie, że ktoś go wrabia w jakąś misternie uknutą intrygę. Czy Obi-Wan o wszystkim wie? – zastanowił się. Zdecydował, że nie będzie drażył tematu.

– Czyżby walki dotarły aż tam? – spytał pozornie obojętnym tonem. – Nie sądziłem, że Separatyści działają w tym rejonie.

– Bo działać nie działają – stwierdził Yoda. – Ale porwany Jabby Hutta syn został.

Minęło dobrych kilka chwil, zanim do Anakina dotarło znaczenie jego słów. Nie potrafił ukryć odrazy – w każdym razie nie do końca.

– Chcesz, żebym uratował Hutta? – upewnił się, jakby nie wierząc własnym uszom.

To była próba. Nie brał pod uwagę innej opcji. Nieważne, jak bardzo zboli – nie zamierzał rezygnować i się poddawać.

– W tej wojnie potrzebujemy wsparcia Jabby, Anakinie – wtrącił Kenobi. – Jeżeli będziemy mogli korzystać ze szlaków kontrolowanych przez Huttów, zdołamy zająć Zewnętrzne Rubieże. To proste. Kiedy wy ruszycie na akcję odbicia zakładnika, ja udam się negocjować z Jabbą.

– Zakładnika...

– Jego syna, Rotty.

Anakin zastanawiał się, na ile były to względy praktyczne, jak wskazywałaby czysta logika – zarówno on, jak i Kenobi władali huttańskim i mieli doświadczenie w tajnych operacjach i kształtowaniu charakteru. Yoda znał przeszłość Anakina i wiedział, że on i jego matka byli niewolnikami Hutta. Jabba maczał też palce w handlu niewolnikami, a więc miał osobisty wkład w cierpienie Skywalkera i losy jego matki. Czas nie leczy takich ran.

Gdyby to Anakin miał decydować o tej misji, powiedziałby Jabbie, że rozumie i że to przykre, ale niestety tak już w tej galaktyce jest, że ludzie, których się kocha, giną niezależnie czy tego chcesz, czy nie.

Mimo to musiał przyznać, że argument przemawiający za przeciągnięciem Jabby na ich stronę brzmiał rozsądnie. Przełknął nienawiść i postanowił, że zrobi, czego od niego

oczekują. Jako Jedi powinien być ponad pewne sprawy.

Tym razem Ahsoka chyba zdawała sobie sprawę, że to nie ona jest przyczyną niewygodnego milczenia i napięcia, które nagle zawisło w powietrzu. Cofnęła się o krok i stanęła u boku czekającego z tyłu Rekxa.

– Zajmę się mobilizacją żołnierzy – powiedziała nieśmiało. – Możemy wyruszyć w każdej chwili, Mistrzu.

– Lepiej zacznę przygotowania – stwierdził Kenobi. – Nie powinniśmy kazać Jabbie czekać.

Anakin skłonił głowę i odszedł, siląc się na spokój. Nie chciał dać po sobie poznać, że ta misja rozdrapała wciąż niezagojoną ranę w jego sercu. Poszukał samotności w odosobnieniu przedziału maszynowego hangaru. Wyśle Padme wiadomość, żeby się nie martwiła; napisze, że wszystko w porządku i że za nią tęskni – nie zamierzał wdawać się w szczegóły, donosząc o walących się ścianach czy szalonych padawankach, co to, to nie. Wkrótce otrząsnął się z ponurych myśli.

Nie jestem przecież dzieckiem, skarcił się w duchu. Nie powinienem się tak zachowywać. To nie w stylu Jedi. Może Yoda miał rację: byłem za stary na rozpoczęcie szkolenia... Nie potrafię być taki jak oni – wcielenie spokoju i zero uczuć.

Był Wybrańcem, mówiono. Miał przynieść równowagę w Mocy. Pomyślał, że takiemu Wybrańcowi należało się chyba nieco więcej pomocy ze strony Rady Jedi – jakieś wskazówki albo przynajmniej trochę więcej wyrozumiałości. Zamiast tego był przeganiany z miejsca na miejsce jak niechciany kundel. Skończył pod kuratelą Qui-Gona i Kenobiego, bo nikt inny nie chciał go przygarnąć.

Jego teoretycznie uprzywilejowana pozycja oznaczała w praktyce mniej niż nic. Czasem miał wrażenie, że jest naznaczony, przeklęty. A oni się zastanawiali, dlaczego mieli z nim problemy... A może po prostu nie chcieli tej całej równowagi, cokolwiek miałyby oznaczać? Może nikomu nie podobał się Jedi, który był... inny? Niekiedy czuł się jak zbędny balast.

Robię wszystko, o co mnie poprosicie, pomyślał z goryczą. Tak bardzo się staram! Kiedy powiecie „dość”? Kiedy usłyszycie: „Wystarczy, Anakinie Skywalkerze, zdałeś egzamin”?

Drzwi do przedziału otworzyły się powoli i do środka zajrzała Ahsoka.

– Co się stało, Rycerzyku? – spytała i rzuciła mu spojrzenie, które mówiło „nie spławisz mnie”. – Całe wieki minęły, nim cię znalazłam! Czas ruszać w drogę.

– Słyszałaś o czymś takim jak pukanie? – rzucił ostro. Nie rób jej tego, interweniował natychmiast jego wewnętrzny głos. Wiesz, jak to jest być niewidzialnym dla dorosłych, kimś, kto nie ma prawa głosu. – Musiałem po prostu przemyśleć kilka spraw, to wszystko – wyjaśnił już łagodniej.

– Martwisz się, że mamy pomóc Jabbie? – spytała. – Nie przejmuj się, wszyscy się martwią.

Anakin nie miał na to odpowiedzi. Próbował się nad tym nie zastanawiać, ale myśl

zakorzeniona w jego umyśle była niczym pasożyt *corris* – zżerała żywcem jego pewność i sączyła zwątpienie. Jedi nigdy nie zainteresowali się losem jego matki; nikt nie zrobił nic, żeby wykupić ją z niewoli. Zabrali jej syna, dali mu nowe życie, ale ją zostawili samej sobie na Tatooine. Wtedy się z tym pogodził, ale teraz... wiedział, jak potężni byli Jedi i mógł się tylko zastanawiać, dlaczego uznali ją za niewartą ich czasu i fadygi.

Nawet Qui-Gon Jinn nie pochylił się na losem Shmi Skywalker. Uływały kolejne miesiące, ale to pytanie nie dawało Anakinowi spokoju.

Nie chciał, żeby żal i uraza zagłuszyły w jego pamięci ciepłe wspomnienia o byłym Mistrzu, ale czasem po prostu nie mógł przestać o tym myśleć.

– Rycerzyku... Rycerzyku? Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – dopytywała Ahsoka.

Rada Jedi miała kredyty. Byli bogaci. Czy naprawdę nie mogli wykupić jego matki z niewoli?

Anakin stwierdził, że pewne rzeczy należało wpajać dzieciom od małego. Kiedy zaczynał szkolenie, był już nauczony przywiązania i odczuwania emocji – zanadto przyzwyczajony do tego, że jest zwykłym, targanym wątpliwościami człowiekiem, żeby przestawić się nagle na stoicki spokój Jedi, odsunąć od siebie uczucia, trzymać wszystko na dystans i pozwalać sobie tylko na wyważone współczucie.

Starł się najlepiej, jak umiał.

Dlaczego moja matka nie była warta ocalenia? – pytał w duchu.

Jabba zbił majątek na krzywdzie ludzi takich jak Shmi. Prawdopodobnie do jego kiesy wędrowało sporo kredytów z jej niewolniczej pracy.

A teraz Anakin miał ocalić jego syna...

Bo potrzebujemy jego przychylności, jego tras przestrzennych, przypomniał sobie ze złością.

Ta myśl tkwiła mu w głowie jak złamana kość nuni w gardle. Tym razem trudno było mu pokonać falę bólu. Nie wiedział, czy główną tego przyczyną był żal po stracie matki, czy gniew na Qui-Gon Jinn... a może pretensja do siebie samego z powodu braku wystarczającej kontroli nad własnym życiem?

– Misja to misja – powiedział w końcu cicho. – Nie oceniam, czy jest dobra, czy zła. Zastanawiam się tylko, jak to zrobimy.

Ahsoka przyglądała mu się przez chwilę z przekrzywioną głową, jakby jednym okiem zerknęła na informacje wyświetlane na holoprojektorze obok. Czy widziała? – zastanawiał się Anakin. Czy wiedziała, jak bestialsko wymordował tych Tuskenów? Czy ten czyn był zapisany w otaczającej go aurze Mocy? Czy rozumiała, że dopuścił się zbrodni, żeby pomścić śmierć swojej matki?

Cóż, jeżeli tak, to na pewno nie wyczuwała w nim wyrzutów sumienia.

A Anakin wcale nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia.

– Chodźmy – powiedział.

## Pałac Jabby, Tatooine

Tym razem Jabba nie musiał udawać gniewu i pogardy, żeby ukryć swój strach o Rotte. Był wściekły i wyładowywał swój gniew na TC-70.

– Wszyscy precz! – Potoczył groźnym spojrzeniem po wycofujących się chyłkiem tancerkach i strażnikach Nikto, którzy nie byli pewni, czy rozkaz dotyczy również ich. – Wynocha! – ryknął. – Zostawcie nas samych. – Sala tronowa natychmiast opustoszała. – Ktoś mi za to zapłaci! – zagrział Jabba. – Kto śmiało zaszlachtować moich podwładnych jak nerfy?

Głowy łowców nagród, których wysłał na Teth, zostały mu odesłane w prostym, wyłożonym flimsiplastem kontenerze. Nic więcej – tylko głowy. Wlepiął w nie teraz gniewne spojrzenie. To było wszystko, co zostało z najlepszych łowców nagród, jakich mógł dostać za kredyty. Ci tutaj byli naprawdę twardymi typami i mało kto zdołałby im stawić czoło, nie mówiąc już o pojmaniu i zgładzeniu. Jabba próbował przypomnieć sobie kogoś, kto mógł być silniejszy i sprytniejszy od nich, i zgadnąć, dla kogo mógłby pracować taki ktoś.

Miał jednak w głowie pustkę. Nie przychodziło mu na myśl nic sensownego. Znał każdą istotę mającą jaką taką władzę po obu stronach prawa, a mimo to nie umiał wyobrazić sobie, kto mógłby dokonać czegoś takiego. Wystarczająco paskudna była sama świadomość, że nie docenił sprytu tajemniczego wroga i dopuścił do porwania własnego syna. Przesłane szczątki łowców były czymś gorszym niż zniewaga: wstrząsnęły posadami jego świata.

– Lordzie Jabbo, przybył Jedi – oznajmił android. – Wydaje się bardzo zaniepokojony.

– I powinien! – wybuchnął Hutt. – Skończy tak samo jak ci tutaj, jeśli szybko nie zobaczę efektów. – Wydał z siebie gniewny syk i usadowił się wygodniej na podium, przybierając dostojną pozę. – Wprowadzić Jedi! – rozkazał dudniącym basem.

Jabba zawsze traktował Jedi z ostrożną nieufnością. Te ich hokus-pokus z Mocą sprawiały, że musiał być czujny. Wiedział dobrze, że nigdy nie pozna granic ich możliwości, jednak ci szarlatani przeważnie byli ludźmi lub przedstawicielami podobnych dwunożnych ras, a jako takich łatwo było ich zabić. Nie byli nieśmiertelni, a zresztą każda żywa istota miała coś, czego pożądała – i w zamian za to coś była skłonna pójść na układ.

A Jabba był gotów zapłacić każdą cenę za odzyskanie Rotty całego i zdrowego. Musiał też (jeżeli chciał dokonać zemsty, a to było nieuniknione) zrewidować pogląd na temat swojej pozycji. Został uwikłany w spisek, ale akurat nie to było w tej chwili najważniejsze.

Obi-Wan Kenobi był generałem w republikańskiej armii, brodatym mężczyzną o niechlujnej fryzurze, ubranym w luźne szaty. Wszedł do sali, stanął przed tronem Jabby i złożył mu głęboki pokłon.

– Potężny Jabbo – zaczął. – Zjawiłem się tu osobiście, żeby zdać ci relację z postępów w

poszukiwaniach twojego syna. – O dziwo, całkiem niezłe mówił po huttańsku. Jabba musiał przyznać, że to niezwykle jak na kogoś, kto obracał się w przyzwoitych kręgach elity Republiki. – Wiemy, gdzie jest przetrzymywany i wysłaliśmy mu już na ratunek jednego z naszych najdzielniejszych Jedi.

Hutt machnął krótką rączką na TC-70, który podsunął Kenobiemu kontener zawierający obcięte głowy łowców. Android, który dobrze znał swego pana i wiedział, jakie wrażenie należało zrobić na gościu, przewrócił pojemnik do góry dnem, wysypując czerepy na podłogę. Makabryczne prezenty potoczyły się i znieruchomiały w pobliżu tronu. Jedna z głów przy zetknięciu z płytkami wydała dziwny dźwięk, przypominający odgłos tłuczonej porceplastowej zastawy.

– Oto – zagrzmiął Jabba – co spotkało ostatnich śmiałków, którzy wyruszyli na ratunek mojemu synowi.

Kenobi obrzucił łby obojętnym spojrzeniem i uniósł brew. Nie wyglądał na osobę, którą łatwo wyprowadzić z równowagi. Może był po prostu dobrym aktorem? Tak czy inaczej, na pewno rozumiał, że gra toczy się o wysoką stawkę.

– Sądzę, że nasz wysłannik nie straci tak łatwo głowy – zażartował. – Nie zawieziemy cię, o potężny Jabbo.

– Znajdziecie Rottę i dostarczycie go z powrotem do domu – zaburczał Hutt. – A poza tym Republika musi spełnić jeden dodatkowy warunek, jeżeli chce swobodnie poruszać się po moich szlakach: przyprowadźcie mi tę kanalię, która ośmieliła się porwać mojego syna.

Kenobi nawet nie mrugnął.

– Żywą czy martwą, lordzie Jabbo?

– Wszystko jedno – zadudnił Hutt. – Ale większą satysfakcję sprawi mi oczywiście żywy. Chyba nie muszę wyjaśniać, dlaczego...

– Rozumiem, lordzie Jabbo.

– Mam nadzieję. – Hutt zawiesił głos. Jeżeli chciał, żeby istoty ludzkie naprawdę uświadomiły sobie wagę pewnych słów, musiał zadbać o właściwe rozłożenie wypowiedzi w czasie. – Bo jeśli wam się nie powiedzie, hrabia Dooku i jego armia robotów czekają w kolejce.

Musiał przyznać, że Jedi miał klasę. Nie płaszczył się przed nim ani nie próbował mu schlebiać jak Palpatine. Wyglądało na to, że bez reszty pochłaniają go kalkulacje i ostrożna ocena sytuacji.

– Na pewno cię nie zawieziemy – powiedział w końcu.

– Macie na to jeden obrót planety. – Jabba gestem polecił TC-70 pozbierać głowy. – Obrót Tatooine.

– Będzie, jak sobie życzysz, lordzie Jabbo. A teraz, w oczekiwaniu na wypełnienie misji, może przedyskutujemy warunki naszej umowy?

Kenobi był wcieleniem spokoju. Poza tym zadziwiająco dobrze wychodziło mu

okazywanie szacunku bez zdradzania choćby najmniejszych oznak strachu. W normalnych okolicznościach Jabba potraktowałby to jako oburzający brak manier, ale tym razem potrzebował pomocy Jedi.

– Może – burknął.

## **Kanonierka Republiki w drodze na Teth**

W przedziale desantowym kanonierki Anakin wpatrywał się uważnie w migoczący, błękitny hologram Kenobiego.

– Jeden dzień na odnalezienie dzieciaka i dostarczenie go Jabbie – powtórzył za Obi-Wanem.

– Otóż to, Anakinie – potwierdził Kenobi.

– W porządku. – Był cały czas świadom, że każde jego słowo słyszą również Ahsoka, Rex i drużyna przydzielonych im na wyprawę do Teth żołnierzy, siedzących w ciszy na ławkach pod grodzią. – Chyba musiałeś mu się nieźle podlizywać – zakpił Anakin. – Cóż, to na pewno bardziej niewdzięczny obowiązek niż nasza misja...

– Nie mamy pojęcia, kto porwał syna Jabby. – Kenobi nie dał się sprowokować. – Czuję się z tego powodu co najmniej nieswojo. Ktokolwiek to był, poradził sobie bez trudu z doborową ekipą łowców nagród. Na pewno nie mamy do czynienia ze zwykłą kryminalną szumowiną.

– Ale pamiętaj, że my też nie jesteśmy zwykłym zespołem do odbijania jeńców.

– Dołączę do ciebie, jak tylko zakończę negocjacje.

– Spokojna głowa, Mistrzu. Poradzimy sobie.

Hologram zniknął, a Anakin odwrócił się do reszty grupy.

– To nie będzie bezinwazyjne wtargnięcie, ale chyba i nikt z nas się czegoś takiego nie spodziewał. Wszyscy gotowi?

– Tak jest, sir!

– Gotowi, Mistrzu.

Lart przemknął nisko nad oceanem, jakieś trzy czy cztery metry nad powierzchnią wody, która przypominała wychylonemu przez otwarty właz Anakinowi falujący pas startowy. Za ich LAAT/i leciała eskadra kolejnych kanonierek; od czasu do czasu któraś łamała szyk i kluczyła przez moment – na wypadek gdyby próbował je namierzyć wróg. Wszystko wskazywało jednak na to, że na razie byli na tej odległej planecie sami. Mało prawdopodobne, żeby przed dotarciem do brzegu zostali zaatakowani z powietrza. Anakin obrzucił uważnym spojrzeniem przestrzeń za burtą statku i skierował się do kabiny.

– Namierzyliśmy coś, poruczniku Hawk?

Pilot wskazał odczyty na konsoli. Na monitorze migotały podświetlone na czerwono i

zielono symbole.

– Czujniki dalekiego zasięgu wykryły silnie strzeżony obiekt, sir – zameldował. – W najlepszym razie stanowiska działek. Od tego momentu trudno nam będzie uniknąć namierzenia, wie pan o tym, prawda, sir? Jak tylko uda nam się znaleźć dobry punkt, schodzimy między drzewa.

– Świetnie – uznał Anakin. – Ruszamy, jak tylko sprowadzisz statek na ziemię. Chcę, żebyś czekał na nas, aż zakończymy akcję.

– Tak jest, sir.

Morska głębia ustąpiła teraz miejsca turkusowym mieliznom, cętkowanym ciemnymi plamami roślinności, a po chwili ich oczom ukazał się szmaragdowy gąszcz dżungli. Korony drzew spowijała mgła. Wyglądało to tak, jakby w tym miłym, spokojnym miejscu budził się do życia kolejny zwykły dzień. Anakin wiedział jednak, że złudzenie nie potrwa długo.

– Kubły na głowy – nakazał Rex i włożył swój hełm. Reszta poszła w jego ślady, a po chwili wszyscy przystąpili do rytuału sprawdzania ogniów energetycznych w swoich karabinach i pistoletach, kontroli karabińczyków przy kotwiczkach i do rozgrzewania stawów. Bez skomplikowanych systemów żołnierskiego hełmu Anakin był odcięty od ich wypełnionego danymi świata. Nie widział tego, co oni, nie miał dostępu do strumieni informacji: obrazów, tekstu, odczytów czujników, i nie słyszał nieustannego szumu rozmów prowadzonych na rozmaitych kanałach. Przypuszczał, że Rex przekazywał właśnie kanonierkom drużyny ostatnie polecenia, ale nie mógł być tego pewien.

Cóż, niektóre rzeczy dobrze było mierzyć i określać w nieco dokładniejszy sposób niż poprzez Moc.

Głośniki systemu łączności w przedziale desantowym obudziły się do życia.

– Sir, szacunkowy czas dotarcia do celu wynosi pięć standardowych minut – zameldował pilot. – Lepiej założyć, że się nas spodziewają. Zamykam włązy.

– Przyjąłem, Hawk – potwierdził Anakin.

Przedział desantowy pogrążył się w półmroku; światło słoneczne zastąpiła czerwona poświata, rzucana przez oświetlenie awaryjne. Anakin spojrzał na Ahsokę. Prawie już się przyzwyczył do tego, że jest taka drobna, ale teraz, w zatłoczonym przedziale, otoczona roslými mężczyznanami, wyglądała, jakby trafiła tu przez pomyłkę.

Nawet przez zamknięte włązy do uszu Anakina doleciało echo laserowych salw z działek.

– Jesteśmy ostrzeliwani, sir – zameldował Hawk. – Zejdę poza ich zasięg, ale przygotujcie się na twarde lądowanie. Kiedy dotrzemy do lasu, będzie trzęsło.

– Trzydzieści sekund – oznajmił cicho Rex.

Kiedy wylądują... jeśli wylądują i jeżeli uda im się tego dokonać w jednym kawałku, wtedy dopiero się zacznie. Musieli dotrzeć do klasztoru, znajdującego się na szczycie płaskowyżu, otoczonego gęstą dżunglą.

Cóż, bywało gorzej.

Anakin poprawił pas i sprawdził swój miecz świetlny. Uda im się. Musi. Nieważne, co tak naprawdę myślał o Hutcie. Tu nie chodziło o dziecko, tylko o jego ludzi, o Wielką Armię, o wygranie wojny i położenie temu wszystkiemu kresu, raz na zawsze. Anakin uczeplił się tej myśli kurczowo jak ostatniej deski ratunku. Żołnierze ustawili się teraz w szeregu wzdłuż obydwu włączów. Kanonierka zadrżała, jakby coś w nich trafiło, ale płyty poszycia wytrzymały. Anakin przymknął oczy, a za chwilę pokład zatrzęsł się gwałtownie, jakby usuwał mu się spod stóp. Kadłub zadrżał od lawiny uderzeń – przedzierali się przez korony drzew. Statkiem szarpnęło, kiedy Hawk posadził LAAT/i bezpiecznie na ziemi, a potem światełka nad włączami zmieniły kolor na zielony i obie pokrywy włączów uniosły się do góry. Przedział desantowy wypełniło natychmiast wilgotne, przesycone wonią drzew powietrze.

Anakin nie miał pojęcia, jakim cudem Hawkowi udało się znaleźć miejsce do lądowania w tej gęstwinie bez urwania działek.

– Naprzód! – krzyknął Rex, klepiąc pierwszego z brzegu żołnierza w ramię. – Dalej! Ruchy! Ruchy!

Anakin sięgnął po rękę Ahsoki i zacisnął dłoń na jej nadgarstku, żeby mieć pewność, że młoda się nie zgubi, a potem, nie spuszczając wzroku z białego rzędu żołnierzy znikających w morzu gałęzi i lśniący zielonego listowia, skoczył.



## ROZDZIAŁ 8

*Pewnego dnia będę musiał podziękować Mistrzowi Yodzie i Radzie Jedi za taki szczodry przyczynek do naszej sprawy. Myślałby kto, że powinni byli lepiej się zatroszczyć o tego swojego Wybrańca. A mimo to – z tego, co słyszałem, a zaiste słyszałem wiele – zrobili wszystko, żeby młodego Skywalkera pognębić i wyalienować. Sami ściągnęli sobie na głowę kłopoty.*

Darth Sidious, znany również jako Kanclerz Palpatine, do hrabiego Dooku

### **Punkt zborny w lesie, u stóp opuszczonego klasztoru, Teth**

Roboty nie widziały dokładnie sił WAR przedzierających się przez gęstwinę, ale to nie powstrzymało ich od prowadzenia ciągłego ostrzału.

– Coś mi mówi, że mieszkańcy porzucili świątobliwe obrządki – mruknął Rex. Korony drzew przeszył snop laserowego ognia, niszcząc konary i pnącza. Kapitan starł jakieś mokre, lepkie resztki z płyty piersiowej pancerza. – Oto, jak się kończy pochopne przyznawanie ulg podatkowych.

Ahsoka zawirowała i odbiła ostrzem miecza zbłąkany promień energii.

– Wolę nie myśleć, co się stało z mnichami – parsknęła. – A tak w ogóle, to co ty wiesz o podatkach?

– Wszystko, co mówili w programach informacyjnych HoloNetu. – Stacja była jego oknem na świat, którego nie był częścią. Przyzwyczał się do przyswajania informacji w taki sposób. Lwią część jego dzieciństwa pochłoniął system błyskawicznego przyswajania wiedzy, która nie zawsze miała odzwierciedlenie w świecie realnym, ale była przydatna i wiele wyjaśniała... cóż, przynajmniej czasami. – W chwilach takich jak ta żałuję, że nie możemy po prostu wysadzić tego wszystkiego z orbity i mieć święty spokój. – Zapatrzył się na ostry klif granitowego płaskowyżu, wznoszącego się pośrodku dżungli niczym wyspa o zboczach pokrytych zamrożonym wodospadem mięsistych pnaczy. Był tylko jeden sposób, żeby dostać się na górę: trudny. Rex obliczył dokładną wysokość, używając wbudowanego w hełm

systemu telemetrycznego.

– Mamy wystarczająco długie liny? – zaniepokoiła się Ahsoka.

– W sam raz.

Kapitan usłyszał chrzęczenie opancerzonego pojazdu AT-TE, przedzierającego się między drzewami na silnych mechanicznych nogach. Po chwili wyprzedził go Skywalker, dając gestem znak, żeby się zatrzymał. Maszyna zwolniła i podniosła działka do góry.

– Oto i nasz ogień osłaniający. – Rex przełączył się na kanał łączności załogi AT-TE. Koncentrowali właśnie czujniki na wąskiej półce wokół fortecy, tak aby prowadzić ostrzał bez zdradzania własnej pozycji. – Trzymajcie się blisko generała Skywalkera.

– On mówił to samo o panu – zaprotestował ktoś w kabinie pojazdu.

– Hm, na jedno wychodzi. – Rex trzepnął otwartą dłońią w czerep swojego hełmu, dając drużynie znak do utworzenia szyku, i wzmocnił rozkaz krótkim impulsem na łączu. – Przygotować się. Rozpoczniemy szturm za linią ognia.

AT-TE szykował się do strzału. Rex widział symbol gotowości załogi na swoim HUD-zie. Kiedy jednak czekał na wszcęcie ognia zaporowego, przez konary gałęzi nad ich głowami przedarło się coś ciężkiego, ciągnąc za sobą deszcz odłamków skały i fragmentów roślinności.

Zanurkował odruchowo i pomyślał, że to pewnie jakiś ładunek wybuchowy. Gdyby to on miał bronić murów twierdzy, zrzuciłby z klifu ładunki i zdetonował je metr nad podłożem, zrównując z ziemią wszystko i wszystkich w promieniu jakichś pięciuset metrów. Jednak to nie on był tam na górze, a obiektem, który pędził im na spotkanie, nie był wcale pocisk, ale dowódca robotów bojowych, który właśnie z potężnym hukiem uderzył w poszycie. Rex natychmiast sięgnął po pistolet i odruchowo wpakował w głowę blaszaka kilka strzałów. Automat nie był uzbrojony, ale na wszelki wypadek Rex przeskanował go, żeby się upewnić, że to nie bomba pułapka.

– Nie są zbyt zwinne, co? – Spojrzał w górę zbocza i przeniósł wzrok z powrotem na Skywalkera. Ahsoka stała obok bez ruchu, jakby wrosła w ziemię. – Czekamy na rozkazy, sir.

Skywalker miał ten specyficzny, roztargniony wyraz twarzy, który Rex widywał u niego już wcześniej. Zupełnie jakby wpadał w odrętwienie. Może to był trans medytacyjny Jedi albo coś w tym rodzaju? Cóż, cokolwiek to było, w takich chwilach Skywalker chyba toczył ze sobą jakąś wewnętrzną walkę, jakby targaly nim okrutne dylematy. Zawsze, kiedy tak się działo, generał wpadał w nastrój, który Rex nazywał w myślach trybem maszynki do zabijania. W tych przerażających chwilach lepiej było zejść mu z oczu, bo mało co mogło go powstrzymać przed destrukcją wszystkiego, co stało mu na drodze.

– AT? – zawołał Skywalker. – Strzelajcie! – Chwycił gruby zielony pęd i zaczął się wspinać.

W górę, między gałęziami drzew, poszybowały promienie błękitnobiałej energii, przysmażając listowie i konary. Wokół rozpętało się pełne ogłuszających mechanicznych

hałasów piekło. W hełmie Reksa automatycznie włączyło się wygłaszanie, żeby chronić jego słuch. Mógł co prawda całkowicie odciąć łączność audio i walczyć w zupełnej ciszy, ale żeby się przygotować na to, co zaraz miało się wydarzyć, musiał słyszeć jakieś odgłosy towarzyszące walce. Kształty i ikony wyświetlane na jego HUD-zie były teraz tylko mało znaczącymi szczegółami. AT-TE rzeziły i dudniły podczas mozolnej wspinaczki na szczyt klifu, raz po raz posyłając w górę salwy z działek.

Opancerzone łażiki, właściwie sześcionożne czołgi, zostały stworzone z myślą o poruszaniu się po względnie równym, poziomym terenie – i doskonale się w takich warunkach sprawdzały. Mogły się co prawda wspinać, ale pokonywanie pionowych przeszkód znacznie ograniczało ich mobilność i wystawiało na cel słabe punkty. Zdobywanie nimi stromego klifu było ostatecznością, jednak nie mieli czasu stosować bardziej konwencjonalnych metod. Dostali na wypełnienie misji jeden dzień.

Tylko dlatego, że jakiś nadęty Hutt tak sobie wymyślił...

Rex odsunął od siebie tę myśl. Musiał się skupić bez reszty na zadaniu, które go czekało. Wystrzelił swoją linkę niemal pionowo przez baldachim drzew i poczuł delikatny wstrząs, kiedy kotwiczka zaczęła o coś twardego. Podciągnął się do góry i już za chwilę dołączył do grupy niemal identycznych białych zbroi – żołnierzy pokonujących pionową skalną ścianę. Przez jakiś czas, zawieszeni w powietrzu, będą doskonałymi celami... albo rodzajem szybkich, ruchomych platform bojowych, oszczędzających energię na bitwę, która z pewnością wkrótce rozegra się na szczycie wzniesienia. Rex wołał przyjąć drugą opcję.

Obok niego przelatywały kawałki skał, szczątki pancerzy robotów i fragmenty pnączy grubości ludzkiego nadgarstka. Odbijał, co tylko mógł, ale zawieszony na końcu linki miał raczej niewielkie pole do popisu.

Spojrzał w dół w poszukiwaniu Ahsoki. Jeszcze chwilę temu dzieciak wdrapywał się po lianie, z zaciętą miną i dziką determinacją w oczach. Teraz nie było po niej śladu. Reksowi żołądek podszedł do gardła ze strachu przed najgorszym. Kiedy jednak zerknął w bok, zauważył na jednym z łażików AT-TE, torującym sobie drogę w górę zbocza niczym manakur wspinający się na drzewo owocowe, drobną figurkę Ahsoki. Togrutanka kurczowo przylgnęła do pancerza pojazdu, a wzrok miała utkwiony w jakiś punkt w górze.

Sprytny z niej dzieciak, musiał to przyznać. Jednak jego chłopcy też nie byli w ciemnej bici, a mimo to nie wszystkim będzie dane wrócić z tej misji do koszar. Śmierci nie obchodziło, czy jesteś sprytny, czy miły i czy zasługujesz na to, żeby przeżyć.

Rex zmusił się, żeby przestać o tym myśleć. Obok niego przeleciał następny robot, ciągnąc za sobą smugę dymu, i zahaczył po drodze o ramię jednego z żołnierzy. Klon stracił równowagę, ale nie spadł. Jeżeli miał szczęście, jego zbroja zniwelowała impet uderzenia i nie doszło do złamania ręki.

Jednak następnym przelatującym obok obiektem okazał się AT-TE.

Rex poczuł falę uderzeniową wybuchu gdzieś ponad nim. Następnym uczuciem było

wrażenie, że spada z budynku i obserwuje umykające ściany, jednak szybko się zorientował, że patrzy po prostu na opancerzonego łażnika. Odepchnął się od klifu i odsunął kawałek w bok. Trafiony AT-TE pikował w dół. Nie było sposobu, żeby ominął wspinających się na ścianę żołnierzy. Rex nie potrafił oderwać oczu od straszego widowiska rozgrywającego się obok. Było tak zawsze, kiedy śmierć pojawiała się nagle w pobliżu – jej okrucieństwo paraliżowało go na moment, który zdawał się wiecznością, dopóki nie zdołał wyrwać się z odrętwienia. Wtedy zawsze czuł falę desperackiej ulgi: żyję!, ale ta ulga natychmiast ustępowała chaotycznym rozmyślaniami – przecież tamci nie musieli ginąć! Wszystko potoczyłoby się na pewno inaczej, gdyby... gdyby tylko...

Nie mógł sobie pozwolić na podobne deliberacje. Jego ponure myśli przerwał jakiś odgłos, który system jego hełmu rozpoznał i zidentyfikował jako zbliżającą się maszynę STAR

Towarzyszyla jej następna.

I jeszcze jedna.

Były to nie tyle prawdziwe maszyny myśliwskie, ile niewielkie, ruchome platformy, zdolne pomieścić zaledwie jednego robota bojowego, o wydłużonych, wąskich sylwetkach, dzięki którym trudno było je namierzyć. Nie trwało długo, zanim blasterowy ogień z ich działek zabębnił o ścianę klifu i wizjer Reksa wypełniły białe rozblyski eksplozji.

Jeżeli któryś z jego żołnierzy z Legionu Pięćset Pierwszego zdołał do tej pory dotrzeć na samą górę, to chyba jedynie cudem. A nawet jeśli, to wciąż czekał ich szturm klasztoru.

Rex skoncentrował się znów na przetrwaniu kolejnych kilku chwil, sekunda za sekundą; pruł ze swojego stanowiska na lince do nadlatujących STAP-ów.

Anakin nie miał wyboru: skoczył.

Odpadł od ściany, na której szczytce roilo się od robotów pajaków, odbił się od pobliskiego AT-TE, tylko o włos mijając Ahsokę, i rzucił się na pierwszego STAP-a w szeregu.

Zrobił to niemal instynktownie, odruchowo, chociaż cały czas zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może zginąć, jak inni. Kiedy jednak jego ciało przejmowało kontrolę nad odruchami, tak jak teraz, nic nie było w stanie go powstrzymać, zupełnie jakby ktoś wyłączył mu mózg. Ledwie dopadł do wąskiej platformy, na której nie mieściło się praktycznie nic oprócz stóp kierującego nią robota, ciało mechanicznego pilota przez pierś, posyłając jego szczątki setki metrów w zielony gąszcz drzew, a potem odbił się i skoczył na następnego STAP-a. Nie musiał nawet używać miecza – sam impet uderzenia oderwał robota od sterów i cisnął go w dół. Teraz Anakin był w pełni mobilny i to w sposób, którego nie mogła mu zapewnić zdolność władania Mocą. Mógł latać, nie tylko szybować.

A to oznaczało, że może się oddalić od pionowej skały na wystarczającą odległość, żeby skutecznie zająć się robotami. Reszta pilotów zareagowała, łamiąc szyk; wyglądało na to, że nie mają pojęcia, jak radzić sobie z żywą istotą, która potrafi skakać z maszyny na maszynę –

i to chwilowe zamieszanie dało Anakinowi czas, którego potrzebował.

Zerknął na pionową ścianę, wyczuwając poprzez Moc pozycje swoich ludzi i wybierając miejsca, w które mógł bezpiecznie skierować ciężkie roboty i tony szczątków, i uruchomił działko laserowe platformy. Powierzchnia zbocza pokryła się pióropuszem płomieni, dymu i skały, biegnącym ku górze i oczyszczającym drogę z robotów pajaków. Anakin podleciał bliżej. Teraz mógł celować dokładniej, uwalniając poszczególnych żołnierzy od skradających się ku nim maszyn i osłaniać ogniem łaziki AT-TE, co ułatwiało im wspinaczkę.

Właściwie jedna platforma strzelecka STAP nie powinna dawać specjalnej przewagi, ale on był przecież Anakinem Skywalkerem – nie musiał się zastanawiać, żeby znaleźć czuły punkt wroga i zasiać w jego szeregach chaos.

Roboty naprawdę potrafiły się bać. Widział to teraz wyraźnie. Reagowały na zagrożenia podobnie jak żywe istoty i próbowały nie dać się zestrzelić; unikały zagrożenia, jak tylko potrafiły. Tym właśnie był strach: reakcją obronną – nieważne, wzbudzaną przez adrenalinę czy zaprogramowaną. Wszystko wskazywało, że wśród robotów bojowych na górze na widok nadchodzącej WAR zapanował popłoch. Jednym pchnięciem Mocy Anakin zmiotł ponad dziesięć blaszaków z wzniesienia. Czy Rex zauważył oczyszczoną ścieżkę na górę? Czy w ogóle był ją w stanie dostrzec którykolwiek z wspinających się po stromiźnie żołnierzy? Nie mieli zbyt dobrego widoku...

Tak, stwierdził z ulgą, Rex ją widział.

Anakin rozpoznał go w grupie żołnierzy dzięki jego charakterystycznej *kamie*, skórzanej spódniczce noszonej na zbroi. Wskazywał właśnie swoim żołnierzom dymiący pas wśród skał. Sygnał dorównywał skutecznością światłom naprowadzającym. Byli teraz wystarczająco blisko szczytu, żeby zamiast lin wspiąć się po pnączach. Anakin uznał, że na nic już się tu nie przyda. Skręcił w stronę szeregu robotów, ustawiających się w szyku bojowym pod murami klasztoru, a kiedy do nich dotarł, zeskoczył ze STAP-a i pozwolił maszynie uderzyć w roboty. Jak tylko zdołał odzyskać równowagę, zobaczył, że z grupy blaszaków występuje dowódca i bierze go na muszkę.

– Poddaj się, Jedi – zażądał metalicznym głosem.

– To nie najlepszy moment na takie prośby – mruknął Anakin pod nosem i rzucił się na roboty z uniesionym mieczem. – Zdecydowanie nie najlepszy...

W tej chwili myślał wyłącznie o swoich żołnierzach i o tym, że tylko on może ich ocalić. Ocalić... Już i tak zrobił wiele, ale wiedział, że nigdy nie uzna, że może powiedzieć sobie „dość”. Czuł, jak ostrze jego miecza przechodzi przez metalowe powłoki – podczas zderzenia strumienia energii z materią za każdym razem przechodził go lekki dreszcz, ale zawsze było mu tego wrażenia mało. Pragnął niszczyć – nie, żeby udowodnić swoją potęgę, ale po prostu żeby opanować chaos uczuć.

Nie ocaliłem własnej matki, przeszło mu przez myśl.

Miał dość siły i umiejętności, żeby unicestwić legiony robotów, ale nie skorzystał z nich,

żeby uratować osobę, która znaczyła dla niego najwięcej.

Smagał energetyczną klingą blaszaka za blaszakiem, tnąc je na części ciosami wyprowadzanymi z góry i od dołu; wirował, by unieruchomić te nadchodzące z tyłu i odtaczał się na bok, torując sobie drogę między ich nogami. Gorące strugi płynów hydraulicznych przyskały mu na twarz jak krew.

Dlaczego nie wróciłem po własną matkę, zastanawiał się, skoro mogłem zrobić tak... – ciecie – i tak...?

Brnął przez kolejne szeregi maszyn, a potęga Mocy niemal go dławiała, aż kręciło mu się w głowie. Jak przez mgłę widział żołnierzy miażdżących z determinacją metalowe czerepy robotów kolbami karabinów i celujących wibroostrzami w słabe punkty ich pancerzy, ale nigdzie nie było ani śladu Ahsoki.

Niedawno jeszcze wspinała się na plecach AT-TE... Nie miał pojęcia, gdzie mogła być teraz. Nie wyczuwał nawet jej obecności w Mocy – za dużo było w niej zawirowań wywołanych szaleńczą walką. Kiedy ostatni z robotów bojowych runął na kolana, Anakin zmusił się, żeby odzyskać spokój i poszukać padawanki.

Nie chciał znów tracić kogoś, kto stał mu się bliski; nigdy więcej. Jeśli ktoś by chociaż spojrział krzywo na Padme... postarałby się, żeby ten ktoś pożałował dnia, w którym przyszedł na świat.

Nie możesz tak myśleć! – upomniał się w duchu. Jesteś Jedi!

Ależ mogę, szepnął cichy głosik. I właśnie to robię.

Wtedy zobaczył, że spośród szczątków wytaczają się droideki. Roboty rozłożyły się natychmiast do pełnej postaci i aktywowały swoje tarcze. Anakin, wyczerpany tropikalnym upałem i trudną drogą na szczyt, oburącz uniósł miecz, chociaż jego mięśnie protestowały i żądały odpoczynku. Jedna z zabójczych maszyn zakołysała się nieznacznie, przygotowując do oddania strzału.

Obiecałem Obi-Wanowi, że uporamy się z tym w ciągu jednego dnia, przypomniał sobie Anakin. Obiecałem Ahsocie, że będę się o nią troszczył...

Poświęcił ułamek sekundy, który wydawał się wiecznością, żeby się opanować. Musiał zdecydować, czy runąć na robota teraz, czy czekać i odbić serię strzałów mieczem, ale zanim zdołał coś postanowić, pierwszy z automatów eksplodował w oślepiającej fontannie odłamków. Anakin zanurkował odruchowo, otaczając się ochronnym polem Mocy. Rozległo się gromkie echo wybuchu, zwielokrotnione przez potężne ściany klasztoru.

Kiedy skoczył w tamtym kierunku, gotowy walczyć na śmierć i życie, zobaczył zwałistą sylwetkę AT-TE, gramolącego się spod ściany klasztoru. Jedno z działek było nadal wycelowane w dymiącą dziurę, jaka została po robocie zabójcy.

– Nic ci nie jest? – zawołała do niego zdyszana Ahsoka z pancerza łazika. – Przepraszam!

– Nie, wszystko w porządku – uspokoił ją Anakin. Adrenalina zaczęła opadać i nogi ugięły się pod nim niebezpiecznie. Zawsze tak było po zakończeniu walki. – Kazałem ci

trzymać się blisko, więc chyba nie powinienem narzekać – zażartował.

– Po prostu cię osłaniałam, Mistrzu – oznajmiła z rozbrajającą szczerością Ahsoka.

Wokół zapadła dziwna cisza; żołnierze z kompanii Potok Legionu Pięćset Pierwszego rozproszyli się, żeby zabezpieczyć teren. Anakin dokonał szybkiego rachunku. Stracił prawie połowę ludzi.

A wszystko przez jakiegoś *kriffing* Hutta... Lepiej, żeby to było warte śmierci moich żołnierzy, pomyślał ponuro.

Podbiegł do nich Rex; zdejmował po drodze hełm, a więc z pewnością uznał, że sytuacja jest pod kontrolą. Anakin nie wyczuwał bezpośredniego zagrożenia, a czujniki HUD-a kapitana dawały mu podobną gwarancję.

– Piętnastu rannych, sir – zameldował kapitan. Nie wspomniał o PWA – poległych w akcji. Przesunął dłonią po ogolonej głowie. Wyglądał na dziwnie podekscytowanego, twarz miał zarumienioną i oddychał ciężko, ale jego oczy były dziwnie zamglone i wyzierała z nich udręka. – Wezwałem larta, żeby zabrał rannych. Nie czekałem na rozkazy, sir...

– W porządku, Rex – uciął Anakin. – Nie zamierzam poświęcać tej misji więcej czasu, niż koniecznie trzeba. – Nie patrzył na Ahsokę, ale czuł, jak Togrutanka wlepia w niego przerażony wzrok. Cóż, Jedi mieli pełne prawo postępować niekiedy niezupełnie przepisowo i prędzej czy później Ahsoka przekona się na własnej skórze, że nie zawsze wszystko toczy się zgodnie z planem. – Sądząc po liczbie blaszaków, powiedziałbym, że to robota Separatystów, nie zaś zwykłe porwanie dla okupu.

– Racja. Czuć tu rękę Dooku, sir. To wyjaśniałoby również tych martwych łowców nagród – dodał Rex.

Ahsoka podeszła bliżej i rzuciła kapitanowi pełne nadziei spojrzenie.

– Najgorsze już za nami, prawda? – spytała. – To znaczy, właśnie zdobyliśmy szczyt pod ostrzałem i wycieliśmy w pień batalion robotów... i w ogóle...

– Nie bój nic, młoda – uspokoił ją Rex, klepiąc dobrotliwie po głowie. – Najgorsze nie minie, dopóki nie wylądujemy z powrotem w obszarze Republiki, najlepiej z małym Hutciątkiem na pokładzie.

Skywalker utorował sobie drogę przez zwały pogruchootanych robotów, pokrywających wszystko wokół niczym dywan opadłych liści. Z niektórych szczątków wciąż jeszcze unosiły się smużki dymu i wkrótce buty Anakina pokryła czarna maź.

– Tak, to robota Dooku, bez dwóch zdań – powiedział. – Lepiej spodziewać się najgorszego.

## Wyższe poziomy, klasztor na Teth

Jedi byli tacy przewidywalni!

Asajj Ventress odsunęła się od wąskiej szczeliny okna, ale wciąż widziała pobojowisko u stóp klasztoru. Wszystko szło zgodnie z planem. Skywalkerowi na pewno nie przyjdzie do głowy, że to pułapka. Pomyśli raczej, że odniósł wspaniałe zwycięstwo. Napotkał wystarczający opór, żeby bitwa wydała mu się czymś więcej niż tylko symboliczną obroną, ale roboty nie wyrządziły im szczególnej krzywdy. Maszyny nie mogły działać samowolnie. Ventress musiała wszystkim ostrożnie pokierować.

Potrzebuję twojej małej padawanki całej i zdrowej, Skywalker, zapowiedziała mu w myśli.

Rada Jedi była gotowa poświęcić wszystko dla Hutta, którym gardziła, jeśli tylko wiedzieli, że mogą coś na tym ugrać. Tymczasem Rattatak... jej ojczyzna... nic dla nich nie znaczyła. Równie dobrze mogłaby nie istnieć.

No i tak właśnie było.

– Jak byś to skomentował, Ky? – spytała swego martwego przyjaciela. Ky Narec zginął dawno temu – i może dobrze się stało. Na pewno nie chciałby patrzeć na to, czym stał się teraz Zakon. – Ani na to, kim stałam się ja – dopowiedziała. – Ale wiem, że zrozumiałbyś. To konieczne.

– Proszę pani? – przerwał jej rozważania Four-A-Seven. Android również śledził sceny rozgrywające się w dole. – Kim jest Ky?

– Nie twój interes. – Odrzuciła kaptur, który ześliznął się po nagiej, gładkiej czaszce. U pasa zwisały jej bliźniacze miecze świetlne. Była gotowa. – Roboty bojowe spełniły swoje zadanie – powiedziała. – Teraz twoja kolej. Postaraj się być przekonujący.

– Tak zostałem zaprogramowany, proszę pani – przypomniał usłudze android i oddalił się czym prędzej. Ventress po raz kolejny przebiegła w myślach elementy planu. Teraz potrzebowała tylko jednego obciążającego ujęcia z holokamery – Jedi z Huttem Rottą, które utwierdzi Jabbę w przekonaniu, że to oni stali za porwaniem jego syna. To wystarczy, aby zmusić go do współpracy. Najlepiej, jeśli będą się obchodzić z Rottą grubiańsko, sprowokują go do płaczu – zrobią cokolwiek, byle to wyglądało wiarygodnie. A to akurat nie powinno być trudne, bo ten mały gnojek ryczał prawie bez przerwy. Marudzenie można tłumaczyć na sto różnych prozaicznych sposobów, najlepiej byłoby więc przyłapać Jedi z martwym Rottą, doszła do wniosku. To byłby niepodważalny dowód.

Cóż, jeśli sytuacja będzie tego wymagać, postara się o to osobiście. Po wszystkim Dooku będzie mógł ją najwyżej obsztorcować. Teraz liczyło się tylko, żeby Jedi nie uzyskali dostępu do szlaków przestrzennych na Zewnętrznych Rubieżach. Muszą przeciągnąć Jabbę na stronę Konfederacji Niezależnych Systemów.

Czyżbym była zdolna uśmiercić dziecko? – zastanowiła się.

Wojna zmuszała czasem do popełniania naprawdę brutalnych czynów, które na Rattataku były codziennością. W ciągłych walkach toczonych między hersztami rywalizujących gangów cały czas ginęli młodzi. Ona też mogła zginąć. Jej rodzice zostali brutalnie



zamordowani – jako jedni z wielu, zwykli świadkowie niekończącej się wojny o władzę. Życie na Rattataku było tanim towarem, a sama planetka nie miała wielkiego strategicznego znaczenia dla Republiki. Nie była dla Coruscant ważna, więc Zakon nie wysłał im żadnego Jedi na pomoc.

Nie zainteresował się nimi nikt, poza Ky Narecem.

Bez niego ja też byłabym teraz martwa, pomyślała.

Tak, gdyby musiała, zabiłaby dziecko. Z zimną krwią zabiłaby potomka kryminalisty, który zbił fortunę na niewolnictwie, jeśli oznaczałoby to ukrócenie rządów Jedi, bo Rattatak wycierpiał wiele także z powodu handlu niewolnikami. Jedi utrzymywali przy władzy skorumpowany rząd. Potrafili wszystko usprawiedliwić, wytłumaczyć. A obalenie ich potężnej władzy wymagało zastosowania szczególnych metod. Jedi nie ustąpią bez walki na śmierć i życie, wiedziała to.

Świetnie. Jestem bardziej niż gotowa, zdecydowała.

Holoodbiornik obudził się do życia i w powietrzu zamigotał bladobłękitny hologram hrabiego Dooku.

– Co tam, Asajj? – spytał. – Jak postępy?

– Wszystko idzie zgodnie z planem, Mistrzu. – Ventress odpięła miecze od pasa i złączyła rękojeści w jedną, śmiertelnie niebezpieczną broń. Wyciągnęła ją przed siebie niczym batutę.

– Skywalker i jego banda za chwilę wejdą do klasztoru – poinformowała. – Android się nimi zajmie i upewni, że będą działali pod nasze dyktando.

– Musisz być ostrożna – ostrzegł ją Dooku. – Na pewno zorientowali się już, że to nie jest zwykłe porwanie.

– A czy to ma jakieś znaczenie? – parsknęła.

– Nie, jeśli dostaniemy obciążający ich dowód, a tajemnica umrze razem z nimi.

– Mogłabym wyjść im teraz na spotkanie i spreparować doskonałe dowody później, Mistrzu – mruknęła. – Im dłużej będziemy grać na zwłokę, tym większe ryzyko, że uda im się wymknąć.

Dooku rozważał jej słowa w milczeniu, gładząc brodę. Sprawiał wrażenie lekko roztargnionego.

– Nie uda im się uciec, Asajj – powiedział w końcu. – Załatwisz dowód, którego potrzebuję i uratujesz małego Hutta. I to nie dlatego, że obawiasz się mojego gniewu czy kary w razie niepowodzenia, ale ponieważ wiesz, że musimy powstrzymać Jedi i Republikę. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, o co toczy się ta gra. W pewnym sensie nawet lepiej niż ja sam.

Hrabia miał rację – Ventress nie bała się go. Nie było bólu, który mógł ją złamać, niczego, czym mógł jej zagrozić, bo los Rattataka zniszczył w niej zdolność do odczuwania bólu na długo, zanim spotkała Dooku.

– Tak jest, Mistrzu – potwierdziła. – Umarłam dawno, dawno temu, a wraz ze mną wszystko, co miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Tylko tacy jak ja, którzy nie mają nic do

stracenia, są zdolni do rozbicia galaktyki i stworzenia jej historii od nowa.

Dooku uśmiechnął się wyrozumiale. Asajj wiedziała, że on również ma swoje powody, dla których chciał zniszczyć Jedi – i nie była to potrzeba zawładnięcia bogactwami rządu czy pławienia się w luksusie. Oboje mieli wizję społeczeństwa, w którym zapanuje prawdziwa sprawiedliwość.

– Galaktyka zostanie zniszczona przez istoty, które osierociła – rzucił po chwili milczenia Dooku. – Zaczynam myśleć, że do obalania imperiów zdolne są wyłącznie sieroty. A więc czyń swoją powinność, Asajj. Będę czekał na wieści od ciebie. I uważaj na Kenobiego. Bardzo prawdopodobne, że się tu pojawi.

– Będę na niego czekać – obiecała. – Na nich wszystkich.

Asajj Ventress odczekała, aż hologram zniknie, a potem rozdarła połączone rękojeści z powrotem na dwa śmiertelnie niebezpieczne miecze.

W taki sam sposób skręci Skywalkerowi kark, kiedy Jedi w końcu stanie na jej drodze.

## ROZDZIAŁ 9

*Problemem Zakonu Jedi jest Yoda. Żadna istota nie może sprawować władzy przez stulecia; w najlepszym razie wpadnie w błogie samozadowolenie, a w najgorszym utkwi w szponach korupcji. On sam nie ma pojęcia, co się z nim dzieje, nie dostrzega już tych wszystkich drobnych błędów i potknięć, które Republika toleruje i na które przymyka oko – od niewolnictwa po niekończące się wojny. Nigdy nie pyta: Dlaczego nie zrobimy nic, żeby położyć temu kres? Jeśli wystarczająco długo żyje się pośród korupcji, w pewnym momencie przestaje się czuć jej odór. Jedi nie raczą pomóc niewolnikom na Tatooine, ale mogą pomagać handlarzom niewolnikami!*

Dooku, były padawan Yody, w rozmowie z Darthem Sidiousem

### **Wejście do klasztoru, Teth**

Opancerzone drzwi otworzyły się przy akompaniamencie potężnego huku, przypominającego burczenie w brzuchu cierpiącej na niestrawność banthy, i powietrze wypełnił nikły odór rozkładających się szczątków. Rex uniósł karabin i obejrzał przez lunetkę długi korytarz.

Tak, pomyślał. Znów ładujemy się nie w ten koniec banthy, co trzeba.

Aktywował reflektory na swoim hełmie i dwa snopy błękitnobiałego światła oblały poświatą przeciwległą ścianę. Czwórka towarzyszących mu żołnierzy – Coric, Vaize, Ayar i Lunn – poszła w jego ślady. Co jakiś czas mijali ciemne plamy rozmieszczonych w regularnych odstępach wnęk, doskonałych punktów na zasadzkę.

Wyglądało to jak jedno z tych koszmarnych ćwiczeń polegających na zabezpieczeniu terenu. Instruktorzy lubili pokazywać swoim podopiecznym, na ile sposobów ci mogą dać się zabić, jeśli nie będą mieli oczu dookoła głowy i nie zechcą traktować każdego podejrzanego cienia jak potencjalnego wroga.

W porównaniu z taką sytuacją walka w otwartym terenie, pod ostrzałem laserowego ognia to była łatwizna. Rex przyłożył palec do hełmu na wysokości ust i dał swojej drużynie

znak do obstawienia terenu. Musieli sprawdzić i zabezpieczyć każdy kawałek tunelu, zanim ruszą dalej.

– Zgasić światła, dopóki nie spotkamy wroga – polecił. – Noktowizory i podczerwień. – Odwrócił się do Skywalkera. – Dobrze pan widzi, sir?

– Tak, wyczuwam teren – potwierdził Anakin.

W ciemności rozległ się chrzęst butów Ahsoki.

– Ja też – rzuciła. – Togrutanie świetnie widzą w ciemności.

– Tylko bez podjadania lokalnych gryzoni, młoda – zażartował Rex. Cieszył się, że miała poczucie humoru. To ważne w każdej sytuacji. – I strzelaj do wszystkiego, co nie nosi pieluchy, zgoda? Lepiej nie ryzykować.

– To konieczne? – zatroskała się Ahsoka.

Dwójka Jedi skradała się przed Reksem pod ścianami długiego korytarza. Miał nadzieję, że ich zmysł Mocy działa bez zakłóceń...

– Podczas odbijania zakładników nie można sobie pozwolić na luksus sprawdzania tożsamości – wyjaśnił. – Likwidujesz kogoś, zanim ten ktoś zdoła zlikwidować ciebie. Jedyne wyjątkiem od tej reguły to zidentyfikowanie jeńca. Reszta to wrogowie, dopóki nie dostaniesz wyraźnego sygnału, że jest inaczej.

– Nieźle – podsumowała Ahsoka. – A co, jeśli...

– Rex powiedział już wszystko, co musisz wiedzieć, Ahsoko – wszedł jej w słowo Skywalker. – Po prostu rób, co trzeba.

Posuwali się w głąb korytarza, czujni i przygotowani na atak. Rex przypominał sobie plan klasztoru, układając w głowie kolejność przeszukiwania pomieszczeń. Obejście całości zabierze im sporo czasu, nie mówiąc już o tym, że po drodze Dooku zostawił im na pewno kilka niespodzianek.

Generał o tym wie, przypomniał sobie. Jesteśmy na to przygotowani.

Na jego wyświetlaczu noktowizyjnym pojawił się zielony, zamazany kształt o dziwnie gładkiej powłoce. Poruszał się. Rex uniósł do ramienia karabin, ale Coric i Lunn byli już przy nieproszonym gościu. Przycisnęli go do ściany i przystawili mu blastery do głowy w tej samej chwili, w której Skywalker przyskoczył do nich z mieczem świetlnym w pogotowiu.

To był robot – nie bojowy, tylko zwykły udomowiony. Miał dużo szczęścia, że żołnierze nie zamienili go jeszcze w dymiącą kupę złomu.

– Kim jesteś? – warknął do niego Skywalker, oświetlając błękitną poświatą ostrza głowę automatu.

– Pokornym dozorcą tego uświęconego miejsca, o potężny panie. Nazywam się Four-A-Seven. Wyzwoliliście mnie od tych robotów bojowych. – Zamarł w bezruchu, ale Coric i Lunn nie opuścili broni. – Jestem wdzięczny.

Skywalker też nie wyglądał na skorego do zgaszenia miecza.

– Gdzie jest Hutt? – spytał ostro.

– Roboty bojowe trzymały jeńców na poziomie więziennym – wyjaśnił posłusznie android.

– Trzymały... – Skywalker nie cofnął ostrza. – A więc już ich tu nie ma, zgadza się?

– Masz rację, o panie. Miejsce wygląda na opuszczone.

Nie miało znaczenia, czy Four-A-Seven w to wierzy, czy nie. Bo Rex mu nie wierzył i na pierwszy rzut oka było jasne, że Skywalker też nie.

– A więc gdzie jest poziom więzienny?

– Schodami w dół, panie. Są tam magazyny zmienione w lochy przez pogan, którzy zbezczęścili to święte miejsce.

Rex dał gestem znak Coricowi i Lunnowi, żeby puścili robota wolno, ale nie spuszczał z niego oka. Nie podobała mu się ta cała historia z lochami i schodami. Obydwa miejsca były na pewno niebezpieczne. Skywalker gestem kazał Ahsocie iść naprzód i odwrócił się do Reksa.

– Tak, wiem – potwierdził jego obawy. – Ale ty zostaniesz tutaj i zabezpieczysz wejście, kapitanie.

– Tak jest, sir – potwierdził służbiście Rex. – Czyta mi pan w myślach.

– Nie, jestem po prostu tak samo podejrzliwy, jak ty.

Skywalker zniknął w ciemnościach wraz z Ahsoką. Corric włączył reflektor na swoim hełmie i ruszył za Four-A-Seven, który najwyraźniej zamierzał wrócić do swoich obowiązków, czyli zgarniania z półek kurzu i mamrotania pod nosem.

Rex przełączył się na bezpieczny kanał, na którym słyszeli go wyłącznie członkowie jego drużyny.

– Zaufanie jest cnotą, sierżancie. – Stał w przejściu, żeby przeskanować dziedziniec w poszukiwaniu urządzeń i robotów. – Tak samo jak cierpliwość.

– Musiałem być gdzieś na końcu kolejki, kiedy je rozdawali, sir.

– Ja chyba też – westchnął Rex.

– Wie pan, że pakujemy się prosto w kłopoty, sir, prawda?

– Domyślam się.

– Mam głupie uczucie, że powinniśmy zejść tam razem z nim – wyznał Coric.

– Nie ma się co martwić na zapas, sierżancie. – Za pomocą sekwencji mrugnięć Rex uruchomił na swoim HUD-zie kilka nowych ikon. Znał teraz współrzędne wszystkich kanonierek i każdego sierżanta w ich grupie. – Jeśli generał wróci z połamanymi kończynami... to na pewno nie będą to jego własne.

## **Poziom więzienny, klasztor Teth**

Anakin nie potrafił wyczuwać aury robotów w ten sam sposób co istot żywych, ale jego

zmysł Mocy mówił mu, że coś tu jest bardzo nie w porządku.

Poza tym podejrzewał, że żaden separański dowódca przy względnie zdrowych zmysłach nie wzięłby ważnego zakładnika, by po stoczeniu krótkiej bitwy po prostu zwać.

A już na pewno nie hrabia Dooku.

– Mistrzu, wiesz, że prowadzisz nas w pułapkę? – spytała szeptem Ahsoka.

Anakin skradał się ostrożnie, przygotowany na bomby niespodzianki i wszelkie możliwe zasadzki. Kątem oka zobaczył jakiś ruch.

– Wiem.

– Minęliśmy kolejne dwa roboty – oznajmiła Ahsoka.

– Wiem.

– Mogę się nimi zająć?

– Jeśli poprawi ci to nastrój, proszę bardzo. Jedno jest pewne: nie chcą nas zabić.

Ahsoka odwróciła się na pięcie. Usłyszał brzęczenie klingi jej miecza, dostrzegł zieloną poświatę odbitą od kropli na ścianach i dalej nasłuchiwał. Szczęknął metal, a Ahsoka zakląła kilka razy pod nosem. W jednej chwili była z powrotem u jego boku, chociaż nie usłyszał, jak nadchodzi. Naprawdę potrafiła być cichym drapieźnikiem.

– Dlaczego powiedziałaś, że nie chcą nas zabić? – szepnęła. – Może właśnie próbowały? Moim zdaniem wyglądały naprawdę groźnie!

Cóż, pomyślał z rezygnacją Anakin, może dziewczyna jeszcze nie do końca opanowała sztukę bezszelestnego skradania.

– Czy nie możemy odłożyć tej rozmowy na później?

– A czy później nie będzie za późno?

– To pułapka – przypomniał jej Anakin. – A jeśli za wszystkim stoi Dooku, nie mamy co liczyć na zwykłe „Ahaa! Mam was”!

Powietrze przesycił odór rozkładu i odwiecznej wilgoci, jednak gdzieś pod tymi zapachami kryła się charakterystyczna woń, której nie można było pomylić z niczym innym i która wryła się Anakinowi Skywalkerowi głęboko w pamięć. Zmysł węchu był najbardziej sugestywnym z ludzkich zmysłów, najbardziej pierwotnym, a ten zapach towarzyszył Anakinowi, jeszcze zanim zaczął świadomie zapamiętywać, od wczesnego dzieciństwa.

Pachniało jak... amoniak. Tak najwierniej mógłby to opisać. Amoniak przeważał, ale były tu także nuty siarki i innych substancji. Robiło mu się od tego smrodu niedobrze.

To był zapach Hutta.

Anakin dorastał na Tatooine w oparach tego odoru. W chwili takiej jak ta, kiedy próbował z całych sił odsunąć bolesne wspomnienia na dalszy plan i skupić się na wypełnieniu zadania, przywoływanie tamtych czasów było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

– Jest gdzieś tutaj – mruknął i przyspieszył kroku, wciąż czujny i gotowy do walki. – Wyczuwam, że nasz Hutt jest w pobliżu. Oslaniaj mnie.

Widocznie Ahsoka też wyczuwała ten zapach – wciągała powietrze z lekko rozchylonymi

wargami, jakby je smakowała. Im dłużej się jej przyglądał, tym mniej dostrzegał w niej z ofermowatego dzieciaka, który za wszelką cenę chce być traktowany jak dorosły, a więcej z jej drapieżnych przodków – przedstawicieli rasy, która w razie potrzeby mogła obnażyć szpony i rozedrzeć swoją ofiarę na strzępy.

Anakin wiedział, jak to jest być lekceważonym i traktowanym jak rozwydrzony bachor, kiedy się naprawdę chciało – i mogło – pomóc.

– Ojej, co za bukiet! – Padawanka oddychała jak koreliański kiper, oceniający wino, wciągając powietrze długimi, niespiesznymi haustami. W cieniu zamajaczyły sylwetki następnych robotów. Anakin obserwował je kątem oka, cały czas w gotowości. – To chyba nie tylko wydzielina... ale coś poważniejszego. Wątpię, żeby słudzy Dooku potrafili się obchodzić z dzieckiem – bąknęła. – Zmieniać pieluchy i takie tam.

– Wszystkie tak cuchną. – Anakin wzruszył ramionami. – To Hutt. – Obrzydzenie minęło... a może tylko tak sobie wmawiał? Tak czy inaczej, Ahsoka była wystarczająco wyczulona na zmiany jego nastroju, żeby zdawać sobie sprawę z jego rozterek. – Nienawidzę ich.

– Założę się, że tak, Mistrzu, ale dlaczego w takim razie podjąłeś się tej misji?

– Bo obowiązek oznacza dotrzymanie słowa, robienie tego, co jest właściwe, a nie tylko tego, co ci pasuje.

– A w tym wszystkim nie chodzi tylko o pomoc Jabbie, ale też o zgładzenie Separatystów, zgadza się?

– Nie damy rady ich pokonać, jeśli nie odbijemy syna Hutta. To proste.

– Mam wrażenie, że to najtrudniejsza rzecz w byciu Jedi – westchnęła i przyłożyła dłoń do drzwi. Smród amoniaku i siarki był teraz tak silny, że równie dobrze nad wejściem mógłby się jarzyć wielki napis „Tędy do Hutta”. – Chyba go słyszę.

Anakin wyteżył słuch. Drzwi stanowiły solidny blok litego materiału. Były tak masywne, że znakomicie tłumili wszelkie odgłosy.

– Cofnij się, Smarku.

Kiedy Ahsoka włączyła miecz świetlny i odsunęła się nieco na bok, Anakin pchnięciem Mocy otworzył drzwi. Chciał mieć wolne ręce, żeby w razie potrzeby móc odeprzeć atak, gdyby po drugiej stronie czekał na nich wróg. Jednak kiedy grube drewniane skrzydło uchyliło się z głośnym skrzypieniem, prawie ścięło Anakina z nóg – i nie był to laserowy strzał, ale mieszanka odgłosów i zapachów, tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

Pośrodku celi, na materacu, leżał mały Hutt, racząc ich popisem umiejętności wokalnych – głównie pisków i skrzeków. Ahsoka jednym susem przypadła do legowiska i uklękła obok.

– Ojej, to jeszcze dziecko! – zawołała. Na jej twarzy współczucie walczyło o lepsze z odrazą. – Sądziłam, że będzie starszy!

– Tak, jeszcze tego brakowało, żebyśmy nie mogli go unieść. – Anakin cały czas podświadomie spodziewał się pułapki, ale musieli jak najszybciej wyprowadzić stąd małego.

– Chodź, zabieramy go.

Hutciątko darło się teraz wniebogłosy, a Ahsoka próbowała je uspokoić.

– Już dobrze, Rotto – powiedziała do niego czule. – Wracasz do domu, wiesz? Lecimy do domku, do taty. No, proszę, przestań płakać... Mistrzu, znasz może huttański?

A jakże! – odpowiedział gorzko w myśli. Uczyłem się tego języka od dziecka i miałem nadzieję nie używać go nigdy więcej...

– Rotta? – odezwał się łagodnie do malca. – *Rotta, pedunkee, da bunk dunko. Sala. Sala.*

Mały był paskudnym glutem. No, tak naprawdę to małym i bezbronnym glutem, ale Anakin wiedział aż za dobrze, co pewnego dnia z niego wyrośnie. Malec uspokoił się na tyle, że szloch przemienił się w spazmatyczne pochlipywanie, i uniósł głowę, żeby sprawdzić skąd dochodzi głos, a Anakin zbeształ się w myśli.

Jak mogę mieć pretensje do dziecka? Jest tylko Mocy ducha winną ofiarą. Nie wie, kim jest jego ojciec. Po prostu kocha swojego tatę i chce wrócić do domu.

A takie proste odruchy Anakin akurat rozumiał lepiej niż każdy inny Jedi.

– A niech mnie! – zdziwiła się Ahsoka. – Nie wiem, czy cię zrozumiał, czy po prostu zaniemówił na twój widok, ale całkiem się uspokoił! Jest taki słodki! Rany, wygląda zupełnie jak zabawka!

– Właśnie zgłosiłaś się na ochotnika do niesienia go, Smarku – stwierdził Anakin.

– Świetnie. – Togrutanka pochyliła się i wzięła Rottę na rękę, a na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Maluch był sporo cięższy, niż się spodziewała. – Gdzie się nauczyłaś huttańskiego? – zagadnęła. – A może tylko improwizowałaś?

– Kiedy jesteś Jedi, uczysz się różnych rzeczy – uciał. Ahsoka nie była jednak głupia. Wiedziała, że coś go gryzie i mógł mieć tylko nadzieję, że uzna to za zwyczajną niechęć do Huttów. Jedno było pewne: Anakin nie był w tym osamotniony. Huttowie raczej nie byli rasą, która wzbudzała ciepłe uczucia.

– Ruszajmy – przynaglił ją i rzucił do komunikatora: – Rex, tu Skywalker. Wszystko w porządku?

– Czysto, sir – zaskrzeczał w głośniku głos kapitana. – Macie go?

– Całego i zdrowego. Wracamy.

– Wyślę po was Corica. Dopilnuje, żeby robotom nie strzeliło do łbów nic głupiego. Nie możemy narażać małego.

– Racja, kapitanie. – Anakin obrzucił Hutciątko bystrym spojrzeniem. – Poproś Corica, żeby skołował jakiś plecak. Rotta to kawał Hutta.

– Tak jest, sir.

Już wkrótce misję można będzie uznać za wypełnioną. Anakin poczekał na Corica przy drzwiach. W tym czasie Ahsoka robiła, co w jej mocy, żeby ukołysać i uspokoić Rottę. Nie można jej było odmówić stuprocentowego zaangażowania – we wszystko, co robiła. Przytulanie Hutta było czynnością nadprogramową; Togrutanka spędzi pewnie cały następny



tydzień na próbie doszorowania się i zmycia z siebie huttańskiego odoru.

A więc Rada Jedi, jak jej się zachce, może rzucić wszystko i pospieszyć na ratunek byle Huttowi, pomyślał gorzko.

I ze wszystkich Jedi muszą to zlecić akurat mnie...

A może Mistrz Yoda chce mnie w ten sposób nauczyć, jak poddawać się woli Mocy? Czy w ogóle pamięta, w jaki sposób zostałem Jedi?

Zastanawiał się, jaki dobry, mądry i dzielny musiałby być, żeby zyskać aprobatę Mistrzów. Ale on nie służył dla pochwały; służył, bo Qui-Gon Jinn wierzył w jego przeznaczenie, a on sam chciał je poznać, żeby zrozumieć sens bólu i strat, jakich doznawał przez całe życie. Wiedział z niezachwianą pewnością jedno: jego żołnierze go szanowali. Obchodziło ich, czy żyje, a Kenobi zrobił, co w jego mocy, żeby wynagrodzić mu tę przeprowadzkę do świata, w którym Anakin czuł się nieswojo – do Jedi, którzy nie posiadali rodzin, którym nie wolno było kochać i czuć.

Mam przecież Padme, przypomniał sobie. Nikt mi jej nie zabierze. A już na pewno nie wasze zasady, tradycje i dezaprobata. Muszę znaleźć własną drogę, Mistrzowie.

– Wszystko w porządku, Rycerzyku? – zatroskała się Ahsoka. – Wyglądasz, jakbyś się czymś martwił. Wiesz, że nazywam cię tak tylko dla tego, żebyś cię rozweselić?

– Tak...

– Martwisz się, że poszło nam zbyt łatwo?

– Zważywszy na fakt, że połowa moich ludzi nie żyje... hm, raczej nie. Nie powiedziałbym, że to było łatwe.

– Wybacz...

W korytarzu zadudniły czyjeś kroki i po chwili pojawił się Coric z plecakiem. Ledwie wszedł do środka, stanął jak wryty. Anakin nie widział wyrazu jego skrytej pod hełmem twarzy, ale gwałtowne szarpnięcie głową sugerowało, że przez filtry wyczuł intensywny zapach Rotty.

– Sir, jeśli mam być szczerzy... – bąknął, podając Ahsocie plecak. – Ten *kriffing* Hutt okrutnie cuchnie! Jego ojciec musiał zamiast brać prysznic tarzać się w nerfim truchle. Czy możemy zapakować go do ładowni?

– Masz na to moje błogosławieństwo, sierżancie – stwierdził Anakin. – W drogę.

– Ojeeejej! – rozczuliła się Ahsoka, ale jej zachwycony okrzyk przemienił się w stęknienie, kiedy zarzuciła sobie szelki plecaka na ramiona. – On pewnie myśli, że to my śmierdzimy.

– Założę się, że dałaby pani teraz wiele za hełm wyposażony w filtr powietrza. – Coric pomajstrował przy kontrolkach swojego kubła i cofnął się, żeby przepuścić dwoje Jedi w drzwiach. – Lart czeka, sir. Czy to już wszystko?

– Tak – westchnął Anakin. – Zabierajmy się stąd, zanim się rozmyślę co do tego gluta.

– Wcale tak nie myśli, Rotto – mruknęła do małego Ahsoka, poprawiając plecak i

próbując zerknąć na Hutciątko przez ramię. – Potrzebujemy cię, żeby twój tata pozwolił nam korzystać ze swoich szlaków przestrzennych. – Zawiesiła na chwilę głos. – A poza tym moim zdaniem jesteś słodki.

Anakin skierował się do wyjścia, sprawdzając po drodze każdą wnękę w poszukiwaniu zastawionej przez Dooku pułapki. Niemożliwe, żeby nie zgotował im jakiejś niespodzianki. Separatystom zdarzało się popełniać błędy i przegrywać całe bitwy, ale nie w taki sposób! Nie tak lekkomyślnie! Widział przed sobą wyjście z klasztoru, rozświetlone słonecznym blaskiem, a na jego tle sylwetkę Reksa. *Kama* kapitana zafurkotała, kiedy odwrócił się gwałtownie, żeby sprawdzić coś na dziedzińcu. Anakin zachodził w głowę, co też mogłoby popsuć im szyki w tych ostatnich chwilach misji...

Atak z powietrza, kiedy wystartują, przyszło mu do głowy.

Hm, nawet jeśli, to Hawk był świetnym pilotem i miał pod rozkazami doskonałych żołnierzy, a LAAT/i to dobry, wytrzymały sprzęt.

A może to dziecko jest bombą niespodzianką?

Separacy byli zdolni do wszystkiego, ale umieszczenie ładunku na ciele małego Hutta w taki sposób, żeby nie dało się go wykryć, graniczyłoby z cudem.

Coś się dzieje, chodziło mu po głowie. Nie mam pojęcia co! Cóż, przynajmniej jeszcze nie...

– Rycerzyku?

Anakin nie obejrzał się na Ahsokę. Wpatrywał się uważnie w każdy podejrzenie wyglądający cień po drodze. Coric był daleko przed nimi.

– Nic nie mów – mruknął. – Niech zgaśnie. Hutt na ciebie zwiomował?

– Nie – szepnęła Ahsoka. – Ale mam wrażenie, że coś tu jest nie w porządku.

Masz ci los, westchnął Anakin w myśli.

– Jak bardzo nie w porządku? – Zwolnił, gotów sięgnąć w razie potrzeby po miecz. Nie mógł wykluczyć, że Togrutanka była zdolna wyczuwać pewne rzeczy dla niego niewidoczne.

– Czujesz coś?

– Chyba wiem, dlaczego tak marudził. I dlaczego potem się uspokoił.

– Dlaczego? No, wykrztuś to wreszcie!

Ahsoka odwróciła się do niego w taki sposób, żeby mógł zajrzeć do plecaka.

– Spójrz tylko na niego! To marudzenie nie jest bez powodu. Nie sądzisz, że wygląda kiepsko? Wydaje mi się, że jest chory. Naprawdę, źle z nim.

Anakin nie przypominał sobie, żeby na Tatooine miał do czynienia z małymi Huttami, ale nie trzeba było lekarza, żeby stwierdzić, że Ahsoka ma rację.

Hutt Rotta, oczko w głowie swojego mściwego ojca, toczył wkoło zamglonym wzrokiem i dyszał ciężko z wywieszonym językiem.

Był chory, bez dwóch zdań. A to oznaczało, że musieli uwzględnić opcję zwrócenia Jabbie jego porwanego dziedzica w worku na zwłoki.

Cóż, to dopiero był twardy orzech do zgryzienia.

Dooku był widać o wiele bardziej wytrawnym graczem, niż Anakin sądził.

## Pałac Jabby, Tatooine

Gdy tylko Kenobi opuścił pałac, zadowolony z dobicia targu, u Jabby zjawił się hrabia Dooku.

Hutt Jabba już dawno się domyślił, że obaj mężczyźni chcieli od niego tego samego. Z jednego i z drugiego był taki sam bezczelny *ootmian*, pozaświatowiec z Jądra galaktyki; jeden i drugi uważali go za przygłupiego wiejskiego *shaga* z Zewnętrznych Rubieży, niepotrafiącego dostrzec w szerszej perspektywie politycznej gierki, którą toczyli.

Najprawdopodobniej jeden wrabiał drugiego. Jabba nie wiedział tylko, który którego. Może Jedi wcale nie byli tacy zdeprawowani? To możliwe, chociaż Hutt nie dałby za to złamanego kredytu. Tak czy inaczej, służyli politykom, a Senat nie był rodzajem instytucji, z którą Jabba chętnie wchodził w układy. Senatorzy byli poniżej wszelkiej krytyki. Skorumpowani, kłamliwi, fałszywi – kradli, kantowali i mordowali z zimną krwią. Jabba miał co prawda na koncie sporo podobnych występków, ale nigdy się z tym nie krył i nie gwałcił prawa ani zwyczajów panujących wśród Huttów. A senatorzy Republiki... publicznie chełpili się swoją moralnością, a co innego robili, kiedy nikt nie patrzył im na ręce.

Huttowie brzydzili się hipokryzją. Jabba nie wstydził się niczego, co robił.

– Wezwij Dooku – burknął do TC-70.

Hrabia był sporo starszy od Kenobiego, a jego postawa uderzała sztywną formalnością. Krążyły plotki, że jest bajecznie bogatym dziedzicem starego rodu, ale do Jabby nigdy nie dotarły choćby najmniejsze wzmianki o tym, w jaki sposób korzystał ze swoich dóbr – jeśli w ogóle to robił. A w interesach Huttów kluczowe znaczenie miały informacje na temat rynku i potrzeb bogaczy.

Nienawidzę istot, których nie można kupić, pomyślał. Operowanie kredytami jest takie proste i jasne! A z innymi motywami... zawsze jest jakiś problem.

– Lordzie Jabbo, mam pilne wieści o twoim synu – przemówił Dooku. – Miałeś rację, jest przetrzymywany na Teth. Wiem, że ta wiadomość z pewnością wprawi cię w słuszny gniew, ale to Jedi stoją za wszystkim.

Cóż, czego innego mógłbym się po tobie spodziewać, prychnął w duchu Jabba, ale podjął temat, tak jak oczekiwał Dooku.

– Skoro wiesz tak wiele, powiedz mi, jak się czuje mój mały Rotta! – ryknął. – Żyje? Czy jest zdrowy? Co z moim synem?

– Żyje, lordzie Jabbo – uspokoił go hrabia.

– Mam nadzieję. Dlaczego jednak miałbym ci wierzyć? Wiesz, że Jedi zjawili się u mnie,

żeby negocjować. Pragniesz ode mnie tego samego co oni, więc na pewno posuniesz się do wszystkiego, żeby to zdobyć.

– Czuję się urażony podobnymi podejrzeniami, lordzie Jabbo – obruszył się Dooku.

– Więc przekonaj mnie, że mówisz prawdę! Powiedz, skąd masz takie informacje.

Nie mógł tego zrobić i Jabba doskonale o tym wiedział. Patrzył, jak hrabia powoli zapłata palce i zastanawiał się, co zrobiliby Separatyści, gdyby odprawił Dooku z kwitkiem.

– Nie mogę ujawniać moich źródeł, bo naraziłoby to bezpieczeństwo moich agentów, ale mam dowody.

Jabba przyglądał się mężczyźnie bez słowa. Taka metoda zawsze działała, prędzej czy później, i była mniej kłopotliwa niż straszenie detonatorem termicznym z włączonym zegarem.

Dooku zaczerpnął głęboko powietrza.

– Lordzie Jabbo, wszedłem w posiadanie nagrania z holokamery bezpieczeństwa na Teth, na którym widać twojego syna przetrzymywanego przez Jedi i... przykro mi to mówić, ale materiał świadczy również o tym, że Jedi planują cię zniszczyć.

Tego akurat Jabba się nie spodziewał.

Cóż, tak czy inaczej, najważniejsze, że Rotta żyje. Teraz Jabba znów miał kontrolę nad sytuacją i mógł zaplanować zemstę – poza oczywiście zabronieniem winnym dostępu do szlaków.

– To skandal! – ryknął. – Chcę to zobaczyć!

Dooku uniósł dłoń.

– Moja agentka ryzykuje w tej chwili własne życie, żeby wyrwać twojego syna ze szponów Jedi. To ona ma nagranie i przekaże ci je wkrótce... to dosłownie kwestia kilku minut.

Jabba podparł się na jednym łokciu. Na jego obliczu malował się wyraz nadziei i ulgi, który zupełnie nie pasował do lorda *kajidica*.

– A więc zaczekam – mruknął. – Minuty. Nie dłużej.

## ROZDZIAŁ 10

*Generale Kenobi, ma pan pozwolenie na lądowanie, platforma numer pięć. Jesteśmy gotowi do drogi na Teth, według rozkazu.*

Kontrola sił powietrznych, krążownik Jedi „Duch Republiki”, przestrzeń nad Tatooine

### **Budynek klasztoru, Teth**

Kilka ładnych lat zabrało Asajj Ventress uświadomienie sobie, że informacja może być podczas wojny taką samą bronią, jak miecze świetlne wiszące u jej pasa.

Kiedy teraz obserwowała androida szpiegowskiego Four-A-Seven manipulującego nagraniem z celi Hutta, w pełni rozumiała jej potencjał.

– Oto – odezwał się Four-A-Seven – świetne potwierdzenie przysłowia, które powtarzają w siedzibie wiadomości HoloNetu.

– A skąd ty w ogóle wiesz cokolwiek na temat HoloNetu? – prychnęła Asajj.

– Media stanowią integralne źródło przekazywania informacji, proszę pani, niezależnie od tego, czy dzieje się to za ich przyzwoleniem, czy nie – wyjaśnił android. – Bywają bardzo przydatne.

– Czy dzieje się to za ich przyzwoleniem, czy nie...? – powtórzyła zdziwiona Ventress.

– Dokładnie – potwierdził Four-A-Seven. – Wystarczy sprzedać im wiarygodną informację, a odwalą całą robotę za darmo.

Asajj przyglądała się nagraniu z uwagą, co jakiś czas sprawdzając chronometr. Nie miała na sfabrykowanie dowodów zbyt dużo czasu. Wiedziała dobrze, których części hologramu potrzebowała i teraz musiała je tylko posklejać razem w taki sposób, żeby sprawiały wrażenie przekonującego dokumentu.

– A więc jak brzmi to ich przysłowie?

– Każdy odbiornik audio rejestruje na żywo. – Four-A-Seven zatrzymał nagranie i powiększył obraz: togrutańska Jedi zastygła z Huttem Rottą w ramionach. – Oznacza to, że zawsze należy zakładać, iż wszystko, co się mówi, jest nagrywane i może zostać

wykorzystane w bardzo brzydki sposób. Z tego, co wiem, wrobili tak wielu niczego nieświadomych senatorów. Kiedy myślą, że nikt ich nie nagrywa, zachowują się stanowczo zbyt swobodnie.

Ventress odniosła wrażenie, że Four-A-Seven uwielbia swój fach. Uznała, że jej rozpaczliwe dążenie do zaprowadzenia porządku w galaktyce i pozbycia się w ten sposób koszmarnych wspomnień nie różni się zbyt od kodu odpowiadającego za motywację androida.

– Każda, nawet najbardziej niewinna rozmowa może zostać zmanipulowana tak, że zaczyna wyglądać znacznie mniej niewinnie – powiedziała.

– Jeśli jednak autor wypowiedzi jest szczególnie lekkomyślny... – metalowe chwytaki Four-A-Seven poruszały się z prędkością światła, wklepując kody na małej klawiaturze. – Proszę ocenić, czy taki efekt panią zadowala. Jeżeli tak, dostosuję punkty przejścia w taki sposób, żeby nagranie sprawiało wrażenie spójnej całości. To tylko kwestia odpowiedniego rozmycia połączeń klatek, żeby nie było podejrzanych przeskoków.

Android był tak bardzo zadowolony z siebie, jak tylko mógł być automat. Ventress, oglądając zedytowane nagranie, nagle zgađła, dlaczego tak było.

Anakin Skywalker i mała Togrutanka, Ahsoka, stali pod celą, widziani z obiektywu kamery umieszczonej ponad ich głowami. Na dole obrazu z holokamery widniała ramka pokazująca aktualną godzinę, sekunda po sekundzie. „Wszystkie tak cuchną” – przemówił ostrym tonem Skywalker. „To Hutt. Nienawidzę ich... nie damy rady ich pokonać, jeśli nie odbijemy syna Hutta”.

Dwoje Jedi weszło do celi, znikając na chwilę z obiektywu kamery, dopóki nie złapało ich urządzenie w środku. Nachylali się nad rozwrzeszczanym, bez dwóch zdań przerażonym Rottą. Kod rejestrujący czas przeskoczył kawałek do przodu.

„Chodź. Zabierajmy go stąd”. – Togrutanka nachyliła się nad malcem i dźwignęła go do góry, a za chwilę w celi pojawił się klon.

„Ten *kriffing* Hutt okropnie cuchnie, sir! Jego ojciec zamiast brać prysznic musiał się tarzać w nerfim truchle! Czy możemy zapakować go do ładowni?” Togrutanka, nie bez wysiłku, włożyła dziecko do wojskowego plecaka, a Skywalker odwrócił się na pięcie i wyszedł. Chociaż zniknął z pola widzenia kamery, słycać go było całkiem wyraźnie.

„Tak. Zabierajmy się stąd, zanim się rozmyślę”.

W tym momencie wracał obraz z holokamery umieszczonej w korytarzu – Togrutanka niosła dziecko w plecaku, mówiła do malca: „Potrzebujemy cię, żeby twój tata pozwolił nam korzystać ze swoich szlaków przestrzennych”.

Ventress nie mogła powstrzymać uśmiechu. Sprytne! Ale też Jedi niechcący dostarczyli im naprawdę wspaniałego materiału.

Android odwrócił się w jej stronę i skupił na niej fotoreceptory.

– Przekaz nie jest doskonały, ale kiedy uzupełnię luki czasowe wydłużając nieco

sekwencje i dopasuję światło i poziom dźwięku, wszystko będzie wyglądało wiarygodnie, jak jeden ciąg wydarzeń. Mam wystarczającą liczbę ujęć Skywalkera z twarzą odwróconą od obiektywu, żeby podłożyć odpowiednią kwestię. Nie potrzebujemy synchronizacji z ruchem warg. Potem trochę rozmyję obraz odrobiną zakłóceń, podmienię kod na fałszywy, tak żeby nic nie wskazywało na to, że ktoś majstrował przy nagraniu, i nikt nie domyśli się, że to montaż.

Świetnie! Ventress znowu zerknęła na chronometr.

– Masz na to trzy minuty.

– Dwie w zupełności wystarczą – zapewnił ją Four-A-Seven.

I to nie były przechwałki. Jego chwytaki poruszały się teraz tak szybko, że ledwie za nimi nadążała. Zajrzała mu przez ramię i patrzyła jak zaczarowana, jak rzeczywistość zmienia kształt i staje się nowym, choć wcale nie mniej przekonującym rejestrem zdarzeń.

W sprzyjających warunkach prawda była elastycznym tworzywem. A kiedy miało się dostęp do odpowiedniej technologii... stawała się tak rozciągliwa, że właściwie przestawała się liczyć. Prawda i rzeczywistość mogły się stać tym, czym chciała. Mogła wypaczać fakty, co ją trochę niepokoiło, bo nigdy nie myślała o sobie jako o kimś nieuczciwym. Tak czy inaczej, jeśli nawet pewne szczegóły wydarzeń zostały przekrecone, dla niej rzeczywistość się nie zmieniała. Jedi wypełniali rozkazy Republiki, a Republikę obchodziły wyłącznie jej własne sprawy, bo była zapatrzona w siebie i skorumpowana. Wyższa prawda była nadal prawdą.

Ventress jeszcze raz oceniła surowym okiem krótkie, ale wiele mówiące holonagranie.

– Doskonale – stwierdziła.

– Dziękuję pani.

Wybrała kod Dooku i odwróciła się do nadajnika. Nie musiała długo czekać, zanim w powietrzu pojawił się wizerunek hrabiego Dooku. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest zniecierpliwiony, pewnie tak samo jak Jabba.

– Przekazuję nagranie, mój panie – oznajmiła bez uśmiechu. Daleko jej było do wesołości, a radość z sukcesu trwała ledwie krótką chwilę i niemal natychmiast ustąpiła chłodnej satysfakcji. Żadne nowinki technologiczne nie były w stanie zmienić przeszłości i przywrócić życia zmarłym. Jedyne, co mogła zrobić, to dążenie do zmiany przyszłości. – Mam dowody, na które czekałeś. Oto one. – Gestem poleciała Four-A-Seven, żeby aktywował hologram. Teraz tylko patrzyła, jak wyraz twarzy Dooku zmienia się w miarę oglądania nagrania.

Hrabia też nie należał do osób, które często się uśmiechały, jednak teraz zdradziło go lekkie uniesienie brwi.

– Dobra robota, Asajj – powiedział łagodnie. – Misja wypełniona. Teraz czeka cię następne zadanie.

– Tak, mój panie?

– Znajdź Hutta. Dopilnuj, żeby był cały i zdrow. Nie pozwól, żeby Skywalker opuścił klasztor razem z nim.

Ventress kiwnęła sztywno głową.

– Tak jest, mój panie.

## **Pałac Jabby, Tatooine**

– Trochę ci to zajęło – warknął Jabba, kiedy Dooku wrócił do sali tronowej.

– Musiałem się upewnić, lordzie Jabbo – powiedział pokornie hrabia. – Nawet mnie zaskoczyło to, co zobaczyłem.

Ustawił holoprojektor na stoliku i odczekał kilka sekund. Chciał mieć pewność, że to, co zaraz pokaże Jabbie, zrobi na nim odpowiednie wrażenie. Sala tronowa była prawie zupełnie opustoszała – wokół tronu nie kłębiły się zwykle tłumy tancerek i muzyków, nie było nawet menażerii przedstawicieli egzotycznych ras. Straż u boku swego pana pełniło tylko dwóch ochroniarzy rasy Nikto.

W powietrzu zamigotał obraz sfabrykowanego holonagrania. Trzeba przyznać, że Jabba wykazał wyjątkową cierpliwość – wybuchnął gniewem dopiero, gdy padła ostatnia obelga pod jego adresem. Wąskie szparki jego oczu otworzyły się szerzej, a z ust popłynął potok przekleństw i pogroźek, z których dużej części nie pojmował nawet znający dosyć dobrze huttański Dooku. Język Huttów był bardziej złożony i ekspresyjny, niż mogłaby się spodziewać większość istot spoza ich rasy. W końcu Jabba uspokoił się na tyle, że zaczął operować nieco konkretniejszymi i bardziej spójnymi terminami. Opisywał, co by zrobił ze Skywalkerem, gdyby ten wciąż był niewolnikiem na Tatooine, i co zrobi mu tak czy inaczej, kiedy w końcu go dorwie, a także co stanie się z każdym Jedi *poodoo*, który ośmielił się naruszyć przestrzeń Huttów. Dooku stwierdził z satysfakcją, że w końcu zdołał wbić między Jabbę a Republikę klin – i to klin o rozmiarach Coruscant.

– Mój syn! – wybuchnął Jabba. W jego głosie słychać było autentyczną wściekłość i szok.  
– Słyszałeś jego krzyki? Traktują go jak zwierzę!

Dooku zastanawiał się, czy ataki wściekłości Jabby to część starannie pielęgnowanego wizerunku groźnego wroga, z którym lepiej nie zadzierać (tak jakby musiał to podkreślać), ale tym razem w zachowaniu Hutta nie wyczuwał ani śladu ostentacji.

– Przykro mi, że musisz to oglądać, lordzie Jabbo – odezwał się cicho – ale to było konieczne. Pozwoliłem sobie wysłać moje roboty i agentów na ratunek Rotcie. W tej chwili zaatakowały siły Skywalkera.

– Jego bezpieczeństwo – wycedził Jabba z bezsilną frustracją – jest najważniejsze! Nie będę tolerował błędów. Mojemu synowi nie może stać się najmniejsza krzywda!

– Daję na to moje słowo, o panie.



– I...?

– Obawiam się, że nie rozumiem, lordzie Jabbo – stwierdził z wahaniem Dooku. Naprawdę nie rozumiał... – a przynajmniej jeszcze nie. – I... co takiego?

– Czego żądasz w zamian za pomoc? – wypalił Jabba. – Ta misja będzie cię kosztowała co najmniej utratę części wojska, a w tej galaktyce nikt nie robi niczego za darmo. Nawet świętoszkowaci Jedi mają swoją cenę, o czym właśnie miałem okazję się przekonać.

– Wspaniale – stwierdził hrabia. – Poproszę zatem o coś, co obydwu nam przyniesie korzyść.

– Ile? – spytał krótko Jabba.

Dooku puścił aluzję mimo uszu. Kredyty nie miały dla niego żadnego znaczenia. Naprawdę liczyło się tylko to, czego nie można było kupić, a to, na czym zależało Dooku stanie się operacją na wielką skalę; kiedy się zacznie, nie zdoła jej powstrzymać żadna siła w galaktyce.

– Proszę o twoje poparcie, lordzie Jabbo – powiedział. Nie zamierzał go okłamywać, a przynajmniej nie w sprawach fundamentalnych. Sfałszowanie holonagrania było tylko koniecznym złem, w to zaś, co powiedział teraz, naprawdę wierzył. Był gotów oddać za to życie. A bogactwo było ostatnią rzeczą, na której mu zależało. – Nadszedł czas, żeby zrobić porządek w galaktyce – ciągnął. – Przemyśl sprawę przyłączenia się do Konfederacji Niezależnych Systemów, lordzie Jabbo. Republika jest jak zaraza, a Jedi zaszczepiają ją kolejnym światom dla własnych, podłych celów. Pomóż systemom, które wyłamują się z tego spisku i chcą położyć dyktaturze kres raz na zawsze! Bo tym właśnie jest Republika: dyktaturą. Planety tańczą jak im Republika zagra albo nie robią nic. Dlaczego nie wolno im po prostu opuścić sojuszu?

– Światy Huttów nie są częścią Republiki – burknął Jabba. Jasne było, że nie ma zamiaru się targować. Chyba wcześniej nie patrzył na sprawy z tej perspektywy. – I tak jesteśmy niezależni.

– Jeśli to jednak Republika wygra tę wojnę i zmusi opierające się jej światy do przyłączenia się, czy naprawdę sądzisz, że da wam spokój?

Jabba zmrużył oczy w wąziutkie szparki.

– Dostaniecie pełny dostęp do przestrzeni Huttów, w przeciwieństwie do Republiki! – huknął. – A teraz przyprowadź mi z powrotem mojego syna.

Dooku skłonił się i wyszedł, eskortowany przez strażnika Nikta. W pałacu panowała nienaturalna cisza, jakby cały barwny dwór Jabby pochował się po kątach, zmartwiały z przerażenia, czekając, aż ich pan wybuchnie gniewem. W korytarzu rozległo się echo kroków i po chwili Dooku wynurzył się na oblaną blaskiem bliźniaczych słońc Tatooine pustynię.

– Dziękuję – powiedział do Nikta. – Dalej już sobie poradzę.

Buty Dooku zapadały się w piach, kiedy szedł po swojego swoopa ukrytego w jaskini piaskowcowego klifu.

Prawie gotowe, pomyślał. Zwycięstwo było tuż-tuż, chociaż tak naprawdę toczył tylko kolejną z wielu bitew w tej długiej wojnie.

Sięgnięcie po broń i pogalopowanie na barykady w gorączce rewolucyjnego przewrotu było ostatnią rzeczą, jakiej spodziewałby się po Jabbie, więc zasianie w nim ziarna buntu było dużym sukcesem. Dostał to, czego chciał: siły Separatystów będą mogły poruszać się swobodnie po terenie Zewnętrznych Rubieży, a Republika nie.

Teraz musiał jeszcze dopilnować jednej rzeczy – bezpiecznego dostarczenia małego Hutta do domu.

Potem zajmie się ustaleniem, który z planów awaryjnych wujka Jabby, Ziry, należy wcielić w życie.

Na razie Ziro nie będzie miał okazji zawładnąć imperium swego bratanka i z pewnością będzie z tego powodu niezadowolony w ten przykry, typowy dla Huttów sposób. Jeśli jednak ma w głowie resztki oleju, będzie trzymał gębę na kłódkę i kiedy się dowie, że nie ma na swojego krewnego żadnego haka, nie piśnie o ich układzie ani słówka.

Dooku zatonął w myślach. Czy powinien sfabrykować przekonujące nagranie, na którym Ziro knuje, żeby go we wszystko zrobić? A może zorganizować nieszczęśliwy wypadek? Strzelaninę z konkurencyjnym *kajidicem* albo gangiem Czarnego Słońca, która skończy się dla Hutta tragicznie...?

Istniało wiele sposobów, dzięki którym mógł zyskać gwarancję, że jego tymczasowy partner w interesach potraktuje zmianę planów jako doświadczenie, z którego powinien wyciągnąć wnioski i o którym nikt inny nie powinien się dowiedzieć.

– Złamałbyś umowę natychmiast, Ziro, gdyby Republika zaproponowała ci lepszy układ – mruknął Dooku pod nosem. – Prawda?

Cóż, teraz i tak się tego nie dowie. I nie zamierzał z tego powodu płakać.

## **Dziedziniec klasztoru, Teth**

Gdy tylko myśliwiec Delta Anakina wylądował na dziedzińcu, z gniazda na skrzydle wygramolił się robot astromechaniczny R2-D2. Obrócił swoją kopułkę tak, żeby skupić fotoreceptor na Rotcie, i zagwizdał żałośnie.

– Racja, kiepsko z nim, Artoo – potwierdził Anakin, zaglądając do plecaka. – Ale przynajmniej go mamy. Czy generał Kenobi jest już w drodze?

W odpowiedzi R2-D2 wyświetlił hologram Kenobiego.

– Jestem – potwierdził generał. – I wsparcie też. Znaleźliście syna Jabby?

– Gdyby przez hologram dało się przekazać zapach, szybko byś się domyślił... – burknął Anakin. – Tak, mamy go. Ale...

– Ale?

– Jest naprawdę chory. Jak najszybciej powinien obejrzeć go lekarz. Huttowie rzadko chorują, a więc to musi być coś poważnego.

Kenobi pogładził swoją brodę – ale nie tym charakterystycznym gestem, mówiącym: „Rozważam kwestie wagi galaktycznej”, tylko szybko, ukradkiem, jakby próbował stłumić jęk rozpacz.

– To ostatnia rzecz, której nam teraz potrzeba, Anakinie – westchnął.

– Obawiam się, że masz rację, Mistrzu – odparł Skywalker. – I jestem dziwnie pewien, że to sprawka Dooku. Cała ta historia śmierdzi gorzej niż ten mały Hutt.

– A więc Dooku chce przeciągnąć Jabbę na swoją, stronę – stwierdził Obi-Wan. – Chce go powstrzymać przed przyznaniem nam dostępu do szlaków w przestrzeni Huttów.

– Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak: najpierw straciłem połowę ludzi podczas szturm na klasztor, a potem pozwolono nam wejść do środka i jak gdyby nigdy nie zabrać dzieciaka – powiedział. Poziom adrenaliny opadł już wystarczająco, żeby Anakin zaczął się zastanawiać, czy mógł to wszystko w jakiś sposób przewidzieć i uniknąć pułapki. – Spodziewałem się zasadzki i chyba właśnie w nią wpadłem. Wydawało się to dziecinnie proste... a teraz ten dzieciak może nam narobić niezłego *poodoo*.

Kenobi wychylił się lekko poza zasięg przekaźnika, jakby coś sprawdzał.

– Chcesz powiedzieć, że Dooku mógł otruć małego?

– Nie mam pojęcia – westchnął Anakin. – Ale zważywszy na okoliczności, wolę zakładać najgorsze.

– A więc musimy zrobić wszystko, żeby Rotta przeżył.

– Wybacz, Mistrzu. Powinienem być się tego spodziewać. Układanie się z Huttami to nie był najlepszy pomysł. Z nimi nigdy nie można wygrać, najwyżej zdecydować, ile się straci.

– Anakinie, gdybyśmy odmówili pomocy Jabbie, nigdy nie dostalibyśmy dostępu do tych szlaków. Nie mieliśmy wyboru.

– Myślisz, że Hutt spiskuje z Dooku? Że nas wrobił? To nie było w stylu Jabby, prosić Republikę o pomoc.

– Nie wiem, ale na pewno nie możemy teraz dopuścić, żeby cokolwiek stało się małemu. To nasz priorytet: musimy go zwrócić Jabbie całego i zdrowego.

Ahsoka nie odzywała się podczas całej rozmowy ani słowem. Kołysała Hutta, pozornie spokojna, ale Anakin słyszał rodzący się gdzieś w głębi jej gardła warkot – dziwny, złowrogi odgłos, na dźwięk którego włoski na karku stawały mu dęba.

– W porządku, Mistrzu – powiedział, ignorując jej reakcję. – Rozumiem. My... tego jeszcze brakowało...

Nie zdołał wykrztusić nic więcej.

– Padnij! Wszyscy na ziemię! Zbliżają się myśliwce wroga! – usłyszał.

Następnym dźwiękiem, który do niego dotarł, był głos Rekxa, który krzychał do wszystkich, że mają się kryć; zobaczył też Ahsokę, szukającą schronienia pod drzwiami

klasztoru. Kiedy odruchowo uniósł głowę i spojrzał w niebo, oślepiły go jaskrawe, czerwone rozbłyski. Coś zagrzmiało i zadudniło, ale to nie była burza, tylko podchodzący do lądowania potężny statek Separatystów, któremu towarzyszyła co najmniej jedna eskorta separańskich myśliwców, robotów sępów. R2-D2 nie ruszył się z miejsca; nadal wyświetlał hologram Kenobiego.

– Mistrzu, zaatakowali nas – zawołał Anakin. – Muszę lecieć. I, Mistrzu... pospiesz się lepiej!

– Anakinie? – Transmisję zaczęły przerywać zakłócenia. – Anakinie!

Obraz znikł, a wycie podchodzących do ataku myśliwców kazało Anakinowi pognać w stronę murów klasztoru. R2-D2 deptał mu po piętach, a roboty sępy nurkowały za nimi raz po raz. Nie mieli innego wyjścia, niż wycofać się do klasztoru.

– Ahsoka! – krzyknął i rozejrzał się za padawaną. – Wszystko w porządku? – Nie widział Togrutanki nigdzie w pobliżu. Jeden z myśliwców ostrzelał mury klasztoru serią z działek, odłupując kamienne szczątki i rozsyłając wokół deszcz skalnych szrapneli. R2-D2 podtoczył się bliżej. – Smarku, gdzie jesteś?!

– Nic mi nie jest, Mistrzu – dobiegł go zza pleców jej głos, dziwnie stłumiony. Pewnie zniekształcał go plecak, który przyciskała do piersi, starając się osłaniać Rottę własnym ciałem. O dziwo, w tej pełnej grozy chwili Anakin był w stanie myśleć tylko o jednym: z tak bliska Ahsoka oddycha praktycznie czystym, skoncentrowanym aromatem Hutta. To dopiero poświęcenie!

– Mam Rottę – dodała Togrutanka. – Biedny malec. Chyba jest zbyt chory, żeby zwracać uwagę na to, co się dzieje dookoła.

– Nic się nie martw – uspokoił ją Anakin. – Nie podnoś tylko głowy i dopilnuj, żeby on też się nie wychylał. – Machnął ręką na robota astromechanicznego. – Artoo? Zostań z nią tutaj.

– Przepraszam, Rycerzyku – zawołała do niego – że pobiegłam, zamiast zostać z tobą...

– Musimy utrzymać Rottę przy życiu za wszelką cenę. Dobrze zrobiłaś, Smarku. – Chociaż było to okrutne, gdzieś w głębi duszy Anakin cieszył się, że Rotta jest taki chory. Dzięki temu nie mieli na głowie przerażonego do granic, rozwrzeszczanego Hutta w chwili takiej jak ta, kiedy koło uszu świszczały im laserowe strzały. – Wystawianie się na pewną śmierć, kiedy nie musisz tego robić, nie jest bohaterstwem – powiedział. – To zwykła głupota.

Rex, który właśnie się do nich doczołgał, popchnął głowę Anakina w dół w tej samej chwili, w której seria z działka wzbijała w powietrze tuman kurzu i szczątków ze ściany tuż nad nim.

– Tak jest, sir, popieram. Najlepiej trzymać *kriffing* głowę nisko.

– Wyczuwam strzały, Rex – obruszył się Anakin.

– Jasne, właśnie widziałem.

To właśnie dzięki takim drobiazgom, stanowiącym dowód prawdziwej troski, chociaż

wyrażanym w ostrych słowach, Anakin czuł się tak, jakby mógł stawić czoło całej galaktyce. Uwielbiał to poczucie braterskiej więzi, tak cenne w trudnych chwilach. Nawet otoczony i pod ostrzałem, jak teraz, wiedział, że ktoś go osłania – i to nie dlatego, że był Wybrańcem i generałem, ale dlatego, że ten żołnierz obok był jego towarzyszem walki. Skywalker zrobiłby dla niego dokładnie to samo.

To było dalekie od spokoju i zimnej krwi, których próbował go nauczyć Kenobi, ale Anakin wiedział, że Qui-Gon Jinn na pewno by go zrozumiał.

– Rozkazy, sir? – spytał Rex. Ledwie było go słyhać w ferworze bitwy. – Czekamy na generała Kenobiego czy wychodzimy im naprzeciw?

– Wiesz, co mawiają o brawurze – upomniał kapitana Skywalker. – Czy dalibyśmy radę sprowadzić tu larta? – Czasami Anakin żałował, że nie nosi hełmu jak żołnierze, którymi dowodził. Miałby dzięki niemu dostęp do konkretnych, dokładnych danych. W takich chwilach informacje przekazywane z czujników w czasie rzeczywistym byłyby bardzo przydatne. – Powinniśmy znaleźć sposób, żeby zabrać z tej skały Ahsokę z Huttem.

– Przykro mi, sir. Nawet gdyby lart nie został rozpylony na atomy podczas lądowania, Hawk nie dałby rady w jednym kawałku przedrzeć się między statkami separańców, a już na pewno nie zdołałby im umknąć. Utknęliśmy.

– Wspaniale, a więc jesteśmy udupieni – westchnął Anakin. – W takim razie musimy się wycofać i zabarykadować w klasztorze. Utrzymanie Hutta przy życiu to priorytet.

– Tak jest, sir. – Rex zamilkł na chwilę z pochyloną głową, jakby prowadził rozmowę na wewnętrznym łączu. Żołnierze zdążyli schronić się w klasztorze na sekundy przed tym, jak coś uderzyło w drewniane podpory i dosłownie poszatkowało je na stertę dymiących drzazg. – Chyba zamierzają zmienić cały płaskowyż w hałdę żwiru...

– Nie, jeśli zależy im na żywym Hutcie.

– A to znaczy, że...

– Jeśli to Dooku za wszystkim stoi, będzie chciał dostarczyć Rottę Jabbie osobiście.

– Dałbym teraz wszystko za wsparcie z powietrza.

– Nie ty jeden. Następnym razem zabieramy ze sobą eskadrę myśliwców Delta.

Rex zamarł na chwilę, jakby nasłuchiwał, a po chwili wycelował swój karabin w potężne, wiekowe wrota.

– Nadchodzą – mruknął. – Coric, Hez... osłaniajcie mnie. A-tee do wrót, spróbujcie zablokować te blaszaki. Cała reszta do środka. W tej chwili!

– To dotyczy również ciebie, Ahsoka – zawołał Anakin, kiedy jednak obejrzał się przez ramię, zobaczył, że jego padawanka już biegnie ku wejściu, przyciskając plecak do piersi. Tuż za nią trzymał się R2-D2 niczym zaganiający stado pies akk.

– Spokojnie, chłopcy... – szepnął Rex. – Pamiętajcie, nie marnujemy żadnego strzału.

Zanim pierwszy robot bojowy zdołał dotrzeć do wrót klasztoru, AT-TE otworzył ogień. Przedni rząd blaszaków został zmieniony w fontannę poszarpanych metalowych szczątków,

tak drobnych, że przez chwilę wisiały w powietrzu jak zasłona zakłócająca. Anakin doczołgał się do wrót, trzymając miecz nad głową. Obok niego przebiegła grupa żołnierzy, znikając w korytarzu.

– Ilu ludzi mamy jeszcze na zewnątrz, kapitanie?

Rex przerwał ostrzał, żeby zmienić magazynek. AT-TE wystrzelił w cel nad wrotami, poza zasięgiem wzroku Anakina.

– Na zewnątrz nie ma już nikogo – odparł Rex. – Ale na dziedzińcu jest A-tee, drużyna Corica i drużyna Heza.

– Daj im rozkaz do odwrotu.

– A-tee nie przejdzie przez bramę, sir – przypomniał mu Rex. – Załoga będzie musiała wysiąść.

A jak tylko otworzą właz, zostaną wystrzelani, uświadomił sobie Anakin. Ta sama braterska więź, która wprawiała go w euforię jeszcze kilka minut temu, teraz napełniła jego serce bólem.

Nie, postanowił. Nie mogę zostawić moich żołnierzy.

Oficerowie powinni umieć godzić się ze stratami w ludziach, ale Anakin nie miał takiego zamiaru – przynajmniej dopóki trzymał miecz świetlny.

– Będę ich osłaniać.

Nie czekał na odpowiedź Reksa. Zerwał się na równe nogi i rzucił naprzód, odbijając blasterowe strzały robotów. Zaufał swojemu zmysłowi Mocy, pozwalając, by nim kierował między seriami z działek robotów sępów. Był już prawie przy AT-TE i zastanawiał się, czy Rex wydał już rozkaz do opuszczenia pojazdu, czy też będzie musiał sam dopaść do włazu na brzuchu maszyny, kiedy na dziedzińcu wpadła grupa robotów pajaków i otworzyła ogień do opancerzonego łazika.

Anakin rzucił się do włazu. Kadłub maszyny trząsł się gwałtownie od ostrzału. Jedna z serii trafiła w przednią wieżyczkę i wybuch rozpląszczył Anakina na ziemi. Kiedy gramolił się, żeby wstać, dostrzegł dym i płomień buchające z dwóch włazów. Łazik zatoczył się i upadł na pysk, a potem przewrócił się na bok.

Właz na brzuchu otworzył się szeroko. Skywalker instynktownie zajął pozycję między przewróconą maszyną a nadchodzącymi robotami, korzystając z pancerza pojazdu jako osłony; cały czas odbijał salwy z działek. Kątem oka zauważył, jak ze środka wytaczają się cztery postacie w białych zbrojach – dwie z nich dźwigały jeszcze jedną. Piątka. Strzelec w wieżyczce został rozpylony na atomy razem z nią, więc została jeszcze jedna osoba. Po krawędziach włazu pełzały płomienie.

– Sir... – zaczął któryś z klonów.

– Biegnijcie – rzucił Anakin. – Powstrzymam ich. Czy w środku został ktoś żywy? – To było głupie pytanie, ale musiał się upewnić.

– Przykro mi, sir.

– A więc ruszajcie. Na trzy... – Wskoczył zza osłony pancerza i natychmiast powitała go seria z blastera. – Trzy! – wrzasnął, odbijając laserowe błyskawice.

Żołnierze pobiegli do bramy, przedzierając się przez kłęby gryzącego, czarnego dymu, który zasnuwał teraz cały dziedziniec. Przez kilka sekund dawał im pewną ochronę. Anakin widział jednak maszerujące ku niemu roboty; ich pancerze pokrywały szczątki własnych braci, a spojrzenie gorejących, czerwonych oczu skupiało się na korpusie AT-TE.

No, dalej! – zachęcił je w myślach.

W jego żyłach buzowała adrenalina. Potężnym pchnięciem Mocy posłał wrak maszyny przez podwórze. Siła uderzenia i ściana płomieni, które buchnęły, kiedy pojazd zderzył się z maszynami, dorównywały skutkiem eksplozji bomby. Po chwili w powietrzu znowu zakwitła chmura ognia, wywołana kolejnym wybuchem – prawdopodobnie wtórnym, w magazynku łazika.

Kiedy płomienie nieco opadły, Anakin stłumił w sobie odruchową chęć, żeby skoczyć naprzód i zabijać wszystko, co stanie mu na drodze. Zdrowy rozsądek nakazywał mu się stąd zabierać. Biegł pochylony do bramy klasztoru, przeskakując ponad szczątkami i unieszkodliwionymi robotami. Skrzydło wrót, potężna, lita ściana, wciąż było uniesione. Na zewnątrz stał Rex, celując z karabinu gdzieś za plecy Anakina.

Nigdy nie zdołają ich zaniknąć zanim dotrą tu roboty, jeśli nie zaczną ich opuszczać teraz! – przemknęło Anakinowi przez myśl.

– Rex! – wrzasnął. – Do środka! Opuścić bramę!

– Z całym szacunkiem, sir, ale nie. – Kapitan wystrzelił kilka serii przeciwpancernych, które minęły Anakina z lewej strony. Ich charakterystyczny świst, kiedy przelatywały obok, został zagłuszony przez odgłos eksplozji, która cisnęła nim do przodu.

Z tyłu załomotały dziesiątki metalowych stóp; Anakin nie śmiał się obejrzeć za siebie.

– Powiedziałem, żebyś zamknął te *kriffing* drzwi!

Rex stał przez chwilę bez ruchu, jakby coś liczył, a potem odwrócił się i wystrzelił serię w panel kontrolny wrót. Ciężka płyta zaczęła gwałtownie opadać.

Cóż, to zdecydowanie nie było kontrolowane zamknięcie.

Anakin skupił się na szparze w drzwiach, z każdą chwilą malejącej. W tej chwili nie istniało nic innego.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim opadł na prawą stopę, żeby pokonać ostatnie kilka metrów, był Rex nurkujący pod opadającą płytą drzwi niemal równocześnie z nim. W pewnej chwili Skywalker spojrział do góry, prawie pewien, że brama runie prosto na jego czaszkę...

Jednak wrota zatrzasnęły się tuż za nim – z wystarczającym hukiem i na tyle blisko, żeby zdmuchnąć mu włosy z oczu. Korytarz pogrążył się w mroku.

Wokół panował dziwny spokój. Anakin spojrział na swoją zaciśniętą pięść i odetchnął z ulgą: odruchowo zgasił miecz świetlny. Ciszę mąciło jedynie szczęknięcie płyt pancerzy, a po chwili dołączył do nich stłumiony brzęk gromadzących się pod drzwiami robotów. Mrok

powoli rozświetliły snopy światła z reflektorów na hełmach żołnierzy.

To ja was w to wpakowałem, pomyślał ponuro Anakin. I ja was z tego wyciągnę. Wstał, przygotowując się do wysłania ludzi w ostatnią, desperacką misję.

– Sir? – odezwał się jeden z żołnierzy. – Chyba zostawiłem na zewnątrz moje pudełko na lunch. Czy mógłby pan po nie skoczyć?

Nieliczni pozostali przy życiu członkowie Kompanii Potok wybuchnęli śmiechem, a za nimi Anakin. To była jedna z tych rozpaczliwych chwil, kiedy na szali wojny ważyły się losy żołnierzy. Kiedy docierało do ciebie, że nadal oddychasz, rozpacz przechodziła w czarny humor, spowodowany obezwładniającą ulgą.

– Rex, jakie mamy straty? – spytał. Kawałek dalej widział mrugające w mroku światełka kopułki R2-D2. – Ilu jest z nami medyków?

– Zostało nam czterdziestu dwóch ludzi, w tym trzech po szkoleniu medycznym. Sześciu rannych, zdolnych poruszać się o własnych siłach, i jeden ciężko ranny, unieruchomiony.

Ostatnia uwaga była właściwie niepotrzebna – wokół rannego członka załogi AT-TE tłoczyła się trójka żołnierzy. Zdjęli mu już pancerz i hełm, a teraz próbowali ustabilizować jego stan za pomocą zacisków i plazmowych opatrunków.

Trzy czwarte moich ludzi nie żyje, pomyślał z goryczą Anakin. A wszystko z powodu głupiego Hutta.

– Dobra, wiesz, co robić – powiedział. – My zaszyjemy się w najgłębiej położonej celi, jaką znajdziemy. Jeśli poradzą sobie z wami, wciąż będą musieli stawić czoło mnie i Ahsocem. I Artoo.

– Tak jest, sir.

Żołnierze klony mieli pewne cechy, które uświadamiały Anakinowi, do jakiego stopnia morderczy trening, któremu byli poddawani od dziecka, przypominał jego własne doświadczenia – z tą różnicą, że żołnierze byli w dodatku odcięci od świata zewnętrznego.

Na znak Reksa podzielili się na grupy. Część klonów zaczęła zdejmować ze ścian i wyciągać z wnęk wszystko, co dało się ruszyć, i zanosić złom pod drzwi. Kolejna ekipa gromadziła cały arsenał, którym dysponowali, na podłodze; chyba zamierzali zmontować z tego wszystkiego ładunki pułapki. Następna trójka żołnierzy ruszyła w głąb korytarza, żeby zorganizować prowizoryczny punkt pierwszej pomocy. Jeden z klonów zajął się zaczepianiem w szczelinach między kamiennymi blokami cienkiego drutu i przeciąganiem go przez całą szerokość korytarza na drugą stronę. Reszta – Anakin dłuższy czas nie mógł się zorientować, co robią – zakładała na siebie ładunki: pakowali je do swoich plecaków.

Żaden robot nie miał prawa przejść tędy cało – chyba że po ich trupach, a może nawet wtedy nie. Cel był jasny.

Anakin chodził między swoimi ludźmi bez słowa, klepiąc po ramieniu każdego żołnierza, którego mijał. Część odwzajemniała gest. Słowa były w tej chwili zbędne. Ostatni w kolejce był Rex. Anakin poklepał go po plecach, a kapitan położył mu pozornie bez troski dłoń na



ramieniu. Skywalker ruszył truchtem w głąb korytarza, zabierając po drodze Ahsokę i R2-D2, i razem skierowali się do głębiej położonej części klasztoru.

Wszystko wyglądało zdecydowanie inaczej niż na holofilmach. Anakin nie był pewien, czy zdoła opisać to wszystko Padme – ani czy w ogóle ma na to ochotę. Nawet o niej nie myślałem od rozpoczęcia bitwy, stwierdził z poczuciem winy. A wtedy w jego głowie rozbrzmiał nieproszony głos: Wiesz, że nawet gdybyś wzorowo wypełnił misję, Yoda nie powie ci nawet dobrego słowa...

Ale to były podszepty tego drugiego Anakina. Teraz żał do tych, którzy nie pozwalali mu decydować za siebie, ciągle wahania nastroju – od postrzegania Kenobiego jako starszego brata, którego potrzebował, do traktowania go jak przemądrzałego wyrostka, który robił mu na złość – wszystko minęło. Coś się zmieniło, jakby doszło w nim do głosu jego starsze, zahartowane w bojach ja.

Położona w sercu klasztoru komnata, sądząc po bogactwie zdobień, musiała być dawniej salą tronową jakiegoś Hutta. Anakin nie mógł zgadnąć, komu służyła przedtem.

Jednak od teraz miała się stać ich schronieniem. Zamknął drzwi i przygotował się na oblężenie.

## ROZDZIAŁ 11

*Nie miałem żadnych wieści od Dooku. Co on wyprawia z tym synem Jabby? Moi szpiegdy przysłali z Tatooine niepokojące plotki. Ale z drugiej strony... zawsze krążą jakieś plotki.*

Hutt Ziro do zaufanego powiernika

### Dziedziniec klasztoru na Teth

Szeregi robotów bojowych rozstąpiły się, by przepuścić Asajj Ventress. Szła wolnym krokiem, zatrzymując się dopiero przed wejściem do klasztoru.

Z morza szczątków tu i ówdzie wynurzały się fragmenty białych zbroi. Najwyraźniej Jedi kończyły się zasoby niewolników, których wystawiali jako żywe tarcze...

– Skywalker! – syknęła Ventress. Wiedziała, że jej nie usłyszysz, ale czuła potrzebę wypowiedzenia jego imienia. – Nie masz gdzie uciec! Możesz tylko wybrać, jak szybko zginiesz.

Raźnym krokiem zbliżył się do niej dowódca robotów bojowych.

– Zabarykadowali się w środku – poinformował. – Zniszczyli panel kontrolny wrót, a wzmożona aktywność wewnątrz sugeruje, że umacniają płytę.

– A więc wykurzcie ich stamtąd!

– Proszę o pozwolenie na użycie materiałów wybuchowych w celu nagłego wtargnięcia.

Ventress cofnęła się kilka kroków; ręce oparła na biodrach, u jej pasa zwiisały bliźniacze miecze świetlne. Nie mogła czekać wiecznie, ale Jedi także nie mieli zbyt dużo czasu. Z tego, co wiedziała, trudno było uśmiercić małe Huttów, ale to zdecydowanie nieodpowiednia pora, żeby sprawdzać, czy miała rację.

– Zabraniam – warknęła. – Możecie się przebić. I macie uważać, żeby Huttowi nie stała się żadna krzywda, czy to jasne? Żadnych ładunków, dopóki nie będzie pewności, że dziecko jest poza zasięgiem eksplozji. Zrozumiano?

– Tak jest, proszę pani.

Asajj wycofała się pod wysoką na metr ścianę, która jakimś cudem przetrwała atak, i

wskoczyła na jej szczyt, żeby nadzorować prace. Roboty zabrały się do przecinania wrót. Kiedy zaczęły smagać powierzchnię laserowymi promieniami, z prastarej płyty uniosły się smużki dymu, wprawiając roboty w wyraźną konsternację.

Trudno powiedzieć, czy wrota wykonano z metalu, kompozytu czy może jakiegoś supertwardego drewna, ale jedno było pewne: przedarcie się przez nie zajmie im nieco czasu.

– Moglibyśmy zażądać kapitulacji i przedstawić im warunki, proszę pani – zaproponował dowódca robotów.

– Strata czasu – prychnęła Ventress. – W życiu się na to nie zgodzą. To Wielka Armia i Pięćset Pierwszy, a do tego ludzie Skywalkera. Nie mamy do czynienia z bezmyślnymi, posłusznymi maszynkami do zabijania... oni są mu ślepo posłuszni. Jeżeli powie im, że mają za niego umrzeć, zrobią to. Co za głupcy! Mam nadzieję, że zanim zdechną, dla własnego dobra zrozumieją, kim są Jedi i w ten sposób ocalą skóry.

– To mało prawdopodobne, proszę pani – odparł grzecznie robot. Maszyny nie pojmowały sarkazmu. Ventress cofnęła się, żeby ocenić postępy w zdobywaniu klasztoru.

– Skywalker skontaktował się z siłami Republiki – powiedziała tylko. – Prędzej czy później będziemy mieli na karku ich uzbrojonych kompanów. Bądźcie czujni. Chcę, żeby sępy i roboty pająki patrolowały cały kompleks.

– Rozkaz-rozkaz.

Ventress nie przepadała za heroizmem. Nie to, żeby pogardzała bohaterami – po prostu wiedziała, że bohaterstwo rzadko bywa nagradzane, a bohaterowie są przeważnie wykorzystywani. Heroiczne wysiłki Nareca, aby ocalić lud Rattataka, nie znaczyły dla Mace'a Windu nic. To właśnie on, nobliwy Mistrz Jedi, porzucił Nareca, jej mentora i jedynego przyjaciela, na pastwę losu; zostawił go na pewną śmierć.

Żałuję, że mi o tym powiedziałeś, Dooku, pomyślała z goryczą. Ale każdy z nas potrzebuje czegoś, co pcha go naprzód.

Życie Nareca nic dla nich nie znaczyło, tak samo jak życie klonów za tymi drzwiami. Teraz nie było jednak sensu dumać nad ich nieszczęsnym losem. To tylko osłabi jej determinację. Jeśli chcesz pomóc zabiedzonemu akkowi, może się to skończyć tylko w jeden sposób: rozszarpaniem gardła współczującej, pełnej dobrych chęci duszyczce – bo pan zwierzęcia znęcał się nad nim, a ono nie potrafiło reagować w inny sposób.

Czekała, łącząc i rozłączając rękojeści bliźniaczych mieczy.

## **Opuszczona sala tronowa, klasztor na Teth**

R2-D2 od zawsze zachowywał się jak robot, który ma poczucie misji; pchał go do przodu jakiś napęd, którego Anakin nie potrafił rozgryźć – nawet kiedy zafundował mu remont kapitalny. Jak tylko R2-D2 zorientował się w układzie pomieszczenia, skierował się prosto do

ściennej wnęki i podłączył do portu konsoli.

Terminal natychmiast obudził się do życia, a R2-D2 zagwizdał radośnie i zaczął się przedzierać przez systemy zabezpieczeń.

– Nie chce mi się wierzyć, że miejsce takie jak to nie ma mnóstwa zapasowych wyjść – stwierdził Anakin, śledząc nad kopułką robocika monitor terminalu. – Nawet jeśli nie miało ich na początku, założę się, że Hutt, który się tu wprowadził, zadbał o kilka. Mam rację, Artoo?

R2-D2 pisnął potwierdzająco. Ahsoka położyła plecak na podłodze i przyjrzała się krytycznie małemu Rotcie.

– Zasnął – oznajmiła. – Albo stracił przytomność.

Anakin zmierzył Hutta czujnym wzrokiem.

– Oddycha – stwierdził z ulgą. – Nic mu nie będzie.

– Ale on jest cały rozpalony! – Wyglądało na to, że Ahsoki nie odstrasza wydzielany przez istotę cuchnący śluz. Położyła dłoń na czole małego. – Dzieci mogą mieć gorączkę, dreszcze, a po godzinie nagle być zdrowe jak ryby. To znaczy, przynajmniej ludzkie dzieci. Prawda?

– Skąd wiesz takie rzeczy?

– Nauczyłam się ich prawdopodobnie w ten sam sposób, w jaki ty nauczyłeś się huttańskiego – odcięła się. – Po prostu skutki uboczne bycia Jedi.

Anakin nie był pewien, czy w głosie padawanki brzmiał sarkazm, czy po prostu była to reakcja obronna, ale podejrzewał to drugie.

– Robisz, co w twojej mocy, Smarku – powiedział już nieco łagodniej. – Nie masz się o co obwiniać.

– Jeśli coś mu się stanie, to będzie moja wina.

– Nic mu nie będzie – zapewnił ją. – Co ty w ogóle chcesz przez to udowodnić?

– Że nie jestem za młoda, żeby być padawanem – odburknęła.

– Ach, a więc o to chodzi? Czy odesłałem cię do Świątyni? Nie. Czy zabroniłem ci walczyć? Nie. A więc wygląda na to, że moim zdaniem nie jesteś za młoda.

Ahsoka nie odpowiedziała; uśmiechnęła się blado i wróciła do opieki nad Rottą. Mały naprawdę kiepsko wyglądał, nawet jak na Hutta. Miał przymknięte oczy, ale nie reagował na żadne bodźce, a Anakin dostrzegał przysłaniającą mu oczy szklistą membranę. Zapomniał już o obrzydliwym zapachu. Ostatnie kilka godzin było tak wyczerpujące, że po prostu przestał go zauważać.

– Masz coś, Artoo? – spytał.

Robot ćwierkał do siebie przez chwilę, a potem wydał długi, niski trel. Zawiadomił, że przegląda pliki najszybciej, jak potrafi.

– Dobrze, uzbroję się w cierpliwość – mruknął Anakin, szperając w niewielkiej sakwie u pasa. – Smarku, kiedy ostatni raz coś piłaś? A skoro już o tym mowa, to samo dotyczy

naszego cennego, wonnego maleństwa. – Wyciągnął bidon. – Trzymaj. Kiedy jesteś odwodniona, tracisz orientację, a w końcu umierasz.

Powinien był się domyślić: Ahsoka sięgnęła po bidon, wzięła go z miłym uśmiechem, po czym wlała odrobinę wody prosto do ust Rotty.

Co to, to nie – Anakin nie zamierzał już pić z tego pojemnika. No, chyba że nie będzie miał wyjścia. Togrutanka jeszcze raz zwilżyła wargi Hutta, a wtedy spomiędzy nich wysunął się ogromny język. Rotta oblizwał się z mokrym mlaśnięciem.

– O, właśnie tak! – zawołała radośnie Ahsoka. – Dobry chłopiec! No, jazda, Śmierdzielku, wypij trochę za mamusię...

– Huttowie raczej nie mają mamus – zaproponował słabo Anakin. Przyglądał się scenie, nasłuchując, czy na zewnątrz nic specjalnego się nie dzieje i próbując wyczuć stopień zagrożenia pod wrotami. W ciemności czaiło się coś na wskroś złego, jednak czuł, że to nie Dooku. Wkrótce z pewnością pozna tożsamość ich gościa. – Jeśli nie będziesz uważać, przywiąże się do ciebie – ostrzegł Ahsokę.

– Naprawdę są zdolne do takich uczuć? – Padawanka pociągnęła łyk z bidonu bez wycierania szyjki i żołądek Anakina fiknął koziołką. Cóż, pomyślał, może kiedy żywiesz się gryzoniami, ślina Hutta nie wydaje się taka straszna. Togrutanka zmarszczyła lekko nos. A więc jednak! – Nie chcę wprawiać naszego biednego malucha w zakłopotanie – wyjaśniła przeproszającym tonem.

– Kiedy dorośnie, będziesz miała za serdecznego przyjaciela ważącego dwie tony szefa organizacji przestępczej.

– Skoro już mowa o lojalności... – wtrąciła jego towarzyszką. – Rex i jego ludzie...

– Wiem, wiem – wszedł jej w słowo. To była misja, ale to wcale nie znaczyło, że musiała mu się podobać. – To jedna z najtrudniejszych lekcji, których przyjdzie ci się nauczyć, Smarku. Kiedy jesteś dowódcą, musisz być przygotowana na to, że czasem trzeba posłać swoich żołnierzy na śmierć.

– Zrobiliby dla ciebie wszystko.

– I dlatego wiem, jak cenne jest ich życie.

– Czyli lepiej się z nimi za bardzo nie bratać?

– Nieprawda – stwierdził Anakin stanowczo. – Nic podobnego. Jeśli się od nich odsuwasz, to uchylasz się od odpowiedzialności, a poza tym okazujesz im brak szacunku. Kiedy ich poznasz, w pełni zdasz sobie sprawę, jak wysoką cenę płacą.

– Jeśli będziemy mieli szczęście – wtrąciła Ahsoka – wkrótce przybędzie nam na odsiecz generał Kenobi.

Cóż, trzeba przyznać, że Kenobi celował w zjawianiu się w samą porę. Jednak tym razem Anakin miał nieprzyjemne przeczucie, że może przybyć trochę za późno dla niedobitków z Kompanii Potok.

R2-D2 zaświergotał triumfalnie, wrywając go z ponurych myśli.

– Znalazłeś, Artoo? – spytał.

Kopułka robota obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni. Donosił, że znalazł plany kanalizacji, którą w razie konieczności będą mogli wydostać się z klasztoru. Jednak skoro w systemie były plany instalacji wodnej, może uda się znaleźć tam również schematy budynku. Wrócił do poszukiwań.

– Pospiesz się, mały – przynaglił go Anakin.

## **Wejście do klasztoru na Teth**

– Nie możecie się ruszać szybciej?

Ventress zeskoczyła z murka i podeszła do drzwi. Pokonywanie wrót szło stanowczo za wolno. Do tej pory roboty zdołały wyciąć w grubej płycie niewielki kwadratowy otwór, przez który nie precyzyjnie się do klasztoru w przyzwoitym tempie. Przy takich postępach wdarcie się do środka zajmie resztę dnia.

A Asajj musiała zwrócić Jabbie jego syna jak najszybciej. Im dłużej Hutt będzie się niepokoił, tym gorzej dla nich.

– To wcale nie takie proste, jak się wydaje, proszę pani – poskarżył się dowódca robotów, drepcząc przed nią i próbując obejrzeć się jednocześnie przez ramię. – Drzwi są masywne, a pani zakazała korzystania z ładunków...

– Ale nie kazałam wam piłować płyty pilniczkami do paznokci! – wrzasnęła Ventress.

Dwa roboty majstrowały przy zewnętrznym panelu kontrolnym, próbując się połapać w kolorowych kabelkach. Nic dziwnego, że Republika wolała wysłać do walki sklonowanych ludzi. Ventress przyglądała się z lekkim przerażeniem, jak roboty spierają się, które kable należy ze sobą połączyć – czerwone czy niebieskie.

– Nie rozbrajacie bomby, idioci! – wybuchnęła. – Próbujcie każdej kombinacji, do skutku. Chyba nie jest ich aż tak dużo, co?

– Ale proszę pani, żołnierze Republiki stopili wewnętrzny panel kontrolny, kiedy...

– A więc i tak tego w ten sposób nie otworzycie?

– Otworzymy, ale musimy wyizolować obwód do punktu, w którym wystąpiła usterka.

Ventress zmierzyła krytycznym spojrzeniem panele przy wejściu. Podczas gdy roboty guzdrały się przy drzwiach, klony w środku przygotowały już na pewno całe mnóstwo pułapek i innych niespodzianek, mających spowolnić ich marsz, kiedy w końcu wejdą do klasztoru. Ona na pewno by tak postąpiła. Gdyby była na ich miejscu, na dobry początek wykopałaby tuż przy wejściu dół, a potem podłożyła pod sufitem ładunki. Sufit w korytarzu by się zawalił, jak tylko armia robotów wtargnęłaby do środka. Ale najpierw zajęłaby się odnalezieniem tylnego wejścia.

Szacowała, że Skywalker ma ze sobą jakichś czterdziestu, może czterdziestu pięciu ludzi,

ale nie mogła ocenić, ile amunicji czy ładunków mogą ze sobą mieć ani czy dysponują jakimś specjalistycznym sprzętem.

– Odsunąć się – rozkazała robotom.

Cóż, przynajmniej blaszaki nie kwestionowały poleceń. Patrzyły, jak w skupieniu przygląda się drutom wystającym z metalowej osłony zatopionej w ramie. Obudowa była gruba; wewnętrzny mechanizm został osadzony bardzo głęboko – nawet go nie widziała, nie mówiąc już o dostaniu się do niego. Istniało jednak inne rozwiązanie, i to stosunkowo proste. Ventress nakazała robotom odsunąć się od futryny, odpięła od pasa miecze i odwróciła się do szeregów metalowych żołnierzy, czekających na sygnał do ataku.

– Na mój rozkaz – przemówiła – wchodźcie natychmiast, jak tylko otworzę drzwi. Żołnierze w środku początkowo będą mieli nad wami przewagę, bo w punkcie krytycznym stracimy pewnie sporo sił, ale was jest więcej. Musicie po prostu iść naprzód, dopóki nie przyprzemy ich do ściany. To proste. Wykańczacie żołnierzy Republiki, ale nie robicie nic więcej, dopóki wam nie rozkażę. Muszę dostać małego Hutta całego i zdrowego. Czy to jasne?

Roboty słuchały uważnie. Właściwie nie było to nic nadzwyczajnego, bo zostały do tego zaprogramowane, ale Asajj lubiła mieć pewność, że jej słowa do nich docierają. Myślenie abstrakcyjne nie było mocną stroną blaszaków.

– Rozkaz-rozkaz – odpowiedziały metalicznym chórem. Ventress uniosła prawą dłoń, zapaliła jeden z mieczy i szybkim ruchem przekreśliła nadgarstek.

– Gotowi? – Sprowadziła ostrze w dół płynnym łukiem. Cięła pewnie przez framugę i metalowe kable, dezaktywując cały system. Towarzyszył temu widowiskowy deszcz białoniebieskich iskier. Większość drzwi projektowano w taki sposób, żeby ze względów bezpieczeństwa blokowały się w pozycji otwartej – tak było od wieków, a klasztor nie był pod tym względem wyjątkiem. Gruba płyta uniosła się i zniknęła w szparze nadproża, odsłaniając pogrążony w mroku korytarz, z którego natychmiast bluznęły w ich stronę serie błękitnych promieni. Pierwsze dwa rzędy robotów runęły jak długie, porażone blasterową kanonadą, a Ventress ostrożnie odstaąpiła na bok i patrzyła, jak kolejne szeregi brodzą wśród szczątków swoich pobratymców, przedzierając się do środka.

Wiedziała, że będą tak szły i szły, i szły... Było ich dużo. Bardzo dużo. I wiedziała też, że w końcu – tak naprawdę ta chwila była już blisko – Skywalkerowi skończą się żołnierze. A na pewno nastąpi to, zanim jej skończą się roboty.

A kiedy tak czekała na tę chwilę, zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby jednak drzwi nie udało się otworzyć.

Cóż, teraz i tak nie miało to znaczenia. Asajj Ventress zawsze skrupulatnie wszystko planowała – tak samo jak jej Mistrz, hrabia Dooku.

Wiedziała, gdzie są pozostałe wyjścia i nie omieszkała ich obstawić.

## ROZDZIAŁ 12

*Jeśli nie damy rady ich powstrzymać, zawsze możemy odpierać atak tak długo, jak zdołamy, a potem dopilnować, żeby musieli przedzierać się przez nasze trupy. To był dla mnie zaszczyt, panowie.*

Kapitan Rex, klon, CC-7567, Legion 501., Wielka Armia Republiki,  
do żołnierzy z Kompanii Potok

### Wejście do klasztoru na Teth

Liczby. Wszystko sprowadzało się do *kriffing* liczb, a Rex niestety nie miał na tym polu przewagi. Nie musiał nawet wydawać rozkazu. Jego ludzie wiedzieli, co mają robić. To było bezpośrednie starcie, z całym swoim paskudnym charakterem, i kiedy drzwi uniosły się do góry, zalała ich fala piaskowoszarych metalowych korpusów.

Jedynym wyjściem w takiej sytuacji było strzelać ze wszystkiego, co mieli pod ręką, i kosić blaszaki seria za serią, dopóki wystarczy im amunicji.

Hałas był tak przeraźliwy, że zanim w hełmie Reksa automatycznie zaskoczyło wygłuszanie, przez chwilę naprawdę bał się, że ogłuchnie. To, co widział na wyświetlaczu: smugi światła z luf blasterów i eksplozje granatów, niknące natychmiast, kiedy tłumił je filtr jego hełmu – było reakcją ludzi kierowanych czystymi odruchami. Byli do tego szkoleni każdego dnia ich życia.

Ale to życie miało się wkrótce skończyć.

Hełm kapitana wygłuszał hałas, ale dopóki miał łączność z grupą, musiał słuchać krzyków, zdyszanych oddechów i jęków własnych ludzi.

Kiedy ława robotów dotarła do drutu rozciągniętego przez Geda kilka kroków od wejścia, detonatory termiczne przytwierdzone do obydwu ścian wybuchły i rozniosły resztę robotów na strzępy. Powinniśmy byli zrobić to inaczej, przeszło Reksowi przez myśl. Trzeba było wysadzić korytarz na początku... Teraz było na to za późno, a za blaszakami napływały do środka superroboty bojowe, strzelając z uniesionych ramion. Między kolumny wkroczyły



roboty pająki i natychmiast otworzyły ogień z laserowych działek. Promienie energii przelatywały tak blisko, że czujniki w hełmie Reksa rejestrowały skwierczenie i brzęczenie maksymalnie rozgrzanego powietrza, kiedy blasterowe błyskawice trafiły w obiekty za nim.

Obiekty, jęknął w duchu. Moi chłopcy...

Każdy wybuch był bardziej niebezpieczny w tak ograniczonej przestrzeni. Dym ścielił się teraz tak gęsto, że Rex musiał polegać na wizualizacji termicznej w swoim HUD-zie. Spojrzał w górę, na potężne belki wspierające pułap i na żebrowanie ponad nimi. Konstrukcja była za lekka, żeby pogrzebać blaszaki. Teraz mógł tylko celować i strzelać do wszystkiego, co się ruszało.

Widział, jak pada Ged, potem Hez i jeszcze trójka z jego drużyny. Żołnierz, który trafił blaszaka z bezpośredniej bliskości, został dosłownie skrócony o głowę przez ostry jak brzytwa odłamek, który odłupał strzał z blastera. Coric, któremu właśnie wyczerpało się ogniwo, próbował zmiażdżyć głowę atakującego go robota kolbą karabinu i Rex przerwał ogień zaporowy, żeby wpakować w blaszaka serię. Nawet jeśli ocalał kompanowi życie, nie dane mu było tego zobaczyć, bo w następnej chwili przygniotło go do ziemi coś ciężkiego. Zareagował odruchowo: wyciągnął pistolet i opróżnił magazynek w ciemny, majaczący nad nim kształt.

Wszystko działo się tak szybko, że nie miał innego wyjścia, niż zdać się na instynkt. Mimo to – jak zawsze w takich chwilach – widział wszystko jak w zwolnionym tempie; pewne szczegóły były tak wyraźne, że nie zdoła ich zapomnieć do końca życia. Wszystko inne było zaś niewyraźnym ciągiem rozmazanych obrazów.

Rozbłysk w podczerwieni powiedział mu, że uderzył o coś w pobliżu. Impet zderzenia wyparł kapitanowi z płuc resztki powietrza; jego pierś przygniół ogromny ciężar, który natychmiast zmienił się w ostry ból, zupełnie jakby ktoś wbijał mu ostrze pod żebra. Nie, to nie żadne ostre narzędzie – odnosił już takie rany; tym razem cios był tylko silnym pchnięciem. Dlaczego w ogóle, u *stang*, myślał teraz o takich idiotycznych rzeczach? Przecież umierał! Musiał przyznać, że było inaczej, niż to sobie wyobrażał.

– Coric! – zawołał. – Coric?

Jeśli nawet Coric go słyszał, nie odpowiedział. Hełm Reksa wypełniała gęsta cisza i chociaż ze wszystkich sił próbował się poruszyć, nie dał rady.

To prawda, wyobrażał sobie swój koniec zupełnie inaczej.

## **Opuszczona sala tronowa w głębi klasztoru na Teth**

Na dźwięk eksplozji Anakin aż podskoczył, chociaż byli daleko od źródła hałasu. Nie wiedział, co się dzieje, ale potrafił rozpoznać śmierć, ból i strach rozdzierające materię Mocy. Takie emocje mogły pochodzić tylko od żywych istot, które właśnie ginęły, na pewno nie

robotów.

Przykro mi, Rex, przeprosił w myśli kapitana. Tak bardzo mi przykro...

– Roboty wdarły się do środka – poinformował swoich towarzyszy. – Artoo, ruchy. Wciąż czeka nas sporo roboty. Ahsoka, gotowa do ewakuacji?

Togrutanka złapała plecak i z trudem założyła go sobie na ramiona. Wyglądało na to, że Rotta się przebudził – mrugał teraz i coś do siebie gaworzył.

– Hej, wróciłeś do nas, Śmierdzielku! – Togrutanka wyciągnęła szyję, żeby obejrzeć się na Hutciątko. – Mała drzemka na pewno dobrze ci zrobiła.

– Teraz postaraj się nie zdechnąć – mruknął Anakin pod nosem. Prawdopodobnie tracił właśnie całą kompanię, żeby ocalić życie tego małego gluta. Zastanawiał się, czy szlaki na Zewnętrznych Rubieżach były naprawdę takie ważne i czy nieco bardziej krytyczne, strategiczne podejście do problemu nie pozwoliłoby im obejść łańcucha zaopatrzenia. Tak czy inaczej, teraz było już za późno. – Im wcześniej się ciebie pozbędziemy, tym lepiej.

Ahsoka zmarszczyła lekko czoło.

– Na pewno masz dobre powody, żeby nienawidzić Huttów, tak zresztą jak i inni, ale co takiego zrobił ci Rotta? Jest tylko dzieckiem! Jedyna jego wina polega na tym, że urodził się synem glisty.

– Jestem przekonany, że wszystko nadrobi, gdy tylko podrośnie. – Anakin nie był w nastroju do dyskusji. Mały Hutt wciąż żył, w przeciwieństwie do większości jego żołnierzy. Może nawet wszystkich. Najgorsze w sytuacji, kiedy napięcie opadało, było to, że nagle zaczynało się myśleć o najczarniejszych scenariuszach... i wracały paskudne wspomnienia. – Wykonuję swoje obowiązki, ale zastrzegam sobie prawo do myślenia, co mi się podoba. Z wyrażaniem opinii, czy to wszystko jest warte całego tego zachodu, czy nie włącznie.

– Ale jeśli dzięki temu zwiększymy naszą skuteczność w walce, to ocalimy więcej istnień.

– A jeśli godzimy się z procederem zorganizowanej przestępczości i przymykamy oko na sojuszników zarabiających na życie handlem niewolnikami, sprzedażą narkotyków i mordowaniem, to o co tak naprawdę walczymy? – wytknął jej Anakin.

Ahsoka gapiła się na niego przez chwilę bez słowa.

– To test?

– Nie, po prostu jestem wściekły.

R2-D2 zapiszczał entuzjastycznie. Widocznie znalazł to, czego szukał. Anakin otrząsnął się z ponurych myśli i skupił na wyświetlonym przez robocika holograficznym planie.

Schemat pokazywał sieć korytarzy wiodących do wyjścia z klasztoru. Ale najlepsze w tym wszystkim było to, że w pobliżu, na szczycie klifu, znajdowała się platforma lądownicza.

– To świetne miejsce na posadzenie larta! – ucieszył się Anakin. – Artoo, prowadź. Kieruj nas do wyjścia, a ja wezwę transport.

– Wracasz do domu, Śmierdzielku! – szepnęła do Hutta Ahsoka. – Trzymaj się. Wkrótce

wrócisz do tatusia!

– Szczęśliwy glut – mruknął Anakin kwaśno.

Zdecydowanie nie tak powinien się zachowywać generał – i Anakin o tym wiedział. Marny dawał przykład swojej padawance. Miał jednak tylko dwadzieścia lat i przeszedł o wiele więcej, niż większość jego rówieśników. Życie poskapiło mu beztroskich chwil, które dla większości młodych mężczyzn w jego wieku były codziennością.

Nie mówiąc już o tym, że Rex i jego ludzie nie dostali nawet tyle. Przynajmniej mam Padme, powtórzył sobie w myśli. Czego mógłbym chcieć więcej?

Cóż, był Wybrańcem, ale to nie on dokonywał wyboru. Miał swoje przeznaczenie. Czasami jednak trudno było temu sprostać, powstrzymując gniew, frustrację i wciąż rosnącą listę pytań, na które nie znał odpowiedzi.

– W drogę, Artoo – westchnął. – Następny przystanek: Tatooine.

## **Korytarz klasztoru na Teth**

Rex nie miał pojęcia, kiedy ciężar przytłaczający mu pierś zelżał, ale teraz znów mógł swobodnie oddychać.

Kilkoma mrugnięciami przestawił swój wizjer z powrotem na zwykły tryb. Albo był martwy – a taka perspektywa wydawała mu się dość mało pociągająca – albo przeżył. Kilka chwil zajęło mu zorientowanie się, że siedzi oparty o ścianę, pośród grubej warstwy zaścielających podłogę szczątków.

Na jego HUD-zie zamajaczyły biosygnaly nadawane przez pancerze jego ludzi: piątka nadal żyła.

Tak, ja też żyję, westchnął w duchu. Jak cholera. Powinnyście były mnie wykończyć, kiedy miałyście okazję, blaszaki...

Nie mógł ot, tak wstać i podjąć walki. Musiał najpierw dokonać oceny sytuacji.

– Nie ruszać się – polecił żołnierzom. W prywatnej przestrzeni swojego hełmu mógł rozmawiać z nimi bez obaw, że ktoś go podsłucha. – Jeżeli mnie słyszycie, meldujcie.

– Tak jest, sir – odparł ktoś.

– Przyjąłem – dodał następny.

– Tak jest. – To był Coric. Udało mu się! – Tylko kilka siniaków.

– Jeszcze ja, sir.

– CT-dziewięć-dziewięć-trzy-dwa, sir.

Rex poczuł, że odzyskuje kontrolę nad sytuacją – nieważne, ile robotów ich otaczało.

– Jeśli ktoś nie jest w stanie się ruszać albo użyć broni, zgłosić się – rozkazał. Na łączu słychać było tylko ciężkie oddechy. – Dobra, czas na dynamiczną ocenę ryzyka. Słuchajcie poleceń: kiedy będzie okazja, żeby wiać, kierujemy się na dziedziniec, chwytamy pierwszą

napotkaną broń i spadamy z powrotem do dżungli.

W głośnikach jego hełmu rozbrzmiał chór potwierdzających pomruków. Wszystko wydawało się takie proste... Kiedy tak na wół leżał, oparty o ścianę, na skraju pola widzenia zafurkotał nagle rąbek szaty – ktoś się do niego zbliżał, a temu komuś towarzyszył robot. Dzięki panoramicznemu obrazowi na wyświetlaczu HUD-a nie musiał odwracać głowy, żeby widzieć, co się dzieje. Wciąż udając trupa, serią mrugnięć wyostrzył widok i zobaczył na pancerzu robota oznaczenia dowódcy. U jego boku kroczyła kobieta o nagiej czaszce, z zaciętym wyrazem twarzy, ubrana w ciemną szatę. W dłoni ścisnęła przedmiot, który wyglądał jak miecz świetlny.

Ładna fryzura, złotko, ale coś mi mówi, że nie jesteś Jedi, pomyślał.

Wiedział, z kim ma do czynienia. Baza danych jego HUD-a zawierała akta zbirów Separatystów, a Asajj Ventress, zabójczyni Dooku, była jedną z bardziej charakterystycznych separańskich kanalii, łatwą do zidentyfikowania.

– Przygotować się... – szepnął do swoich ludzi.

Kiedy reszta robotów przeszła obok, Rex postanowił wykorzystać sytuację. Powoli sięgnął po pistolet. Najpierw robot czy Ventress? – zastanowił się przelotnie. Wybrał blaszaka. Wycelował broń i odstrzelił mu głowę, a kiedy namierzył Ventress...

Hm, powinien był wziąć na cel najpierw ją.

Kobieta włączyła miecz i odbiła strzał, ledwie zdążył wypalić. Zanim się spostrzegł, niewidzialna siła wyrwała mu z ręki pistolet, a potem złapała go za gardło i uniosła do góry. Szarpnięcie było tak gwałtowne, że przed złamaniem kręgosłupa uratował go chyba tylko hełm.

Ventress zamknęła niewidzialną pięść na jego gardle jeszcze mocniej; nie tknęła przy tym go nawet palcem.

Drugi raz na pewno nie popełnię tego samego błędu, pomyślał ponuro. Tylko żeby nikt się nie ruszył... Zachowajcie spokój, polecił w myśli żołnierzom.

– Kapitanie? Co za cudowny powrót z krainy umarłych! – zakpiła Asajj. – Gdzie twój generał?

– Który? – stęknął Rex.

– Nie pyskuj! – warknęła. – Wiesz który. Skywalker. Wiem, że tu jest.

– Nie widziałem go od początku strzelaniny...

– Przynajmniej nie próbujesz mnie okłamywać.

– Nie gadam z separatystycznymi świniami.

Ventress wydała z siebie zdziwione parsknięcie.

– Dlaczego w ogóle służycie tym parszywym Jedi? – spytała. Uścisk na jego gardle stał się silniejszy – nie na tyle, żeby go podduśnić, ale wystarczająco, żeby dać mu do zrozumienia, że ta niewidzialna dłoń może w każdej chwili zmiażdżyć mu krtań. – Ich nie obchodzi, co się z wami stanie! Nie obchodzi ich nic poza nimi samymi i ich ciepłymi posadkami na

Coruscant. – Poluzowała odrobinę chwyt. – Traktują was gorzej niż zwierzęta – dodała łagodniejszym tonem. – Jesteście dla nich sprzętem. A teraz chcę usłyszeć, gdzie jest Skywalker z Huttem. Mów. Nie mam nic do ciebie ani do twoich ludzi.

Odpowiedział tak, jak powinien to zrobić jeńiec wojenny:

– Kapitan Rex, Legion Pięćset Pierwszy, numer CC-siedem-pięć-sześć-siedem.

Ventress zacisnęła pięść mocniej.

– Oni nie zasługują na lojalność, żołnierzu – warknęła. – Kiedy to wreszcie do was dotrze?

– Kapitan Rex... – powtórzył. Szkolono go, jak zachowywać się podczas przesłuchania. Skupił się na tej myśli, odsuwając od siebie lęki i recytując tak, jak go uczono: – Legion Pięćset Pierwszy, numer CC-siedem-pięć-sześć-siedem.

– Kiedy już zrobicie swoje, zostawią was, żebyście zdechli. Tak samo, jak zostawili mojego Mistrza. A przecież on był jednym z nich, był Jedi! Jak myślisz, co Skywalkera obchodzi taki śmieć jak ty? Kiedy nie będziesz się już do niczego nadawał, zastąpi cię natychmiast kimś innym.

– Kapitan Rex, Legion Pięćset Pierwszy, numer CC-siedem-pięć-sześć-siedem...

Próbował na nią nie patrzeć. Wbił wzrok w ścianę za plecami Ventress, starając się uciec myślami gdzie indziej. Skoncentrował się na woli przetrwania, na utrzymaniu reszty swoich ludzi przy życiu. Skupiał uwagę na wszystkim, byle nie słyszeć słów padających z ust tej kobiety, bo to one były jej prawdziwą bronią, znacznie bardziej niebezpieczną niż miecze świetlne czy Moc. Kiedy ich spojrzenia przypadkiem się skrzyżowały, zobaczył w niepokojąco białych, jasnoblękitnych źrenicach obsesję.

Nienawidziła Republiki, a w szczególności Jedi i miała tę nienawiść wypisaną na twarzy. Każde jej słowo było do bólu szczere, z każdego przebijało głęboko ukrywane cierpienie.

W jakiś sposób Jedi zrobili sobie z niej śmiertelnego wroga. Nie była zwykłą maszyną do zabijania, była...

Dość tego! – nakazał sobie w myśli. To wszystko tylko sprytna, dobrze zaplanowana gra.

– Zostawią cię, kiedy staniesz się nieprzydatny, klonie – mówiła dalej. Głos miała teraz łagodniejszy, smutny. – Wszystkich nas traktują tak samo, nawet tych, którzy, jak oni, korzystają z Mocy. Jesteśmy przedmiotami jednorazowego użytku, łatwo nas zastąpić. Pomóż mi ich zniszczyć, zanim oni zniszczą was...

Rex odwrócił wzrok. Część jego umysłu opierała się tym słowom, ale gdzieś w głębi duszy czuł niepokój, jakby jednak trafiła w czuły punkt.

Jedi naprawdę potrafią robić takie rzeczy, powtarzał sobie. Widziałeś to już nieraz. Te sztuczki z wpływaniem na umysł... Podobno działają tylko na proste umysły. Cóż, mój do takich nie należy, więc daremny trud, siostrze.

– Kapitan Rex, Legion Pięćset Pierwszy, numer CC-siedem-pięć-sześć-siedem.

Ventress nachyliła się nad nim; prawie dotykała czołem jego czoła. Czuł w gardle piekący

ból, ale raczej w środku, niż na zewnątrz.

– Teraz skontaktujesz się ze Skywalkerem – wysyczała Ventress. – Powiesz mu, że odparliście atak robotów i zapytasz, gdzie jest.

Kiedy było trzeba, Rex umiał się zdekoncentrować i oczyścić umysł. Taka prosta technika koncentracyjna pozwalała przetrwać trudne chwile, ale w tej chwili musiał przekonać Ventress, że jest tylko głupim, bezmyślnym pionkiem.

A zresztą kobieta nie mogła wiedzieć, w jaki sposób zwracał się zwykle do własnego generała.

Asajj poluzowała uścisk na jego gardle, a on klepnął kontrolkę komunikatora na karwaszu – wciąż pozornie spokojny, niestawiający oporu.

– Anakinie, zgłoś się – powiedział, starając się brzmieć najbardziej obco, jak potrafił. – Zatrzymaliśmy te roboty, sir. Podaj swoją pozycję.

## ROZDZIAŁ 13

*Siły Republiki wkrótce dotrą na orbitę Teth, proszę pani. Musimy się pospieszyć.*

Dowódca robotów bojowych do Asajj Ventress, po namierzeniu republikańskiego krążownika wychodzącego z nadprzestrzeni

### **Opuszczona sala tronowa klasztoru na Teth**

Anakin poprawił paski plecaka Ahsoki. Rotta zaprotestował skrzekliwie, łypiąc na niego świdrującymi, żółtymi ślepiami, których spojrzenia Anakin starał się unikać.

– Tak, wiem, że ci ciasno, ale inaczej wypadniesz, kiedy będziemy musieli skakać, zrozumiano? – powiedział. – Śliski z ciebie koleś. A jak dorośniesz, będziesz jeszcze bardziej oślizgły.

– I tak cię nie rozumie – stwierdziła Ahsoka. – Wie tylko, że jesteś dla niego niemiły.

– Tak – mruknął Anakin. Współczucie powinno być jedną z głównych cech Jedi, ale u Ahsoki przekraczało wszelkie granice. – Ruszajmy. Zanim się spostrzeżemy, będzie się tu roić od robotów.

R2-D2 skierował się do wyjścia, a Ahsoka podreptała za nim. Anakin zamykał pochód i osłaniał tyły.

– Czy już całkiem zapomniałeś, jak to jest być dzieckiem? – spytała go z wyrzutem padawanka.

Gdybyś tylko wiedziała, Smarku, westchnął w myśli.

– Chodzi ci o to, jak to jest być nieznośnym? – spytał.

– Nie – burknęła. – Być traktowanym jak niepotrzebny balast, tępy i głupi. Przez dorosłych, którzy powinni dawać przykład.

Auu, to zabolalo... jak prawdziwy policzek. Anakin nie mógł się z nią nie zgodzić. Całkiem niezłe podsumowała stosunek Rady Jedi do niego samego. Nie potrafił znaleźć żadnej ciętej riposty. Złapał się na tym, że zastanawia się, ile czasu upłynie, zanim przejdzie mu odrętwienie i rzeczywistość chluśnie mu w twarz kubłem zimnej wody, krzycząc:

„Dlaczego nie ocaliłeś Rekxa? Dlaczego nie potrafisz chronić tych, którzy są ci bliscy? Co za pożytek z Wybrańca, skoro nie umie pomóc ludziom, na których mu zależy?”

Był już w przejściu, rozglądając się uważnie po zakamarkach korytarza, kiedy komunikator zatrzeszczał:

– Anakinie, zgłoś się.

Ahsoka zatrzymała się w pół kroku.

– Kto to?

– Anakinie, zgłoś się.

Skywalker znał ten głos, ale jego ton – dziwnie głuchy, matowy – był mu obcy. Widocznie Rex został zmuszony do skontaktowania się z nim, a to był jedyny sposób, żeby ostrzec go, że coś jest nie w porządku. Tak czy inaczej, kapitan wciąż żył – dzięki Mocy! Czując ogromną ulgę, Anakin chciał zapytać go, co z resztą i powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że Rex żyje, ale... musiał być ostrożny.

Rex nigdy nie nazwałby go „Anakinem”.

– Zatrzymaliśmy te roboty, sir – zameldował Rex-nie-Rex.

Wcale nie zatrzymaliście, stwierdził w duchu Anakin. Wiem o tym. Czuję to. Słyszę.

– Podaj swoją pozycję.

Ahsoka podeszła do niego. Chociaż nie wcisnął klawisza transmisji, przyłożył palec do ust – „ani słowa”. Wytężył słuch, żeby dosłyszeć jakieś odgłosy w tle. Rex z pewnością nie był sam i bez dwóch zdań działał pod presją. Próbował go ostrzec. Anakin bardzo chciał mu powiedzieć, że rozumie i dodać otuchy – chętnie by po niego wrócił, ale się nie ośmielił. Miał tylko nadzieję, że Rex zna go wystarczająco dobrze, aby zdawać sobie sprawę, że nigdy by go nie zostawił, żeby ratować własną skórę.

Przerwał połączenie.

– Rycerzyku, co się dzieje? – zaniepokoiła się Ahsoka. – To był Rex, prawda? Powiedział, że...

– Tak – potwierdził Anakin. Odwrócił ją za ramiona i delikatnie pchnął do przodu. – Próbował mnie ostrzec, że mamy kłopoty.

– Czy to był jakiś szyfr? Słuchaj, przecież on żyje i...

– Rex nigdy nie nazwałby mnie Anakinem, nigdy nie mówi jak tępy robot i doskonale wie, kiedy poprzez Moc wyczuwam, że giną nasi. – Nie było czasu na zbędne wyjaśnienia. – Ktoś go schwytał i założył się, że wiem kto. A teraz próbuje go użyć jako przynęty.

– Kto to taki?

Na pewno któryś z przydupasów Dooku. Nie zawsze można zidentyfikować użytkownika Mocy dzięki samej aurze – nawet kiedy jest w pobliżu, ale sygnatura niektórych była tak charakterystyczna, jakby stali tuż obok.

Asajj Ventress.

Anakin znał ten zapiekły ból, tę obsesyjną nienawiść, skupienie tak bezkompromisowe i



zimne, że przebywanie w jego pobliżu było jak patrzenie w serce diamentu.

– Zabójczyni Dooku – mruknął. – Ventress. Pewnie myślała, że zmanipuluje Rekxa, żeby nas zwabić w pułapkę. Nic z tego. Takie sztuczki działają tylko na słabe umysły albo trzeba ich używać bardzo ostrożnie. Może jest tak zdesperowana, że się pogubiła?

– Jak myślisz, czego ona chce? – spytała Ahsoka.

Anakin domyślał się już, o co w tym wszystkim chodzi.

– Chce zabić Hutta i zwalić na nas całą winę.

– A potem nas też...

Cóż, to było więcej niż pewne.

– Przyszliśmy tutaj po Hutta – przypomniał jej. – Wszystko inne, Smarku, to tylko szczegóły w końcowym raporcie.

Kiedy tak maszerowali w ślad za R2-D2, kluczącym bez wahania przez kręte korytarze przy samych fundamentach klasztoru, Anakin nanosił w myślach poprawki do swojego planu, uwzględniając zmiany w sytuacji. Plany były tylko załącznikiem, czymś, od czego można zacząć i kierować się nimi, dopóki nie pokrzyżował ich wróg.

Wezwać larta, wyliczać.

Przekazać Hutta.

Odesłać larta na statek i poinformować ich, żeby przygotowali zespół lekarzy.

Wrócić po Rekxa. Wysłać prośbę o ewakuację.

Odesłać Rekxa i resztę pozostałych przy życiu żołnierzy.

Kiedy Rotta będzie bezpieczny na pokładzie LAAT/i, główna misja zostanie zakończona, a on będzie mógł zadbać o swoich żołnierzy.

Czy powinienem wysłać Ahsokę razem z Huttem? – zastanawiał się. Byłaby bezpieczniejsza. A skoro już o tym mowa, to może jednak powinienem sam eskortować Hutta i zostawić Rekxa?

Nie, to nie wchodziło w grę. Wiedział, że nawet jeśli wsiądzie na pokład LAAT/i z Huttem, kanonierka będzie tak samo zagrożona, jakby go na niej nie było. Koniec końców o wszystkim zdecyduje los i ręka pilota.

Rany, te tunele śmierdzą gorzej niż ta mała glista! – przyszło mu do głowy. Chyba mieli tu problem z kanalizacją.

R2-D2 zagwizdał w swój charakterystyczny sposób, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”

Na końcu korytarza były drzwi, zupełnie jak na holoplanie. Kiedy je otworzyli – z trudem, ale jednak – poczuli podmuch gorącego, wilgotnego powietrza. Anakin poczuł się, jakby ktoś chlasnął go w twarz mokrą ściereką. Znaleźli się na platformie nad urwiskiem. Korony drzew w dole spowijała mgła. Ahsoka odetchnęła głęboko i nawet niemrawy Rotta zakwilił z wyraźną ulgą – świeże powietrze zdecydowanie go ożywiło. Kiedy Skywalker oceniał fachowym okiem warunki do lądowania, zobaczył w pobliżu szybujące na prądach

powietrznych wielkie insekty. Owady lśniły niczym drogocenne kamienie, a rozpiętość ich skrzydeł musiała sięgać jakichś trzech metrów, skoro widział je stąd. Będzie musiał ostrzec przed nimi pilota kanonierki; są tak duże, że mogą utrudniać zejście na lądowisko i spowodować FOD\*.

Anakin podniósł do ust komunikator.

– Skywalker do wsparcia powietrznego Legionu Pięćset Pierwszego. Czy ktoś mnie słyszy? Powtarzam: tu Skywalker, potrzebujemy transportu i medyka...

– Skywalker, tu lart trzy-dziewięć, podaj swoją pozycję.

– Przesyłam współrzędne.

– Przyjąłem, sir. Już po was lecimy. Szacunkowy czas przybycia: sześć standardowych minut. Ranni?

– Nie, ale nasz zakładnik jest chory i potrzebujemy diagnozy. Najlepiej, żeby ktoś przejrzał bazę danych farmaceutycznych dla jego rasy. I uważajcie na FOD... mamy tu trzymetrowe latające robale.

– Już kilka przysmażyłem silnikami, sir – zaśmiał się pilot. – Przyciąga je hałas i wygląda na to, że uważają nas za kogoś w rodzaju potencjalnych partnerów. Maksymalnie obniżyliśmy przepustowość filtrów, żeby ich szczątki nie zadławiły nam silników.

– A więc nici z bara-bara – skwitował Anakin. – Czekamy, trzy-dziewiątko.

Nie wiedział, gdzie w tej chwili stacjonowała kanonierka ani czy była jedynym statkiem, który został. Zastanawiał się, jak piloci znoszą konieczność przysłuchiwania się prowadzonym na kanałach żołnierzy rozmowom, skoro wiedzieli, że nie mogą im ruszyć na pomoc, bo są zmuszeni tkwić w miejscu i czekać na rozkazy.

A wszystko dla Hutta.

Nigdy się nie skarżyli, ani słowem.

– Daj mi plecak – powiedział do Ahsoki. – Odpocznij, póki jest okazja. I trzymaj się blisko ściany, bo kiedy lart wyląduje, podniesie tuman piachu. Poza tym nie wiemy, kto jeszcze może kręcić się w pobliżu.

Rotta wydawał się teraz dwa razy cięższy, niż kiedy Skywalker wziął go na rękę po raz pierwszy. Wciąż wyglądał kiepsko. Anakin zarzucił sobie plecak na grzbiet; w końcu nie musiał na niego patrzeć.

Odwrócił się i stanął pod wiatr, żeby nie czuć obrzydliwego smrodu. Odór przywoływał wspomnienia i przenosił go do czasów, o których wolał zapomnieć – kiedy on i jego matka byli własnością Hutta o imieniu Gardulla. Stanowili spłatę hazardowego długu, zupełnie jak mebel albo inny przedmiot, który się nie liczył i nie miał nic do powiedzenia.

Nie jesteście warci życia Reksa, oślizgłe glisty. Żaden z was, pomyślał ze złością.

Ahsoka, obdarzona wyczulonym słuchem łowcy, podniosła głowę, zanim jeszcze Anakin

---

\* Foreign Object Damage (ang.) – uszkodzenie wywołane przez obiekt, który dostał się do kanału wylotowego silnika maszyny latającej (przyp. red.).

cokolwiek wyczuł. Zaraz i do jego uszu doleciał odległy szum silników LAAT/i. Teraz już wiedział, dlaczego ten dźwięk działał tak elektryzująco na żołnierzy, czekających na ratunek. Sam odgłos, przynoszący świadomość, że pomoc jest w drodze, tuż-tuż, dodawał skrzydeł. Kanonierka wynurzyła się niespodziewanie spod platformy. Obróciła rufę o sto osiemdziesiąt stopni i opadła na lądowisko z otwartym lewoburtowym włazem. Chociaż Anakin stał dość daleko, podmuch gorąca prawie osmalił mu twarz. Nieważne. W tej chwili kanonierka była najwspanialszym widokiem, jaki zdarzyło mu się oglądać, nawet oblepiona szczątkami robali, jak teraz. Ahsoka osłoniła twarz ramieniem.

– Sir! – Ze środka wyjrzał operator, jedną ręką przytrzymując się szyny. – Zabierajmy się stąd, szybko. Wszędzie roi się od separańskich statków!

– Zabierzcie tylko Hutta – powiedział Anakin i zabrał się do zdejmowania plecaka. Czuł się głupio, że pomyślał o tym dopiero teraz – powinien był czekać z pakunkiem w rękę, gotów go oddać, gdy tylko otworzy się właz. – My wracamy po kapitana Reksa i resztę.

Żołnierz nie odezwał się ani słowem; jeśli nawet jego twarz wyrażała jakieś emocje, to wszystko skrywał hełm.

Podbiec bliżej. To wszystko, co musiał teraz zrobić: przebiec te kilka metrów do larta, oddać Hutta, wrócić i dopilnować, żeby kanonierka wystartowała – najszybciej, jak się da.

Zobaczył, jak klon ogląda się za siebie, żeby zajrzeć do kabiny, i usłyszał odległe wycie alarmu.

Zdołał ująć jakieś dziesięć kroków, kiedy na platformę opadł cień, ciemny i szybki; towarzyszyło mu wycie silników nurkującego myśliwca.

LAAT/i eksplodowała w kuli ognia, siejąc wokół szczątkami duraplasteru i metalu. Siła wybuchu rozplaszczyła Anakina na ziemi. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był poskręcany wrak kanonierki, chwiejący się na krawędzi platformy, zanim spadł i zniknął w gęstwinie dżungli. Sekundy. Dosłownie sekundy dzieliły euforię od rozpacz. W powietrzu unosił się słup czarnego dymu.

– Mistrzu! – Ahsoka w kilku susach znalazła się przy nim. Obciążony plecakiem, z trudem podniósł się na nogi. – Mistrzu...

– Huttowi nic się nie stało – usłyszał swój własny głos. – Wracaj, cofnij się pod ścianę.

Ledwie zdążył wstać, platformę znowu zakrył cień. To nie był dym. W powietrzu wisiał latający robot sęp. Opadł na platformę przed nimi, blokując im dostęp do drzwi. Obydwoje, jak na komendę, sięgnęli po miecze świetlne. Anakinowi przeszło przez myśl, że myśliwiec przybył po Hutta, więc nie otworzył ognia, nie chcąc ryzykować uśmiercenia łupu, ale mylił się – i to bardzo.

Stateczek obrócił płaty skrzydeł w taki sposób, że wyglądały jak ostro zakończone nogi, i zaczął pruć do nich z laserowych działek. Skywalker zareagował błyskawicznie: uwijał się jak w ukropie, odbijając strzały; cały czas starał się trzymać przodem do sępa i chronić Rottę własnym ciałem. Ahsoka próbowała ściągnąć ostrzał na siebie. R2-D2 zaświergotał

gorączkowo i ruszył w ich stronę, jakby zamierzał przyłączyć się do walki.

– Artoo! – krzyknął do niego Anakin. Hutt go spowalniał, ale teraz nie mógł się zatrzymać i zostawić go w bezpieczniejszym miejscu, licząc, że sęp zaczeka grzecznie, aż on wróci, żeby podjąć przerwana rozgrywkę. Zastanowił się przelotnie, czy R2-D2 zdołałby podjechać wystarczająco blisko, żeby przejąć Rottę i zanieść go do bezpiecznej kryjówki. Nic z tego, przypomniał sobie z ciężkim sercem, przecież ściągnąłem ciaśniej paski... Robot astromechaniczny zareagował oczywiście na wezwanie i zaczął toczyć się w stronę swojego pana. – Nie, Artoo! – krzyknął Anakin. – Wracaj! Do środka! Potrzebuję cię w jednym kawałku!

Ahsoka rzuciła się znowu naprzód, a sęp obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, żeby za nią nadążyć. W tej samej chwili chyba się zorientował, co knuje Togrutanka, bo nie dał się sprowokować. Skierował na nią tylko jedno działko, a drugim wciąż ostrzeliwał Anakina. Czy tym kupom złomu naprawdę kończy się kiedyś amunicja, jak twierdził wywiad? – westchnął w duchu Skywalker.

Tak czy inaczej, już nigdy nie powie o nich, że są tępe.

Musiał wymyślić sposób na ruszenie robota z miejsca i zwabienie w zasięg swojego miecza. Myśliwiec wycelował w niego zaostrzone końcówki skrzydeł, których teraz używał jako odnóży, chcąc zmusić go, żeby się wycofał. A on nie miał innego wyjścia. Nie mógł się do niego odwrócić plecami nawet na ułamek sekundy. To znacznie ograniczało pole manewru – nie mógł robić obrotów, salt, gwałtownych wyskoków, wszystkich tych rzeczy, które potrafią Jedi, w przeciwieństwie do kupy metalu.

A więc to w taki sposób muszą walczyć „zwykle” istoty, przeszło mu przez myśl.

Trudno.

Rotta jęczał i biadolił bez przerwy. Anakin był pewny, że podczas jego dzikich harców mały zwymiotował. Wolał nie myśleć, co będzie, jeśli wygrają walkę tylko po to, żeby mały śmierdziel zdechł im potem na rękach. Jednak Rotta był Huttem – a Huttowie byli znacznie twardsi niż ludzie.

– No, dawaj, ty blaszana landaro! – Anakin wycofywał się ostrożnie. Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, gdzie dokładnie kończy się platforma. Spróbował ustabilizować punkt ciężkości, zachwiany przez obciążony plecak. – Tylko na tyle cię stać?!

Najwyraźniej ugodził w honor sępa, bo myśliwiec runął prosto na niego. Kiedy Anakin cofnął się jeszcze kilka kroków, maszyna stanęła w miejscu i podjęła ostrzał, na chwilę wytrącając go z równowagi. Żywego przeciwnika można było wyczuć za pośrednictwem Mocy i przewidzieć jego posunięcia, ale robot... naprawdę sprytny automat mógł zapędzić w nerfi róg nawet Jedi. Anakin odbijał laserowe promienie, posyłając we wszystkie strony rykoszety energii. Po chwili sęp nakierował na niego czwarte działko, z którego do tej pory strzelał do Ahsoki, i zaczął bombardować Skywalkera deszczem strzałów ze wszystkich czterech luf.

Anakin czuł, że przegrywa. Wynik tej gry był przesadzony. To koniec... Sięgnął do szelki plecaka, gotów ściągnąć go i rzucić w ramiona Ahsoki – dzięki swojej zwinności drapieznika złapie go bez trudu, był tego pewien – i natarł na sępa w ostatnim, rozpaczliwym ataku.

Nie wiadomo skąd, nagle zjawiała się przy nim Ahsoka.

– Tutaj, konserwo! – zawołała do robota i wywinęła młynka mieczem.

Nie była dość blisko, żeby uszkodzić maszynę, ale przyciągnęła jej uwagę – prawdopodobnie uruchomiła system analizowania zagrożenia. Myśliwiec zawahał się na ułamek sekundy, a wtedy Togrutanka rzuciła się na ziemię i odtoczyła w bok, jakby spodziewała się strzału...

Za daleko.

Może pośliznęła się na wymiocinach Hutta? Miecz świetlny wypadł jej z dłoni i drobna figurka wypadła za skraj platformy.

Nie, nie, nie... tylko nie to! – pomyślał gorączkowo Anakin.

– Ahsoka!

Sęp stracił zainteresowanie Skywalkerem i podreptał w stronę miejsca, gdzie zniknęła Togrutanka. W pierwszej chwili Anakin pomyślał, że maszyna sprawdza, gdzie spadała, dopóki nie zobaczył, jak unosi jedną nogę, jakby brała coś na cel. Zanim jednak zdążyła zrobić następny ruch, Anakin był już przy sępie, siedział mu na karku. Usłyszał dobiegający z dołu głos, a po chwili zobaczył palce – same koniuszki – wpijające się kurczowo w permabetonową krawędź, zbielejące od wysiłku.

– Nic mi nie będzie – wysapała Ahsoka. – Wszystko w porządku.

Cóż, raczej się na to nie zanosilo, a wręcz przeciwnie – wszystko wskazywało, że lada chwila straci ręce i spadnie w sam środek dżungli, czy jest Jedi, czy nie. Anakin rzucił się na sępa z mieczem uniesionym do ataku w tej samej chwili, kiedy maszyna obróciła jedno z działek i wystrzeliła w jego stronę. Ułamek sekundy, w którym myśliwiec przestał interesować się Ahsoką, wystarczył, żeby Togrutanka podciągnęła się na palcach ponad brzeg platformy. Wyrzuciła jedną nogę wysoko, jak akrobata, i gwałtownym skrzętem bioder dźwignęła się pod górę. Błyskawicznym ruchem przywołała miecz świetlny, który natychmiast wskoczył do jej dłoni.

Anakin był teraz tak blisko sępa, że blask laserowych promieni niemal go oślepił. Kiedy w pewnej chwili maszyna przechyliła się na bok, Anakin skoczył na nią, pewien, że to zmyłka, i wbił ostrze swojego miecza głęboko między jej czujniki optyczne. Dopiero po chwili zorientował się, że myśliwiec i tak stracił połowę odnóży, uciętego przez Ahsokę.

Odskoczył i zdołał złapać równowagę, zanim sęp zachwiał się i runął za krawędź platformy.

Myśliwce nie miały palców, więc nie mogły się schwycić brzegu i uniknąć śmierci. A ich nogi były jednocześnie skrzydłami, więc kontuzja jednej z nich uniemożliwiła lot.

Sęp spadał... i spadał... i spadał...

– A niech mnie, to było całkiem sprytne, Smarku! – Anakin słyszał we własnym głosie nutę ulgi, ale i zmęczenie. Wyprostował się i otarł pot z czoła. O rany, wciąż mamy na głowie Hutta, uświadomił sobie. Całkiem o tym zapomniał. – Byłem pewien, że już po tobie.

Głowoogony Ahsoki przybrały nieco intensywniejsze barwy. Może u Togrutan był to odpowiednik rumieńca? Padawanka uśmiechnęła się do niego, ale nie był to jej zwykły, ciepły uśmiech, tylko triumfalne obnażenie kłów, grymas drapieżnika, który dopadł swoją ofiarę.

– Naprawdę nie chciałabym na własnej skórze się przekonać, czy to prawda, że my, Togrutanie, zawsze lądujemy na czterech łapach – mruknęła.

– Tak czy inaczej, dobra robota – pochwalił ją.

– Może zrobiłam to celowo – powiedziała półzartem. – A może przez przypadek...

Każdy Jedi był ulepiony z innej gliny. Zdaniem Anakina, ta mała radziła sobie całkiem nieźle.

Uczucie ulgi nie trwało jednak długo. Rotta kwilił żałośnie, a Rex i jego ludzie – Anakin wolał myśleć, że chociaż kilku z nich wciąż żyło – wciąż byli w szponach tej fanatyczki, Ventress. Próbował się nie zastanawiać, co ta wywłoka z nimi teraz wyprawia. Cóż, wszystko wskazywało na to, że mieli jeszcze sporo do roboty.

Spróbował rozluźnić zmęczone mięśnie ramion, a potem aktywował komunikator.

– Mistrzu Kenobi, słyszysz mnie? – powiedział. – Mistrzu, gdzie jesteś?

Z głośnika rozległ się tylko szum wyładowań. Anakin czekał.

## **Pałac Jabby, Tatooine**

TC-70 prawie popychał Dooku korytarzem w stronę sali tronowej.

Właściwie był to tylko lekki, subtelny dotyk u dołu pleców, ale u androida protokolarnego stanowiło to odpowiednik chwycenia za kark i zniecierpliwionego potrząśnięcia delikwentem. A to kazało Dooku podejrzewać, że kiedy stanie przed obliczem Jabby, może się spodziewać wybuchu straszliwego gniewu.

TC-70 wykazywał wszelkie cechy androida, który odczuł na własnej metalowej powłóce skutki takich wybuchów.

Dooku był dosyć zaintrygowany – na tyle, że pomogło mu to oderwać się od niewesołych myśli. To była cenna i pożyteczna informacja; pewnego dnia może mu się przydać. Zapamiętał, żeby potem wrócić i ostrożnie wyciągnąć z TC-70 całą historię. Często musiał motywować istoty niechętne do współpracy i lubił korzystać przy tym z wyszukanych metod.

Wszedł do sali tronowej wypełnionej liczną świtą Jabby. Wszyscy siedzieli albo stali, w milczeniu wbijając wzrok w podłogę. W pałacu panował dziwny rodzaj ciszy, zupełnie jak w kuchni tuż przed eksplozją wypełnionego parą garnka. Na podium zaś spoczywała

skoncentrowana furia.

Od razu było widać, że Jabba chce, aby jego wściekłość była widoczna gołym okiem. Dooku mógł się teraz na własnej skórze przekonać o sile osobowości Hutta.

– Przewspaniałemu Jabbie kończy się cierpliwość – zaczął przemowę TC-70 – i żąda...

– Dziękuję, Tee-see – przerwał mu Dooku. – Będę rozmawiał z Jabbą sam, aby lepiej okazać szacunek dla jego kultury i języka.

– Mój syn – wycedził Jabba. – Wciąż nie znaleźliście mojego syna! Chcę wiedzieć, co twoi beżużyteczni sługusi zrobili, żeby go uratować. Powinniście ich stracić i wynająć sobie lepszych. Ja nigdy nie darowałbym czegoś podobnego moim poddanym.

Dooku wiedział, że Ventress nie spodobałoby się takie porównanie. Pochylił lekko głowę. Postawa pełna szacunku mogła czasem zdziałać cuda.

– Moja armia robotów depcze Skywalkerowi po piętach i jest o krok od odbicia twojego syna. Dokonaliby tego już dawno, ale wydałem surowy zakaz podejmowania jakichkolwiek działań, które zagroziłyby bezpieczeństwu lorda Rotty. To bardzo delikatna operacja. Tu nie chodzi o odbicie byle republikańskiego jeńca, podczas którego wojsko strzela do wszystkiego, co się rusza, i w efekcie zabija zakładników.

Aluzja na pewno nie uszła uwagi Jabby. Ostatnimi czasy Republice kiepsko wychodziły akcje uwalniania jeńców. Poza tym Dooku nie kłamał: martwy Rotta przysporzyłby mu w tej chwili więcej szkody niż pożytku. Musiał zadbać, żeby całą operację przeprowadzono z najwyższą ostrożnością.

Jego zapewnienia nie uspokoiły Jabby, ale też nie podsyciły jego gniewu. Sytuacja wciąż była pod kontrolą.

– Kiedy Skywalker trzymał go w swoich łapach, mój syn wyglądał na chorego – burknął Hutt. – Czy mój skarb w ogóle jeszcze żyje? Bo jeśli nie, to...

– Jest jak najbardziej żywy, lordzie Jabbo – uspokoił go Dooku. – Moje źródło informacji jest rzetelne i godne zaufania. Skywalker próbował co prawda porwać twojego syna z Teth, ale został zatrzymany. Bądź spokojny, Rotcie nie stała się żadna krzywda. W tej chwili Jedi ma odciętą drogę ucieczki. Brakuje mu ludzi i nie ma którejś umknąć.

Jabba nachylił się w jego stronę.

– Hrabio Dooku – sapnął. – Nie jesteś głupi, ja też nie. Czy sądzisz, że kiedy dowiedziałem się, że mój syn jest więziony na Teth, nie podjąłem odpowiednich kroków w celu monitorowania sektora? Mam własne źródła informacji. A one twierdzą, że siły Republiki są w drodze na Teth, żeby wspomóc Skywalkera!

Racja, Dooku powinien był to przewidzieć. Przywołał na twarz wyraz lekkiego zniecierpliwienia, jakby Jabba mówił o czymś oczywistym.

– Nie, żebym przeceniał własne możliwości, lordzie Jabbo, ale Skywalker i jego kompania elitarniej piechoty nie podołała mojemu wojsku. Ich flota, jeśli w ogóle taką mają, zostanie bez trudu zniszczona. Mam na orbicie nad Teth więcej sił zbrojnych, niż Republika

jest w stanie zgromadzić.

– Wciąż się zastanawiam – mruknął Jabba, zmieniając taktykę i sprowadzając rozmowę na niebezpiecznie śliski grunt – dlaczego Skywalker miałby w ogóle porywać mojego syna.

– Jedi mają porywanie dzieci we krwi, mój panie – odparł gładko Dooku. – Każdemu z nich odebrano rodzinę.

Jabba nie zwrócił uwagi na jego aluzję.

– Dlaczego Skywalker nie zrozumiał, że porywając Rottę, zyska moją przychylność tylko do czasu, aż mój syn wróci do mnie cały i zdrowy? I że potem zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zniszczyć Jedi, Republikę i każdego, kto choćby się do nich uśmiechnie? – burknął. – Czy uważa, że będzie mógł go trzymać jako zakładnika w nieskończoność?

Dooku nie mógł się nadziwić, dlaczego tak rzadko pytano go o najoczywistsze rzeczy. Jabba jednak robił się stanowczo zbyt ciekawski i hrabia musiał ostrożnie podsyć jego ugaszony na chwilę gniew.

– Widziałeś nagranie, o czcigodny Jabbo – przypomniał mu. – Skywalker nienawidzi Huttów i podejrzewam, że ta nienawiść do twojej rasy zaślepiła go tak dalece, że nie potrafił w pełni przewidzieć potęgi twojego gniewu.

– Otóż to – huknął Jabba. – A ten brak szacunku będzie go kosztował życie! On, a może Palpatine, musi być szalony, żeby traktować mnie jak jakiegoś ludzkiego pokurcza, który da się mu bezkarnie szantażować! – Hutt uniósł powoli potężne cielsko. Dooku musiał przyznać, że jego gabaryty robiły wrażenie. – Jestem *kajidic lorda*! Mam obowiązek pokazać moim ludziom, że podobna zniewaga nikomu nie ujdzie na sucho! Co stałoby się z naszą cywilizacją, gdybyśmy przymykali oka na takie bezecności?

Powtórzył w swoim języku słowo „zniewaga”: *chomma*, i Dooku uświadomił sobie, że ma ono nieco inne znaczenie, niż sądził do tej pory. Przez te wszystkie lata, kiedy miał do czynienia z Huttami, był przekonany, że *chomma* było określeniem potwornej obelgi. Mylił się – słowo oznaczało zagrożenie dla porządku w społeczeństwie, a tym samym dla gładkiego funkcjonowania społeczności Huttów.

*Chomma* była dla Huttów wyjątkowo ciężkim przestępstwem.

Ludzkie wykroczenia nie miały dla nich znaczenia i to między innymi dlatego Republika traktowała tę rasę jak kryminalistów. Ludzie i Huttowie stosowali całkowicie różne pojęcia moralności. A to była tylko jedna z płaszczyzn, na której Republika narzucała całej galaktyce swoje zasady, uważając je za naturalne i oczywiste oraz zmuszając miliony inteligentnych ras do ich przestrzegania.

Mogę to wykorzystać jako następnego haka przeciwko nim, kalkulował Dooku, głośno zaś powiedział:

– Oni nie rozumieją Huttów, o panie. – Sam nie był jednak zupełnie pewien, czy wiedział tyle, ile mu się zdawało, że wie. – Republika i Jedi to zapatrzone w siebie organizacje, złożone głównie z ludzi. Uważają, że wszystkie istoty myślą tak samo jak oni. W dodatku



przepelnia ich arogancja, bo od wieków sprawują władzę, której nikt nigdy nie kwestionował.

– Żądam głowy Skywalkera – oznajmił Jabba dziwnie obojętnym tonem, jakby to był mało znaczący szczegół procedury administracyjnej. – Rotta dostanie jego czaszkę do zabawy. Będą mieli nauczkę.

– Jeśli moje wojsko zostawi po nim jakieś rozpoznawalne szczątki, nie omieszkamy ci ich przekazać, o panie. – Dooku będzie musiał skontaktować się z Ventress i osobiście tego dopilnować. – A teraz, lordzie Jabbo, przyjdzie nam trochę poczekać na wieści, więc może przedyskutujemy przymierze między huttańskimi *kajidicami* a Konfederacją Niezależnych Systemów?

Jabba zaciągnął się z lubością dymem z fajki.

– Nie będę o niczym dyskutować, dopóki mój syn nie wróci do domu, cały i zdrowy.

To prawda, ludzie nie rozumieli Huttów, ale oni rozumieli ludzi aż za dobrze.

Dooku był na to przygotowany, więc nie przejął się zbyt. Jabba wiedział, że jest górą, więc hrabia nie mógł traktować tego jak osobistej porażki. Cóż, to zwykła reakcja przywódcy klanu, który nie mógł przecież dać się wodzić za nos jakimś *ootmianom*, pozaświatowcom. I nie chodziło tylko o utratę honoru, ale o przekonanie Huttów, że najpotężniejszy z szefów klanów wciąż panuje nad sytuacją i że ma wszystko pod kontrolą, więc mogą spać bezpiecznie.

Pogodzenie się z takim podejściem pozwoli Dooku lepiej poradzić sobie z Zirem, kiedy już przyjdzie co do czego.

– Jak sobie życzysz, lordzie Jabbo – powiedział i wycofał się w ukłonach z komnaty.

Kiedy wrócił na statek, wywołał kod Ventress. Nie spieszyło jej się z odebraniem. Kiedy w powietrzu zamigotał w końcu jej hologram, Asajj stała w lekkim rozkroku, z mieczem świetlnym w każdej dłoni i morderczym grymasem na twarzy. Dooku zgadł, że oderwał ją od walki.

– Zapytałbym, jak postępy – odezwał się – ale chyba się domyślam.

– Mistrzu, Skywalker jest odcięty na platformie lądowniczej – zameldowała. – Przecinamy się przez wrota, a kiedy skończymy, skróć go o głowę.

– Mam taką nadzieję – mruknął hrabia. – A skoro już o tym mowa, to tej głowy chce Jabba. I to dosłownie.

– Ale rozumiem, że Hutt ma być żywy?

– Jeśli choć przez chwilę miałaś co do tego wątpliwości, Asajj, czuję się rozczarowany... Nie zawieź mnie. Nastawiłem już Jabbę przeciwko Skywalkerowi, więc Huttowie nie zgodzą się na układ z Republiką. Jednak zgodził się negocjować tylko pod warunkiem, że dostanie dziecko całe i zdrowe. Czy to jasne? Żadnego niepotrzebnego ryzyka.

– Tak jest, mój panie – przytaknęła posłusznie Asajj.

– Skontaktuj się ze mną, kiedy będzie po wszystkim. – Przerwał połączenie. Ciekaw był, czy Skywalker się zorientuje, że zabicie małego Hutta zminimalizowałoby w pewnym sensie

straty Republiki, bo wtedy żadna ze stron nie dostałaby od Jabby pozwolenia na korzystanie z jego szlaków. Ale czy gdyby o tym wiedział... zabiłby dziecko?

Dooku znał Jedi, którzy rozgrzeszali po cichu podobne procedery, nawet jeżeli ich nie pochwalali. I to nie tylko ci, którzy stali po stronie Ciemności.

Przez chwilę rozważał, czy nie skontaktować się z Darthem Sidioussem i nie przekazać mu relacji z postępów, ale po krótkim namyśle uznał, że zwracanie Mistrzowi głowy detalami nie byłoby zbyt mądrym posunięciem, skoro zadanie jeszcze nie zostało wypełnione.

Nie tylko huttański lord musiał dbać o swoją reputację.

## **Korytarz klasztoru, Teth**

– Sir?

– Tak, Coric?

– Tylko sprawdzam, czy wciąż jest pan z nami.

Rex nie poruszył się od chwili, kiedy ta szurnięta separanica dała mu spokój. Wiedział, że będzie jeszcze okazja do działania i czekał cierpliwie na odpowiedni moment. Leżał w tym samym miejscu pod ścianą, gdzie cisnęła jego ciało Ventress, sprawdzając po kolei wszystkie kanały w systemie hełmu, a potem od nowa i jeszcze raz, na wypadek gdyby znalazł jakiś niezablokowany. Kiedy tylko centrum łączności WAR przywracało system, tamci zaczynali od nowa zabawę w zagłuszanie. Jeśli jednak będzie cierpliwy, może mu się poszczęści i znajdzie lukę...

– Wszystko w porządku, sierzancie – powiedział. Podejrzewał, że ma połamane zębra. Kiedy oddychał, bolało tak, że odruchowo przygryzał wargę. – Nigdy dotąd nie uderzyłem kobiety, ale ta tutaj będzie wyjątkiem, jak tylko nadarzy się okazja.

– Nikt nigdy nie nazwał mnie „obmierzłym popychadłem Jedi”.

– Osobiście bardziej podobało mi się określenie „tępe mięso armatnie”.

Roboty chyba nie zdawały sobie sprawy, że hełmy klonów były dźwiękoszczelne i że żołnierze mogli swobodnie ze sobą rozmawiać, nie będąc przez nie słyszani. Może oceniały innych przez pryzmat własnych ograniczeń? Rex nie miał pojęcia, dlaczego blaszaki rozmawiały ze sobą głośno, zamiast po prostu w ciszy przysyłać sobie instrukcje, ale taki stan rzeczy prawdopodobnie był raczej winą ich twórców, a nie ich samych. Zabawne: z jednej strony ta wojna ucłowieczała maszyny, a z drugiej robiła z ludzi roboty.

– Wydawało mi się, że coś między wami zaiskrzy... wiesz, macie takie same fryzury i w ogóle... – wypalił Coric.

– Może powinienem był zdjąć hełm i się pochwalić – mruknął Rex.

– Ona jest Jedi, prawda? Czy kimś takim?

– Sithem albo ciemnym uczniem – wyjaśnił kapitan. – Sądząc po czerwonym mieczu.

– A jaka jest różnica?

– Pewnie w wysokości składek członkowskich. Tak czy inaczej, jedni i drudzy potrafią dać niezły wycisk. – Reksa bardziej interesowały konkrety. – Wciąż nie mogę znaleźć wolnego kanału.

– Ja też nie, sir.

Rex zaczął od nowa przeszukiwanie fal, przysłuchując się uważnie i zwlekając trochę na każdej częstotliwości. Chciwie łowił każdy szmer w nadziei na złapanie jakiegoś strzępka informacji. Kiedy tak słuchał, przyglądał się robotom uprzążającym szczątki z przejścia. Następna czwórka stała na dziedzińcu, starając się sprawiać wrażenie, że pilnuje niedobitków z Kompanii Potok. Rex bał się, że jeśli nie pokieruje odpowiednio szarpiącym mu serce gniewem z powodu śmierci tylu jego ludzi, narastająca wściekłość rozsadzi mu pierś.

Na wszystkich kanałach wciąż słychać było tylko szumy i zakłócenia.

Co z nami będzie? – zastanawiał się.

Cóż, tak naprawdę wyobrażał sobie aż nadto realistycznie, w jaki sposób rozprawi się z nimi Ventress – chociażby po to, żeby wyładować złość, jeśli nie dostanie w swoje ręce Jedi. Rany, cokolwiek zrobili temu jej kumpłowi, musieli ją naprawdę niezłe wkurzyć. Zdecydował, że wolałby zginąć podczas walki, niż czekać na powolną śmierć z jej rąk. Nie pozwoli jej znęcać się nad jego ludźmi. Gdyby miała go dorwać, prędzej strzelił sobie w łeb.

Błaszaki zabrały im broń, ale to nie mogło go powstrzymać. Wśród szczątków na podłodze wciąż leżały karabiny DC-15s i blasterowe pistolety.

Nie zabrali mu też wibroostrza...

Czekał cierpliwie na odpowiedni moment.

Cały czas usiłował się pilnować. Nie mógł zdradzić, że rozmawia ze swoimi ludźmi na wewnętrznym kanale – nie poruszał głową, rękami i próbował nie wykonywać żadnych nieświadomych gestów, które zwykle towarzyszyły rozmowie. Nie chciał, żeby roboty się nim zainteresowały. Zachowywał najwyższą ostrożność.

I właśnie wtedy zapiszczał komunikator na jego karwaszu. Najbliżej stojący robot rozejrzał się dookoła.

*Stang!* Nie przełączył *kriffing* pudełka na kanał hełmu! – przypomniał sobie Rex.

– Rex? Zgłoś się! Tu Skywalker – zatrzeszczało z głośnika.

Tak, roboty też to słyszały. Następny blaszak odwrócił się w jego stronę... Rex ani drgnął.

– No to jazda, panowie – mruknął do komunikatora w hełmie. – Przygotować się...

Roboty zdecydowanie nie grzeszyły bystrością. Dwa z nich zaczęły właśnie kłócić się i debatować, co powinny zrobić. Jeden podszedł do Reksa i pochylił się, żeby odkryć źródło dźwięków. Skupił fotoreceptory na jego nadgarstku, a wtedy komunikator rozbrzmiał ponownie seria szumów.

– Rex, jeśli nie możesz odpowiedzieć, klepnij w mikrofon albo coś...

Robot pochylił się jeszcze trochę, a kapitan podniósł dłoń – nieskończenie powoli,

wierzchem do góry, i zacisnął zęby, przygotowując się na ból, który miał wkrótce nadejść. W głośnikach hełmu słyszał przełykanie śliny i ciche odgłosy wydawane przez przygotowujących się do walki żołnierzy.

– Pokażę ci, jak to działa, blaszaku – warknął i szybkim ruchem wsunął palce pod płytę piersiową pancerza robota, wyprowadzając drugą ręką cios w jego szczękę. Głowa blaszaka odskoczyła w górę, wyrывая wiązkę kabli ze złączek. Nie musiał nawet wydawać swoim ludziom rozkazu – każdy z pięciu żołnierzy w mgnieniu oka był na nogach. Coric wyrwał karabin uszkodzonemu robotowi, który zachwiał się gwałtownie w tył, a Nax chwycił okazały odłamek skały i zaczął nim tłuc w głowę następnego blaszaka, dopóki ta nie odpadła. W tym czasie Rex wysunął z kufasza wibroostrze i skoczył na kolejnego robota, pozbawiając go równowagi i celując w fotoreceptory. Jednym płynnym ruchem wydłubał je, a potem przeciął kable łączące blaszany tors z głową.

Szóstka klonów puściła się pędem przez dziedziniec i schroniła za przewróconym AT-TE. Wokół wałało się całkiem sporo naładowanych karabinów – i to zarówno dece, jak i separańskich, dość, żeby odpierać atak jeszcze przez jakiś czas. Rex wyszarpnął z sakwy u pasa jednorazowy iniektor ze środkiem przeciwbólowym i wbił igłę w wierzch dłoni, a potem wycelował swój karabin. Walka znowu rozgorzała.

Blaszaki nie miały problemu ze strzelaniem, ale kiedy w grę wchodziły mniej konwencjonalne sposoby, takie jak ciosy ostrzem, duszenie, oślepienie i cała reszta elementów walki na krótki dystans – były bezradne. Nie mówiąc już o tym, że dobrze sprawdzały się tylko na względnie płaskim terenie.

– O, to mi się podoba – mruknął Nax. – Teraz naprawdę mogę się trochę wyluzować.

– Nie krępuj się, strzelaj do woli – skwitował Rex. W ich polu widzenia pojawiło się kilka SRB. Te nie miały już wyraźnie wydzielonych z korpusu głów, które można by im było powyrywać. Wkrótce zjawią się z pewnością roboty pająki. Rex wskazał na krawędź płaskowyżu. Mogli spróbować czmychnąć do dżungli... – Czy wszyscy mają na wszelki wypadek przygotowane linki?

– Tak jest, sir! – odpowiedzieli chórem.

To by było wyjście awaryjne. Na razie mieli broń, a w perspektywie zlikwidowanie kilku ładnych sztuk blaszaków.

– Rex? Zgłoś się! – odezwał się komunikator. Widocznie Skywalker nie dał za wygraną.

– Odbiór, generale. Jesteśmy uziemieni na dziedzińcu. – Ja, piątka żołnierzy...

– Potrzebujecie pomocy?

– ...i od cholery blaszaków. – Poczęstował roboty kilkoma seriami plazmy. Mury klasztoru zwielokrotniały echem huk blasterowych wystrzałów. – No, od cholery minus jeden.

– Rozumiem, że to oznacza „tak”, kapitanie – rzucił Skywalker. – Czekaście. Zaraz będziemy.

Powalony AT-TE trzął się pod ostrzałem SRB. Nax, rozciągnięty płasko na brzuchu, zajrzał do dziury w kadłubie, a potem sięgnął do środka. Kiedy wyciągnął rękę, trzymał w niej solidne obcęgi.

– Skrzynka z narzędziami – wyjaśnił, otwierając kleszcze i zamykając je z trzaskiem. – No, blaszaczki, chodźcie do wujka Naksa...

Rex spojrział do góry i pomyślał, że istniało jeszcze coś, dzięki czemu klony radziły sobie na wojnie znacznie lepiej niż najwymyślniejsze roboty.

Żołnierze byli pomysłowi.

A poza tym mieli braci, których chcieli pomścić.

– Zostaw jednego dla mnie – mruknął.

## ROZDZIAŁ 14

*Wojna jest złem i wyzwala w istotach najgorsze odruchy. Często jednak wzbudza także te najbardziej szlachetne – odwagę, poświęcenie, zaradność, wytrwałość, braterstwo, geniusz... – nawet poczucie humoru. Obyśmy potrafili osiągnąć podobny zbawienny stan bez uprzedniego przelewania krwi.*

Mentor Peet Siebien, filozof Jal Shey

### **Platforma lądownicza, klasztor na Teth**

Anakin cofnął się do drzwi, kombinując, jak by tu zabrać Rekxa i jego ludzi z dziedzińca.

Nigdy nie zdoła sprowadzić tu kanonierki, jeśli w ogóle jakieś jeszcze zostały, westchnął ciężko. W zależności od tego, gdzie separańcy rozlokowali swoje siły, mógł ściągnąć na siebie ogień robotów, zastawić na nie zasadzkę albo po prostu próbować je zająć walką, dopóki nie przyleci Kenobi.

– Mistrzu! – zawołała za nim Ahsoka. – Mistrzu, Śmierdzielek jest naprawdę chory! Nasza misja to dostarczyć go na Tatooine. Żywego. Pamiętasz?

– A więc jaki masz plan? – Anakin i tak wiedział, co mu odpowie. Podjął marsz. – Chcesz zostawić naszych ludzi na pewną śmierć?

– A czy misja nie jest ważniejsza?

– Sama sobie odpowiedz na to pytanie, Smarku – burknął. – To ludzie, których znasz. Co z osłanianiem siebie nawzajem?

– Przecież cokolwiek by się działo, Mistrzu, bycie dowódcą oznacza podobno przygotowanie się na to, że można być zmuszonym posłać swoich żołnierzy na śmierć – przypomniała mu jego własne słowa.

– No dobrze, wiem, sam tak powiedziałem, ale takie przygotowanie nie oznacza zostawienia ich samym sobie, dopóki nie wyczerpało się wszystkich możliwości!

– A jeśli uratowanie Rekxa oznacza skazanie Śmierdzielka na śmierć, czy to nie czyni śmierci każdego żołnierza, którego straciliśmy w tej bitwie, daremną?

– A co takiego się stanie, jeśli ta glista zdechnie? – Wzruszył ramionami. Bez mrugnięcia okiem oddałby wszystkich Huttów galaktyki za życie jednego żołnierza. Wyglądało na to, że Ahsoka rozważa wszystko raz jeszcze.

– Rex wcale by ci za to nie podziękował – stwierdziła po namyśle.

– Dobra, Smarku, więc wybierz jego numer i sama mu to powiedz.

– Niby kto, ja?

– Dokładnie. Skontaktuj się z Reksem i powiedz mu, że namówiłaś mnie do zmiany zdania. Przekonałaś mnie, że ani on, ani jego ludzie nie są warci ocalenia.

– Ale, Mistrzu...

– Jeśli chcesz podejmować trudne decyzje, które będą twoich ludzi kosztować życie, lepiej przygotuj się na to, że będziesz musiała spojrzeć im w twarz i powiedzieć, dlaczego postanowiłaś tak, a nie inaczej.

Szedł o zakład, że Togrutanka nie da rady tego zrobić, jednak gdzieś w głębi duszy martwił się, że byłaby jednak do tego zdolna – tylko po to, żeby mu udowodnić, że jest wystarczająco dorosła, by być padawanem. A potem pewnie sama powtórzy mu jego własne słowa.

– A poza tym – dodał – Rex może nam pomóc znaleźć statek i stąd odlecieć.

– Mistrzu, z całym szacunkiem, ale to nie brzmi zbyt przekonująco...

– No dobra – dał za wygraną. – Po prostu go nie zostawię, skoro wciąż jest szansa na wyciągnięcie stąd i Hutta, i żołnierzy. On by mnie nie zostawił i ciebie też nie. Właśnie tak postępuje się w wojsku. Jeśli złamiesz tę niepisaną zasadę, równie dobrze możemy się poddać.

Uszli korytarzem jakieś pięćdziesiąt metrów, kiedy Artoo zagwizdał ostrzegawczo i wkrótce Anakin usłyszał dźwięk, którego się obawiał: niskie, miarowe brzęczenie robotów niszczycieli. Kątem oka zarejestrował ruch: korytarzem w ich stronę toczyły się dwie droideki, przygotowując działka do strzału. Już za chwilę otworzyły ogień, zmuszając ich do wycofania się na platformę.

– To jedyne wyjście! – zawołał Anakin, blokując laserowe strzały. – Artoo, przygotuj się do opuszczenia wrót!

Wybiegli na tylny dziedziniec. Kiedy R2-D2 dotarł do terminalu i zabrał się do zamykania drzwi, Anakin zauważył ludzką postać, wynurzającą się z cienia rzucanego przez roboty – kobietę o nagiej czaszce i zimnym spojrzeniu. W tej samej chwili R2-D2 wsunął chwytak do gniazda i płyta drzwi opadła z sykiem.

– Ventress – mruknął Anakin. – No, przynajmniej wysłali do zabicia nas kogoś z góry.

Przez chwilę płyta wibrowała lekko, a za moment metal przeszyły dwa rozżarzone promienie czerwonej energii. Anakin domyślił się, że Ventress postanowiła przeciąć się przez drzwi. Zauważył, że prowadzi obie klingi jednocześnie, wycinając w metalowej powierzchni koło niczym laserowym ostrzem.

– Chyba pora brać nogi za pas – stwierdził. – Mamy w dole całą dżunglę do zabawy w chowanego.

Ahsoka wyrzwała za krawędź platformy.

– Właśnie, a w tej dżungli mnóstwo drapieźników i trujących roślin... aha, i robotów pajaków...

Skywalker przypadł do skraju platformy i spojrzął w dół. Roboty wspinały się po zasłonie pędów porastających całą ścianę. Kilka z nich zatrzymało się na chwilę, żeby wycelować działka w ścianę pod nimi. Anakin poczuł, jak ziemia drży mu pod stopami.

– Cóż – westchnął. – Mamy kilka opcji. Albo pozwolimy, żeby rozwalily platformę, albo poczekamy tu sobie na Ventress, albo zejdziemy im na dół na spotkanie.

Ahsoka strzelała oczami na wszystkie strony, jakby oceniała możliwości i mierzyła odległość.

– Hm, jeśli mam być szczerą, to nie podoba mi się żadna z tych opcji.

Rotta jęczał teraz i skomlał niemal bez przerwy. Anakin przypomniał sobie pospieszne szkolenie z pierwszej pomocy, które przeszedł, zanim został wysłany na front: ranny, który jęczy, jest najprawdopodobniej ranny mniej poważnie niż ten, który siedzi cicho. Jeśli krzyczą, są świadomi. To nieprzytomni byli przeważnie w cięższym stanie.

– Możesz wrzeszczeć do woli, mój cuchnący przyjacielu – rzucił Anakin przez ramię. W narzekania Rotty wkradła się nowa nuta: gulgotał teraz zdziwionym tonem, raz po raz. – No cóż, zmiana jest równie potrzebna, jak odpoczynek.

– Co on pokazuje? – spytała Ahsoka.

– Pokazuje...?

– Tam!

Anakin odwrócił się, żeby spojrzeć we wskazanym kierunku, a Rotta zakwilił znowu. Togrutanka obrzuciła horyzont uważnym spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

– Jak mogliśmy to przeoczyć? Zupełnie jej nie zauważyłam! – zawołała. – O, tam! Jeszcze jedna platforma... I popatrz, co na niej stoi!

– Co takiego? – Anakin zmarszczył czoło. – Nie widzę...

Sięgnął do plecaka po elektrolornetkę. Wzgórza o płaskich wierzchołkach, które tu i tam wystawały z gąszczy dżungli, były pochodzenia wulkanicznego, więc zapewne tworzyły łańcuch. Z jednej strony mieli na karku przedzierającą się na platformę Ventress, a z drugiej wspinające się ku nim roboty pajaki. Nie miał teraz głowy do roztrząsania kwestii geologicznych. W oddali widział tylko spowite gęstą mgłą czubki drzew i gromadę tych wielkich, robalopodobnych stworów wielkości małych śmigaczy. Wyglądały jak kety albo can-celle z Kashyyyka – miały wydłużone ciała, dwie pary trzepoczących szybko, przejrzystych skrzydeł i bulwiaste głowy. Krążyły ponad szczytami, nurkując i łowiąc w powietrzu niewidoczną dla ludzkich oczu zwierzynę.

– Spójrz tylko – podsunęła Ahsoka. – Widzisz to błyszczące, o tam?



– To... hej, masz rację! – Na platformie lądowniczej, na wzniesieniu bardzo podobnym do tego, na którym się znajdowali, stał statek. To miało sens, bo jak inaczej można się było przemieszczać po takiej okolicy? – To statek – potwierdził. – Ale my jesteśmy tutaj, a on tam. Jakieś... dwa kliki stąd. No, może trzy.

– Tak... – mruknęła smętnie Ahsoka. – Wiem. Tak tylko pomyślałam...

R2-D2 zaświergotał gorączkowo i Anakin odwrócił się do drzwi. Bliźniacze miecze Ventress radziły sobie z grubą płytą szybciej, niż sądził. Za kilka minut przetnie się na zewnątrz. A wtedy znajdą się w pułapce...

Platforma zatrzęsała się od kolejnej salwy z działek robotów pajaków. Jeszcze kilka takich strzałów i będzie z nimi naprawdę krucho.

Pewnie skończą w dżungli, z jej szczątkami na grzbietach.

W tej samej chwili mignęło mu w głowie: „Kashyyyk”. Było to coś, co Mistrz Kenobi nazywał „intuicyjnym kojarzeniem”. Anakin skupił się na odnalezieniu powiązań i po chwili znalazł odpowiedź, którą podsunęła mu podświadomość: na Kashyyyku też był gęsty las, porastający trudno dostępny teren, fruwały tam wielkie owady i... można było na nich latać. Can-celle – dosiadał ich aleenańscy zwiadowcy, a czasem nawet ludzie. Tamte też przyciągał dźwięk silników, tak samo jak te tutaj wabiły LAAT/i.

– Artoo! – zawołał. – Czy potrafisz wydać dźwięk przypominający odgłos silników larta?

R2-D2 pisnął potwierdzająco. Odpowiedział, że potrafi odtworzyć pełen zakres dźwięków wydawanych przez pojazdy republikańskie, a jeśli Anakin ładnie go poprosi, to nawet kilka separańskich. Na poparcie swoich słów wydał dźwięk, który sprawił, że Anakinowi zjeżyły się włosy na karku – tak bardzo przypominał hałas nadlatującej LAAT/i, wraz z tą niemal infradźwiękową nutą, ledwie słyszalną w warkocie silnika.

– Mistrzu, czy mógłbyś mi... – zaczęła Ahsoka.

– Wezwiemy jednego z tych insektów i zabierzemy się stąd na jego grzbiecie – wszedł jej w słowo.

Togrutanka tylko pokiwała głową. Pewnie była zbyt zmęczona, żeby się teraz z nim spierać.

– W porządku – stwierdziła. – Robiłam już dzisiaj bardziej szalone rzeczy. Ale dlaczego ten dźwięk miałby je przyciągnąć?

– Owady myślą, że to zaproszenie do zalotów – wyjaśnił Anakin. – Tamten lart był nimi cały oblepiony, pamiętasz?

Ahsoka nie odpowiedziała. Trudno było znieść myśl, że gdzieś tam, w dole, spoczywała martwa załoga LAAT/i.

– Jak zamierzasz to coś pilotować? – spytała. Platformą znowu zatrzęsło i podłoże zaczęło się lekko przechylać; zabłąkany kamyk potoczył się w stronę krawędzi. – Oczywiście pod warunkiem, że damy radę utrzymać się na ich grzbiecie.

– Tu pchnięcie Mocą, tam przyciągnięcie – wyjaśnił niezrażony Anakin. – Jeśli w ogóle

uda nam się wystartować. Powiedzmy, że na razie to jest priorytet.

R2-D2 podjechał ostrożnie do krawędzi platformy, nucąc bez przerwy miłosną pieśń kanonierki. To była jedna z nielicznych przygód w tej misji, o której Anakin będzie mógł spokojnie opowiedzieć Padme. Wiedział, że ją to rozbawi. Nie był jednak pewien, czy kiedykolwiek opowie jej o całej bitwie. Istniały rzeczy, których nie mogły opisać słowa. Stanął z Rottą na plecach tak blisko krawędzi, jak tylko się odważył, i rozejrzał w poszukiwaniu spragnionych miłosnych uniesień insektów.

Za jego plecami Asajj była o krok od wejścia na platformę.

Anakin nasłuchiwał w milczeniu rytmicznego, niemal mechanicznego trzepotu trzylatych skrzydeł.

## **Wyjście na platformę lądowniczą na tyłach klasztoru**

Ventress wycięła w płycie drzwi perfekcyjne koło, znak tak idealny, jakby wyszedł spod ręki utalentowanego artysty.

Kiedy powadzone po obwodzie okręgu ostrza spotkały się w jednym punkcie, pchnęła gruby, metalowy dysk Mocą i wycięty krążek wypadł na zewnątrz. Asajj pochyliła lekko głowę i przeszła przez otwór, stawiając stopę na wyciętym przed chwilą fragmencie jak na schodku.

Nigdzie nie znalazła śladu Skywalkera, jednak togrutańska padawanka i robot astromechaniczny wciąż byli w pobliżu. Ventress sięgnęła Mocą i poszukała w okolicy Anakina; może czaił się gdzieś w górze, czekając tylko, żeby runąć na nią znienacka? Nic jednak nie wyczuła.

– To co, padawanko, zostawił cię samą? – zadrwiła. Złączyła rękojeści mieczy, tworząc broń o dwóch ostrzach, a potem jednym ruchem posłała robota w stronę czekających przy drzwiach robotów bojowych. Nie ufała tej sprytniej maszynie. – U Jedi to normalne.

Ahsoka uniosła oburącz swój miecz i zaczęła okrążyć Asajj bokiem. Ich spojrzenia się spotkały. Ventress nie czuła litości. Nikt, kto dorastał w brutalnych realiach wojny gangów na Rattataku, nie był zdolny do podobnych uczuć. Mieszkańcy planety wcześniej uczyli się ignorować emocje – tylko tak mogli przeżyć. To była świetna szkoła, o czym Asajj wielokrotnie przekonała się w późniejszym życiu.

Skywalkerowi zanadto zależało na reputacji bohatera, żeby miał pozwolić umrzeć temu dzieciakowi, i to w takim miejscu. Musiał być gdzieś w okolicy.

– Gdzie jesteś, Skywalker? – zawołała. – A może znowu zwalasz brudną robotę na innych? Jeżeli dobrze pamiętam, to jeden ze sposobów na szybką karierę Mistrza Windu.

Ahsoka skrzywiła się, jakby to ją śmiertelnie znieważono.

– To ze mną walczysz! – zawołała butnie.

– Otóż to – skwitowała Ventress. Pozwoliła Togrutance podejść na odległość miecza i zakręciła swoją bronią jak batutą. Potem zaczęła atakować naprzemiennie – raz jednym ostrzem, raz drugim, żeby dosięgnąć klingi przeciwniczki. – To nic osobistego – zapewniła ją beztrąsko.

Ahsoka zaatakowała z wysoka, a po chwili opadła na kolana i prześliznęła się pod osłoną przeciwniczki. A przynajmniej tak jej się zdawało. Salto w tył, dzięki któremu uniknęła niskiego ciosu wymierzonego w nogi, nie było dla Ventress niczym trudnym. Padawanka zareagowała natychmiast: poderwała się i rzuciła ku niej bokiem, chcąc zaatakować z tyłu, ale Ventress zawirowała w błyskawicznym piruecie, żeby mieć małą w zasięgu wzroku. Ostrza ich mieczy ścierały się w śmiertelnych pchnięciach i blokadach. Chociaż skupiona na walce, Ventress wciąż czujnie wyczekiwała ataku Anakina, przybywającego padawance na ratunek. Jednak Skywalker jakby zapadł się pod ziemię.

Teraz, kiedy ich pojedynek trwał już jakieś czterdzieści pięć sekund – jak Asajj wiedziała z doświadczenia, podobne starcia nigdy nie trwały długo – zaczynała się niecierpliwić. Przejrzała już na wylot taktykę Ahsoki: kombinację szybkich zwrotów i zwodów, przeskakiwanie z jednego miejsca na drugie, jakby dziewczyna próbowała wyczerpać przeciwnika, żeby zadać mu śmiertelny cios. To było bardzo w stylu Togrutan.

Postanowiła zwabić padawanę bliżej – przez chwilę powstrzymała się od uników i nie atakowała, aż w końcu zatrzymała się i opuściła broń. Odsłoniła się, prowokując przeciwniczkę do ataku... i do popełnienia śmiertelnego błędu. Ahsoka zareagowała, ale nie straciła czujności. Kiedy ruszyła ku niej, Ventress uznała, że nie wywabi w ten sposób Skywalkera z kryjówki. Płynnym ruchem nadgarstka wytrąciła małej miecz świetlny, a potem rozpląszczyła ją pchnięciem Mocy na ziemi i przyszpiliła do permabetonu.

– Gdzie jest Skywalker? – wycedziła.

Podeszła bliżej i postawiła nogę na jej piersi. Ahsoka skrzywiła się z wysiłku, próbując ją odepchnąć.

– Dowiesz się tego w wyjątkowo bolesny sposób – mknęła.

– I bardzo dobrze – stwierdziła lekko Asajj. – W takim razie zaczekam. – Spojrzała w górę. – Zaraz zacznie się obcinanie kończyn, Skywalker! – zawołała. – Sam tego chciałeś!

Platforma przechyliła się jeszcze trochę i tuż przy ścianie klasztoru otworzyło się spore pęknięcie. Artoo zapiszczał żałośnie. Cóż, jeśli smarkaty księżę Jedi nie przybędzie na ratunek swojej padawance, może chociaż pożałuje swojego robocika, przeszło Asajj przez myśl.

– Dobijmy targu! – krzyknęła. W głębi oczodołów poczuła lekkie mrowienie... A jednak! Musiał być gdzieś w pobliżu! Trzymała koniec miecza świetlnego o włos od gardła Ahsoki. – Specjalna oferta! Dwa w cenie jednego! Padawanka i robot za Hutta – zadrwiła. – To chyba uczciwa propozycja?

Nagle poczuła na twarzy gwałtowny podmuch powietrza, a wokół rozległo się ciche

brzęczenie. Spędziła w okolicy wystarczająco dużo czasu, żeby przywyknąć do tych wyrosniętych owadów, ale w ich obecności zawsze wołała zachować ostrożność. Uniosła wzrok, żeby zlokalizować robala... i w tej samej chwili coś uderzyło ją w plecy – coś ciężkiego, szybkiego i ostrego; cień, który trafił w nią z impetem pocisku.

Upadła twarzą naprzód i odruchowo odturlała się na bok, prawie pozbawiając Ahsokę głowy. Jedno z jej szkarłatnych ostrzy przepaliło permabeton platformy, zagłębiając się w nim niemal po rękojeść. Natychmiast zerwała się na równe nogi, gotowa do walki, ale w tej samej chwili Ahsoka odskoczyła na bok.

To jednak nie miało teraz specjalnego znaczenia. Ventress musiała się zmierzyć z ogromną ważką, olśniewającym stworzeniem przypominającym z daleka opalizujący klejnot, unoszący się na delikatnych skrzydełkach. Pozory jednak myliły i z bliska owad okazywał się zupełnie czymś innym: zwinnym, silnym drapieźnikiem, zaskakująco głośnym, o uzbrojonej w potężne kleszcze zuchwie. Sprawiające wrażenie kruchych i zwiewnych skrzydła, poprzecinane subtelną siatką żyłek, były w rzeczywistości grubą, przejrzystą skórzastą błoną, rozciągniętą na mocnej kościanej ramie.

A jakby tego było mało, ta bestia miała na swoim grzbiecie jeźdźca: dosiadał jej nie kto inny, jak Anakin Skywalker.

W jego plecaku spoczywał mały Hutt.

Ważka obniżyła lot i zanurkowała z precyzją zdalnie sterowanej sondy. Uniosła się pionowo i zawisała w powietrzu bez ruchu; tylko skrzydła trzepotały niezmordowanie, wydając dźwięk podobny do pracującego na szybkich obrotach silnika.

Rozległo się chóralne szczęknięcie odbezpieczanych blasterów, kiedy roboty bojowe wycelowały broń.

– Wstrzymać ogień! – warknęła Ventress, podkreślając rozkaz wyrzuceniem ramion w górę. – Jeśli go traficie, zabijecie Hutta.

– Cwaniara z ciebie – zakpił Skywalker, sięgając po swój miecz. – Chciałbym odzyskać moją padawanę, jeśli łaska.

Przylgnął do grzbietu stworzenia i trzymając się go kurczowo jedną ręką, runął w dół lotem koszącym, tworząc silny pęd powietrza. Podczas kolejnych prób usiłował chwycić Ahsokę i wciągnąć ją na skrzydlatego wierzchowca, ale taka sztuczka wcale nie była łatwa, nawet dla Jedi. Skrzydła stworzenia przeszkadzały tak bardzo, że podejście wystarczająco blisko graniczyło z cudem. Ventress wirowała w unikach, kiedy ważka przemykała tam i z powrotem ponad platformą niczym myśliwiec, nad którym pilot stracił kontrolę. Wymachiwała wściekle ogonem i kłapała żuwaczkami. Była ciężka i szybka – gdyby na nią wpadła, efekt byłby podobny jak przy zderzeniu z ciężarówką repulsorową.

Na pierwszy rzut oka było widać, że zwierzęciu niezbyt podoba się taka przejażdżka, tak samo zresztą jak Skywalkerowi. Cóż, w końcu dosiadł na siłę wielkiego, wkurzonego drapieźnika.

Ventress czekała na odpowiedni moment, żeby zrzucić Anakina z grzbietu ważki, a Ahsoka co chwila przymierzała się do skoku. Cała ta historia musi się skończyć źle dla jednej z nich. Ważka z każdą sekundą robiła się bardziej agresywna. Wpadała w panikę; spłoszona gwałtownymi ruchami mieczy, zachowywała się, jakby chciała zrzucić niewygodnego pasażera z grzbietu. W pewnej chwili Asajj poczuła wstrząs, jakby platforma usuwała jej się spod stóp...

Cóż, naprawdę tak właśnie było.

Horyzont przechylił się gwałtownie, kiedy permabetonowa bryła oderwała się od ściany i zawisła pod kątem czterdziestu pięciu stopni, podtrzymywana tylko przez potężne klamry, wrywane jedna po drugiej pod ciężarem konstrukcji. Ventress znów zanurkowała, żeby uniknąć ciosu masywnych skrzydeł; wystarczyłoby lekkie trzepnięcie, żeby skrócić ją o głowę. Jednym susem rzuciła się w stronę wejścia, prosto w ziejącą pod wrotami przepaść.

– Skacz! – krzyknął Skywalker, jednak na pewno nie miał na myśli Ventress. Asajj wylądowała na wąskim progu i przylgnęła rozpaczliwie do framugi wrót. W głąb dżungli poleciała lawina permabetonu i durastali.

Kiedy Ventress obejrzała się przez ramię, zobaczyła, jak ważka, wychodząc z ostrej świecy, płynnie skręca w prawo; na jej grzbiecie, przed Skywalkerem, siedziała krzywo Ahsoka, z całych sił próbując utrzymać się na nietypowym wierzchołku. Za nimi szybował na silniczkach rakietowych ich robot astromechaniczny.

– Proszę pani? – dobiegł z korytarza głos robota, ledwie słyszalny pośród huku spadających w dół szczątków. – Proszę pani...

– Cisza! – ryknęła Ventress, odprowadzając wzrokiem Jedi, umykających razem z Huttem. Miotła nią bezsilna wściekłość – tak wielka, że przez chwilę miała ochotę wydać sępom rozkaz wyruszenia w pościg i zniszczenia ich cennej zdobyczy. Powstrzymywała ją przed tym jedynie świadomość, że nie może się teraz poddać – wciąż miała szansę odbić Hutta żywego.

Na chwilę oparła czoło o chłodną ścianę, układając w myślach plan. Pod nią ziała przepaść – jakieś osiem metrów nagiej skały.

– Elektrolornetka – zarządziła, wyciągając do robota dłoń władcym gestem. Przyjrzała się przez urządzenie ważce, która była już tylko plamką, znikającą we mgle otulającej korony drzew. Eskortowały ją dwa świetlne punkciki odrzutowych dysz R2-D2. – Chyba wiem, gdzie się skierują, ale ich wierzchołec może mieć inne plany. Macie ich śledzić.

– Proszę pani, chciałem tylko powiedzieć, że hrabia Dooku żąda raportu z przebiegu misji – wtrącił robot. – Czy mam mu przekazać, że Jedi zdołali uciec?

Ventress zwróciła mu elektrolornetkę.

– Nie. Bo wcale tak nie jest. Nadal muszą znaleźć sposób, żeby wydostać się poza planetę. A ja nie spocznę, póki ich nie powstrzymam.

Wróciła na korytarz i ruszyła przed siebie, sprawdzając po drodze na datapadzie, czy sępy

patrolują okolicę. Skywalker będzie musiał gdzieś wylądować, nie miał innego wyjścia. Nawiązała połączenie z centralą.

– Kontrola lotów? Tu Ventress. Chcę, żeby sępy natychmiast wyruszyły na poszukiwania Skywalkera. Przygotujcie też mój myśliwiec.

– Proszę pani, czujniki wykryły myśliwce Republiki wysłane z krążownika stacjonującego na niskiej orbicie. Rzuciliśmy przeciwko nim wszystkie eskadry sępów.

– Kenobi! – syknęła Asajj.

– Tak jest, proszę pani.

– Zajmijcie go jakoś. Nie możemy pozwolić, żeby jego żołnierze tu dotarli. Ja zajmę się Skywalkerem.

– Czy w takim razie pani Ginivex ma czekać gotowy do lotu, proszę pani?

– Tak – potwierdziła. – Możliwe, że będę musiała interweniować osobiście.

Zatrzymała się na schodach. Na dziedzińcu bitwa wciąż trwała w najlepsze, jednak ona miała co innego do roboty – musiała wyruszyć na poszukiwania Skywalkera, skoro sępy były zajęte walką gdzie indziej. Co się nagle stało z tą osławioną przewagą liczebną Separatystów? – zachodziła w głowę. Jakoś do tej pory ich wojsku nie udało się pokonać kompanii Legionu Pięćset Pierwszego, nawet nie batalionu! I wyglądało na to, że nikt nie potrafi powstrzymać dwójki Jedi i bachora.

Włącznie ze mną, pomyślała gorzko. Trudno będzie wyjaśnić to wszystko Dooku...

Roboty, uznała. To one wszystko psuły. Cóż, chwilowo nie dysponowała innymi środkami. Teraz musiała odciąć Jedi wszystkie drogi ucieczki z planety. Dopóki Skywalker mógł przy pomocy Hutciątka oczyścić Zakon z zarzutów, nie było mowy o zwycięstwie. Przełączyła się na inny kanał.

– Four-A-Seven – rzuciła. – Gdzie jesteś? Już dawno nie powinno cię tu być!

– Obawiam się, że wyruszyliśmy za późno, żeby przemknąć niezauważenie obok floty Republiki, proszę pani, ale chyba i tak mamy tu jeszcze zadanie do wypełnienia. – Android szpiegowski miał talent do zjawiania się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie i Ventress bardzo sobie tę cechę ceniła. Maszyna nie była zwykłym, przeciętnym blaszakiem. – Od kilku godzin prowadzę obserwację – zameldował Four-A-Seven. – Mam stąd wspaniały widok na klasztor i... obiekty latające.

Myśli Ventress zaczęły krążyć jak szalone. Jeśli wszystko odpowiednio zaplanuje, może uda się jej przygotować Kenobiemu małą niespodziankę...

– Widzisz stamtąd eskadrę Kenobiego? – spytała.

– Widzę – poinformował Four-A-Seven – drapieżną ważkę, która próbuje wylądować. Wszystko wskazuje na to, że dość niechętnie.

Ventress uśmiechnęła się pod nosem.

– Four-A-Seven? Czasem doprawdy nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Mam improwizować? – spytał robot. W jego głosie słychać było... chyba satysfakcję, a

nawet dumę. – Domyślam się, że priorytetem jest wciąż odzyskanie dziecka Hutta?

– Tak jest.

– A więc zrobię wszystko, żeby ich znaleźć – obiecał.

– Dołączę do ciebie najszybciej, jak zdołam. Jesteś bardzo pomysłową maszyną, ale dwójka Jedi to spore wyzwanie.

– Zdążyłem zauważyć – odparł grzecznie android. – Może tym razem spróbujemy nieco mniej bojowego podejścia. Ciebie, o pani, znają, ale ja jestem tylko skromnym robotem, który z pewnością nie wzbudzi ich podejrzeń. – Zawiesił na chwilę głos. – A poza tym, gdyby coś poszło nie tak, zanim zdoła pani dotrzeć na miejsce, zawsze mogę się zwrócić o pomoc do moich mechanicznych kolegów.

Ventress wątpiła, żeby roboty bojowe mogły się Four-A-Seven do czegoś przydać, ale i on sam prawdopodobnie doskonale o tym wiedział. Musiała przyznać, że android miał w sobie więcej z dżentelmena i wojownika niż większość istot, z którymi miała w swojej karierze do czynienia. Do tego był patriotą – służył KNS bez żadnych zastrzeżeń. Żywa istota na jego miejscu została by już dawno odznaczona albo co najmniej awansowana.

Maszyna miała jeszcze jedną ważną zaletę – nie mogła ich zdradzić. Nie było sposobu, żeby przeciągnąć automat na drugą stronę, przekupić, zastraszyć czy skusić perspektywą innych korzyści. Wiedziała, czego może się po nim spodziewać i co nim kierowało. Asajj Ventress... ufała mu. Poza własnymi rodzicami, dawno nieżyjącymi, nigdy nie ufała nikomu, z wyjątkiem Nareca, który też od dawna nie żył, oraz tego androida.

Życie szpiega – żywego czy mechanicznego – było bardzo samotne. Uderzyła ją nagła myśl, że Four-A-Seven był dla niej czymś najbliższym pojęciu przyjaciela – może pewnego dnia nawet mu o tym powie?

– Ventress, bez odbioru – rzuciła do komunikatora.

## **Dziedziniec klasztoru na Teth**

Blasterowa kanonada na chwilę ucichła – roboty przestały strzelać.

Przerywały ogień od czasu do czasu – może słuchały w takich chwilach nowych rozkazów, aktualizowały instrukcje albo odświeżały system? Rex nie miał pojęcia, ale skorzystał z okazji, żeby przeładować każdą broń z arsenału, który zgromadzili, sprawdzić częstotliwości na wypadek, gdyby separańcy przestali ich zagłuszać i zdjąć hełm na te kilka cennych sekund, żeby skubnąć trochę wysokokalorycznych suchych racji. Bez kubła – jak w żołnierskim żargonie nazywano hełm – był na polu walki ślepy, głuchy i bezbronny. Hełm oznaczał szansę na przetrwanie. Otarł wierzchem rękawicy czoło, włożył kubek z powrotem na głowę i uszczelnił system.

Nax zerknął na wbudowany w karwasz chronometr.

– Myślisz, że Skywalker zboczył gdzieś, żeby podrzucić nam trochę kafu? – spytał.

– Wciąż nie mogę go złapać – odparł Rex z pełnymi ustami. Anakin na pewno nie wydostał się poza zachodnią granicę klasztornych zabudowań. A nawet randorniański ślimak, pełznąąc o kulach, pokonałby tę odległość ze trzy razy od chwili, kiedy generał poinformował ich, że jest w drodze. – Mam tylko nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z tym hałasem i dymem, który widzieliśmy przed chwilą... Jestem pewien, że po nas przyjdzie. Powiedział, że to robi, więc dotrzyma słowa.

Coric zbliżył się do barykady i ostrożnie wysunął ponad nią niewielką kamerę. Na HUD-zie Reksa pojawił się obraz i kapitan przyjrzał się uważnie stanowisku robotów. W rozległym klasztornym dziedzińcu trudno było teraz rozpoznać miejsce kultu – wszędzie były leje po pociskach, przewracane czołgi i wraki rozmaitych pojazdów. Tu i ówdzie szczątki wciąż płonęły. Drużyna Reksa – stracił złudzenie, że może jeszcze nazywać ją kompanią – tkwiła za barykadą ze skorupy zdewastowanego AT-TE, którą stopniowo umacniano dezaktywowanymi robotami i wszystkim, co tylko się dało przywlec.

Było ich teraz sześciu: on, Coric, Del, Attie, Zeer i Nax. I roboty o tym wiedziały.

To właśnie dlatego fakt, że po mniej więcej godzinie walki wciąż żyli, wcale nie cieszył Reksa. Blaszkaki musiały mieć w zanadrzu jakiś plan.

Nie wiedział dokładnie, ile ich zostało, ale był pewien, że o wiele więcej niż żołnierzy.

W pewnej chwili usłyszał nad głową brzęczenie silników, ale nie zauważył statku. Brzmiało to jak odgłos wydawany przez roboty sępy. To te blaszaki najbardziej go niepokoiły. Maszyna, która miała taką siłę ognia, a do tego mogła latać, biegać i potrafiła uczyć się nowych rzeczy, odpowiadała definicji jego najgorszego koszmaru.

Poza tym bolały go połamane żebra. Postanowił jednak, że obędzie się bez leków przeciwbólowych, dopóki wytrzyma.

– Nie czaję – mruknął Zeer, jeden z techników wojskowych kompanii. Zanurzał właśnie obie ręce w klatce piersiowej wybebeszonego superroboty bojowego, jakby dokonywał przeszczepu serca. – Gdyby to był Jabiiim, już dawno gryźlibyśmy ziemię, a nasze głowy sterczałyby zatknięte na tyczkach. Co je przed tym powstrzymuje? Wiedzą, ilu mamy ludzi, bo przecież nas pilnowali.

– Są tępe – skwitował Del. – W końcu to zwykłe blaszaki. Nie potrafią nic innego niż iść przed siebie i strzelać. I mam wrażenie, że SRB wcale nie są o wiele bystrzejsze.

– Ten tu gnojek na przykład zdecydowanie nie był. – Zeer przykucnął i zaczął mocować płytę piersiową pancerza SRB z powrotem na miejscu. – Ale teraz może zacząć nowe życie.

Nax wciąż trzymał w rękach obcęgi.

– Czekają, aż ta szalona łysa kobieta przyjdzie i zacznie za nie myśleć, ale najwyraźniej jest zbyt zajęta szukaniem generała.

– Nie – zaprzeczył Attie. – Jesteśmy przynętą. Dopóki żyjemy, wiedzą, że Skywalker po nas wróci. To jego chcą dorwać. Jego i tę małą glistę.



Rex po raz kolejny sprawdził swój wyświetlacz. Żadnych komunikatów, żadnych pożytecznych informacji taktycznych – nic, co wskazywałoby na to, że ktoś spieszy im na pomoc. Nie miał nawet dostępu do sieci HoloNetu, a w niepewnej sytuacji Rex zakładał zawsze najgorszy scenariusz.

Mimo to nie tracił nadziei. Skywalker po nich wróci, wiedział to.

– Dobra, panowie – westchnął. – Koniec przerwy na kaf. Możemy albo czekać, aż blaszaki znowu zaczną zabawę, albo wysłać im naszego specjalnego ambasadora, żeby przedstawił warunki. Jak idzie, Zeer?

– Chyba jest gotowy, sir.

Wspólnymi siłami postawili prosto wypatroszonego SRB. Zeer nafaszerował jego klatkę piersiową kilkoma detonatorami termicznymi. Kiedy go włączy, blaszak podrepcze grzecznie do swoich braci, a wtedy wywołają zdalnie eksplozję i robot poszatkuje swoich ziomeków na kawałki. To rozwiąże większość problemów Rekxa, da im trochę czasu, no i zepsuje separańcom dzień.

Nie mówiąc już o tym, że poprawi ich tabelę wyników. Ged nie mógł się doczekać widowiska, tak samo jak Hez.

Rex sprawdził po raz nie wiadomo który swój chronometr. Słyszał znajomy szcęk serwomotorów i zastanawiał się, co też knują blaszaki. Trudno było zgadnąć, bo nie myślały jak normalni żołnierze i kierowały się zupełnie innymi potrzebami. Rex stwierdził, że ostatnio spędza w ich towarzystwie stanowczo zbyt wiele czasu, a wcale nie wie o nich dużo więcej niż w chwili wybuchu wojny. Może nie było znów tak wiele do odkrycia?

– Dobra, Zeer – powiedział. – Na miejsca. Zaraz odeślemy naszego blaszanego przyjaciela na łono rodzinki.

Gdzie się podziewa Skywalker? A skoro już o tym mowa, to gdzie jest Kenobi?

Nie mając wyraźnych rozkazów, Rex mógł tylko walczyć, a potem albo uciec, albo zadać wrogowi jak najwięcej ciosów, zanim sam da się zabić. Siedzenie na tyłku i czekanie na Święto Republiki nie wchodziło w grę.

Klony zajęły stanowiska – Coric i Del przy samopowtarzalnym działku, które pożyczili sobie od separańców, a Attie za moździerzem. Rex przykląkł, obserwując uważnie teren przez otwory wycięte starannie w barykadzie ze szczątków.

Zeer podlubał pod pachą SRB i po chwili robot obudził się do życia. Jego uzbrojone w blaster ramię uniosło się pod kątem czterdziestu pięciu stopni do bezpiecznej pozycji. Rex przyglądał się temu z mieszanymi uczuciami i odetchnął swobodniej, dopiero kiedy blaszak zaczął się przedzierać ku swoim.

– Pozdrów ode mnie mamusię – mruknął Zeer i wrócił między Rekxa a Attiego.

– Mam nadzieję, że ten głupi kawał szmelcu nie wpadnie w któryś z lejów...

– Nie ma obawy, sir, mają procesory niezależności. Zaprogramowałem mu współrzędne celu. Wybierze najlepszą trasę, unikając przeszkód, zanim przyjdzie mu zginąć męczeńską

śmiercią ku chwale Republiki.

SRB ze szczękiem przedzierał się do swoich pobratymców. Kilka robotów bojowych w punktach obserwacyjnych zwróciło w jego stronę fotoreceptory – Rex widział je na swoim wyświetlaczu – jednak nie działo się nic niepokojącego. Nie zareagowały podejrzliwie. Dane przesyłane z transpondera mówiły im, że przybysz jest jednym z nich. Robot dotarł do swoich i wkrótce znalazł się w samym sercu szeregów wroga.

– Dam mu jeszcze trochę czasu – stwierdził Zeer.

Sępy nad ich głowami krążyły coraz bardziej gorączkowo. Rex złapał się na tym, że znów się zastanawia, co by zrobił na miejscu dowódcy robotów: namierzył pozycję republikańskich psów, oszacował ich liczbę, a potem wytrzepał z nich *poodoo* w ataku z powietrza. Nie miał pojęcia, dlaczego roboty – czy kto je tam wysyłał na tę wojnę – walczyły w taki głupi sposób, nie wykorzystując całego arsenału możliwości. Sępy były teraz tuż nad nimi – dlaczego ich nie atakowały? No dobra, uznał, może nie mogły ich namierzyć, ale przecież zlokalizowanie sześciu ludzi i zrobienie z nich mielonki nie wymagało geniuszu!

Dzięki Mocy, że z nich takie matoly.

– Czy dotarł już wystarczająco daleko? – spytał Zeera.

– Nie widzę. Chcę, żeby zajął *stanging* pozycję. Szkoda, że nie są pod dachem. To by zmaksymalizowało straty.

– Wystrzelamy, co się da. Rozpocznij odliczanie.

Zeer podrzucił zapalnik w lewej dłoni, zaciskając prawą na rękojeści dece, którego lufa leżała na skraju barykady.

– Trzy... dwa...

*Stang!* Reksa naprawdę martwiły te sępy... Odwrócił trochę głowę, żeby mieć lepszy widok na dłoń Zeera. Kciuk klona dotknął przycisku.

– Jeden!

Chwila ciszy między wciśnięciem guzika detonatora a wybuchem zawsze wprawiała Reksa w dziwny trans. W tym ułamku sekundy zawsze zdawało mu się, że do eksplozji nigdy nie dojdzie, jakby czas stanął w miejscu i potrzebny był jakiś impuls, żeby zadziało.

Czas jednak płynął własnym tempem i nadawał wydarzeniom właściwy kurs.

Gwałtowny rozbłysk oślepiającej bieli pogrążył wizjer Reksa w ciemności, bo zareagowały czujniki, chroniąc jego wzrok przed jaskrawym światłem. Tłumienie dźwięków w hełmie zredukowało odgłos eksplozji do głuchego „łuuuuuump!” Mimo to poczuł falę uderzeniową, która wstrząsnęła ziemią – wspięła się po jego nogach aż do brzucha, aż w końcu dotarła do gardła. Siła wybuchu zadudniła mu w piersi głuchym echem. Przy takiej odległości podobne skutki nie były niczym niezwykłym. Rex stwierdził, że gdyby przyszło mu zginąć w wyniku eksplozji, wolałby znaleźć się w centrum wybuchu, żeby nawet nie zdawać sobie sprawy z tego, że umiera.

Nax poprawił celownik tym nerwowym, wiele mówiącym gestem, tak niepasującym do

jego zwykłej postawy maksymalnie wyluzowanego komentatora sportowego:

– Republika – jeden, Konfederacja Niezależnych Systemów – zero – poinformował radośnie.

– No-no, całkiem nieźle – zamomkał skromnie Zeer. – Ciekaw jestem, czy dadzą się nabrać na to samo drugi raz?

Przez kilka sekund nad dziedzińcem szalała zawierucha szarego popiołu, ale zaraz w kamienne płyty zabębniły szczątki. Tuż przed AT-TE opadł deszcz mniejszych, lżejszych kawałków; były na tyle drobne, że Rex nie zdołał zawiesić wzroku na żadnym z nich, nie mówiąc już o ich zidentyfikowaniu.

– Co za widok! – mruknął pod nosem Attie. Załadował mózdzierz i czekał w gotowości. – Jeśli mamy się wycofać, sir, to teraz albo nigdy.

Przez następne kilka minut każdy robot, który nie został rozczłonkowany podczas wybuchu, będzie unieruchomiony. Cisza aż kłuła w uszy.

– To co, teraz? Kto jest za? – spytał Rex, czekając na odpowiedzi.

– Hm, niespecjalnie, sir.

– Tak, „nigdy” brzmi całkiem nieźle.

– Mnie też tu dobrze. Chwilowo nie mamy nic lepszego do roboty.

Coric strzepnął kurz z naramiennika. Pod warstwą szarego pyłu jego kiedyś nieskazitelnie biało-niebieską zbroję znaczyły smugi blasterowych strzałów.

– Widziałem coś podobnego na holofilmie – mruknął pozornie poważnym tonem, którym zwykle opowiadał kawały. – Niesamowicie wzruszający widok. Hordy wroga oblegające fortecę były tak wstrząśnięte męstwem garstki broniących jej żołnierzy, że śpiewały pieśni sławiące ich odwagę.

– Jak się skończyło? – zaciekawił się Del.

– Wszystkich wystrzelali.

Rex marzył, żeby już było po wszystkim. Nie widział w tym nic niezwykłego – w takich chwilach każdego ogarniała zwykle mieszanka rozpacz i czarnego humoru. Pomimo szkolenia i poczucia lojalności, które kazały mu postępować tak, a nie inaczej, jedynym powodem, dla którego czekał tutaj na nieuchronne, była świadomość, że robi to dla własnych ludzi i dla Skywalkera – gdziekolwiek był. A nawet dla Kenobiego. Tylko dlatego.

W tej chwili nie obchodziło go nic innego.

Gdzieś z oddali dobiegł cichy szcęk, który wkrótce przeszedł w metaliczny tupot wielu stóp. Fala dźwięku narastała z każdą sekundą. Po chwili Rex stwierdził, że odgłosy nie dobiegały tylko z naprzeciwka, ale również z tyłu i z boków.

Ukląkł na jedno kolano i zaczął się zastanawiać, czy jest sens działać z ukrycia. A może lepiej wyjść teraz i stanąć twarzą w twarz z wrogiem?

Tak czy inaczej, będziemy walczyć do ostatniego tchu, powtórzył sobie w myśli.

Podniósł się, oparł lufę karabinu na najbliższej w miarę płaskiej powierzchni i sięgnął po

swoje blasterowe pistolety.

– Kompanio Potok – powiedział. – Na stanowiska!

## ROZDZIAŁ 15

*Trudno jest podać definicję bohatera. Mogę powiedzieć tyle, że jest to ktoś, kogo prawdopodobnie trudno zauważyć, jednak kiedy zorientujesz się, czego dokonał – i jak skromnie się zachowuje – przekonasz się, że jesteś kimś mało znaczącym. Od tej pory ci, którzy chwalą się swymi dokonaniem na lewo i prawo, obrażają twoje uczucia zdecydowanie bardziej niż dotąd.*

Admirał Yularen, dowódca floty Republiki, niechętnie odpowiadający reporterom HoloNetu na pytanie o definicję bohatera Republiki

### **Zapasowa platforma lądownicza, trzy kilometry od klasztoru na Teth**

Anakin zastanawiał się, czy takie trzymetrowe, drapieżne robale odczuwają potrzebę zemsty.

Kierował narowiste stworzenie przy użyciu Mocy w stronę statku, który był ich ostatnią deską ratunku. Tylko dzięki niemu zdołają wypełnić misję. Olbrzymia ważka najwidoczniej nie miała na to ochoty – tak samo jak na wożenie pasażerów na gapę. Anakin skoncentrował się na jednym: za wszelką cenę starał się powstrzymać istotę od zanurkowania w dżunglę i zrzucenia z grzbietu nieproszonych jeźdźców, których traktowała jak pasożyty albo potencjalną przekąskę.

– Jak tylko znajdziemy się w pobliżu ziemi, Smarku, skacz i bierz nogi za pas! – polecił Ahsocce.

Togrutanka siedziała na ich prowizorycznym środku transportu okrakiem – tuż za skrzydłami owada, przed Anakinem.

– Sądzisz, że ona jest aż tak niebezpieczna? – spytała z wahaniem.

– To fruwadło jest bystre jak szczur womp, a my właśnie zwabiliśmy je w pułapkę, wciskając mu kit – burknął. – Domyśl się sama.

– Wydawało mi się, że masz dobrą rękę do zwierzaków...

– Do maszyn – poprawił ją Anakin. – Jestem dobry z mechaniki. – Wkrótce będzie miał

pewnie okazję to udowodnić. W miarę jak zbliżali się do platformy lądowniczej, widział coraz lepiej stojący na niej statek. Od razu było widać, że landara pamiętała lepsze czasy – Potrafię skłonić do latania wiele obiektów – westchnął. – Ale tym razem chyba przegiąłem.

W głowie zaświtała mu myśl, której nie odważył się wyartykułować: jeśli nie uda mu się uruchomić tego szmelcu, utkną na terytorium wroga z odciętą drogą odwrotu – no, chyba że zdecydują się dać nura do dżungli albo powalczyć dłużej z lokalną fauną... Spojrzał w bok, żeby sprawdzić, czy nie zgubili R2-D2. Zza jego pleców dobiegały obrzydliwe odgłosy wydawane przez niezadowolonego Rottę.

– Chyba coś z nim kiepsko, Mistrzu – zauważyła Ahsoka.

– Zmienia mu się z minuty na minutę, a poza tym wciąż żyje – stwierdził niefrasobliwie Anakin. – Wiesz, jak trudno jest wykończyć Hutta? Nie ma nawet szans, żeby go otruć. Potrafi sobie wyhodować nowe organy. Żyje całe tysiąclecia. Rotta to nie płatek śniegowiecia.

– Dlaczego tak ich nie lubisz? – zainteresowała się Ahsoka.

– Spędziłem z nimi stanowczo zbyt dużo czasu, żeby ich kochać. Nie musisz wiedzieć nic więcej. – Pożałował tych słów, jak tylko je wypowiedział. Zabrzmiały ostro, zupełnie jakby ukrywał jakieś mroczne tajemnice z przeszłości – a nic bardziej nie gwarantowało, że zaciekawiona Ahsoka zacznie drążyć temat. Gdyby wyjaśnił jej, że był kiedyś niewolnikiem Hutta, nie dałaby za wygraną, dopóki nie dowiedziałyby się całej prawdy. Wystarczająco trudno było mu wyjawić wszystko Padme, chociaż była jego żoną.

Żoną.

To takie niesamowite... a jednak prawdziwe! Ich związek nie powinien być wstydlwym, utrzymywanym w tajemnicy sekretem. Anakin zastanawiał się czasem, co by było, gdyby wyjawiał Mistrzowi Yodzie, że jest żonaty i że nie zgadza się z surowymi zasadami Jedi, zabraniającymi kochać i wstępować w związki, a potem zapytał go – z całym szacunkiem – co o tym sądzi.

Cóż, chyba wcześniej powinien poinformować o tym Kenobiego... A to byłby znacznie twardszy orzech do zgryzienia, bo doszły go słuchy, że generał stanął kiedyś przed takim samym dylematem, ale zrezygnował ze związku z miłością swojego życia. Postąpił ściśle według zasad, których powinni przestrzegać Jedi.

Jak w ogóle takie postępowanie można było uznawać za właściwe? – zastanawiał się. Jak mogło czynić kogokolwiek lepszym?

Nie. Nie zdradzi się. Konsekwencje zatajenia sekretu przed byłym Mistrzem bładły w obliczu burzy, jaką wywołałoby ujawnienie światu jego związku.

Muszę walczyć, to wojna, upomniał się w myśli. A związek z Padme to tylko moja sprawa. Wyłącznie moja.

– Ten statek z każdą chwilą wygląda coraz gorzej – przerwała jego rozmyślenia Ahsoka.

– Ale musimy nim dotrzeć tylko na Tatooine, prawda?

– To właśnie lubię – pochwalił ją. – Szklanka jest w połowie pełna.

– Jak zamierzasz wylądować tym robalem?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Skoro tak mówisz... Posadzę go pchnięciem Mocy i przytrzymam w miejscu, dopóki nie zsiądziesz razem z Rottą. Potem sam zejść, zwolnię uścisk Mocy i będę miał nadzieję, że paskuda odleci, zadowolona, że się nas pozbyła. – Spróbował dosięgnąć ważki Mocą i uspokoić ją w sposób, który podpatrzył u Kenobiego, oswajającego dzikie zwierzęta. Jednak umysł stworzenia był tak obcy, tak niezgłębiony, że Anakin wycofał się czym prędzej, żeby go jeszcze bardziej nie rozdrażnić.

Ich oczom ukazała się platforma. To, co jeszcze przed chwilą było powoli zbliżającą się masą roślinności, ferrobetonu i transpastali, teraz pędziło im na spotkanie kolizyjnym kursem.

Anakin sprawdził jeszcze raz łączność, ale wciąż byli zagłuszani.

Rex, idę po ciebie, zawiadomił w duchu towarzysza. Obiecałem, więc dotrzymam słowa. Po prostu zeszło nam trochę dłużej...

Od czasu ich rozmowy Ahsoka nie wspominała o Pięćset Pierwszym. Może starała się uniknąć nieprzyjemnego tematu?

– No to jesteśmy... – mruknął.

Wyobraził sobie teren w dole, zwiększył Mocą nacisk na grzbiet ważki i na jej skrzydła... i już po chwili stworzenie nurkowało pod ostrym kątem ku ziemi. Teraz Anakin skupił się na tym, co miało być – jeśli właściwie to sobie wizualizował w Mocą – pędem wiatru z naprzeciwka, który spowolni ich zejście. Pod nimi przemykały kępy chwastów i splekana permabetonowa powierzchnia. Sprowadził ważkę na dół w bezpiecznej odległości od krawędzi platformy i pewnym uchwytem Mocy trzymał ją spokojnie, czekając, aż Ahsoka zabierze od niego plecak. Kiedy Rotta był już bezpieczny, Togrutanka pobiegła pod pobliskie drzewo, szukając schronienia.

Anakin zeskoczył ze swojego napowietrznego rumaka. Przez chwilę miał ochotę poklepać ważkę po grzbiecie, ale dzikie machnięcie ogona dało mu do zrozumienia, że powinien czmychać, póki czas.

– Dzięki – powiedział. – Wybacz, że cię oszukaliśmy. Pewnego dnia znajdziesz sobie piękną panią robalową, jestem tego pewien.

Zwolnił uścisk Mocy i wziął nogi za pas. Bez ciężaru Hutta na plecach było mu tak lekko, że czuł się, jakby sam dostał skrzydeł. Przypominające odgłosy turbopływu brzęczenie skrzydeł za jego plecami ucichło, a kiedy odważył się zatrzymać i obejrzeć za siebie, po ważce nie było śladu.

Hm, a może się mylił i owad był samicą, która wracała właśnie do swojego znacznie większego i bardziej wkurzonego małżonka? Opowie mu, jak to została w skandaliczny sposób uprowadzona przez człowieka i Anakin będzie musiał w nieskończoność uciekać

przed gigantycznymi owadami.

Ahsoka zajęła się Rottą. Wyjęła małego z plecaka. Wolał nie myśleć, jak trudno będzie go doczyścić. Uznał, że jego padawanka doskonale sobie radzi z Huttem i ruszył w stronę frachtowca.

Na poznaczonym śladami po uderzeniach meteorów panelu wjazdu widniała nazwa: „Zmierzch”.

– Trafne – stwierdził. Proszę, działaj, modlił się w duchu. Proszę, odpal. Proszę, zabierz nas stąd. – To stare pudło wygląda, jakby ledwie zapało.

R2-D2 podjechał do statku i wydał z siebie żalony trzask.

– Defetysta! – prychnął Anakin i poklepał go po kapturze. – Bywało gorzej, Artoo. Hej, Smarku! Chodź, pokażę ci, jak odpala się statek na krótko! – zawołał. – To jedna z kluczowych umiejętności, jakie powinien przyswoić Jedi. Nie wiem, dlaczego nie uczą tego w Świątyni...

R2-D2 dotoczył się do wejścia, otworzył panel na swoim korpusie i zaczął testować na gniazdku różne narzędzia. Po chwili dołączyła do nich Ahsoka z Rottą na rękach. Jej ubranie było w kilku miejscach dziwnie mokre.

– Oplukałam go trochę wodą z mojego bidonu – wyjaśniła. – Huttowie niezbyt dobrze znoszą taką ciasnotę.

– Dobry pomysł, Smarku – pochwalił ją.

Młoda miała zadatki na dobrego Jedi i na pewno jeszcze uda jej się zagiąć kilka osób w Radzie, stwierdził. Bez dwóch zdań. Może o to właśnie w tym wszystkim chodziło? Pomyślał o Reksie i jego garstce żołnierzy, i machnął ręką na R2-D2, żeby otworzył właz statku.

Trzymaj się, Rex, błagał w duchu kapitana.

Trap głównego wjazdu opadł z sykiem i Anakin odsunął się na bok.

– W czym mogę pomóc? – odezwał się ktoś za jego plecami.

Skywalker błyskawicznie odwrócił się na pięcie. Mało co było w stanie go wystraszyć, ale teraz się zamyślił, a roboty nie zaznaczały swojej obecności w Mocy tak, jak żywe istoty.

– Właśnie odlatywaliśmy... – Anakin podwoił czujność. Co jeszcze przeoczył? – Hej, czy ty przypadkiem nie...

– Jesteś androidem dozorcą! – weszła mu w słowo Ahsoka, marszcząc czoło w ten swój charakterystyczny sposób. Anakin pomyślał, że marny byłby z niej gracz w sabaka. – Four-A-Seven, zgadza się? Wydawało mi się, że miałeś strzec klasztoru. Co tu robisz?

– Dbam o swoje interesy – wyjaśnił android, skłoniwszy głowę. – Klasztor znowu został doszczętnie zdewastowany. Wcześniej myślałem, że ci huttańscy gangsterzy są okropni, ale okazuje się, że armia robotów nadała pojęciu profanacji całkiem nowy wymiar. – Spojrzał na Rottę. – Bez urazy, paniczku. Masz jeszcze szansę pójść przez życie ścieżką niewinności. Wszystko przed tobą.

– A więc to twój statek – domyślił się Anakin, gotów dobić z nim targu albo w razie



potrzeby przywłaszczyć sobie jego własność. – Zamierzasz stąd odlecieć?

– Udało mi się ocalić kilka świętych zwojów i cennych artefaktów, które nie zostały zrabowane ani zniszczone, i muszę ukryć je w bezpiecznym miejscu, dopóki nie znajdę mnichów, którzy się nimi opiekują. – Four-A-Seven wskazał kontenery stojące obok. – Tak, zamierzam opuścić to przeklęte miejsce tak szybko, jak to możliwe.

– To zupełnie tak samo jak my. – Anakina bał się, żeby Ahsoka nie palnęła czegoś głupiego. Patrzyła spode łba na androida, który sprawiał wrażenie, jakby coś kombinował. – Może polecimy razem? Jeśli nie masz planów, mogę zaproponować kilka miejsc...

– To rozsądna propozycja, proszę pana – odparł grzecznie android. – Proszę, wsiądźcie na pokład i zadbajcie o wygodę małego. Mnisi, którym służyłem, wierzyli, że pomaganie innym jest najdoskonalszą formą kultu.

Anakin już miał zacząć przekonywać Four-A-Seven, żeby zmienili plan i wrócili po jego ludzi, ale uznał, że lepiej zostawić tę sprawę na później, kiedy już wystartują. Niewykluczone, że android zaliczał żołnierzy w poczet barbarzyńskich bluźnierców, a Anakin nie miał ochoty na kłótnię na platformie i nie chciał być zmuszony do użycia siły. Odlecą z Ahsoką i Rottą na pokładzie, a kiedy ustalą szczegóły, wrócą po Reksa i jego żołnierzy. A jeśli wtedy coś im stanie na drodze... trudno.

Cofnął się kawałek i gestem nakazał Ahsocie wsiąść na statek. R2-D2 wciąż kręcił się w pobliżu, sprawdzając podwozie statku i od czasu do czasu wydając zaniepokojony pisk. Ahsoka postawiła stopę na rampie, ale zamarła w pół kroku i spuściła wzrok, jakby starała się coś usłyszeć. Kiedy ponownie spojrzała w głąb statku, oczy miała szeroko otwarte, a źrenice rozszerzone – ale nie ze strachu czy zaskoczenia. To był znów ten grymas drapieżnika, który zwierzył zwierzyne.

W takich chwilach zupełnie nie przypominała naiwnego dziecka, którym była przez większość czasu. Wyglądała groźnie.

– Smarku?

– Artoo – powiedziała cicho Ahsoka. – Artoo, potrzyмай na chwilę Śmierdzielka, dobrze? Anakin nie zadawał zbędnych pytań. Wiedział, że coś jest nie w porządku.

– A więc w końcu poczułaś jego smród? – rzucił tylko pozornie beztroskim tonem. Przyglądał się, jak R2-D2 zabiera od niej plecak i odjeżdża kawałek dalej. – Tylko bez wymiotowania...

Padawanka opuściła swobodnie ręce i zrobiła krok w górę rampy. Skywalker próbował wyczuć, co ją tak zaniepokoiło, ale nie potrafił. Miejsca walki zawsze były pełne zakłóceń w Mocy.

– Naprawdę powinniśmy się stąd zabierać, panie – wtrącił Four-A-Seven. – Sytuacja jest coraz bardziej niebezpieczna. Nie chcemy chyba tu utknąć...

– Nie – potwierdziła Ahsoka. – Nie chcemy.

Włączyła swój miecz, zanim jeszcze na trapie szczęknęła pierwsza metalowa stopa. U

szczytu rampy pojawiły się nagle dwa roboty bojowe, tarasując jej drogę. Anakin sięgnął po swój miecz i rozejrzał się za R2-D2, ale robocik był już daleko. Żeby do niego dotrzeć, Four-A-Seven musiałby najpierw minąć jego samego.

Roboty na rampie otworzyły ogień do Ahsoki, ale Togrutanka odparła atak. Odbiła laserowe błyskawice i jednym płynnym ruchem przecięła oba roboty na pół, a potem zniknęła we wnętrzu statku. W pierwszej chwili Anakin chciał ruszyć za nią ale wyglądało na to, że jego padawanek wie, co robi, a poza tym miał w tej chwili inne sprawy do załatwienia. Odwrócił się do Four-A-Seven.

– Prawie nas nabrałeś – rzucił drwiąco i uniósł miecz. Nie miał pojęcia, jakie jeszcze sztuczki ten, pozał się Mocy, „dozorca” chował w zanadru. – Przysłała cię Ventress, zgadza się? Kazała ci zabić Hutta.

Four-A-Seven wciąż emanował pełnym samozadowolenia spokojem – nawet teraz, kiedy przejrżeli jego zamiary.

– Wolno mi podać tylko moją nazwę, numer modelu i kody podzespołów...

Strzały z blasterów ucichły nagle.

– Bardzo zabawne – parsknął Skywalker.

– Nie mógłbym zabić Hutta. Nie jestem nawet uzbrojony – wyjaśnił android.

– A więc jesteś szpiegiem! Cóż, przydasz się. Wyciągniemy od ciebie pożyteczne informacje...

Po rampie zbiegła Ahsoka. Ścisnęła miecz świetlny w dłoni tak mocno, że zbieleły jej knykcie. Wyglądała, jakby zapomniała języka w gębie, ale Anakin wiedział, że wkrótce na pewno zrobi z niego użytek.

Musiała w jakiś sposób wyładować emocje. Może nie jestem dla niej odpowiednim Mistrzem? – przeszło mu przez myśl.

– Zdrajca! – wysyczała, odsłaniając ostre kły. Rzadko jej się to zdarzało, przeważnie starała się je ukryć. – Jesteś zdrajcą!

– Nie, nie jestem – stwierdził lekko Four-A-Seven. – Po prostu stoję po drugiej stronie barykady. Służę innemu rządowi, nie mniej ważnemu niż wasz. Zawsze jest druga strona medalu, moja młoda damo.

Ahsoka nie odpowiedziała. Do Anakina dotarło, że ma teraz problem logistyczny, jakby to powiedział Rex. Wkrótce po was przyjdę, obiecał w duchu kapitanowi. Trzymajcie się! Na razie musieli zabrać szpiega ze sobą. Nie mogli go tu tak zostawić – szpiegzy nie zaliczali się do zwykłych więźniów. Byli niebezpieczni, a android szpieg wyjątkowo. Mógł mieć w zanadru ładunek pułapkę albo jakieś urządzenie sabotujące czy system podsłuchów.

Anakin odnosił wrażenie, że zamiast rozwiązywać problemy, wciąż wynajduje sobie nowe. A czas płynął nieubłaganie.

– Do środka – zarządził i wskazał androidowi wnętrze statku. Miał zamiar powierzyć ten automat, który traktował teraz jak coś w rodzaju skomplikowanej bomby, R2-D2.

Jednak Ahsoka wciąż była wściekła. Gdyby była porośnięta futrem, z pewnością by się teraz zjeżyła. Wpadła w typowy dla siebie stan; w pierwszej fazie powinna być wcieleniem spokoju, żeby po chwili wybuchnąć nadaktywnością. Na razie stała spokojnie.

– Tak czy siak, dla mnie jesteś zwykłym zdrajcą – powtórzyła lodowatym tonem. – Pomagasz potworowi!

– Jeśli naprawdę wierzycie, że Republika i Zakon są takie święte i bez skazy, a Konfederacja to zło wcielone, jesteście bardziej niebezpieczni, niż sądzi moja pani.

To przelało czarę goryczy. Ahsoka nie wytrzymała i wywinęła mieczem popisowego młynka.

Anakin stał za blisko; odskoczył odruchowo, kiedy głowa Four-A-Seven uderzyła w ziemię i podskoczyła jeden jedyny raz, zanim stoczyła się do stóp rampy. W pełnej napięcia ciszy Anakin usłyszał głos androida, powtarzający raz po raz tę samą frazę.

Podszedł bliżej i kucnął, żeby lepiej słyszeć. Głos Four-A-Seven cichł, wciąż wygłaszając koniec ostatniego zdania. Podczas tej wojny Anakin pozbawił głów wiele robotów i żaden z nich nie wzbudził w nim niepokoju, ale ta oddzielona od ciała głowa, o wciąż aktywnych fotoreceptorach, mówiąca głosem tak bardzo przypominającym ludzki, sprawiła, że poczuł w żołądku dziwny chłód.

– ...jesteście niebezpieczniejsi... jesteście niebezpieczniejsi... jesteście niebezpieczniejsi...

Po chwili światła zgasły i głos zamilkł. Ahsoka stanęła u jego boku. Podniósł na nią zaskoczone spojrzenie.

– Brr! Straszne – wzdrygnęła się Togrutanka.

– Pamięć nietrwała – wyjaśnił. Najwyższa pora, żeby zająć się innymi sprawami, uznał, czyli Huttem i Reksem. – Roboty szpiegowskie nie magazynują danych, kiedy ktoś je dezaktywuje. Z oczywistych względów. Jestem pewien, że zdążył już wszystko komuś wysłać.

– No to mamy kupę szmelcu – skwitowała Ahsoka.

Anakin patrzył za R2-D2, toczącym się z Rottą do środka po rampie. Jeśli przeżyte w dzieciństwie traumy miały wpływ na dalsze życie Huttów, to ten tutaj po przeżyciach kilku ostatnich dni z pewnością będzie się nadawał do leczenia.

– Tak – mruknął. – Dobrze powiedziane.

Weszli do środka i Skywalker zamknął właz. R2-D2 musiał użyć kilku swoich magicznych sztuczek, żeby odpalić silniki, ale w końcu wystartowali.

„Szelc”, tłuło się po głowie Anakinowi.

Gdzie kończy się szelc i zaczyna inteligencja?

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Artoo – pochwalił robocika. – Dzięki, stary.

R2-D2 zagwizdał melodyjnie, mówiąc, że cała przyjemność po jego stronie.

## Dziedziniec klasztoru, Teth

Rex przestał myśleć jakąś minutę temu, ale wciąż stał na równych nogach i strzelał.

Błaszaki jeszcze ich nie dorwały. Sięgnął po następny magazynek. Do perfekcji opanował już technikę umieszczania lufy blastera w upatrzonej szczelinie wraku AT-TE; podczas przeładowywania trzymał ją w takiej pozycji, żeby nie musiał przerywać ostrzału z blastera utrzymanego w drugiej ręce.

To była całkiem niezła sztuczka, może nawet imponująca, zważywszy na to, że zostało mu najprawdopodobniej już tylko kilka minut życia.

– Głowa w dół, sir – przestrzegł go Attie. Kucnął po jego lewej stronie i ładował właśnie nową porcję pocisków w wyrzutnię. – Nadchodzi niespodzianka z moździerza...

Rex posłuchał. Skulił się i odwrócił plecami do działka.

– Kryć się... Ognia! – Łuuuup! – Kryć się... Ognia! – Powtórka: łuuuup! – Kryć się... Ognia!

Eksplozje następowały teraz jedna po drugiej; okolica dudniła jednostajnym hałasem, a powietrze zgęstniało od dymu. Ich szóstka ostrzeliwała się teraz zaciekle, korzystając z obfitych zasobów amunicji zgromadzonej we wraku AT-TE. Zeer podczołgał się bliżej i wpełzł do unieruchomionego łazika, żeby nieco odetchnąć. Nie marnował jednak czasu: kiedy wynurzył się ze środka, w prawej ręce dzierżył triumfalnie miotacz ognia.

– Nowy i udoskonalony! – ogłosił z dumą. – Poradzi sobie z tymi cholernymi blaszakami, których nie ruszą inne miotacze.

W sytuacji zagrożenia Zeer używał stałego zasobu słownictwa i wyrażen, zupełnie jakby miał scenariusz, z którego korzystał, kiedy był zbyt zaaferowany albo przerażony, żeby myśleć. Gadał wtedy jak wyluzowany chojrak, ale Rex wiedział, że to tylko gra. Igrali z ogniem, kusili los, a kiedy skończy im się szczęście, przegrają z kretesem – i każdy z nich był tego świadom. Po prostu działali, nie zastanawiając się, co przyniesie kolejna sekunda. I chociaż Rex wiedział o tym doskonale, za każdym razem nie mógł się nadziwić. Był z nich naprawdę dumny.

Tkwili tu niczym wyspa zalewana oceanem robotów.

– Po prostu to zakończmy – mruknął pod nosem Coric. Ostrzeliwał się z drugiej strony łazika, stojąc niemal plecy w plecy z Reksem. Opróżnił magazynek za magazynkiem, celując swoim samopowtarzalnym blasterem przez otwór w barykadzie. – Kiedyś w końcu trzeba będzie przestać... Rex machnął ręką na Zeera.

– Dawaj, dawaj! Na deser serwujemy dziś blaszaka *flambe* – zażartował. Chciał, żeby roboty bojowe podeszły jeszcze kawałek, żeby widowisko było naprawdę efektowne. – Coric, wszystko w porządku? – upewnił się.

– Jak zawsze, sir.

– Świetnie.

Przestawił wewnętrzne łącze swojego hełmu na automatyczne cykliczne skanowanie

częstotliwości. Śledził sygnały tylko półświadomie. Rzucił zza barykady granat, żeby zyskać na czasie i zajął pozycję, a potem podjął ostrzał z obydwu blasterów. Roboty padały jak muchy; załatwiali ich coraz więcej, ale wciąż pojawiały się kolejne. Były ich krocie, cały ocean robotów. Tak, to bardzo trafne określenie, uznał. Scena przed jego oczami była w ciągłym ruchu: fale robotów, bryzgi szrapneli i buchające w niebo raz po raz kłęby dymu.

Miał wrażenie, że to się nigdy nie skończy.

Jednak wciąż była ich cała szóstka, a powstrzymywanie armii robotów przez tyle czasu graniczyło z cudem. Szkoda, że nikt nigdy się o tym nie dowie.

Nie możesz skreślać Skywalkera, powtórzył sobie w myśli.

W takiej chwili bardzo by się im przydały ciężkie działa. I jakieś wsparcie z powietrza. Ten pomysł zresztą zaczynał niebezpiecznie przypominać legendę o osławionych korzennych lodach – rarytasie, o którym wszyscy słyszeli, ale którego nikt nigdy nie znalazł w żadnym menu. Mało brakowało, a w ferworze walki Rex przeoczyłby nagły wybuch aktywności w głośnikach. Spośród szumu dawało się wyłowić pojedyncze wyrazy.

– ...Pięćset Pierwszy...

Transmisja nie była zakłócana, ale słyszał tylko urywki komunikatu.

– Dwieście Dwunasty w drodze... grupa powietrzna... czas dotarcia do celu: czternasta zero siedem...

Teraz wiedział, gdzie się podziały sępy. Widocznie przybył im na odsiecz Kenobi z Dwieście Dwunastym Batalionem Szturmowym. To była to pomoc, na której przybycie stracili już nadzieję. Reksa ogarnęła euforia zmieszana z niedowierzaniem i dziwnym rozczarowaniem.

Ostrzał wroga ustał, a kapitan ukrył się za barykadą.

W tle słyhać było echa odległych wystrzałów i szczęk przegrzanego metalu. Poza tym panowała cisza. Wszyscy nadstawili uszu.

– Kenobi wkrótce tu będzie – poinformował Rex. – Nasłuchujcie lartów...

Gdzieś pośród morza pokonanych blaszaków zaszczękały kroki pojedynczej pary nóg.

– Republikańskie psy! – krzyknął któryś z robotów. – Poddajcie się! Nie macie szans!

To był dowódca. Rex zerknął przez szparę w ścianie metalu i zobaczył żółte oznaczenia na korpusie maszyny.

– A więc nici z pieśni wysławiającej nasze męstwo? – westchnął teatralnie Coric.

Rex wstał i stanął twarzą w twarz z dowódcą robotów. Dzieliło ich jakieś dwadzieścia metrów.

– Kogo nazywasz republikańskimi psami, blaszaku? – warknął.

– Poddajcie się natychmiast – powtórzył uparcie robot.

Może po prostu tak go zaprogramowano, a może naprawdę chciał wykorzystać Reksa i jego ludzi jako przynętę na Skywalkera? Prawdopodobnie za kilka minut nie będzie to już miało znaczenia.

Rex ustawił zewnętrzny system audio na maksymalną czułość. Słyszał je: słodkiego dźwięku silników LAAT/i nie dało się pomylić z niczym innym. A tym razem było ich naprawdę sporo. W tle pobrzmiwało wycie myśliwców. Cudowny, znajomy gwizd...

– Powinieneś był poprosić o to wcześniej – powiedział spokojnie do robota. – Bo wtedy...

Wszystkie stojące za dowódcą blaszaki jednocześnie spojrzały w niebo, a po chwili równie zgodnie eksplodowały, kiedy trafił w nie pocisk.

– ...mieliście jeszcze nad nami przewagę liczebną.

W tej samej chwili zza krawędzi płaskowyżu wyłoniły się kanonierki LAAT/i. To było dopiero coś! Żeby podlecieć tu w ten sposób, po kryjomu, musiały nieźle szorować brzuchami po koronach drzew. Kilka lartów otworzyło ogień zaporowy, podczas gdy z innych zaczęły spuszczać się po linkach żołnierze komandora Cody'ego. Zaczęli strzelać, zanim jeszcze na dobre stanęli na ziemi. Żółtoszary ocean robotów powoli zmieniał barwę na soczysty oranż, nakrapiany gdzieś tam plamami oślepiającej bieli.

– Rychło w *kriffing* czas! – mruknął Nax. – Gdzie Skywalker?

Jakby znikąd nad dziedzińcem klasztoru pojawił się Jedi Interceptor. Zanurkował i wylądował na płaskim dachu przybudówki. Rex spodziewał się, że ze środka wyskoczy Skywalker, odbijając po drodze mieczem świetlnym zbłąkane laserowe wiązki, ale wirującym w zawrotnym tempie obłokiem brązowych szat, oświetlonym błękitną poświatą miecza, który zeskoczył z dachu i z gracją akrobaty wylądował tuż przy Reksie, okazał się nie kto inny, jak sam generał Kenobi.

– Świetne wycucie czasu, sir – stwierdził Rex i przeładował magazynek, tym razem oburącz.

– Mam wrażenie, że niewystarczające – odparł Kenobi. Zza barykady wynurzyła się głowa robota, którą natychmiast odepchnął falą Mocy. Cóż, widocznie nie przepadał za podsłuchiwcami. – Tylko tyłu was zostało?

– Tak, sir – potwierdził Rex.

– Przykro mi. A gdzie Skywalker?

– Ostatni raz meldował się gdzieś z klasztoru, ale to było kilka ładnych godzin temu – wyjaśnił kapitan. – Później straciliśmy z nim kontakt.

– Pójdę go poszukać.

– Proszę uważać na pewną kobietę. Ma podobny gust co ja, jeśli chodzi o fryzurę, i miecz świetlny o podwójnym, czerwonym ostrzu.

– Ventress... – mruknął pod nosem Kenobi.

– Proszę jej sprzedać ode mnie solidnego kopniaka, dobrze, sir? Dzięki niej dorobiłem się paru złamań.

– Masz to jak w banku – obiecał skwapliwie generał i już go nie było. Rex zazdrościł mu energii i zapału do walki; on sam gonił resztką sił. Zaczynał mieć wrażenie, że bitwa, jaka rozgorzała wokół ich tymczasowego, prowizorycznego schronienia w postaci AT-TE, toczy

się gdzie indziej. Komunikator na nadgarstku zapiszczał nagłaco.

– Kapitanie Rex? Tu generał Skywalker. – Reksa ścisnęło w gardle. A więc żyje! – pomyślał z ulgą, aż szczecina na głowie stanęła mu dęba.

– Tak, sir?

– Przepraszam za nagłe zniknięcie, ale mieliśmy tu niezły młyn.

Rex zakładał, że Skywalker wie o odsieczach w postaci Kenobiego i Cody'ego z flotą.

– Czy wszystko już w porządku z łącznością, sir?

– Hm, tak... A przy okazji, mamy tu mały problem, Rex. Mały czuje się coraz gorzej. Wezwałem statek i zamierzam dostarczyć Hutta na pokład okrętu admirała Yularena. Chwilowo nie będziemy w stanie przyjść wam na ratunek. Wybacz...

W takich chwilach Reksowi było Skywalkera żal. Generała stanowczo zbyt często ogarniało poczucie winy.

– Misja jest najważniejsza, sir – powiedział krótko. – Zresztą i tak musiałby pan odstać swoje w kolejce – zażartował. – Chłopaki Cody'ego zajęli wszystkie najlepsze miejsca. Przez te ich pomarańczowe pasiaki nie sposób się ruszyć! Nieźle dają po oczach.

W głośnikach zapanowała cisza, przerywana jedynie trzaskami zakłóceń. Krótkotrwała, ale wystarczająca za wiele słów.

– A więc nie potrzebujecie naszego wsparcia?

– Damy radę, sir. I powodzenia z Huttem. Dam generałowi Kenobiemu znać, że u was wszystko w porządku. Poszedł do klasztoru was szukać.

– Nie chciałbym, żeby tracił na próżno czas...

– Och, chyba nie zrobi mu to specjalnej różnicy, sir – stwierdził beztrąsko Rex. A więc Anakin wciąż się martwi, co też pomyśli o nim jego Mistrz, chociaż teraz sam już dostał padawanę, pomyślał kapitan.

– Pewnie skorzysta z okazji, żeby wyrównać rachunki z Ventress – zaśmiał się Skywalker bez cienia wesołości.

Rex przerwał połączenie.

– No, trochę mi ulżyło – stwierdził Coric.

Szóstka żołnierzy – wszystko, co zostało z Kompanii Potok z Legionu Pięćset Pierwszego – stała w centrum chaosu, który ledwie chwilę temu był ich fortecą, a równie dobrze mógł się stać ich mogiłą. Wszyscy poczuli się tu nagle dziwnie nie na miejscu. Dwieście Dwunasty przejął inicjatywę i rozprawiał się bez trudu z mrowiem robotów. Adrenalina opadała – i chociaż bitewna gorączka miała ich trzymać jeszcze przez chwilę, Rex czuł już pierwsze objawy nadchodzącego nieuchronnie wyczerpania.

Tak, wiemy, jak to jest czuć się niepotrzebnym, sir, pomyślał.

– Cóż, wygląda na to, że pański holoserial skończył się tym razem inaczej, niż się zapowiadał, sierżancie – powiedział Attie do Corica. – Będziemy żyli długo i szczęśliwie... przynajmniej na razie wszystko na to wskazuje.

– Nieprawda – wszedł mu w słowo Del. – To nie dotyczy większości z nas.

Rex wsunął do kabur swoje pistolety i schylił się po karabin.

– Cóż, skoro tak – powiedział – to uczcijmy ich pamięć zgodnie z tradycją Pięćset Pierwszego: rozwalając wszystkie blaszaki, które się napatoczą.

Jutro cała zabawa zacznie się od nowa.



## ROZDZIAŁ 16

*Wrogów nie zyskuje się przypadkiem ani niechcący. Robimy ich sobie sami, zarabiamy na nich, hodujemy ich – czy zdajemy sobie z tego sprawę, czy nie. Jeśli nie jesteśmy w stanie znaleźć prawdziwych wrogów, wymyślamy ich sobie i przypisujemy im przerażającą potęgę.*

*Stają się usprawiedliwieniem naszego działania albo wymówką dla naszych własnych niepowodzeń. Wielu z nas ucierpiałoby, gdyby ich nie było – kto by potrzebował Jedi, gdyby nie istnieli użytkownicy Ciemnej Strony?*

Lord Gajakur Biul, kiliański strażnik

### Klasztor na Teth

Ventress sądziła, że Jedi odebrali jej już wszystko, ale była w błędzie.

Patrzyła na holonagranie przedstawiające ostatnie chwile androida szpiegowskiego Four-A-Seven. Po podjęciu odpowiednich kroków, kiedy rozkazała rozpocząć poszukiwania statku Skywalkera, miała chwilę wytchnienia i mogła spokojnie pomyśleć.

W półmroku wnęki w korytarzu obejrzała nagranie drugi, trzeci i czwarty raz, ignorując odgłosy walki toczonyj na dziedzińcu klasztoru. W ściany budynku i wulkaniczną skałę pod nim raz po raz trafiały salwy z działek, wprawiając podłogę pod jej stopami w drżenie.

Jego też musieli mi zabrać, to jasne, pomyślała gorzko. Nie zawahali się ani przez chwilę.

Four-A-Seven został zaprojektowany w taki sposób, żeby nie dopuścić do przechwycenia przez wroga informacji magazynowanych w pamięci stałej i nietrwalej. Źródło zasilania awaryjnego wykrywało sytuację skrajnego zagrożenia i od razu przesyłało wszystkie dane w bezpieczne miejsce. A kiedy system w końcu przestawał działać – kiedy android „umierał” – w jego obwodach nie zostawało nic, co wróg mógłby odzyskać.

Tak oto Four-A-Seven przesłał jej dane, czerpiąc energię z zapasowego źródła, wciąż świadomy, chociaż Jedi skrócili go o głowę. Ten szczegół uderzył Ventress bardziej niż cokolwiek innego.

Nie znaczył dla was nic, zupełnie nic, Jedi, prawda?

Android był dla niej jedyną godną zaufania istotą. Ventress słyszała teraz jego słowa i oglądała wydarzenia z perspektywy holokamer umieszczonych po bokach jego fotoreceptorów. Nie, poprawiła się w myśli – oczu. Miał oczy, a nagrane dane były jego myślami. Wzdragła się przed używaniem tego oschłego języka maszyn. Four-A-Seven... umarł. Jak człowiek. Miał w sobie więcej z istoty żywej niż większość stworzeń, których towarzystwo musiała znosić na co dzień. Wypełnił swój obowiązek i – chociaż teraz było to właściwie bez znaczenia – wygarnął Jedi kilka prawd na temat dyktatury Republiki. Jego śmierć na posterunku była dla Ventress tak samo bohatera, jakby na jego miejscu był żołnierz z krwi i kości.

Spojrzała na swój datapad. W jego pamięci było teraz zapisane wszystko, co zgromadził Four-A-Seven – do chwili, kiedy wyczerpało mu się zasilanie. Gdyby pokusić się o porównanie z żywą istotą, miała teraz w rękach jego duszę.

Moja determinacja nigdy nie zmaleje, pomyślała. Wy, Jedi, tylko ją podsycacie. Znowu robicie sobie wrogów.

Gdyby nie nauczyła się wykorzystywać cierpienia, bólu utraty i gniewu jako paliwa podsycającego wolę działania, już dawno by nie żyła. Odwróciła się, żeby wrócić na pole bitwy, podbudowana i pełna nowych sił.

Po chwili znów odezwał się jej komunikator. Kiedy odebrała połączenie, w powietrzu przed nią zawisł hologram hrabiego Dooku.

- Słyszałem, że na Teth przybyło wsparcie pod dowództwem Kenobiego, Asajj.
- Poradzimy sobie z nimi – odparła lekko.
- Odbiłaś już Hutta?

Wiesz, że nie, pomyślała ze złością. Powiedziałabym ci natychmiast, gdyby tak się stało.

– Wciąż jest w rękach Skywalkera, ale przechwycimy statek, zanim zdoła opuścić system Teth – zapewniła go.

– Wiesz, o co toczy się gra. – W głosie Dooku nie było śladu gniewu. Jak zawsze, i tym razem był denerwująco spokojny, ale Ventress wiedziała, że na swój sposób jest rozdrażniony. – To nie wystarczy, żeby nastawić Jabbę przeciwko Republice – stwierdził. – Hutt musi mieć dobry powód, żeby użyczyć nam wyłącznego dostępu do Zewnętrznych Rubieży. To my musimy mu oddać ocalonego syna.

– Rozumiem, Mistrzu – powiedziała pokornie. – Wiesz, że moim zadaniem jest zatrzymanie Skywalkera bez narażania Hutta na szwank. Jedi cały czas mają Rottę przy sobie, traktują go jak żywą tarczę. W przeciwnym razie nie zwracałabym sobie tym głowy i potraktowała zabicie dziecka jako skutek uboczny, ale to wykluczone.

– A więc musisz wykazać się większą inwencją i myśleć szybciej. Dooku, bez odbioru – zakończył transmisję.

Ventress gapiała się bezmyślnie w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą migotał hologram. Schowała zranioną dumę do kieszeni.

Pamiętaj, powtórzyła sobie w duchu, że ten człowiek wcale nie chce wyszkolić cię na Sitha. Chętnie wykorzysta twoje umiejętności dla własnych celów, ale nie dopuści cię do ich szczęśliwej gromadki.

Łączyły ich wspólne interesy, ale Dooku nie stał po jej stronie. Asajj Ventress była tylko najemną siłą roboczą. Znała konsekwencje tego faktu.

Nie widziała sensu w ślepych posłuszeństwie. To ona była na miejscu, i to ona miała rozeznanie w sytuacji. Jeśli Skywalker zdoła dostarczyć Hutta na republikański okręt wojenny, a to było teraz dla niego jedynym wyjściem, ona będzie miała szansę dopilnować, żeby mały Hutt nie wrócił do ojca. Poświęciła chwilę na przekazanie robotom sępom nowych rozkazów: „Jeśli nie uda się powstrzymać Skywalkera przed dotarciem na okręt wroga, zaniechać prób przejęcia jeńca całego i zdrowego i zniszczyć „Zmierzch”.

Nie było innej możliwości. To ostatnie wyjście z sytuacji.

Nagle poczuła obecność w Mocy, niczym triumfalne fanfary zwiastującą czyjeś nadejście. Chwyciła miecze świetlne i połączyła ich rękojeści; musiała się skoncentrować, zanim włączy ostrza.

– Mistrzu Kenobi – syknęła, na razie nie podnosząc wzroku. – Spóźniłeś się! To nieładnie kazać damie na siebie czekać.

Kenobi szedł niespiesznie korytarzem w jej stronę.

– Szukałem Anakina – wyjaśnił denerwująco spokojnym tonem. – Widzę, że zdołał wyprowadzić cię w pole?

– Zabijam Jedi, żeby się na was zemścić – warknęła. Wyciągnęła przed siebie dłoń, trzymając w niej pionowo miecz o czerwonym ostrzu. – Spadasz mi jak z nieba.

Odwróciła się i pobiegła w stronę bocznego przejścia, wiodącego do starszej części kompleksu. Pomieszczenia różniły się tu stylem: sufity były niższe, wsparte na kolumnach, w przeciwieństwie do przestronnych sklepionych sal, dobudowanych później. Komnata, w której się znalazła, przypominała kamienny las, zastawiony szeregami granitowych słupów, lśniących w półmroku. Trudniej było się tu poruszać, ale za to kolumny świetlnie nadawały się na kryjówki, dające schronienie przed ciosami miecza. Poza tym dawały znakomite pole do popisu przy unikach.

Cóż, nie tylko jej. Musiała o tym pamiętać.

Wśliznęła się za jedną z kolumn i czekała ze zgaszonym mieczem. Przez chwilę sądziła, że Kenobi jednak oparł się pokusie i nie złapał przynęty... a może przybył tu w zupełnie innym celu? Może po prostu nie wiedział, gdzie jest Skywalker i naprawdę go szukał? Wkrótce usłyszała jednak jego kroki. Jeśli przeoczy wejście do komnaty, będzie musiała go naprowadzić... Szybko okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiła. Usłyszała szelest jego szat: nadchodził.

– Ventress, nie ma sensu się ukrywać – powiedział łagodnie. Asajj zamarła w ciszy i ostrożnie odwróciła głowę, żeby zlokalizować źródło dźwięku. Kroki... i sporadyczne

skwierczenie klingi miecza. Albo wymachiwał mieczem, albo poruszał nim, kiedy się za nią rozglądał.

Tak czy inaczej, łatwo było wyczuć w Mocy jego obecność.

– Ventress, mamy syna Jabby – rzucił. – To koniec.

Teraz słyhać go było bliżej. Była pewna, że on również wyczuwa ją poprzez Moc. Chodź tu i spróbuj mnie dostać, zarozumiały bufonie! – zadrwiła w myśli.

– Ventress... – rozległo się znów.

Stanowczo za dużo gadał. Może lubił wszystko ogłaszać, a może pozwalało mu to przygotować się do walki?

– Ventress... – zanucił śpiewnie, zupełnie jakby informował domowe zwierzątko, że nadeszła pora karmienia. – Ventress?

Wystrzeliła zza kolumny, włączając jednocześnie oba miecze i unosząc jeden w śmiertelnym ciosie. Dwa ostrza: czerwone i błękitne starły się w pół drogi. Na ułamek sekundy w oczach Mistrza pojawiło się zaskoczenie, ale bez wahania sparował cios. Jednak ona zdążyła już wyprowadzić mu na spotkanie drugi miecz. Nie było odwrotu – starli się w śmiertelnym pojedynku. Ventress krzyżowała obydwie miecze, żeby zmusić Kenobiego do wycofania się pod ścianę albo kolumnę, ale za każdym razem udawało mu się zablokować jej sztych.

W końcu zawirował błyskawicznie i zniknął za kolumną. Asajj słyszała jego ciężki oddech. Obydwoje potrzebowali chwili wytchnienia.

– Musisz się bardziej starać – odezwał się w końcu Kenobi.

– A ty naucz się trzymać gębę na kłódkę – odgryzła się. Wyskoczyła z drugiej strony kolumny. Jej ostrze minęło głowę Obi-Wana o włos, kiedy zanurkował, unosząc z kamiennych płyt posadzki chmurę kurzu. Odbiegł kawałek dalej, a ona rzuciła się za nim w pościg.

Nie jest niepokonany, kołatało jej w głowie. Nie poradził sobie z Fettem. Jednak tym razem chyba za bardzo się przykładał...

Nie ufała mu, co to, to nie.

Skradała się za Mistrzem nieubłaganie, śledziła go krok po kroku. Tym razem nadeszła jego kolej na wyskok i atak. Zmusił ją, żeby cofnęła się pod ścianę, ale wykorzystwała twardą powierzchnię, żeby się odbić i odepchnąć go Mocą, zanim runęła na niego, wykorzystując całą siłę mięśni. Nie potrzebowała wiele, żeby przywołać napędzający ją gniew. Wystarczyło, że przypomniała sobie Nareca, a natychmiast czuła w sobie siłę, pozwalającą spalić cały świat w ogniu zemsty.

Miecz Kenobiego zawirował nad jej głową. Przez chwilę była przekonana, że to jakaś sztuczka, ale bez trudu wytrąciła mu broń z ręki. Jej ostrze błyskawicznie znalazło się przy jego gardle.

Kenobi spojrzał jej w oczy. Pierś falowała mu niespokojnie; próbował złapać oddech.

– No dobra, Ventress, zamierzasz napawać się tą chwilą triumfu? Może wygłosisz mowę na temat bezsensu mojej misji?

– Nie – warknęła. – Zamierzam cię zabić.

W tej samej chwili odepchnął ją Mocą. Uderzyła w twardą kolumnę wystarczająco mocno, żeby usłyszeć nieprzyjemny chrzęst, i zachwiała się na nogach. Kenobi nie próżnował: przywołał do ręki swój miecz i uśmiechnął się radośnie.

Asajj zamierzała zetrzeć mu ten uśmiech z twarzy w sposób, który zapamięta na długo.

## **Pokład frachtowca „Zmierzch”, przestrzeń nad Teth**

Anakin nie liczył na to, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Kurs, który ustawił, zaprowadzi „Zmierzch” w samo serce bitwy. To było nieuniknione. Musiał namierzyć statek flagowy Yularena, „Ducha Republiki”. Kiedy przekaze mu Rottę, albo stanie do walki, albo spróbuje zabrać ludzi z Kompanii Potok spod klasztoru, jeśli bitwa się skończyła.

Ustawił najprostszy kurs. Przestrzeń powietrzną nad polem bitwy w dżungli aż po krańce atmosfery wypełniały myśliwce V-19, roboty sępy i okręty wojenne. Nawet na maksymalnym ciągu „Zmierzch” piął się w górę nieskończenie ślamazarnie – zwłaszcza dla kogoś przywykłego do latania zwinnym myśliwcem.

Równie dobrze moglibyśmy mieć wymalowaną na kadłubie tarczę celownika, pomyślał Anakin ponuro.

Podczas nabierania wysokości frachtowiec trząsał się i dygotał. Ahsoka siedziała w milczeniu, trzymając Rottę na podołku. W ciasnej kabinie statku zapach Hutta był tak intensywny, że Anakin ledwie go wytrzymał. Podkręcił trochę wtrysk paliwa.

No, dalej... dalej!

Na tle nieba, w rzędzącej atmosferze planety rozbłysnął obłok białego światła. Skywalker nie spuszczał wzroku z odczytów czujników statku, jednocześnie próbując śledzić wydarzenia rozgrywające się w przestrzeni za iluminatorem. Widział na ekranie transponder „Ducha”, ale krążownik tkwił w najgorętszym punkcie bitwy, otoczony rojem maleńkich świetlnych plamek, oznaczających myśliwce Republiki i separańców.

– Są zbyt zajęci, żeby zawracać sobie nami głowę – odezwała się w końcu Ahsoka.

– W przyszłości postaram się martwić nieco bardziej dyskretnie – skwitował kwaśno Anakin.

– Yularen wie, że do niego lecisz.

– Tak, ale założę się, że Ventress też. Jej roboty czekały na nas, a teraz wie, że zwinęliśmy to pudło – westchnął. – Poza tym chyba zdaje sobie sprawę, że nie jesteśmy na tyle szaleni, żeby próbować dolecieć tym gruchotem na Tatooine. Na pewno domyśliła się, że

chcemy oddać Hutta i że nie mamy zbytniego wyboru, jeśli chodzi o statek docelowy.

– Skąd wiesz?

– Jest sprytna. Jeśli ja wpadłem na takie rozwiązanie, to ona też, bez dwóch zdań. – Anakin zniwelował kurs, próbując ominąć grupkę V-19 polujących na eskadrę sępów. Rotta zakwilił żałośnie.

– A co ty byś zrobiła na jej miejscu? – spytał.

– Hm... podłożyłabym we frachtowcu bombę pułapkę i wysadziła go w powietrze?

Żołądek Anakina skurczył się nieprzyjemnie. O tym nie pomyślał.

– W to akurat wątpię – westchnął. – Chce dostać Rottę całego i zdrowego. Jestem pewien, że o to jej chodzi.

– Ale musisz przyznać, że ta balia spadła nam jak z nieba.

Za kilka minut dotrą do statku Yularena.

– Nie spodziewała się nas. Nie mogła przewidzieć, że wykorzystamy robala. Na pewno wysłała za nami sępy.

– A więc koniec końców liczy się tylko, kto okaże się lepszym pilotem, ty czy te kupy złomu – stwierdziła Ahsoka.

R2-D2 zaświergotał coś po swojemu i błysnął światłkami kopułki. Dał do zrozumienia, że jego zdaniem, czyli w opinii całkiem sprytniej kupy złomu, podobne podejście było nieco „organistowskie”. Ahsoka musiała nauczyć się jeszcze wielu rzeczy.

– Nie rozumiem – zaprotestowała.

– Dam ci później kilka lekcji wrażliwości – westchnął Anakin.

„Zmierzch” zbliżał się powoli do „Ducha”. Wkrótce separański oficer odpowiedzialny za odczyty czujników zauważył na ekranie ich frachtowiec, a wtedy wszystko będzie zależało od determinacji, szybkości i umiejętności. Anakin wiedział, że przynajmniej w jednym z tych punktów są zdecydowanie słabi. Nastawił instrumenty pokładowe na pozycję „Ducha” i zaczął naprowadzać statek na hangar krążownika.

Przestrzeń kosmiczna kipiała od ruchu maszyn.

– Trzymaj mocno naszego oślizłego przyjaciela, Smarku – mruknął Anakin. – Zaczyna się zabawa.

– Tak jest, Mistrzu.

Anakin nawiązał połączenie.

– Tu generał Skywalker do krążownika Jedi. Proszę o dostęp do hangaru. Powtarzam: musimy natychmiast wylądować na waszym pokładzie.

Na ekranie zamigotał świetlny punkt. Tuż obok nich, zupełnie jakby znikąd, pojawił się sęp; leciał tuż nad nimi, zrównując szybkość. Anakin nie mógł go ustrzelić z działek laserowych „Zmierzchu”. To było całkiem jak śwędenie w trudno dostępnym miejscu, do którego nie można sięgnąć bez narażania się na kontuzję. Od eskadry separańskich statków oderwał się następny myśliwiec i natychmiast skierował prosto na nich. Obrął kurs

przechwytyjący.

Coś rąbnęło gwałtownie w burtę „Zmierzchu”, a pod wpływem uderzenia wewnętrzna gródź wgięła się do środka. Mocujące poszycie nity wypadły z gniazd. Frachtowiec nieźle oberwał, ale Anakin starał się utrzymać kurs.

– Może jednak wcale im nie zależy, żeby Śmierdzielek przeżył... – stwierdziła z niepokojem Ahsoka.

To całkiem możliwe, uznał Anakin.

– Już prawie jesteśmy. Trzymaj się, Smarku.

Widział już krążownik i wrota hangaru: otwór obramowany światłami. Kątem oka dostrzegł jednak coś jeszcze: kulę energii, lecącą dokładnie na nich, wystrzeloną z tylnych działek krążownika.

– Uwaga! – zdążył krzyknąć. – Ahsoka, uwaga!

Strzał dosięgnął kabiny i Anakin poczuł, jak przez drążek sterowniczy w jego rękę przechodzi fala uderzeniowa, wprawiając w drżenie jego ramię. Frachtowiec zatrzęsł się jak w febrze.

– Strzelają do sępów? – spytała Ahsoka.

– Nie! Do nas! – Krążownik wciąż miał włączone tarcze. Spróbował jeszcze raz: – Krążownik Jedi? Tu generał Skywalker! Jesteśmy po stronie Republiki. Powtarzam: „Zmierzch” jest jednostką republikańską! Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!

Z głośnika napłynęła odpowiedź:

– Frachtowiec „Zmierzch”? Nadajesz kod transpondera KNS...

*Stang!* Oczywiście, że tak! Android szpiegowski i jego ekipa musieli zadbać, żeby ich własne siły do nich nie strzelały. A więc to Four-A-Seven śmiał się ostatni...

– Krążownik Jedi? Tu Skywalker! Ściga nas stado sępów, a musimy dostarczyć na wasz pokład bardzo chorego Hutta. Otwórzcie hangar. Proszę...

Po krótkiej przerwie głośnik rozbrzmiał głosem admirała Yularena:

– Skywalker, opuścimy tarcze, ale musimy zgubić sępy. Kieruj się do hangaru na rufie. Powtarzam: hangar na rufie. A następnym razem, jak będziesz się przymierzał do pilotowania statku wroga, sprawdź wcześniej transponder. Mieliśmy już kilka samobójczych ataków i teraz najpierw strzelamy.

– Tak jest, admirale. – No, muszę przyznać, że natarłeś mi uszu, dodał w myśli. Admirał miał pod swoimi rozkazami całą flotę, a Anakin był tylko jednym z wielu pilotów, którzy powinni bardziej uważać na to, co robią. – Przygotować się na lądowanie awaryjne...

Przechylił „Zmierzch” ostro na lewą burtę, zbijając z tropu ścigające go sępy, i zawinął pętlą pod brzuch krążownika. Ahsoka zaczerpnęła gwałtownie powietrza, Rotta zaskrzeczał, a frachtowiec wynurzył się spod okrętu, o mało nie uderzając w rufę. Wrota do hangaru były otwarte; szeroki wlot spieszył im na spotkanie niczym ogromne usta, które zaraz miały ich połknąć.

Sępy nie dały za wygraną – siedziały im na ogonie, bombardując kadłub deszczem promieni z laserowych działek. Anakin nie miał pojęcia, jakim cudem to pudło trzymało się jeszcze kupy, ale fakt faktem: nie rozsypało się, a na razie nie liczyło się nic poza tym.

Dziesięć sekund...

Sępy nie odpuszczały. Przecież nie wylądaje z siedzącymi mu na karku myśliwcami! Załoga krążownika również o tym wiedziała i odpowiedziała na ostrzał z własnych działek. Jedna z maszyn wybuchła chmurą ognia i przeokołkowała, bombardując iluminator ich kabiny deszczem rozgrzanych do czerwoności szczątków.

Następny precyzyjny strzał zdjął im z ogona kolejnego sępa, jednak tym razem kula ognia przeleciała ponad dziobem frachtowca i wleciała prosto do hangaru okrętu. Anakin zdążył zobaczyć tylko rozbłysk eksplozji i chmurę dymu w miejscu, które miało być bezpieczną przystanią...

– Wycofać się! Wycofać się!

– Odwołuję! – rozległo się z głośnika.

Anakin posłuchał instynktownie. Szarpnął drążek i poderwał frachtowiec pionowo w górę. Nie było czasu martwić się o krążownik czy załogę w hangarze, bo statek był teraz poważnie uszkodzony i na pewno mieli wielu rannych, więc nie mieli czasu zawracać sobie nim głowy. Nie było szans, żeby zawrócić i próbować podejść drugi raz.

Poza tym wciąż ścigała go eskadra sępów.

Teraz on i Ahsoka, tak samo jak Rex, byli zdani sami na siebie. Nie umknęła mu ironia tego faktu.

## **Klasztor na Teth**

Kenobi biegł.

Ventress tropiła go niezmordowanie, klucząc korytarzami i wspinając się na starożytne schody. Obrażenia (kręgów?, żeber?) spowalniały ją, pomimo pulsującej w żyłach adrenaliny i pompowanych do krwiobiegu endorfin, tłumiących ból. Nie miała czasu, żeby przystawać, sprawdzać komunikator i śledzić postępy operacji zatrzymania Skywalkera.

Albo poradził sobie z oddziałem myśliwców i dotarł na pokład krążownika, albo został spopieleny, razem ze statkiem i Huttem. Dooku się wścieknie na ten swój spokojny, arystokratyczny sposób, ale Asajj wiedziała, że czasem jedynym wyjściem jest wybranie mniejszego zła.

Znajdzie jeszcze sposób, żeby zwalić na Jedi śmierć Hutta.

U szczytu schodów było okno, wysokie na całą ścianę – Kenobi stał pod nim, jakby na nią czekał. Kolorowy, bogato zdobiony transpastalowy witraż uległ rozbiciu podczas ostrzału i postać Kenobiego otaczała teraz aureola popołudniowego słońca.



Emanowała z niego pogarda. Stał tu, jakby chciał jej powiedzieć: „Mogę cię dorwać, kiedy tylko mi się spodoba”. A coś takiego tym bardziej ją rozwścieczało.

To dla ciebie jedynie zabawa, prawda? – spytała go w duchu. Nie masz rodziny, kochanki, ojczyzny – nic, co mógłbyś opłakiwać. To tylko gra.

– Na co czekasz? – zawołał Kenobi i skoczył.

## ROZDZIAŁ 17

*Podczas starcia między tymi, którzy walczą o postulaty polityczne a tymi, którzy pragną ocalić swoje domostwa i rodziny, na dłuższą metę zwykle wygrywają ci drudzy. Nie mają nic do stracenia – a to czyni z nich straszliwych wrogów. Takich jak my.*

Wypowiedź jabiimskiego dowódcy na temat walki z Republiką na Jabiim

### Przestrzeń nad Teth

Anakin potrzebował tylko kilku sekund, żeby zdobyć szansę na wydostanie się z atmosfery i skok w nadprzestrzeń.

Wątpliwości, czy pokieroszowany frachtowiec przetrwa naprężenia podczas przyspieszania do nadświetlnej, były luksusem, na który nie mogli sobie teraz pozwolić. Będą się o to martwić później. To właśnie zaleta trudnej sytuacji: zawsze pojawia się jakiś poważniejszy, większy problem, który spycha resztę na dalszy plan. W tej chwili takim zmartwieniem była dla Anakina eskadra sępów, które próbowały go zmusić do wylądowania.

– Nie prześcignę ich – westchnął z rezygnacją.

Na szczęście Ahsoka milczała; powstrzymała się od „pożytecznych” rad, których nie potrzebował, i od wygłaszania mających go podnieść na duchu banałów. Padawan musi wiedzieć, kiedy zamilknąć. Widocznie Ahsoka zdołała już opanować tę trudną lekcję. Tulila Rottę do piersi kurczowo, jakby Hutt zamierzał się jej wyrwać i uciec, ale mały oklapł bezwładnie w jej ramionach. Miał na wpół przymknięte powieki i ciężko oddychał. Jeżeli w ogóle uda im się stąd uciec, muszą się liczyć z opcją dostarczenia Jabbie martwego Hutciątka. Zastanawianie się nad tym teraz nie przyniesie nic dobrego, uznał w końcu.

– Wyrzucimy coś za burtę – zaproponowała Ahsoka.

Powietrze przed dziobem „Zmierzchu” przecinały strugi laserowego ognia; obok przeleciał jeszcze jeden sęp – tak blisko iluminatora, że Anakin odruchowo odchylił głowę na bok. Sępy nie były tępyimi blaszakami. Wydawały się uczyć od swojej zwierzyny, a teraz świetnie się bawiły, stosując taktykę spłoszonej nuny – droczyły się z nimi, przelatując im

tam i z powrotem przed dziobem, jakby chciały sprawdzić, kto pierwszy mrugnie.

– Co takiego? – parsknął Anakin – Nie wyrzucimy przecież paliwa! – Sprawdził odczyty na konsoli. – Poza tym nie waży aż tyle, żeby pozbycie się go zrobiło szczególną różnicę, nie mówiąc już o tym, że musimy dotrzeć na Tatooine.

– Woda – podsunęła Ahsoka. – Balast.

– Nie sprawdzałem ładowni.

– Ja to zrobię – zaoferowała się i zanim zdążył ją powstrzymać, przypięła Rottę w fotelu drugiego pilota i skierowała się na rufę. – Wyrzucę wszystko, co znajdę, dobra?

– Tak – mruknął Anakin. – Kiedy otworzysz właz ładowni, tutaj zapali się czerwona lampka awaryjna. Wtedy podniosę dziób statku i wszystko wypadnie. Nie marnuj czasu, przenosząc kontenery na tylną rampę.

Kiedy za Ahsoką zamknęły się drzwi, Anakin skoncentrował się na unikach. Czy sępy naprawdę zaryzykowałyby teraz, by otworzyć do niego ogień i zabić Hutta? Nie wiedział i nie zamierzał tego sprawdzać. Kiedy przechylił statek na bok, zobaczył w dole V-19 walczące zacięcie z myśliwcami Separatystów. Nie śmiał zawracać nad klasztor, żeby ocenić sytuację na dziedzińcu. Nie mógł sobie nawet pozwolić na podsłuch częstotliwości WAR, żeby sprawdzić, jak radzą sobie Kenobi i Rex, bo to by go tylko zdekoncentrowało. Leciał ponad dżunglą, byle dalej od świateł; nie mógł dodać im jeszcze jednego problemu, zrzucając na nich ciężki ładunek. Nawet mały kontener spadający z takiej wysokości był w stanie wyrządzić poważną krzywdę.

Interkom w kabinie rozbrzmiał głosem Ahsoki:

– Mistrzu, jestem już w ładowni.

– Dobrze. Co tam mamy?

– Całe mnóstwo kontenerów. Rezerwowe pojemniki na wodę chyba są pełne. Co najmniej pięć ton.

– Sądzę, że wystarczy. Otwórz odpływy zbiorników i upewnij się, że nie stoisz na drodze niczego ciężkiego co zjedzie do tyłu, kiedy naciśniesz duży czerwony guzik.

– Wiem, wiem – syknęła, zniecierpliwiona.

– Tylko się upewniam. Daj znać, kiedy będziesz gotowa.

W głośniku zapadła przerywana trzaskami cisza, a po chwili znów rozległ się głos Ahsoki:

– Mistrzu? Zrobione. Gotów?

– Do roboty, Smarku. – Anakin zerknął na Rottę, żeby upewnić się, że pokryty warstwą śluzu Hutt nie wyśliznie się z pasów. R2-D2 zaświergotał nagle. – Wciśnij!

Na konsoli zaświeciło się czerwone ostrzegawcze światelko, informujące, że ładownia została rozszczelniona. Anakin uniósł dziób statku do góry i „Zmierzch” stanął dęba.

Wydawało mu się, że przez szum wiatru w ładowni słyszy, jak Ahsoka coś mówi, ale nie rozróżniał słów. Frachtowiec wspiął się wyżej. Nagle otaczające ich sępy zniknęły. Szybowali

teraz prosto w ciemniejące z każdą sekundą niebo.

– Koniec tego dobrego, Smarku – rzucił. – Nie możemy wyjść z atmosfery z otwartą ładownią. – Nie było odpowiedzi. W żołądku poczuł nieprzyjemny chłód. – Zamknij właz, Smarku – powtórzył. – Smarku?

R2-D2 zatrajkotał coś po swojemu i ruszył z miejsca. „Sprawdzi, co się stało”, powiedział.

Anakin nie miał wiele czasu na podjęcie decyzji: naprostować kurs i zaczekać na Ahsokę czy nie przerywając lotu, zamknąć wewnętrzną gródź ładowni i tym samym odciąć ją od reszty statku. Nie wiedział, gdzie była jego padawanka, a to drugie rozwiązanie oznaczało prawdopodobnie posłanie jej na pewną śmierć.

No i gdzie moje szumne postanowienia dotyczące stanowczości i godzenia się ze śmiercią żołnierzy? – zadał sobie w duchu pytanie.

Czas uciekał. Sprawdził odczyty wysokości – liczby gwałtownie rosły. Zawiesił dłoń nad kontrolkami awaryjnej grodzi. R2-D2 nic by się nie stało, bo roboty astromechaniczne są przystosowane do przebywania w próżni, ale Ahsoka...

To by był paskudny rodzaj śmierci.

Nie myśl o tym, nakazał sobie. Później będziesz biadolił. Liczy się tylko misja, pamiętasz? Tylko...

Nagle czerwone światełko zmieniło się na zielone. Cokolwiek się wydarzyło w ładowni, wszystko chyba wróciło do normy. Czujniki wciąż informowały o ścigających frachtowiec sępach, ale teraz mieli nad nimi wystarczającą przewagę, żeby swobodnie skoczyć. Niebo na zewnątrz zmieniło kolor z ciemnego błękitu na atramentową czerń; statek znalazł się w przestrzeni kosmicznej i mogli lecieć na Tatooine.

– Jeśli mnie słyszysz – rzucił do interkomu – przygotuj się na skok w nadprzestrzeń.

Wcisnął przycisk i gwiazdy zmieniły się natychmiast w świetliste smugi. Skakali do bezpiecznej przystani.

Anakin opadł na oparcie fotela pilota i otarł twarz. Był wyczerpany i wcale nie czuł ulgi, na którą liczył po opuszczeniu systemu Teth. Rotta zajączał żałośnie.

– Smarku? Artoo?

R2-D2 wrócił do kabiny pierwszy. Pogwizdywał i burczał z rozdrażnieniem coś na temat sprytnej kupy złomu po raz kolejny ratującej sytuację. Dodał, że może dobrym pomysłem byłoby dać komuś szybką lekcję korzystania z linek bezpieczeństwa. Anakin odwrócił się w fotelu w samą porę, żeby zobaczyć w drzwiach Ahsokę.

Była przemoczona do suchej nitki, a ręce miała poranione i pokrwawione. Otrząsnęła się odruchowo, zachlapując całą kabinę wodą.

– Nie pytaj – mruknęła tylko.

R2-D2 poinformował usłużnie, że znów skończyła, wisząc na palcach i całe szczęście, że mógł się podłączyć do systemu i zamknąć śluzę.

Ahsoka spojrzała na robota spode łba, ale zaraz poklepała go przyjaźnie po kopolce.

– Dzięki, Artoo, mam u ciebie dług.

– Skoro nie muszę już o nic pytać – powiedział Anakin – zajmijmy się może Rottą. Chyba że ty też potrzebujesz pierwszej pomocy...

Ahsoka pokręciła głową i przyjrzała się Huttowi uważnie. Wciąż był przytomny. Spojrzał żałośnie na Anakina. Od jakiegoś czasu emocje Skywalkera balansowały na granicy ulgi i troski, ale teraz był już tylko poważnie zaniepokojony. Musieli zrobić, co w ich mocy, żeby utrzymać małego przy życiu, mogło się jednak okazać, że to nie wystarczy. Skywalker spróbował sobie wyobrazić, jak oddaje Jabbie martwego Rottę. Lord przestępczego podziemia nie należał do osób, które w takiej sytuacji pokiwałyby tylko smutno głową i powiedziały, że nie żywią do nich urazy, bo z pewnością dołożyli wszelkich starań. Jabba chciał dostać swoje dziecko w takim stanie, w jakim widział je po raz ostatni. To Hutt rozdawał karty przy tym stoliku i Anakin doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– W mniejszej ładowni powinien być android medyczny – powiedziała Ahsoka. – Sprawdzę, czy da radę go odpalić.

Anakin obliczył przybliżony czas przybycia na Tatooine.

– Mam nadzieję, że szybko coś wymyśli – mruknął pod nosem.

## **Klasztor na Teth**

Ventress wspięła się w pościgu za Kenobim na sam szczyt klasztoru i pognąła za nim po łączącej budynki wysokiej kładce. Ale teraz kończył im się dach. Kenobi zatrzymał się na jego krańcu i odwrócił do niej.

– Wiem, że to wszystko sprawka Dooku, który chce nastawić Jabbę przeciwko Republice – rzucił. – Ale nie uda mu się. Hutt i tak się o wszystkim dowie. Pozna prawdę.

– Coś takiego, znów ta sama śpiewka! – zadrwiła Ventress. – Prawdę? Ale którą? Prawdę Jedi czy faktyczną prawdę? Ta, którą handlują Jedi, to towar wątpliwej jakości.

– Nawet jeżeli mnie zabijesz – Kenobi nie dał się sprowokować – spisek Dooku zostanie ujawniony.

Ventress, trzymając oba miecze pionowo, szła w jego stronę wolnym krokiem, gotowa rzucić się za nim, gdyby znów skoczył. Nie miał jak stąd uciec, jeżeli nie chciał spaść setki metrów w dół – a nie był aż tak dobry, żeby się na to poważyć.

– Jeszcze nie widziałeś popisowej roli swojego podopiecznego w najnowszym holofilmie – zakpiła. – Był naprawdę świetny. Jest tylko jeden szkopał...

– No, dalej, ulżyj sobie – parsknął Kenobi. – Widzę, że jedyny sposób, żeby cię uciszyć, to obciąć ci łeb. Naciesz się swoimi ostatnimi chwilami w świetle reflektorów. – Spojrzał w niebo. – Czujesz to?

Ventress przygotowała się na kolejną sztuczkę, obliczoną na rozproszenie jej uwagi. Była zbyt skupiona na próbie zglądzenia Kenobiego, zbyt zaaferowana i wściekła, żeby wyczuć w Mocy subtelniejsze zmiany. Nie miała zamiaru słuchać żadnej sugestii, która mogłaby ją zdekoncentrować. Jednak teraz... zatrzymała się na chwilę. Tak, czuła to.

Skywalkera nie było nigdzie w pobliżu.

Może został zestrzelony?

Sięgnęła po komunikator.

– Żądam sprawozdania od kontroli ruchu powietrznego – warknęła. – Gdzie frachtowiec?

– Pani komandor, wysłaliśmy za nim w pościg wszystkie myśliwce, ale...

– Porachuję się z wami później. – Zanim zakończyła połączenie, wysłała zakodowane polecenie odszukania statku Skywalkera. Nie mogła tu beczynn timer tkwić, robiąc za widownię jednoosobowego teatru Kenobiego. Musiała odzyskać panowanie nad sytuacją.

– Jest w drodze na Tatooine z synem Jabby – dodał spokojnie Jedi. – Przegrałaś. Twój Mistrz raczej nie będzie zadowolony...

– Gdybyś przestał zachwycać się sobą chociaż na tak długo, żeby spróbować czegoś się o mnie dowiedzieć, Kenobi – syknęła – to zrozumiałbyś, że tak łatwo się nie poddaję. – W tej chwili była całkowicie zdruzgotana, ale przechodziła przez to już wcześniej, i to nieraz. Wiedziała, że jedynym sposobem, żeby sobie z tym poradzić, jest stanąć znów do boju z podniesioną głową i walczyć z jeszcze większą zaciętością. – Nie licz na to. A poza tym ja zawsze mam plan.

– Rzuć broń. – Natarł na nią z uniesionym mieczem świetlnym i promienie śmiercionośnej energii starły się znów. Stali tak twarzą w twarz, nie ustępując o krok. Asajj musiała ostrzec Dooku, że Skywalker jest w drodze. Musiała zakończyć tę farsę. Cofnęła się, żeby wyprowadzić cios obydwoma ostrzami, ale Kenobi zablokował czubek jednego z nich i wytrącił jej broń z ręki.

– Poddaj się! – zażądał.

Słyszając wycie silników nadlatującego sępa, sięgnęła Mocą po miecz. Myśliwiec zwolnił, leciał teraz wzdłuż kładki.

– Nic z tego – rzuciła i wskoczyła na przelatującą maszynę. – Nie licz na to... nigdy!

Zanim Kenobi zdążył coś odpowiedzieć – o ile w ogóle zamierzał – już jej nie było. Znając Kenobiego, chciał to zrobić, bez dwóch zdań. Zawsze musiał mieć ostatnie słowo.

## **Pałac Jabby, Tatooine**

Pewnych rzeczy nie można było powierzać innym.

Dooku wyrzucał sobie, że nie dopilnował wszystkiego sam. Następnym razem zatroszczy się o wszystko osobiście, teraz jednak musiał zrobić coś, żeby ratować sytuację. Jabba żądał

sprawozdania z postępów.

Po drodze do sali tronowej hrabia wśliznął się do najbliższego pomieszczenia, uspił Mocą czujność dwóch pracujących w środku służących i nawiązał połączenie z Ventress.

– Teraz muszę po tobie posprzątać – warknął.

Ventress, której hologram migotał przed nim w powietrzu, sprawiała wrażenie tak niewzruszonej i zdeterminowanej jak nigdy. Opierała ręce na biodrach, stojąc pewnie w lekkim rozkroku. Nie należała do osób, które kulą ogon pod siebie i błagają o wybaczenie, niezależnie od tego, jak posłuszna mogła się wydawać. Podziwiał to. Nie zamierzał jednak tolerować porażki przy wypełnianiu misji mającej dla nich ogromne znaczenie.

– Żałuję tak samo jak ty, Mistrzu – powiedziała Asajj. – Ale to jeszcze nie koniec. Wysłałam za nimi statek. Teraz nie mamy wyboru. Musimy zniszczyć frachtowiec ze Skywalkerem i Huttem na pokładzie.

– Opuść sobie – rzucił. – Za późno. Dopilnuję pojmania Skywalkera osobiście, jak tylko wyląduje. A ty przygotuj się lepiej na okazanie skruchy. Zaraz mam się spotkać z Jabbą i chciałbym porozmawiać z tobą w jego obecności. Powiesz, że dziecko nie żyje i że Skywalker leci na Tatooine. Od teraz działasz wyłącznie według moich rozkazów.

– Tak jest, Mistrzu.

– O twojej przyszłości podyskutujemy później.

Dooku przerwał połączenie, nie czekając na jej potwierdzenie. Ruszył korytarzem, przygotowując się psychicznie na spotkanie z Huttem i usiłując przywołać na twarz zdeterminowany, ale też odpowiednio zboląły wyraz.

Kiedy zbliżał się do podium, Jabba łypnął na niego złowrogo żółtymi ślepiami. Salę wypełniała jego doborowa świta – a więc zapowiadała się publiczna demonstracja władzy.

– Lepiej, żebyś przynosił dobre wieści – zadudnił basem.

Dooku sięgnął po komunikator i z rozważą wybrał kod.

– Lordzie Jabbo, możemy wysłuchać relacji bezpośrednio z ust mojej agentki, która jest na miejscu. Walka na Teth była zaciekle, ale może zdołam się z nią skontaktować. W tej chwili wiem nie więcej niż ty. – Na użytek Jabby odstawił małe przedstawienie, kilkakrotnie próbując nawiązać łączność pozornie bezskutecznie, aż w końcu w powietrzu zamigotał hologram Ventress. Wyglądała bardzo przekonująco – z odpowiednio zboląłą miną, zamiast zwykłej beczelności emanowała wyczerpaniem. To dobrze. Stawianie się w obecności Jabby nie byłoby najlepszym pomysłem.

– Komandor Ventress? Jak sytuacja? – spytał Dooku. – Jestem właśnie u lorda Jabby, który bardzo się niepokoi. Tak samo zresztą jak i ja.

– Lordzie Jabbo... – skłoniła głowę Asajj. – Mój panie, trudno mi znaleźć słowa, żeby wyrazić to, co jestem zmuszona przekazać. – Jej głos był przesycony rezygnacją i żalem. – Siły Republiki zadały nam straszny cios. Kiedy przedarliśmy się do klasztoru i odnaleźliśmy Rottę, już nie żył. Skywalker go zabił.

W komnacie rozległ się chór cichych okrzyków. Jabba zamarł na chwilę w bezruchu, a potem ryknął. Nie był to jednak typowy dla niego potok gniewnych wrzasków i pogroźek, ale przerażający, zwierzęcy krzyk, przepelniony niewyobrażalnym bólem. Nie panował nad sobą. Najwyraźniej przestał się martwić, czy słudzy widzą jego słabość, czy nie. Dooku podejrzewał, że przerażone westchnienia stanowiły raczej wyraz lęku dworzan o ich własny los. Kiedy Jabba dojdzie do siebie na tyle, żeby wyładować na nich swój gniew, będzie szukał zemsty – i to niekoniecznie na tych, którzy za wszystko odpowiadali.

Hrabia starał się sprawiać wrażenie zdenerwowanego, ale i nieustępliwego.

– Moje najszczerze kondolencje, lordzie Jabbo – wymamrotał. Nie był pewien, czy Jabba go usłyszał, tak był zajęty lamentowaniem. – Jedi to najgorsze z szumowin, podli dzieciobójcy. Nie ma nikogo gorszego. Komandor Ventress, zakładam, że w odwecie zabiłaś tę kanalię, która to zrobiła?

– Nie, Mistrzu, ale nie szczędziłam starań. W tej chwili Skywalker jest w drodze na Tatooine, towarzyszy mu jego padawanka.

– Gdzie jest ciało mojego syna? – huknął Jabba. – Żądam jego ciała! Chcę zobaczyć, co uczyniły mu te potwory Jedi, a potem odwzajemnię się im tym samym, tylko dziesięciokrotnie gorszym!

Dooku musiał przerwać jego pogroźki. Improwizacja była udana, ale dalsze ciągnięcie tego przedstawienia zaczynało być zbyt ryzykowne.

– Ventress, gdzie ciało?

– Zabrał je ze sobą, mój panie, więc nie mamy dowodów. Znając jednak ich brak poszanowania dla życia, pewnie wyrzucił je gdzieś po drodze przez służbę.

Świetny sposób na wybrnięcie z sytuacji, ocenił Dooku. Jabba o mało się nie udławił z wściekłości, ale hrabia ani drgnął.

– Przedyskutujemy twoją porażkę później – powiedział chłodno i zakończył połączenie. W sali tronowej zapanowała cisza – cisza przed burzą w oczekiwaniu na kolejny wybuch furii.

Dooku wątpił, żeby Jabba miał teraz ochotę na odgrywanie scenek przed swoją świtą. Czuł poprzez Moc promieniujący od Hutta szok i gniew, zupełnie jakby przebywał w pobliżu przeciążonego reaktora. Tym razem wściekłość nie miała jednak nic wspólnego z ujmą na honorze czy strachem przed utratą szacunku. Było to głębokie, dojmujące cierpienie ojca, który właśnie stracił ukochane dziecko. Dooku, który dawno już przywykł do okrucieństw wojny i uodpornił się na śmierć – nawet taką, której według idealnego scenariusza wolałby uniknąć – zobaczył nagle siebie samego, ponownie stojącego wśród śnieżnych zasp Galidraanu.

Co myśmy uczynili? – nadszedł z zakamarków duszy gorzki szept.

Szybko się otrząsnął.

– Lordzie Jabbo...



– Dlaczego ta kanalia ośmiela się tu lecieć? – wszedł mu w słowo Hutt.

– Żeby cię zabić, o panie, i zgładzić cały twój klan. – Dooku zrobił kilka kroków w stronę tronu, z lekko pochyloną głową. – Wiesz, że nienawidzi twojego ludu. Widziałeś nagranie na własne oczy. Bez wątpienia Skywalker chce wyrównać rachunki za czas, kiedy sam był w niewoli – skłamał gładko. – To jednak nie wszystko. Z pewnością chodzi też o ambicje Republiki. Bez wahania wykorzystają tego Jedi i jego żądzę odwetu jako broń przeciwko tobie. Gardzą twoją dobrą wolą udzielenia im dostępu do szlaków na terenie Zewnętrznych Rubieży. Chcą sami kontrolować te trasy, być może nawet obsadzić stanowisko przywódcy klanu własną marionetką...

– Oto demokracja Republiki – zagrzmiał Jabba. – Oto ich kultura. – Widać było, że odzyskał panowanie nad sobą. Mało tego, był teraz zdeterminowany bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, rozwścieczony i o wiele groźniejszy jako wróg. – Dopilnuję, żeby gorzko tego pożałowali.

Było to stwierdzenie niezwykle łagodne jak na Hutta, ale Dooku rozumiał całą ukrytą w nim groźbę – zemsta będzie bardziej krwawa, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić.

– Lordzie Jabbo – zaczął – gdybym mógł w jakiś sposób wynagrodzić ci naszą karygodną porażkę... Moi Magna Guardzi czekają tylko na rozkaz. Policzę się ze Skywalkerem osobiście.

Jabba wyprostował swoje imponujących rozmiarów cielsko i spojrzał na niego władczo.

– Jego czaszka – powiedział tylko. – Pamiętaj, chcę dostać jego czaszkę.

## ROZDZIAŁ 18

*Nienawiść można od siebie odsunąć, ale w uszach zawsze będzie brzmiał jej szept.*

Przysłowie armeńskie

### **Kwatery załogi na pokładzie frachtowca „Zmierzch”, gdzieś w nadprzestrzeni**

– Dlaczego frachtowce wyposażają w takie drogie androidy medyczne? – zachodziła w głowę Ahsoka, obserwując, jak TB-2 bada Rottę na stole skanującym.

– Piraci – odparł krótko Anakin. Do tej pory stracił stanowczo zbyt wielu ludzi tylko po to, żeby utrzymać tę małą śmierdzącą glistę przy życiu. A teraz zamierzał odstawić Rottę do domu albo zginąć podczas misji. – Często wdają się w strzelaniny. Trzymanie na pokładzie wykwalifikowanej pomocy medycznej opłaca się. Dobra, Tee-Bee, zabierajmy się do roboty.

Android medyczny wyplątał Hutciątko z sieci kabli i czujników. Sondy odklejały się od skóry malca z mokrym mlaśnięciem, ciągnąc za sobą nitki śluzu.

– Pacjent gorączkuje i cierpi na zakażenie bakteryjne nieznanego pochodzenia – wyjaśnił android. – Jest również odwodniony, a to wymaga podania płynu elektrolitycznego. Zalecam aplikację środka przeciwgorączkowego właściwego dla Huttów, żeby zbić temperaturę, lek antybakteryjny o szerokim działaniu i litr płynów co godzinę, doustnie.

Anakin zerkał cały czas na chronometr, odliczając czas, jaki został im do przybycia na Tatooine.

– Do najbliższej apteki trochę daleko – mruknął.

– Mogę sporządzić te leki – oznajmił android.

– A więc lepiej się pospiesz, Tee-Bee...

Wrócił do kabiny. Był rozdrażniony tym, że tak naprawdę nic nie mógł w tej sytuacji zrobić. Pierwszy raz zdarzyło mu się coś takiego, ale tym razem cenny czas, który w innym wypadku mógłby pożytecznie wykorzystać, nie cieszył go ani trochę. Nie mógł zrobić nic, dopóki nie wyjdą z nadprzestrzeni. R2-D2 zagwizdał pocieszająco.

– Wiem, Artoo – westchnął Anakin. – To dobra chwila na podsumowanie. Jednak przed nami wciąż kawał drogi. Ventress wie, dokąd lecimy i będę bardzo zaskoczony, jeśli nie przygotowała na nasze przybycie komitetu powitalnego.

Wysłał wiadomość do Padme, opisując w skrócie wydarzenia ostatnich kilku dni i podkreślając, jak bardzo za nią tęsknił, a potem nagrał komunikat dla Reksa. Kiedy ich misja się zakończy, trzeba będzie uzupełnić szeregi Pięćset Pierwszego – zastąpić poległe klony, męźnych żołnierzy, nowymi ludźmi. Anakin znał się na dowodzeniu wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że chociaż tamci zginęli bohaterką śmiercią, to po wszystkim działanie sprowadzało się w gruncie rzeczy do zamiany numerków. Z jednej strony byli przyjaciele, których utratę nieposiadający rodzin żołnierze odczuwali bardzo boleśnie, ale z drugiej należało dbać o morale.

Zastanawiał się, ile razy jeszcze będzie musiał przerabiać to wszystko od nowa, nim wojna dobiegnie końca.

– Zanim wylądujemy, upewnijmy się lepiej, że mamy sprawne działka, Artoo – powiedział. – Polami ochronnymi będziemy się martwić później.

Robot astromechaniczny odsunął się od otwartego panelu na grodzi i zagwizdał. Wszystko jest pod kontrolą, zameldował, ale nikt nie powinien spodziewać się, że frachtowiec wytrzyma ostrzał z baterii okrętu. Koniec końców wszystko zależało od zdolności pilota.

– A więc nie ma się czego bać – uspokoił go Anakin. Ahsoka wróciła do kabiny, tuląc w ramionach Rottę i zaciskając coś w zamkniętej dłoni.

– Mógłbyś mi pomóc? – poprosiła. – Jeśli oczywiście nie jesteś zbyt zajęty...

– A czy to jakaś bardzo oślizgła robota? – spytał podejrzliwie Anakin.

– Niekoniecznie. Ostatnio mały nic nie jadł, więc nie ma strachu, jeśli o to ci chodzi. Potrzebuję po prostu dodatkowej pary rąk do pomocy, i to dosłownie. – Położyła Rottę na fotelu i otworzyła dłoń. Leżały na niej dwie stymampułki. – Muszę go namówić, żeby je połknął.

– Czy nie możesz ich po prostu rozpuścić w płynie elektrolitycznym?

– Próbowałam – westchnęła z rezygnacją Togrutanka. – Zapłuł cały przedział. Musiałam sporządzić nową porcję.

Anakin przygotował się na ciężką przeprawę.

– No dobra. Co mam robić?

– Trzymaj go mocno, żeby się nie kręcił.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Skywalker złapał Rottę oburącz, zamknął w stalowym uścisku, którym zyskałby sobie podziw oficera CSB, i przytrzymał go w miejscu. Jak na chorego Hutta – i to stosunkowo drobnego – malec wykazał się wyjątkową energią. Wszystko utrudniała jeszcze pokrywająca go warstwa śliskiego śluzu. Zaczął się szarpać i wrywać, więc Anakin przygwoździł go do siedzenia, podczas gdy Togrutanka złapała głowę dzieciaka niczym piłkę do zone-balla i wepchnęła mu pastylki do buzi, a potem zamknęła ją i

przytrzymała.

Czekali.

Rotta wstrzymał oddech.

– Nie mam całej nocy, Śmierdzielku – jęknęła Ahsoka. – Łykaj! Jesteś otoczony i mamy nad tobą przewagę liczebną!

Anakin też wstrzymywał oddech, ale nie był pewien, czy zdoła wytrzymać dłużej niż Hutt. Zastanawiał się, czy w ogóle kiedykolwiek zdoła usunąć z szat ten obrzydliwy odór. W końcu w ciszy kabiny rozległ się głośny odgłos przełykania i Rotta zatrzęsł się jak galareta. Ahsoka puściła jego paszczę i wsunęła do środka kciuk, zmuszając małego, żeby rozdziawił buzię.

– No, to mi się podoba – pochwaliła, zaglądając w cuchnącą czeluszczykę gardzieli Hutta. – Wszystko połknięte. I co, warto było tak marudzić? Zaraz będziesz jak nowy!

– Imponujące – skomentował kwaśno Anakin, próbując usunąć z ubrania nitki lepkiego śluzu. R2-D2 zagruchał coś w swoim języku i wyciągnął w jego stronę chwytną z zatłuszczoną szmatką. – Naprawdę imponujące.

– Tak naprawdę obchodzi cię, co się z nim stanie, prawda?

– Nie, nie obchodzi – odburknął. – Obchodzi mnie raczej, co się stanie z naszym wojskiem. A on jest tylko fragmentem układanki, dzięki której możemy wygrać.

– Mam wrażenie, że tylko udajesz takiego nieczulego.

– Nie martw się – uspokoił ją. – Kiedy wylądujemy, będę zgrywał fana Huttów najlepiej, jak potrafię.

– Jakie to uczucie, wracać do domu? – zmieniła temat. – Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz byłeś na Tatooine?

Anakin ciekaw był, czy jego padawanka zmieniłaby o nim zdanie, gdyby wiedziała, czego dopuścił się w wiosce Tuskenów. Zabiłem ludzi, powtarzał sobie, zabiłem mężczyzn, kobiety i dzieci. Jednak... miał ku temu dobry powód. Jak do tej pory nie wstydził się niczego, co zrobił – a jedynie rzeczy, których nie zrobił. Interesowało go, co powiedziałyby na to wszystko Rex – człowiek, dla którego zabijanie było chlebem powszednim, a który jednak kierował się własnym kodeksem postępowania. Anakin nie potrafił wyobrazić sobie kapitana klonów porzucającego zasady, których przestrzegał, i rzucającego się w wir mordowania, niezależnie od przyczyny.

Hutt Rotta zasnął spokojnym snem na koi w głównym przedziale. Ahsoka co chwila sprawdzała jego stan. W końcu wróciła do kabiny z triumfalnym uśmiechem na twarzy, trzymając przesiąknięty cuchnącą wydzieliną koc.

– Obudził się... I jest głodny! Wracaj do siebie.

– Milutko – bąknął Anakin.

– Spróbuj myśleć bardziej pozytywnie.

– Lepiej spróbuję znaleźć dla niego coś pożywczego. – Anakin poszperał w kieszeni i po

chwili podał jej mały pakunek. – Masz – powiedział. – Może zasmakują mu moje suche racje. Huttowie są w stanie pożyć i strawić dosłownie wszystko. Wymieszaj to może z odrobiną wody.

– Super! Dzięki. Nie zamierzamy zabawić na Tatooine dłużej? – upewniła się.

Pytać o takie rzeczy to było proszenie się o kłopoty. Pozwoli dziewczynie myśleć, że jest tylko małym głupkiem z piaszczystej wiochy, który nienawidzi Huttów, zupełnie jak mnóstwo innych ludzi, którzy mieli z nimi do czynienia.

„Zmierch” wyskoczył z nadprzestrzeni prosto w blask bliźniaczych słońc; filtry iluminatorów szybko zredukowały oślepiający żar do bursztynowej mgiełki. Tatooine wyglądała pod światło jak czarny, matowy dysk.

– Gotów, Artoo? – spytał Anakin. – Smarku? Śmierdzielek?

Ahsoka poprawiła pasy. Rotta leżał niczego nieświadomy na prycy w kabinie.

– Jest najedzony i śpi – wyjaśniła padawanka.

– Świetnie, o to chodzi. Smarku? Chciałbym, żebyś obserwowała skaner i informowała mnie o wszystkim, co wygląda podejrzanie.

Nastawił kurs i przygotował działko. Zastanawiał się, czy tym razem będzie to jeden z tych rzadkich szczęśliwych przypadków, w których nie ziści się najgorszy scenariusz. Wiedział jednak, że życie nigdy nie toczyło się przewidywalnym torem i że Dooku był w stanie odgadnąć każdy jego krok.

W iluminatorze rosła Tatooine – czarno-czerwona kula, spowita gdzieniegdzie chmurami pyłu, na pierwszy rzut oka sprawiającymi złudne wrażenie wzburzonych mórz. Wkrótce wejdą w jej atmosferę. Jeżeli coś miało pójść niezgodnie z planem...

W kabinie frachtowca rozległo się wycie alarmów.

– Mistrzu? – zaniepokoiła się Ahsoka. – Czujniki wykryły dwa obiekty zbliżające się do nas kursem przechwytyjącym.

Łup! Coś uderzyło w kadłub „Zmierchu”. Strzelano do nich z laserowych działek.

– Ahsoka, pełna gotowość – nakazał. – Zapowiada się parę ostrych manewrów...

Położył frachtowiec w ciasną pętlę i niemal wpadł na ostrzeliwujące ich jednostki. Spodziewał się sępów, wszędobylskich separańskich myśliwców, ale kiedy sprawdził na powiększeniu odczyty skanerów, zobaczył w jaskrawym świetle bliźniaczych słońc coś znacznie gorszego.

Ścigały ich dwa myśliwce Porax-38, pilotowane przez Magna Guardów – elitarnych strażników generała Grievousa.

W terminologii przestrzennej Anakin stał teraz z nimi dziób w dziób. Działko było naładowane i gotowe do strzału. Ostrzelanie było w tej sytuacji jedynym wyjściem, bo nie dałby rady zostawić ich w tyle, nawet gdyby pozbył się wszystkiego, co miał na pokładzie. Magna Guardzi rozdzielili się i myśliwce odbiły w przeciwne kierunki, ale zaraz zawróciły, żeby przpuścić atak na słabe punkty statku.

A przynajmniej tak właśnie postąpiłby on sam, gdyby był na ich miejscu.

Mógł strzelać tylko do jednego naraz. Wybrał pierwszego i już za chwilę na stateczku skupiła się siatka celownika. Kiedy Skywalker przycisnął spust na drążku sterowniczym, w kierunku frachtowca poszybowały strumienie rozpalonej plazmy, wzbudzając chmurę białego ognia.

– O rany, niezły strzał! – Ahsoka chwyciła kurczowo za poręcze fotela, jakby zamierzała coś z nich wycisnąć. – Jeden z głowy, jeden do załatwienia!

Anakin jednak wiedział aż za dobrze, że w życiu nic nie idzie tak prosto. Trudno mu było rozwiewać złudzenia padawanki i pozbawiać ją wiary w to, że ich ocali. Zestrzelenie Magna Guardów taką bronią granoczyło z cudem, a Anakin zdecydowanie wyczerpał już swój limit cudów na ten dzień. Drugiego Poraksa nie było widać nigdzie w pobliżu, ale już za chwilę na ekranie skanera pojawił się jego symbol. Wyglądało na to, że doborowy strażnik Grievousa przymierza się do ataku na rufę „Zmierzchu”.

I rzeczywiście. Nie minęło dużo czasu, a poszycie w okolicy głównej ładowni przysmażyły laserowe promienie, uruchamiając alarmy na całym statku. Oberwali porządnie – kadłub pękł, a przez szparę zaczęło ulatywać z sykiem powietrze. Coś szczęknięło i zajęczało, jakby statek miał się zaraz rozpaść.

– Wytrzymaj – poprosił Anakin, jakby mogli jeszcze cokolwiek zrobić. – Chyba straciliśmy silnik manewrowy...

Frachtowiec zakolysał się gwałtownie. Ahsoka rozpięła sieć ochronną i zanurkowała niczym bramkarz w bolo-ballu, żeby złapać Rottę, zanim Hutt spadł z koi. R2-D2 wysunął z kadłuba chwytak i przytrzymał się, żeby się nie przewrócić. Anakin leciał teraz przed Magna Guardem z bezużytecznym działkiem, a od planety dzieliła ich jeszcze całkiem spora odległość – jeśli w ogóle zdołają wylądować, pomyślał ponuro. Statek zatrzęsł się, kiedy trafiły w niego kolejne laserowe strzały. Skoro działko na rufie było niesprawne, musiał znaleźć inny sposób na pozbycie się siedzącego mu na ogonie myśliwca.

– Artoo! – zawołał do robocika. – Dasz radę obrócić przednie działko poza barierę bezpieczeństwa? – Kąt strzału był dlatego ograniczony, żeby załoga nie rozłupała własnego statku, biorąc cel za blisko kadłuba. A to akurat nie było szczególnie trudne podczas gorączkowego prucia do wrogich jednostek. – Chciałbym, żebyś je przekręcił o sto osiemdziesiąt stopni.

R2-D2 podłączył się do konsoli i pisnął kilka razy, wyjaśniając, że właśnie obchodzi systemy kontroli bezpieczeństwa, ale jego zdaniem to nie jest najlepszy pomysł.

– To jałowa dyskusja, stary – uciął Anakin. W kadłub trafiły następne strzały. – Tak czy inaczej, w tym tempie wkrótce i tak nie będziemy mieli za dużo kadłuba.

R2-D2 zaburczał coś do siebie, a Anakin odliczał długie sekundy do chwili, kiedy będą znów mogli strzelać.

– Artoo, dobrze by było, żebyś skończył, zanim zaczniemy się palić i spadać...

Przerwał mu gwałtowny wstrząs. „Zmierzch” dygotał, jakby w przedśmiertnych drgawkach. Jedi przygotował się na falę ognia pochłaniającą statek, ale zamiast tego na ekranie skanera zobaczył rozpryskującą się za rufą frachtowca kulę gorących szczątków.

Magna Guard zniknął. R2-D2 obrócił kilkakrotnie wysuniętą z kopolki antenę i zagwizdał triumfalnie. To musiał być bardzo precyzyjny strzał, wyjaśnił, a takie rzeczy lepiej wychodziły robotom niż ludziom – niezależnie od tego jak dobrymi strzelcami byli.

– Piękny strzał, Artoo – pochwalił go Skywalker. – Jak się nie przyłożę, wkrótce zostanę bez pracy. Gdybyśmy my, śmiertelnicy, nie przeżyli lądowania... wiesz, gdzie masz zabrać Rottę.

Huttowie nie mieli szkieletów, każdy z nich stanowił bezkosztny worek niezwykle silnych mięśni. Śmierdzielek mógł z powodzeniem przeżyć katastrofę, w której oni by zginęli.

– Wybacz, Smarku – westchnął. – To ja cię w to wszystko wciągnąłem.

Tatooine rosła w iluminatorach, zmierzając na spotkanie lecącego bezwładnie statku; Anakin powitał widok pustynnej planety z większą niechęcią, niż się spodziewał. Musiał nadać wiadomość. Zamierzał wysłać Kenobiemu informację – na wypadek gdyby miała to być od niego i Ahsoki ostatnia wiadomość.

– Mistrzu, mówi Anakin – powiedział. – Słyszysz mnie? Wkrótce rozbijemy się na Tatooine. Rotta żyje, ścigają nas i...

Stracił sygnał. Cóż, przynajmniej Kenobi będzie wiedział chociaż tyle. Skywalker rozejrzał się w poszukiwaniu Ahsoki – Togrutanka chroniła Rottę własnym ciałem. Nie miał serca tłumaczyć jej, że mogłaby użyć małego jako poduszki powietrznej.

– Trzymajcie się – powiedział tylko. – Bo to będzie twarde lądowanie.

## **Biuro Palpatine'a, gmach Senatu, Coruscant**

Palpatine lubił towarzystwo Yody. Im dłużej siedział, uśmiechając się dobrotliwie do zielonego Mistrza, podczas gdy ten nie był w stanie dostrzec prawdziwego oblicza Kanclerza, tym bardziej czuł się usatysfakcjonowany.

Oto, do czego prowadziły wieki zdobywania mądrości i sprawowania władzy: ślepotą, samozadowolenie i arogancją.

Generał Kenobi również uczestniczył w spotkaniu, ale jako hologram. Wciąż był zajęty rozprawianiem się z siłami Separatystów na Teth.

– Anakin dotarł na Tatooine – mówił właśnie. – Otrzymałem informację, że syn Jabby żyje i ma się dobrze, ale ich statek został zaatakowany. Myślę, że to Dooku uknuł intrygę, bo chciał przekonać Jabbę, że to Republika porwała jego syna i nastawić go przeciwko nam.

Palpatine pokręcił powoli głową.

– Ale czy Jabba uwierzy Dooku? – spytał zbolalym głosem. – Nie jest najbardziej ufny

istotą, tym bardziej jako Hurt.

– Jeżeli uwierzy Jabba w to, z szansą na układ z nimi pożegnać się możemy. – Yoda zmarszczył czoło. – W Skywalkerze Republiki nadzieja ostatnia. Dostarczyć Hutta osobiście musi on.

– Mistrzu Yodo – odezwał się przymilnie Palpatine – jak zawsze, umiesz znaleźć doskonałe rozwiązanie. – Tak, oczywiste i banalne, dodał złośliwie w myśli. – Jesteś wspaniałym przywódcą. Generale Kenobi, czy Skywalker podoła temu zadaniu? – spytał hologramu. – Wiem, że jest doskonałym żołnierzem, ale to właściwie misja dyplomatyczna...

Kenobi pokiwał energicznie głową.

– Nie ma się czym martwić. Anakin ma więcej doświadczenia w kontaktach z Huttami niż my wszyscy razem wzięci. Jeśli ktokolwiek jest w stanie udobruchać Jabbę i przekonać go do naszej sprawy, to tylko on. Kenobi, bez odbioru.

Kiedy hologram zniknął, Palpatine przeniósł spojrzenie na Yodę. Mistrz splótł dłonie na swojej laseczce i kiwał powoli głową – wyglądał jak uosobienie niedołężności, ale Kanclerz nie dał się zwieść pozorom. Może Yoda rzeczywiście nie robił nic, żeby powstrzymać powolny upadek Zakonu i przerwać zakłętą krąg stagnacji, ale nadal był przeciwnikiem, którego należało mieć na oku.

Splótł palce i pochylił się nad biurkiem.

– Mistrzu Yodo, czy nie powinniśmy wysłać młodemu Skywalkerowi jakiegoś wsparcia? Sądziś, że sobie poradzi?

– Niecierpliwy ten chłopak jest – mruknął Yoda. – Emocjom zbyt łatwo się poddaje. Ale z sytuacji niebezpiecznej wybrnąć potrafi.

Palpatine doskonale o tym wiedział.

– A więc ja też jestem skłonny mu zaufać – stwierdził. – A teraz, Mistrzu Yodo, jeśli wybaczysz, muszę wracać do fascynującego świata polityki... Mam zaraz spotkanie z senator Amidalą.

Yoda wstał i skierował się do wyjścia w tej samej chwili, w której w drzwiach stanęła Padme. Wymienili grzeczne ukłony, a pani senator zbliżyła się do biurka Palpatine'a i usiadła w fotelu.

– Musimy omówić środki bezpieczeństwa na Naboo – powiedziała bez ogródek. – Moi doradcy do spraw ochrony donieśli, że doszło do kolejnych bitew na Zewnętrznych Rubieżach.

Palpatine lubił sobie udowadniać, że czasem dzięki odpowiedniemu stwierdzeniu można było uzyskać więcej informacji, niż zadając pytanie.

– Otóż to. Właśnie rozmawialiśmy z generałem Kenobim o walce, w której brał udział razem z Anakinem Skywalkerem.

Padme zmarszczyła ledwie zauważalnie brwi.

– Anakin? – zaniepokoiła się wyraźnie. – Czy nic mu nie grozi?



– Obawiam się, że próby zawarcia porozumienia między Jedi a Huttami zakończyły się fiaskiem. – Reakcja Padme na wzmiankę o Anakinie, bo nie miało to nic wspólnego z Kenobim, potwierdziła podejrzenia Kanclerza, że to nie była troska o wymiarze czysto politycznym. – Lord Jabba jest przekonany, że to Anakin uprowadził jego ukochanego syna.

– Anakin nigdy nie skrzywdziłby dziecka! – zawołała z oburzeniem Padme. Uspokoila się niemal natychmiast, ale jak dla Palpatine’a odrobinę za późno. – Żaden Jedi nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego. Proszę o pozwolenie na interwencję w imieniu Senatu. Porozmawiam z Jabbą i wyjaśnię mu, że to nieporozumienie. Skłonię go, żeby podpisał ten traktat.

– To bardzo odważne z pani strony, pani senator, ale Jabba odmówił wszelkich kontaktów z przedstawicielami Republiki. Wizyta na Tatooine może być niebezpieczna. Poza tym proszę pamiętać, że mamy do czynienia z organizacją przestępczą, nie z demokratyczną społecznością.

– Wuj Jabby, Ziro, ma na Coruscant swój pałac – nalegała Padme. – Może pomoże nam podjąć negocjacje...

Im bardziej usiłował odradzić jej interwencję, z tym większym uporem obstawała przy swoim. Palpatine’owi zdarzało się czasem pociągać za odpowiednie sznurki tylko po to, żeby zobaczyć, czy kolejny raz sztuczka zadziała. I działała, chociaż właściwie nie było szczególnego powodu, dla którego miałyby wplątywać Padme w tę intrygę. Cóż, kilka dodatkowych informacji nigdy nie zaszkodzi.

– Naprawdę uważasz, że to byłoby rozsądne? – spytał z troską. – To gangsterzy.

– Na tym właśnie polega dyplomacja: trzeba umieć układać się z tymi, których raczej wolałoby się unikać – odpowiedziała Padme wyniośle i skierowała się do wyjścia. – Chyba naprawdę wsparcie Jabby musi mieć dla nas ogromne znaczenie, skoro Jedi są w ogóle skłonni z nimi rozmawiać – dodała na odchodnym.

Palpatine pokiwał smutno głową.

– Tak, czasem musimy odłożyć nasze zasady na bok, dla wyższych celów. Cieszę się, że Jedi się na to zdecydowali i przestali się upierać, że zasady moralne nie pozwalają im angażować się w tę wojnę.

Zanim Padme wyszła, odwróciła się do niego, a on posłał jej najbardziej dobrotliwy ze swoich uśmiechów.

– Proszę uważać na tych Huttów, pani senator.

## **Morze wydm, Tatooine**

„Zmierzch” miał w środku pełno piany gaśniczej, piasku i dymu, ale udało im się wylądować i wszyscy żyli.

Anakin wygramolił się z wraku i rozejrzał w poszukiwaniu potencjalnych wrogów, ale wokół było pusto, nie widział żadnych śladów życia. Jego pierwszą myślą było, że powinien się skontaktować z Kenobim, lecz w głośniku komunikatora wciąż trzeszczały tylko wyładowania.

– Smarku, masz jakąkolwiek łączność? Ze mną albo pozaplanetarną?

Ahsoka sprawdziła swój komunikator i zmarszczyła czoło.

– Nie, tylko szumy.

– A więc wszystko zakłócają – zasepił się Anakin. – Miałem nadzieję, że straciliśmy łączność z powodu wejścia w atmosferę, ale najwyraźniej separańcy się wycwanili. – Naciągnął na głowę kaptur swojej szaty, żeby ochronić się przed palącymi promieniami bliźniaczych słońc, i wezwał Ahsokę gestem. – Droga wolna.

Padawanka wyczołgała się z cienia wraku z Rottą usadowionym bezpiecznie w plecaku. Hutciatko było teraz czujne i zaciekawione, i nic nie wskazywało na to, że jeszcze niedawno walczyło o życie.

– O rany, ale gorąco! – sapnęła. – Daleko musimy iść?

Anakin wskazał majaczące na horyzoncie skupisko wieżyczek i rozłożystych kopuł, lśniących w upalnym powietrzu. Piasek bezlitośnie spowalniał wędrowną, a oni nie mieli ze sobą pakietów przetrwania, co niezbyt dobrze wróżyło. Poza tym musieli nieść małą glistę – przedstawiciela rasy kiepsko znoszącej suche, pyliste warunki.

– To pałac Jabby – wyjaśnił Anakin. – Czeką nas kilkugodzinny spacer. W takim upale to nic przyjemnego.

– A może powinniśmy poczekać, aż się ściemni? – zasugerowała Togrutanka.

– Wątpię, żebyśmy mogli sobie pozwolić na zwłokę, Smarku. – Anakin był przyzwyczajony do życia na pustyni. Znał ją i dzięki temu wiedział, że może być podobnie bezduszna i zabić ich równie okrutnie, jak Dooku. – Wezmę Hutta, a ty skocz do statku i zabierz tyle butelek wody, ile zdołasz.

R2-D2 wytoczył się z wraku i zaświergotał płaczliwie. Nie lubił piasku.

– Chodź, Artoo! – spróbowała go namówić Ahsoka. – Wiem, wiem. Wstrętne, ostre drobinki. Nie martw się, po wszystkim ładnie cię wyczyszczę, obiecuję.

Skywalker wiedział, że będą obserwowani; na otwartej pustyni nie było gdzie się schronić. Jednak uwaga miejscowych nie była na razie skupiona na nich – a przynajmniej jeszcze nie – tylko na tym, co zostało ze „Zmierzchu”. Kiedy uszli kilka metrów, obejrzał się przez ramię i zobaczył kręcących się wokół szczątków statku Jawów. Uwijali się jak w ukropie – rozmontowali wrak na części, a potem ustawili się w kolejce, wynosząc wszystko, co dało się odłączyć czy podnieść.

R2-D2 obrócił kopułkę w ich stronę i zapiszczał ze zgrozą, tłumacząc, że nie chciałby spotkać Jawów w ciemnej uliczce. Najbardziej niepokoiły go hydroklucze w ich małych rączkach.

– Nie martw się, tobie na pewno to nie grozi, stary – uspokoił go Anakin. – Chodź. Mamy mało czasu.

Teraz musieli tylko się skupić na stawianiu jednej stopy przed drugą i nie myśleć o tym, jak długą drogę mają do przebycia. Ahsoka skleciła z kawałka miękkiej izolacji grodzi coś w rodzaju czepka i włożyła go Rotcie na głowę. Anakin słyszał szuranie materiału ocierającego się o krawędź plecaka.

– Szkoda, że go nie widzisz, Rycerzyku – rozczuliła się Togrutanka. – Wygląda naprawdę słodko!

– Jeśli spotkamy stoisko z neuviańskimi deserami lodowymi, kupię mu jeden – mruknął.

– A więc tu był twój dom – zmieniła temat.

– Nie.

– Opowiedz mi o nim.

– Nie.

– Nie to nie.

– Im więcej gadasz, tym bardziej się odwadniasz. – Anakin nie był pewien, czy faktycznie tak jest, ale uznał, że naprawdę nie powinna tyle trajkotać. – Pustynia jest bezlitosna. W końcu odbiera ci wszystko.

– Rozumiem – powiedziała szybko Ahsoka.

Tak, miał paskudne uczucie, że naprawdę rozumiała, chociaż nawet nie znała szczegółów.

Całe popołudnie utrzymywali stałe tempo, zatrzymując się co jakiś czas, żeby wypić trochę wody i sprawdzić, czy z Rottą wszystko w porządku. Mały Hutt gulgotał radośnie. Znosił upał całkiem niezłe jak na glistę. Może jego śluz działał jak ochronny filtr? Kiedy bliźniacze słońca zaczęły chylić się ku horyzontowi, temperatura spadła z nieznośnego skwaru do prawie znośnej duchoty. Anakin wiedział jednak, że za kilka godzin zapanuje tu przenikliwy chłód. Pustynia nie miała litości dla nieprzygotowanych na jej kaprysy, w każdej godzinie dnia i nocy.

Anakinowi zrobiło się zimno, ale nie z powodu zmiany temperatury. Zatrzymał się.

– Czujesz to? – spytał.

Ahsoka przymknęła oczy.

– Tak. Mamy towarzystwo.

– To Ciemna Strona. Dooku. Chce dostać Rottę.

– O nie! – stwierdziła stanowczo Ahsoka. – Po moim trupie.

– Hm, na pewno nie omieszka zrobić ci tej przyjemności, Smarku. Czas się rozdzielić.

– Ale Mistrzu, poradzimy sobie – zaprotestowała. – Nie martw się o mnie. Możemy stawić mu czoło razem...

– Nie. Chcę, żebyś dostarczyła Rottę do pałacu – uciął Anakin. Wdrapał się na niewielki pagórek i przykucnął na jego szczycie, wskazując niemal niewidoczne zagłębienie w niekończącym się morzu piachu. – Widzisz ten skalisty wąwóz? To część sieci pradawnych

koryt wyschniętych rzek. Weź Artoo i idź z nim w tamtą stronę. I uważaj na roboty Dooku. Jeżeli pożyczyl sobie więcej sprzętu od Grievousa, będą nas szukać, a w okolicy nie bardzo jest się gdzie ukryć, nawet w nocy. Prawdopodobnie mają czujniki podczerwieni.

Ahsoka patrzyła na niego przez chwilę nieobecny wzrokiem, jakby usiłowała pojąć wagę misji.

– Ale hrabia... – zaczęła.

– Nie martw się o Dooku. Poradzę sobie z nim. Przyszedł tu po mnie.

– Kompletnie ci odbiło!

– Ty umiesz się dużo lepiej skradać, a ja jestem bardziej doświadczony w walce z takimi jak Dooku – wyjaśnił. – To chyba brzmi rozsądnie, prawda?

– Tak – przyznała mu niechętnie rację. – Brzmi.

– Ale?

– Nie ma „ale”, Mistrzu.

Cóż, w końcu zaczęli się chyba dogadywać; wyjaśnili sobie pewne rzeczy jako Mistrz i padawan. Może wojna mobilizowała do zmiany pewnych nawyków, bo Anakin nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tak łatwo przyszło mu się z kimś zżyć. Cóż, może po prostu rzeczywiście do tej pory nie miał okazji.

– Daj plecak – poprosił. – Zrobimy małą przynętę. Ucharakteryzujemy mnie na oddanego strażnika Śmierdzielka.

## ROZDZIAŁ 19

*Dlaczego po prostu nie pozwolimy im odłączyć się od Republiki? Dlaczego musimy o takie rzeczy walczyć? Na czym polega ten ustrój, jeśli nie na tym, żeby wszystkim istotom pozwolić decydować, kto nimi rządzi? Nie łapię tego!*

Opinia widza dzwoniącego do programu informacyjnego HoloNetu

### Statek Dooku, Tatooine

– Twój plan się nie powiódł! – zakwiczał Ziro. – Mam tu jakąś senator, która prosi o przekazanie Jabbie, że porwanie jest intrygą uknutą przez ciebie, żeby skompromitować Jedi!

Dooku nie miał czasu na użeranie się z panikarzami, a szczególnie wtedy, kiedy musiał dorwać Skywalkera. Stanął przed hologramem w swojej najlepszej pozie mówiącej „na mnie nie licz”.

– Mój plan, powiadasz? – spytał kpiąco. – Nie zapominaj, że miał przynieść korzyści nam obydwu.

– No dobra, nasz plan – poprawił się Hutt. – Ale tak czy siak, właśnie legł w gruzach.

– Zastanów się trochę, lordzie Ziro – poprosił cierpliwie. – To normalne, że znajdą się tacy, co uznają, że za wszystkim stoją Separatyści, ale i tacy, co będą za wszystko obwiniać Republikę. Jabba z pewnością zdaje sobie sprawę, że obydwie opcje są w równym stopniu prawdopodobne i nie ufa żadnej ze stron, więc w gruncie rzeczy jego decyzja zależy od tego, kto przedstawi bardziej wiarygodne dowody. Mam wszystko pod kontrolą – zapewnił Hutta. – Powiedziałem Jabbie, że to Jedi zamordowali jego syna i że teraz lecą, żeby zabić jego samego.

Ziro aż się zatrzęsł z oburzenia.

– Jabba zabije Jedi bez wahania!

Dooku naciągnął rękawiczki. W nocy na pustyni bywało chłodno.

– Naprawdę będzie ci to spędzać sen z powiek?

– Nie, ale...

– Jeżeli Jabba zabije Jedi – wszedł mu w słowo hrabia – Zakon, jako autorytet w kwestii etyki, będzie musiał interweniować i pociągnąć Jabbę do odpowiedzialności. A to oznacza, że będziesz miał szansę na przejęcie kontroli nad wszystkimi klanami Huttów. Tego właśnie pragniesz, zgadza się?

Błękitne widmo Ziry przyglądało się Dooku przez chwilę w milczeniu, jakby lord Huttów właśnie doznał objawienia.

– Och – sapnął w końcu. – A więc to w taki sposób zamierzałeś tego dokonać...

– Czy takie rozwiązanie cię satysfakcjonuje?

– Jak najbardziej, hrabio Dooku – zapewnił go Hutt.

– To dobrze, bo mnie również. Dzięki temu pozbędę się Jedi albo i dwóch, a moje wojsko otrzyma wyłączne prawo dostępu do Zewnętrznych Rubieży. Dlaczego moja strategia tak cię zaskakuje?

– Gdyby Jabba został wzięty przez Republikę do niewoli, straciłby autorytet, a to by wystarczyło, żeby go usunąć ze stanowiska... Jednak twój sposób wydaje się o wiele bardziej wyrafinowany.

Dooku uśmiechnął się pod nosem. Dobrze było mieć pewność, że wszystko z zewnątrz wygląda nieskazitelnie. Zgadza się, zaplanował wszystko skrzętnie, ale plany należało cały czas dopasowywać i zmieniać, jeśli któryś z etapów poszedł nie po jego myśli.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia, lordzie Ziro.

– Co mam zrobić z tą senator?

– Nie zwracaj sobie nią głowy. Co innego mogłaby zrobić przedstawicielka Republiki? Oczywiście, że zwalić winę za podobny skandal na obóz przeciwnika. Kontrpropaganda, teoria spiskowa... nazywaj to, jak chcesz, podczas wojny rządy nieustannie oskarżają się nawzajem o różne rzeczy. Zdziwiłbym się, gdyby w tym przypadku było inaczej.

– Nie mogę jej zignorować – upierał się Ziro.

Hrabia stwierdził, że chociaż czasem Huttowi zdarzały się przebłycki geniuszu, pewne rzeczy docierały do niego zbyt wolno. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy wuj Jabby nie próbuje go przypadkiem zmusić do powiedzenia czegoś obciążającego, co mógłby potem wykorzystać jako dowód przeciwko niemu. Zważywszy na ostatnie wydarzenia, pomysł wydał się Dooku zabawny. Sprawdził godzinę na chronometrze i sięgnął poprzez Moc, aby poszukać Anakina Skywalkera. Musiał zakończyć tę bezowocną dyskusję, i to szybko. Miał Jedi do zabicia.

– Senatorom często zdarzają się nieszczęśliwe wypadki – powiedział znacząco. – Dopilnuj, żeby spotkał ją jeden z nich, a moi ludzie sfabrykują dowody i zajmą się resztą. Bolesna strata młodej i obiecującej pani polityk, uroczysty pogrzeb i tak dalej.

Na linii pojawiły się jakieś szумы i Hutt odwrócił się gwałtownie, jakby ktoś wszedł do komnaty. W polu widzenia Dooku pojawiły się roboty strażnicy, wlokąc senator Amidalę.

– Miałem po prostu na myśli, że nie zamierzam jej ignorować – wyjaśnił Ziro. – Kiedy

przyłapałem ją na szpiegowaniu, zastrzeliła mojego robota strażniczego! Tak więc nieszczęśliwy wypadek to doskonale wyjście.

Dooku widział senator, co oznaczało, że ona też go widzi. Właśnie dlatego preferował łączność audio, chociaż właściwie tym razem fakt, że go pozna, nie miał specjalnego znaczenia.

– Pani senator – przywitał się, skłaniając głowę. – Jak się pani miewa? Jestem już spóźniony na następne spotkanie, więc mam nadzieję, że mi pani wybaczy...

Rzuciła mu pełne pogardy spojrzenie. Prawdę powiedziawszy, już się do tego przyzwyczyła.

– A więc to ty za wszystkim stoisz, podły zdrajco!

– Pani senator, chciałbym wyjaśnić jedną rzecz: nie jestem zdrajcą. Nigdy nie byłem po waszej stronie. Takich jak ja nazywa się wrogami. A teraz naprawdę muszę już lecieć. Lordzie Ziro, przemyśl jeszcze moją propozycję dotyczącą wypadku. Niektórzy z moich sprzymierzeńców, Separatystów, zapłaciliby ci za nią całkiem niezłą sumkę.

Ziro zamrugał leniwie, jakby wygrzewał się w promieniach słońca.

– Wspaniały pomysł, hrabio Dooku. Dzięki temu pokryję koszty kupna nowego robota!

– Reszty nie trzeba – uciął Dooku i zakończył połączenie. Wyszedł w chłód tatooińskiej nocy, z mieczem świetlnym w pogotowiu, i wsiadł na swój repulsorowy skuter.

## **Pustynia, pięć kilometrów od pałacu Jabby**

Anakin powitał zapowiedź Dooku w Mocy niemal z wdzięcznością. Dzięki temu mógł zająć niewesołe myśli czymś nowym.

Usiadł w pozycji medytacyjnej na chłodnym piasku, z plecakiem pełnym kamieni i zapatrzył się na trzy księżyce, starając się nie mrugać. Wkrótce ich światła zlały się w jedno, a jego umysł się wyciszył. Oddech zwolnił, a tętno gwałtownie spadło. W tym stanie – a ostatnio bardzo rzadko miał okazję go osiągnąć – słyszał rzeczy, których często nie chciał słyszeć.

Jego świadomość była teraz jakby podzielona na kilka warstw. Na samym szczycie była Ahsoka, przedzierająca się przez wydmy ku pałacowi z Rottą i – jak miał nadzieję – R2-D2. Wkrótce powinni dotrzeć do pałacu Jabby. Nigdy nie wyczuwał swojego robota astromechanicznego w Mocy, nieważne, jak bardzo się starał. Czasem czuł tylko zakłócenia w funkcjonowaniu organizmów żywych, które automatом zdarzało się wywoływać. Teraz obecność Ahsoki została zepchnięta głębiej, zastąpiona przez aurę otaczającą Dooku – skupienie, determinację i zaciekłość, podobne do emanacji rekina firaxa prującego przez fale oceanu. A jeszcze głębiej była Tatooine.

I to nie tylko wspomnienia. To było coś więcej: skumulowane cierpienie, chciwość i

rozpacz nagromadzone przez wieki; całe pokolenia żyjące w biedzie i niewoli. Drobnym okruch jego własnych doświadczeń był w tym bezkresnym oceanie piasku tylko ziarnkiem. To głos go dręczył. Głos szepczący mu nieustannie do ucha, pytający, dlaczego zawsze robił to, co mu kazano, nigdy nie zadawał fundamentalnych pytań i nie żądał odpowiedzi.

Dlaczego nie zmusiłeś ich, żeby po nią wrócili? Dlaczego nie widziałeś, że pozwala ci odejść wolno, poświęcając siebie i tonąc w morzu zła, żebyś tylko dostał swoją życiową szansę? Dlaczego nie wróciłeś wcześniej, nie zmieniłeś biegu wydarzeń i nie uratowałeś jej, zanim było za późno? – pytał głos.

Nigdy nie musiał się zastanawiać, kim jest „ona”. Była jego matką. Teraz jej wspomnienia wyparły z jego myśli wszystko; zapomniał nawet o swojej żonie. Ironia zadania, które właśnie wykonywał – ocalenia Hutta – balansowała gdzieś na skraju świadomości, niczym ostateczne przesłanie służące zachowaniu zdrowych zmysłów.

W tej chwili musisz się skupić na ocaleniu tego, kogo możesz ocalić, szepnął jakiś inny głos. Musisz uratować tych, którzy na to zasługują...

Dooku był już blisko. Anakin wyrwał się z otchłani myśli o Tatooine, które tak naprawdę nigdy nie odstępowały go na krok; poprzez dryfujące widma Dooku i Ahsoki przedarł się na powierzchnię. Drobne fale na morzu świadomości były odległymi echemi walk toczonych na innych światach. Poprawił paski wypełnionego kamieniami plecaka.

Hrabia na pewno wiedział, że dźwięk silników skutera repulsorowego niesie się w nocy po pustyni bardzo daleko. Anakin był ciekaw, dlaczego Dooku nie zdecydował się zwabić go w pułapkę. Tak naprawdę nie potrzebowali do wykrywania nawzajem swojej obecności żadnych sygnałów fizycznych. Nie mogli się przed sobą ukryć.

Usłyszał dźwięk gaszonego kilka metrów dalej silnika i na piasku zachrząściły kroki. Wkrótce stanął przed nim Dooku. Jego szaty powiewały, targane suchym, pustynnym wiatrem. W Mocy pojawiło się zawirowanie, spowodowane czymś innym, ale w tej chwili Anakin musiał się skupić na swoim przeciwniku. Wstał, jeszcze raz poprawił plecak i włączył swój miecz świetlny.

– Oddaj mi Hutta, Skywalker – powiedział cicho hrabia. – Albo zginiesz.

A więc dał się nabrać...

– Mam dziwne przeczucie, że zrobiłbyś to i tak.

– To prawda.

Ich spotkanie przebiegało w niezwyklej, kurtuazyjnej atmosferze, zupełnie jakby byli irmeńskimi arystokratami przygotowującymi się do pojedynku. Dooku wyrzucił przed siebie dłoń i posłał w stronę Anakina lśniącą błyskawicę Mocy. Skywalker zrobił unik i odbił się błękitnych wyładowań własnym ostrzem.

– Robisz postępy – zauważył hrabia. Rzucił się na niego z uniesionym do ataku mieczem, zmuszając go do cofnięcia się, a potem przefrunął ponad nim w zgrabnym saltie. – Przebywanie tutaj musi ci sprawiać ból, prawda? To twoja rodzinna planeta. Zbyt wiele tu



widm przeszłości, co? A może za długo cię tu nie było...?

Anakin prawie instynktownie wyrzucił obie ręce w górę i posłał w stronę przeciwnika wir piasku, poderwanego Mocą z wydm. Chmura poszybowała ku Dooku, opadła gwałtownie i o mało nie powaliła go na ziemię. Hrabia przykucnął i odczekał, ciasno owinięty płaszczem, aż tuman opadnie; chwilę później stał już wyprostowany, z wyciągniętym przed siebie mieczem.

– Czyżbym trafił w czuły punkt? – Podszedł trochę bliżej. – Każdy z nas musi stawić czoło swoim zmorom, Anakinie. Ja też walczę z własnymi. Nigdy nie odpuszczają, sam zresztą wiesz najlepiej, jak to jest. Mogą być balastem, jak ten Hutt na twoich plecach, albo źródłem wiedzy, jeśli nauczysz się z nimi żyć.

Czy Dooku wiedział o Shmi Skywalker? – zastanawiał się Anakin. Wyglądało na to, że orientował się we wszystkim innym, a może to była po prostu sztuczka stosowana przez wróżbitów? Przytaczanie oczywistych faktów, żeby wy badać reakcję klienta i wyciągnąć od niego szczegóły? Cóż, cokolwiek to było, Anakin nie był w stanie przed tym uciec ani odsunąć tego od siebie. Przygniatał mu pierś ogrom bólu – jego i jego matki. Runął na Dooku z mieczem świetlnym, napędzany żądzą mordu. Jego atak był brutalnym aktem ślepej furii; zapominając o ciężarze na plecach, zasypywał przeciwnika deszczem ciosów, dopóki nie zepchnął go na miejsce, w którym piasek był bardziej sypki, utrudniający utrzymanie równowagi.

Dooku jednak był wytrawnym szermierzem, wyróżniającym się nawet pośród Jedi; Anakin zapomniał o tym na jedną krótką, ale bolesną chwilę. Hrabia wykorzystał moment i zanurkował pod tkaną przez klingę Skywalker'a świetlistą tarczą, po czym chlasnął mieczem przez plecak, prawie dosięgając kręgosłupa Jedi. Kamienie, którymi plecak był szczelnie wypakowany, przemieściły się; Skywalker musiał przerwać atak dla złapania równowagi.

– Ojej – powiedział Dooku dziwnie bez troski. – Chyba właśnie przepołowiłem Rottę!

– Chciałbyś, co? – zaśmiał się Anakin, parując cios, a drugą ręką sięgając do szelek plecaka. Zdjął go i rzucił na piasek. Ze środka wysypały się kamienie.

Dooku uniósł brwi.

– A niech mnie, to rzeczywiście nie wygląda na Hutt'a.

Do Anakina dopiero teraz dotarło, że Dooku tylko się zgrywa. Niemożliwe, żeby dał się tak łatwo zwieść. To po prostu gra, przeszło mu przez myśl. Gra na zwłokę. Czasem, kiedy Anakin Skywalker zaczynał myśleć, że jest już dorosły, doświadczony i dojrzały, do głosu dochodziło jego drugie ja – zraniony chłopiec, którym był w głębi duszy; rozżalony, potrzebujący akceptacji i bojący się odrzucenia.

A teraz Dooku próbował zwabić go w pułapkę.

– Tak czy inaczej, za późno – rzucił w stronę hrabiego. Musiał teraz wybrać: walczyć z Dooku do końca albo zostawić wszystko i próbować dogonić Ahsokę. Kątem oka dostrzegł zaparkowany w pobliżu skuter hrabiego. – Teraz są już na pewno w pałacu Jabby.

– Chyba zauważyłeś, że nie zapytałem cię o nią – zadrwił Dooku, wyciągając z kieszeni

płaszczka niewielki holoprojektor. – Wiem, że nie możesz się z nią skontaktować. Za to ja mogę ci pokazać kilku moich przyjaciół, których właśnie spotkała.

Anakin podejrzewał, że to tylko kolejna sztuczka, ale hologram, który pojawił się w powietrzu przed nim, wyglądał bardzo przekonująco. Kąt ujęcia sugerował, że nagranie było rejestrowane z dużej wysokości. Togrutanka cofała się właśnie przed dwoma robotami Magna Guard, potykając się co chwila na usuwającym się spod stóp piasku. W prowizorycznej uprzęży na jej plecach spoczywał Rotta.

Czy to prawdziwe nagranie? – zaniepokoił się Anakin. Od jakiegoś czasu traktował podejrzliwie wszystko, co oglądał.

– Syna Jabby trzeba będzie niestety zaliczyć w poczet ofiar tej wojny, ale zapewniam cię, że twoja padawanka zostanie dostarczona przed jego oblicze żywa. – Dooku powoli nakreślił w powietrzu ósemkę czubkiem miecza. – Hutt chce na kimś wyładować swój gniew, a skoro nie będzie miał pod ręką ciebie...

Anakin puścił się pędem w stronę skutera.

Odpalił go, zanim jeszcze porządnie opadł na siodło. Wydawało mu się, że Dooku rzuca się za nim w pościg, ale zaraz wszystko zakryła chmura pyłu.

Skierował się prosto do pałacu Jabby, ale wciąż nie był pewien, czy to nie jest przypadkiem część planu hrabiego. Czy naprawdę jestem od niego silniejszy? – zastanawiał się. A może po prostu pozwolił mi uciec? Dlaczego pokazał mi hologram? Żeby mnie wyprowadzić w pole czy żeby rozproszyć moją uwagę na tyle, bym stał się nieuważny? Dlaczego...

Musiał przestać snuć domysły. To go tylko zdekcentruje. Podjął decyzję – trzeba działać. Wiedział tylko jedno: że Dooku z jakiegoś powodu stara się grać na zwłokę. Zaryzykował też przypuszczenie, że tą zasadzką hrabia nie miał na celu sprowokować go do rajdu w stronę pałacu.

Może Ahsoka naprawdę wpadła na Magna Guardów? A może była już w pałacu, oddając syna w ręce Jabby? Jedyne sposob, żeby się tego dowiedzieć, to przekonać się na własne oczy.

## **Klasztor na Teth**

– Co za bałagan – mruknął Cody. Kopnął kawałek pancerza robota, torując sobie drogę przez usłany szczątkami bitewnymi dziedziniec. – Chyba powinien pan się ostrzec, sir.

Rex, z hełmem pod pachą, przejechał dłonią po szczecinie, która wyrosła mu na głowie od ostatniego golenia.

– Tak, zaraz się zacznę potykać o włosy.

– Musimy opracować jakiś sensowniejszy sposób walki albo wkrótce skończą nam się

ludzie.

– Co ty powiesz? – parsknął.

– To nie pierwsza kompania, którą straciliśmy – westchnął Cody. – I na pewno nie ostatnia.

Rex postanowił nie traktować słów komandora jako aluzji, że to nie była jego wina. Nie mógł mu nic zarzucić.

– Ale to pierwsza kompania, którą ja straciłem.

– Lepiej się nad tym zbytnio nie zastanawiać, kapitanie – zauważył ostrożnie Cody.

– Postaram się. Problem w tym, że kiedy przestajemy myśleć, stajemy się zbyt podobni do robotów.

Komandor nie drażył tematu.

Przechadzali się po polu bitwy z braku innego zajęcia. Mogli tylko sprawdzać, jakie informacje zdołają wyciągnąć z robotów – a raczej z tego, co z nich zostało – i uczyć się na własnych błędach. Kenobiego nie było w pobliżu. Dwóch żołnierzy klonów, brodząc po kolana w szczątkach wrogów, przeprowadzało własną inspekcję pobojowiska, żeby zorientować się, co mogą poprawić na przyszłość. Całe szczęście, że walczyli z automatami. Rex wyobraził sobie podobną scenę z trupami żywych istot i zaraz tego pożałował. Wystarczająco trudno było wyławiać z tych szczątków własnych ludzi i wpisywać numery klonów na listę PWA. Na szczęście ten akurat niewdzięczny obowiązek przypadł w udziale żołnierzom z Dwieście Dwunastej, którzy przedzierali się właśnie przez dywan blaszaków i wyciągali, co się dało. Rex miał nadzieję, że znajdą chociaż kilku żywych jeszcze członków Kompanii Potok, ale wkrótce się z nią pożegnał. A jednak dopilnował, żeby piątka z nich przeżyła. A może to on przeżył dzięki nim? Podejrzewał to drugie.

– Cóż, następnym razem nie będziemy się zabierać do takich akcji bez wsparcia z powietrza – stwierdził. – To szaleństwo. Larty nie wystarczą. V-dziewiętnastki, oto, czego nam trzeba.

– Nie powinni wysyłać na takie akcje piechoty.

– Żeby odbić jeńca z silnie bronionej i praktycznie niedostępnej twierdzy? – westchnął Rex. – Powinniśmy byli wysłać jednostki do zadań specjalnych, żeby zabezpieczyły teren, a potem zadbać o porządne wsparcie z powietrza i wysłać oddziały desantowo-lotnicze, zamiast przedzierać się przez dżunglę, tracąc przy okazji jedną czwartą ludzi, zanim w ogóle zaczęliśmy oblężenie. Poza tym do takich akcji potrzeba batalionu, nie kompanii. Ta misja miała podobno kluczowe znaczenie, więc powinni byli zadbać o odpowiednie środki.

– No nic, przynajmniej czegoś się nauczyliśmy. – Cody wsparł dłonie na biodrach i wbił wzrok w ziemię. – Jednak nie liczyłbym zbytnio, że w najbliższym czasie sytuacja się poprawi.

Rex nie wiedział, kogo obarczać winą za straty. Skywalker w kwestii przydzielanych mu ludzi nie miał do powiedzenia wiele więcej niż on sam. Prawdopodobnie Kenobi tak samo.

Problem leżał bliżej źródła, na samym początku łańcucha dowodzenia. Pierwszą rzeczą, której Rex nauczył się w ekspresowym tempie wkrótce po opuszczeniu zapyziałego Kamino, gdzie przekazywano im tylko informacje na temat taktyki i zakresu obowiązków, była świadomość, że politycy nie myśleli tak samo jak żołnierze i robili często głupie rzeczy z powodów znanych tylko im samym.

Rex słyszał, jak Skywalkerowi wyrywa się czasem coś mało cenzuralnego na temat Rady Jedi i podejmowanych przez nią decyzji. Teraz go rozumiał. To Rada Jedi powinna instruować Kanclerza, jak rozważnie dysponować siłami zbrojnymi.

Zmusił się, żeby otrząsnąć się z frustracji. Widział, że Cody robi się niespokojny, bo komandor zaczął się lekko kołysać na obcasach butów: w przód i w tył.

– Blaszkaki – odezwał się Rex – są naprawdę do niczego, jeśli przychodzi im walczyć w warunkach odbiegających od normy, szczególnie kiedy mają ograniczone pole manewru. Co widać na załączonym obrazku. Wygląda na to, że potrafią tylko stać, maszerować przed siebie i strzelać. Gdybyśmy je naśladowali, nie miałby kto walczyć. Musimy jednak unikać walk na takim terenie. Może ograniczyć liczbę piechoty i skoncentrować się na atakach z powietrza? Gdyby Kenobi mógł przekazać tę informację samej górze...

– Gdzie Skywalker? – wszedł mu w słowo Cody.

– Miał lądowanie awaryjne na Tatooine, ale według Kenobiego Hutt jest cały i zdrowy.

– A więc misja wypełniona – westchnął komandor. – Przynajmniej poświęcenie naszych ludzi nie poszło na marne.

Kapitan miał ochotę odpowiedzieć mu, że gdyby staraniom o dostęp do szlaków na Zewnętrznych Rubieżach towarzyszyło bardziej realistyczne podejście do liczby bitew, które mogli stoczyć, wtedy mogliby liczyć na prawdziwe sukcesy. Miał jednak przeczucie, że nic by to w gruncie rzeczy nie zmieniło, a jedynie jeszcze bardziej rozproszyło szeregi Wielkiej Armii.

Ufał Skywalkerowi, bo generał siedział w tym wszystkim po uszy razem z nimi i rozumiał, o jaką stawkę toczy się ta gra.

Rex stwierdził, że jego wiara jest niczym atmosfera: im wyżej mierzył, tym bardziej rzedła.

– Pójdę zebrać ludzi – powiedział i ruszył w stronę stanowiska pierwszej pomocy, zaimprovizowanego na pokładzie jednej z kanonierek, które wylądowały w pobliżu. – To nie potrwa długo.

## ROZDZIAŁ 20

*Zabezpieczyliśmy lokal Hutta, sir. Senator Amidala jest bezpieczna i wraca właśnie do Senatu w towarzystwie swojego androida protokolarnego. Zatrzymaliśmy lorda Zirę. Twierdzi, że został zmuszony do porwania syna Jabby przez hrabiego Dooku. Żadnych strat – oczywiście jeśli nie liczyć robotów.*

Komandor Fox, składający kwaterze głównej WAR raport z pomyślnego odbicia zakładnika

### Pałac Jabby, Tatoonie

– Lordzie Jabbo, namierzyliśmy Skywalkera. – Kapitan straży, Nikto, podszedł do niego zwawym krokiem. – Zbliża się do pałacu na skuterze repulsorowym. Ustawiliśmy już na dachu snajperów. Czy mamy go zastrzelić, mój panie?

Jabba zmusił się, żeby stłumić przytłaczający go żal. Gniew był dobrym remedium, dzięki któremu mógł się skupić, ale na krótką metę.

– Nie, chcę go żywego – burknął. – Chcę, żeby mi wyjaśnił, co zrobił z ciałem mojego syna. A kiedy tak się stanie, nie zamierzam się spieszyć z jego zabiciem. Być może poświęcę mu ładnych parę tygodni. Resztą zajmie się sarlacc. Będzie go trawił przez kilka tysięcy lat. Nie, Skywalker nie zasłużył sobie na szybką śmierć.

W sali tronowej zgromadził się cały dwór, ale Jabba miał ochotę zaszyć się w ciemnym kącie i krzyczeć, dopóki obezwładniająca pustka w jego piersi się nie wypełni. Musiał jednak dbać o wizerunek silnego władcy, mającego wszystko pod kontrolą. Gdyby tego zaniechał, rodziny *kajidiców* i cała społeczność Huttów pograżyłyby się w chaosie, a to by osłabiło pozycję jego rasy na arenie galaktycznej. Chciał, żeby cała ta publiczność mogła w razie czego poświadczyć, że nawet w najmroczniejszych chwilach nie tracił zimnej krwi.

W tle nerriański dudziarz wygrywał na swoim instrumencie żalobną melodię. Obok podium stała pusta kołyska Rotty. Wkrótce Jabba usłyszał kroki androida i do komnaty wkroczył TC-70, trzymając w ręku miecz świetlny.

– Skywalker oddał swoją broń bez walki, mój panie – poinformował swego pracodawcę.

– Pyta o swojego padawana.

W przejściu rozległy się kroki człowieka i Nikto, a chwilę później do komnaty wszedł Skywalker. Z pewnością nie wyglądał na kogoś, kto gotuje się na śmierć. Rozejrzył się dookoła, jakby szukał czegoś wzrokiem.

Jego spojrzenie zatrzymało się na pustym łóżeczku, a potem powędrowało do dudziarza.

– Lordzie Jabbo, gdzie moja padawanka? – spytał po huttańsku z silnym akcentem z Mos Espan. – I gdzie jest twój syn?

Muzyk przerwał w pół tonu. Jabba nie śmiał oderwać wzroku od Jedi, na wypadek, gdyby jego gniew nagle wyparował i ogarnęła go bezsilność.

– Mój syn... – wycharczał złowrogo – ...jest tam, gdzie zostawiłeś jego ciało, obmierzły Jedi dzieciobójco!

– Twój syn żyje – zapewnił go Anakin. – Jeśli tylko Magna Guardzi Dooku nie zaszlachtowali go razem z moją padawanką. Miała ci go przekazać, powinna już tu być.

Jabba nachylił się w jego stronę.

– Gdyby na twoim miejscu był jakiś inny ludzki kretyń, uznałbym takie idiotyczne próby oszukania mnie za szaleństwo – huknął. – Ty, Skywalker, znasz jednak naszą rasę, bo wychowałeś się tutaj, wśród nas. Dorastałeś jako *shag*, zwykły niewolnik, a więc doskonale wiesz, że obrażasz mnie w mojej boleści!

Anakin stał przez chwilę bez ruchu. Potem zamrugał kilkakrotnie i wyciągnął przed siebie dłoń. Jego miecz świetlny poszybował do niego, wyrwany z rąk TC-70, a strażników Nikto cisnęła na ścianę jakaś niewidzialna siła. Skywalker zapalił miecz i odbił kilka skierowanych w niego strzałów. Potem wskoczył na podium i zatrzymał skwierczące ostrze kilka centymetrów od podgardla Jabby.

Hutta powinno to było rozwścieczyć; przez moment wydało mu się, że sprowokowanie Jedi położyłoby kres bólowi, który czuł... Po chwili nawyki wzięły jednak górę. Zareagował tak jak zwykle – ani drgnął, władczy i denerwująco opanowany. Huttowie nie mogli uciekać, nie byli do tego przystosowani. Woleli stosować taktykę niewzruszonego spokoju.

– A więc Dooku miał rację – mruknął. – Zabiłeś mojego syna, a teraz chcesz zgładzić mnie. – Wiedział, że Niktowie nie ośmielą się otworzyć ognia. Ryzykowaliby zranieniem jego samego, a poza tym Skywalker mógł ich bez trudu zabić rykoszetami. Wszyscy zamarli.

– Nie – zaprzeczył Anakin. – Nie przyszedłem tu, by cię zabić. – Spojrzył mu twardo w oczy. Jabba widział, że wiele go to kosztowało. – Przybyłem, żeby negocjować.

– Tak czy inaczej, zginiesz, *shagu*.

– Gdzieś na zewnątrz moja padawanka przedziera się przez pustynię z Rottą – syknął zniecierpliwiony Skywalker. – Została zaatakowana przez Magna Guardów, wiem o tym. Żeby się tu dostać, musiałem się zmierzyć z Dooku. Może zamiast stać beczynnym, twoi goryle wyszliby łaskawie na zewnątrz i się za nią rozejrzeli? – spytał ostro.

– Czy to kolejna bezsensowna próba zrobienia ze mnie głupca, Jedi?

Jedi Skywalker nie miał czasu. Musiał wiedzieć, że prędzej czy później noga mu się powinie, więc grał na zwłokę. Jabba nie czuł strachu. Nie mógł sobie teraz zawracać głowy takimi błahostkami.

– Straże! – zawołał. – Sprawdźcie, czy Jedi nie przysłali posiłków. A jeśli tak, to dopilnujcie, żeby tu nie dotarły. – Odwrócił głowę i posłał Skywalkerowi mordercze spojrzenie, próbując odczytać w twarzy tego człowieka, dlaczego był w stanie z zimną krwią zamordować dziecko. Tak naprawdę przedstawiciele ludzkiej rasy (a właściwie dotyczyło to też innych inteligentnych ras) raczej rozczulali się bezradnie na sam widok istot młodych i bezbronych – nawet jeśli były innego gatunku. Taka reakcja była instynktownym, pierwotnym odruchem. Nawet Jabba miękł czasem na widok ludzkich dzieci... ale tylko do czasu, aż dorosły.

Jednak Skywalker zabił dziecko. A to czyniło go kimś niebezpiecznie innym. Jabba pocieszył się myślą, że ludzi łatwo zgładzić i można się z nimi policzyć na wiele, wiele sposobów.

Czas płynął nieubłaganie. Skywalker był zdenerwowany, Jabba widział na jego górnej wardze gromadzące się kropelki potu.

– Czcigodny lordzie Jabbo! – rozległ się w korytarzu podekscytowany głos strażnika. – Przybyła Jedi w towarzystwie robota! Ma go ze sobą! To nie jest ładunek pułapka!

Kogo ma ze sobą? – zdumiał się Jabba w duchu.

Minęło dobrych kilka chwil, zanim dotarło do niego znaczenie słów strażnika. Odwrócił powoli głowę. Strach przed jeszcze większym bólem walczył w nim o lepsze z nadzieją. To nie mogła być prawda. Nie mógł na to liczyć...

Do środka wpadła drobna Togrutanka – oszołomiona, osmalona trafieniami z blasterów, oblepiona piaskiem. Na plecach niosła pakunek, który prawie przygniatał ją do podłogi. Zdjęła plecak zamaszystym gestem, prawie się przy tym przewracając, i postawiła go na podeście.

To naprawdę nie był ładunek pułapka.

– Dobra robota, Smarku – pochwalił ją Skywalker. Westchnął ciężko i zgasił miecz. – Wyglądasz strasznie.

Kiedy Togrutanka rozpakowała zawiniątko, Jabba nie zdołał dłużej zachować chłodnego majestatu. Byłby się rozkleił, jednak szybko przywołał się do porządku.

– Mój... syn! – sapała. Na dźwięk jego głosu Rotta zbulgotał i pisnął radośnie. – Podajcie mi go...

TC-70 przydreptał pod sam tron.

– Lord Jabba chciałby utulić swojego synka w ramionach – wyjaśnił.

Jego żądaniu stało się zadość. Ahsoka sprawiała wrażenie, że nie da rady podolać kolejnemu zadaniu, ale jednak podniosła Rottę i podała Jabbie. Mały Hutt wydawał się lżejszy i szczuplejszy, niż kiedy ojciec widział go ostatni raz, ale był cały i zdrowy. I żył!

– No, Śmierdzielku – Ahsoka uśmiechnęła się do małego, demonstrując imponujące użębie. – Znów jesteś ze swoim tatą. Będzie mi ciebie brakowało.

Jabba przez chwilę miał ochotę odpowiedzieć jej w basicu, ale musiał stwarzać pozory. To był jego świat. To pozaświatowcy powinni przemawiać w jego języku.

Wyglądało na to, że jego świta znów mogła swobodnie odetchnąć. Dudziarz pozwolił sobie na brzdąknięcie w radośniejszy ton, a służba zaszemrała podniecona: syn Jabby wrócił do ojca!

Jabba z trudem mógł w to uwierzyć: Dooku próbował go oszukać, Jedi też. Wszyscy byli tacy sami, ci podli ludzie. Zależało im tylko na tym, co mogli zyskać na swoich wiecznych kłótniach o drobiazgi. Nie pozwoli, żeby ulga, którą czuł, zaważyła na jego interesach.

– A teraz, Jedi – powiedział – umrzecie i tak.

Anakin stwierdził, że powinien był to przewidzieć. Żeby zmusić Jabbę do zmiany zdania, trzeba czegoś więcej niż zwrócenia mu syna. Nie wiedział, czy Huttowie byli w ogóle zdolni do wzruszeń.

– Jeśli masz jakieś pretensje, to załatw je ze mną – odezwał się. – Puść Ahsokę z robotem wolno. Od czasu opuszczenia Teth wielokrotnie ocaliła twojemu synowi życie. Nie zasługuje na taki los.

Ahsoka przenosiła spojrzenie z Hutta na Anakina i z powrotem. Nie rozumiała huttańskiego. Nie miała pojęcia, co się dzieje, nie wiedziała, że to jeszcze nie koniec kłopotów. Wyglądała jakby dopiero co stoczyła walkę z całym oddziałem wojska. Magna Guardzi to nie to samo co głupie roboty bojowe. Anakin nie mógł wyjść z podziwu, że w ogóle uszła z potyczki z życiem.

Ocaliła Rottę. Tak, to naprawdę ona go ocaliła, dotarło do Anakina... wcale nie ja. Nie potrafię nikogo uratować – nieważne, jak bardzo się staram...

– Powiedz lordowi Jabbie – poprosiła TC-70 Ahsoka – że musi koniecznie porozmawiać z senator Amidalą. Kiedy przestali nas zagłuszać, odebrałam od niej wiadomość. Generał Kenobi mówi, że ma ważne informacje na temat jego wujka Ziry. Ziro został aresztowany.

Ledwie TC-70 zaczął tłumaczyć, Jabba sięgnął po podręczny komunikator. A więc rozumiał basic! Anakin zapisał to sobie w pamięci. Zawsze go o to podejrzewał. Napięcie było w tej chwili tak ogromne, że nawet wiadomość od senator Padme Amidali nie była w stanie uspokoić jego galopującego tętna.

Padme. Jego żona... A niech mnie, to naprawdę moja żona! – dotarło do niego po raz kolejny.

W powietrzu natychmiast pojawił się hologram Padme, zupełnie jakby czekała na połączenie.

– Lordzie Jabbo – przemówiła, skłaniając głowę, uprzejma jak zawsze. – Twój wuj Ziro został aresztowany wskutek podejrzeń o spiskowanie z hrabią Dooku. Porwał twojego syna.



Planował cię obalić i obciążyć Jedi, żeby sabotować twoje negocjacje z Republiką.

– Żądam dowodu! – zawołał Jabba po huttańsku.

TC-70 przetłumaczył posłusznie jego słowa:

– Lord Jabba mówi, że chce dowodu.

– Możesz sam porozmawiać teraz z Zirem, prosto z więziennej celi. – Padme zniknęła, a jej miejsce zajął hologram Hutta.

– Lepiej, żebyś miał dobrą wymówkę, Ziro... – powiedział lodowatym tonem Jabba.

Ziro wyglądał żałośnie. Bez zbędnych wstępów zaczął się tłumaczyć:

– Bratanku, nigdy nie skrzywdziłbym małego Rotty! – zawołał. – To wszystko wina Dooku! Zmusił mnie do tego! Groził, że mnie zabije...

– Powinieneś być mu na to pozwolić – parsknął Jabba. – Bo kiedy ja dostanę cię w swoje ręce, postaram ci się wytłumaczyć bardzo dobitnie, dlaczego Hutt nie powinien zdradzać innego Hutta. Wystarczy. Chcę mówić z senator.

W polu hologramu ponownie pojawiła się Padme. Anakin przysunął się bliżej, żeby mogła widzieć i jego. Uśmiechnęła się z roztargnieniem, ale wiedział, że teraz musi się skupić na roli polityka. Ich małżeństwo było tajemnicą – i to dla dobra ich obojga.

– Generale Skywalker – powiedziała, skłaniając głowę. – Dziękuję za pomoc w rozwiązaniu problemu.

– A ja dziękuję pani, pani senator. – Anakin przywołał na twarz swoją najlepszą minę nieustraszonego wojownika, ale sądząc po reakcji Ahsoki, efekt nie był zbyt przekonujący. Cóż, trudno balansować na granicy śmierci, a po chwili mieć do czynienia z utrzymywaną w tajemnicy ukochaną i zachować przy tym kamienną twarz. – Nie udałooby się nam, gdyby nie padawanka Tano, kapitan Rex i Kompania Potok z Legionu Pięćset Pierwszego.

Oto ratuje mi życie Padme, moja własna żona, pomyślał Anakin z niedowierzaniem.

Padme Amidala posłała mu powściągliwy, profesjonalny uśmiech, ale chyba mrugnęła do niego ukradkiem.

– Lordzie Jabbo, czy w tej sytuacji moglibyśmy przedyskutować sprawę korzystania przez Republikę z twoich szlaków, aby położyć kres tej wojnie?

TC-70 przetłumaczył. Hutt, podrzucając Rottę na brzuchu w taki sam sposób, jak ludzie podrzucają dzieci na kolanach, zaśmiał się dudniącym basem. Widać było, że doszedł już do siebie i panuje nad sytuacją.

– Powiedz senator, że umowa stoi – nakazał androidowi. – Ale chcę, żeby Dooku odpowiedział za swoje występki.

Anakin zdecydował, że w końcu może odpuścić swoim nogom, na których ledwie stał po spadku adrenaliny. Zamiast osunąć się jednak na podest, cofnął się tylko, przywołał do siebie Ahsokę i wyszedł z komnaty, żeby poszukać R2-D2.

Może jeszcze kiedyś wróci na Tatooine, ale na pewno nieprędko.

## Statek Dooku opuszczający przestrzeń Huttów

Dooku czekał na reprimendę od Sidiousa, ale na próżno. Hologram emanował stoickim spokojem, jakby Lord Sithów słuchał sprawozdania z jakichś błahostek.

– Mistrzu, z przykrością muszę cię poinformować, że Jedi zwyciężyli i zawarli traktat z Huttami – powiedział Dooku. – To może nam przysporzyć problemów z utrzymaniem Zewnętrznych Rubieży.

– Znasz to stare powiedzenie, prawda, hrabio Dooku? Że można przegrać bitwę, a mimo to wygrać wojnę?

– Tak, Mistrzu.

– A więc pozwólmy im tym razem wygrać – stwierdził pobłaźliwie Sidious. – To nie wpłynie zbyt mocno na ostateczny wynik wojny. Dzięki temu tylko bardziej rozproszą swoje siły i staną się zbyt pewni siebie. Tak naprawdę historia może pokazać, że to małe zwycięstwo stało się przyczyną ich upadku.

To była pocieszająca myśl. Darth Sidious mówił o wszystkim w taki sposób, jakby sam to zaplanował.

– Jesteś bardzo łaskawy, Mistrzu.

– Nie, hrabio Dooku. Jestem po prostu pragmatykiem.

Hologram zniknął. Dooku siedział bez ruchu za swoim apocjowym biurkiem w ciemnej kabinie, która, jeśli nie liczyć mrugającej lampkami konsoli na grodzi, równie dobrze mogłaby być zamkową komnatą.

Z peryferii pamięci jeszcze raz napłynęły wspomnienia o Galidraanie: spowite całunem śniegu, oskarżycielsko szepczące mu do ucha. Dooku pomyślał o jeszcze jednej krwawej bitwie, zakończonej w sposób, którego nie przewidział, i zapytał się w duchu po raz kolejny: Co myśmy uczynili?

Wypełnił swoje obowiązki.

I zrobi to znowu. Będzie tak robił aż do śmierci, dopóki Jedi nie przestaną istnieć, dopóki Mustafar nie ściśnie mróz tak siarczasty jak na Galidraanie.

# EPILOG

## Lądowisko, pałac Jabby, Tatooine

Rex czekał we władze kanonierki LAAT/i; w środku Yoda rozmawiał z Kenobim. Kapitan nie słuchał rozmowy Mistrzów Jedi, która zresztą nie była zbyt ożywiona. Czekał na swojego generała.

Kiedy zobaczył Skywalkera i Ahsokę, w pierwszej chwili wyglądali, jakby ktoś przeciął ich w pół – zniekształceni przez gorące powietrze falujące nad piaskiem pustyni. W miarę jak się zbliżali, wracali do swojej zwykłej postaci. Przed nimi toczył się robot astromechaniczny R2-D2. Rex wyskoczył ze statku i wyszedł im na spotkanie.

Skywalker wyciągnął do niego dłoń na powitanie.

– Dobrze cię widzieć, kapitanie.

– Pana też, sir.

– Przepraszam, że po was nie wróciliśmy.

– Nic się nie stało, sir. Dzięki temu generał Kenobi miał co robić. Sam pan wie, jaki bywa nieznośny, kiedy się nudzi.

Skywalker roześmiał się na całe gardło. Wyglądał kiepsko i cuchnął Huttem.

– Jakies złe wieści? – spytał.

– Pięciu ludzi.

Ahsoka spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem.

– Pięciu martwych?

– Pięciu żywych – sprostował. – Oprócz mnie.

– Och... – westchnęła słabo padawanka. – Na Moc! Żołnierze, z którymi rozmawiałam w hangarze...

– Tak, młoda – potwierdził Rex. – Oni też.

– Raport – powiedział cicho Skywalker. – Chcę, żebyś złożył sprawozdanie, ale nie takie zwykłe, oficjalne. Chcę to wszystko usłyszeć. Imiona tych, co zginęli. Chcę usłyszeć, jak wasza szóstka odpierała atak armii robotów, Rex.

– Och, to nic ciekawego. – Rex odwrócił się do kanonierki, ledwie zdolny znieść myśl, że jutro znów trzeba będzie wstać i zacząć to samo od nowa. – Czy to aż tak ważne, sir? – spytał.

– Dla mnie tak – potwierdził Skywalker.

– I dla mnie też – dodała Ahsoka.

Rex kiwnął głową.

To było coś całkiem innego.

## **PODZIĘKOWANIA**

Chciałabym serdecznie podziękować moim wydawcom: Shelly Shapiro (Del Rey) i Sue Rostoni (Lucasfilm); mojemu agentowi Russowi Galenowi; Jimowi Gilmerowi – za hojne wsparcie, Karen Miller – za przyjaźń, a także Legionowi 501. za wyjaśnienie, co tak naprawdę wydarzyło się na Teth.